

THE MASTER OF ACTION AND SUSPENSE

ALISTAIR MACLEAN

BEAR ISLAND

'Edge-of-the-seat stuff'
The Times



MACLEAN ALISTAIR

Wyspa Niedzwiedzia

(Bear Island)

ALISTAIR MACLEAN

tłumaczył Juliusz P. Szeniawski

Ianowi i Marjory

Rozdział 1

Na tym etapie długiej i niezwykle burzliwej kariery „Róży Poranka” nawet najmniej wnikliwy i baczny obserwator musiał dojść do wniosku, że jej nazwa nie należała do najtrafniej dobranych, rzadko bowiem zdarza się jednostka, o której z równą słusnością jak właśnie o niej dałoby się powiedzieć, że dobiega zachodu dni swego żywota. Sklasyfikowaną oficjalnie jako arktyczny trawler parowy o wyporności 560 ton, długości 173 stóp, szerokości 30 i zanurzeniu (bez balastu, lecz przy pełnych zbiornikach paliwa i wody) 14,3 stopy, „Różę Poranka” zwodowano w stoczni w Jarrow przed wieloma, wieloma laty, dokładnie w roku 1926, roku strajku generalnego.

Jako się więc rzekło, dawno przekroczyła granicę wieku emerytalnego, była powolna, niestabilna, trzeszczała w spawach i rozłaziła się w szwach – tak jak kapitan Imrie i pan Stokes – oraz zużywała ogromne ilości paliwa na każdą jednostkę wytworzonej energii – tak jak kapitan Imrie i pan Stokes: zbożowej whisky w przypadku kapitana Imrie i rumu z Jamajki w przypadku pana Stokesa. I właśnie temu się teraz oddawali: tankowaniu odpowiedniego do swych potrzeb paliwa, czyniąc to z niewzruszonym zaabsorbowaniem kogoś, kto siedemdziesiątki nie dobił tylko przez zwykły przypadek.

Z tego, co widziałem, żadna z osób, które tak nielicznie zasiadły do obiadu przy dwóch długich, ustawionych wzdłuż osi statku stołach, nie kwapiła się do uzupełniania swoich rezerw kalorii. Nie bez powodu, jak nie bez powodu frekwencja przy obiedzie tego wieczoru okazała się tak niska. Przyczyną takiego stanu rzeczy nie były serwowane potrawy, które choć nie przysporzyłyby nie przespanych nocy kucharzom w Savoyu, smakowały zupełnie znośnie, ani też ewentualne estetyczne obiekcje, jakie w naszym ładunku artystów mogłyby wzbudzić urządzenie salonu jadalni, bowiem wedle wszelkich kryteriów można by je uznać za wręcz wspaniałe: symfonia tekowych mebli, dywanów i draperii w kolorze czerwonego wina. Bogiem a prawdą, nie było to pomieszczenie, jakiego można by się spodziewać na pierwszym lepszym trawlerze, ale też nie każdy pierwszy lepszy trawler po zakończeniu swej kariery rybackiej – co w przypadku „Róży Poranka” nastąpiło, jak wieść niosła, w roku 1956 – ma szczęście otrzymać nowy silnik i zostać przebudowany na luksusowy jacht. I to przez kogo? Przez potentata żeglugowego, którego morskim zamiłowaniom dorównywała jedynie jego ignorancja we wszystkich sprawach z

morzem związanych.

Problem leżał gdzie indziej – nie wewnątrz statku, ale poza jego burtami. Trzysta mil za kręgiem polarnym, gdzie mieliśmy wątpliwe szczęście w tej właśnie chwili się znajdować, warunki pogodowe bywają równie znakomite i dogodne dla żeglugi jak w wielu innych spokojnych zakątkach Ziemi. Aż po widnokrąg rozciąga się mlecznobiałe lustro morza przykryte to kopułą wyblakłego błękitu, to miriadami gwiazd, które wyglądają nie jak gwiazdy, lecz jak odpryski zamarznętego ognia na smoliście czarnym aksamicie nieba. Tyle tylko że zdarza się to niezwykle rzadko i zazwyczaj wyłącznie w owym krótkim okresie, który na tych szerokościach geograficznych uchodzi za lato. Tymczasem jeśli jakieś lato w ogóle tu kiedyś było, to nie pozostało po nim nawet wspomnienie. Zbliżał się koniec października, okres sztormów towarzyszących zrównaniu dnia z nocą i właśnie jeden z takich pysznych, typowych dla jesiennej równonocy sztormów chwycił nas w swoje objęcia. Moxen i Scot, nasi dwaj stewardzi, roztropnie zaciągnęli stopy w jadalni, żebyśmy nie mogli zobaczyć, jak bardzo był on typowy.

Wcale jednak nie musieliśmy go widzieć. Wystarczyło go słyszeć i czuć. Słyszeliśmy dziką pieśń żałobną wichru w olinowaniu, przejmujące, monotonne zawrodożenie, samotne, zagubione i upiorne jak lament czarownic. Słyszeliśmy w jednostajnych regularnych odstępach czasu tępe, wybuchowe plaśnięcia, kiedy statek rył pełnym dziobem w doliny stromych fal, ciągnących równo na wschód pod naporem porywistego wiatru znad bezmiaru czapy lodowej Grenlandii, odległej od nas o całe siedemset mil. Słyszeliśmy nieustanne zmiany tonu pracy silnika, gdy śruba podnosiła się niemal ponad powierzchnię wody, po czym na powrót zanurzała głęboko w morzu.

A i czuliśmy ten sztorm, co wprawiało obecnych w jeszcze większe przygnębienie niż samo jego słuchanie. W jednej chwili, kiedy dziób wyskakiwał w górę i wspinał się mozolnie na falę, głęboki przechył nas ostro w lewo lub w prawo – w zależności od tego, po której tonie stołów siedzieliśmy – a już w następnej kładło nas w stronę przeciwną, gdy z kolei rufa pokonywała grzbiet fali. Na domiar złego, te szeregi fal zaczynały powoli, lecz złowieszczo łamać się w wodną kipieli co gwałtownie uwydatniło skłonność „Róży Poranka” – właściwą wszystkim łodziom rybackim – do silnego bocznego kołysania w każdych warunkach pogodowych poza tymi, jakie panują na stawie przy młynie. Te dwa różne ruchy, boczny i wspinająco-opadający, próbowały się właśnie na siebie nakładać, dając w sumie rzeczywiście nieprzyjemny efekt korkociągu, fatalnie potęgujący niewygodę i złe samopoczucie pasażerów.

Ponieważ przeważającą część minionych ośmiu lat spędziłem na morzu, ja sam nie cierpiałem żadnych nieprzyjemnych dolegliwości, ale nie musiałbym być wcale lekarzem – którym wedle posiadanych dokumentów byłem – by rozpoznać symptomy *mal de mer* u współpasażerów. Wymuszony uśmiech, spojrzenie przemyślnie unikające wszystkiego, co przypomina jedzenie, mina zdradzająca najwyższe

skupienie na impulsach dochodzących z własnego żołądka – wszystkie te objawy były zupełnie wyraźne i było ich w bród. Choroba morska to przedmiot powszechnych żartów, dopóki samemu się na nią nie zapadnie; wtedy nagle przestaje być zabawna. Rozdzieliłem tyle pastylek przeciwko chorobie morskiej, że wszyscy powinni byli nabrać koloru dojrzałej cytryny, ale lek ten ma to do siebie, że tak pomaga na arktyczny sztorm jak aspiryna na cholera.

Rozejrzałem się po jadalni, zastanawiając się, na kogo pierwszego padnie. Uznałem, że na Antonia, wysokiego, smukłego czarusia, dość afektowanego, lecz dziwnie sympatycznego, o szopie zdumiewająco – zwłaszcza u rdzennego rzymianina – jasnych i kręconych loków. Jest stwierdzonym faktem, że kiedy mdłości sięgają zenitu, co stanowi ostatni etap kończący się nieodmiennie atakiem gwałtownych torsji, cera przybiera ów charakterystyczny odcień, który da się określić jedynie terminem „zielonkawy”. W przypadku Antonia był to kolor niedojrzałych jabłek czy likieru chartreuse, przedziwne zabarwienie, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem, złożyłem to jednak na karb jego przyrodzonej bladej karnacji. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwy symptom prawdziwej choroby. Kolejny wyjątkowo paskudny przechył i Antonio bez słowa przeprosin czy pożegnania zerwał się od stołu i rzucił biegiem – choć raczej była to tylko najwierniejsza imitacja biegu, jaką jego nogi szczura lądowego mogłyby wykonać na tym rozkołysanym pokładzie – w kierunku wyjścia.

Potęga sugestii jest tak wielka, że już kilka sekund później, przy następnym przechyle, trzech dalszych pasażerów, dwóch mężczyzn i jedna młoda kobieta, wstało pośpiesznie od stołu i opuściło jadalnię. Potęga sugestii wzmocnionej dalszą sugestią jest jeszcze większa. Po dwóch dalszych minutach, oprócz kapitana Imrie, pana Stokesa i mnie, w salonie znajdowali się już tylko pan Gerran i pan Heissman.

Zasiadający u szczytów swoich niemal zupełnie opuszczonych już stołów kapitan Imrie i pan Stokes powiedli wzrokiem za ostatnimi cierpiącymi, tak spieszenie porzucającymi jadalnię, spojrzeli po sobie z niejakim zdumieniem, potrząsnęli głowami i powrócili do uzupełniania zapasów paliwa. Kapitan Imrie, potężny mężczyzna o wspaniale patriarchalnym wyglądzie i intensywnie niebieskich oczach, na które jednak niewiele widział, miał grzywę gęstych, siwych włosów zaczesanych równo na ramiona, i jeszcze bardziej imponującą brodę, której mógłby mu pozazdrościć niejeden biblijny prorok, przesłaniającą mu całkowicie krawat. Jak zwykle, miał na sobie dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami i szerokimi białymi naszywkami komandora Royal Navy na rękawach – do których nie miał prawa – oraz zakrytymi częściowo mierzwą swej wspaniałej brody czterema rzędami baretek, do których miał jak najbardziej prawo. Nadal kręcąc ze zdumieniem głową, wyjął z pojemnika butelkę zbożowej whisky – dopiero tego wieczoru pojąłem, do czego służy ten stojak z kutego żelaza o wysokości dwóch stóp, przyśrubowany do podłogi jadalni tuż obok krzesła kapitana – nalał sobie prawie pełną szklaneczkę i dodał zupełnie symboliczną ilość wody, wypełniwszy ją w ten sposób po wrąbek. W tym

momencie „Róża Poranka” stanęła niemal dęba, wdrapując się na szczyt wyjątkowo wysokiej fali, zawisała na jej grzbiecie na, zda się, zupełnie nieprawdopodobnie długą chwilę, po czym runęła skosem w dół, by zaryć z dudniącym, przyprawiającym o dreszcz grozy łoskotem w nasadę następnego grzywacza. Kapitan Imrie nie uronił nawet kropelki; wbrew wszelkiemu świadectwu oczu można by pomyśleć, że siedzi w barze „Pod Brasem Grota” w Hull, gdzie go poznałem. Jednym haustem opróżnił szklaneczkę do połowy i sięgnął po fajkę. Kapitan Imrie już bardzo dawno do perfekcji opanował sztukę eleganckiego jada na morzu.

W przeciwieństwie do pana Gerrana, który z jawną irytacją wpatrywał się w swój kotlet barani, brukselkę, ziemniaki i kieliszek reńskiego, spoczywające zupełnie nie tam, gdzie powinny – to znaczy na serwetce, która z kolei spoczywała na jego kolanach. Sytuacja należała do kryzysowych – może w mikroskali, ale jednak – a o Ottonie Gerranie trudno by powiedzieć, że w obliczu jakiegokolwiek kryzysu grzeszy nadmiarem zaradności. Ale dla młodego Moxena, naszego stewarda, takie kryzysy były chlebem powszednim. Trzymając w pogotowiu własną serwetkę i plastikowy kubek, który wytrzasnął nie wiadomo skąd, zabrał się do usuwania szkód, gdy tymczasem pan Gerran nadal wpatrywał się w swe kolana z wyrazem osłupienia i obrzydzenia na twarzy.

W pozycji siedzącej Otto Gerran, poza osobliwie wąską i spiczastą czaszką, rozszerzającą się silnie na wysokości mięsistych szczęk, wyglądał, jakby go odlano w jednej z tych standardowych form, w jakich powstaje większość ludzkich rodzajów i odmian. Dopiero gdy wstawał, co czynił z wielkim trudem i tylko wtedy, gdy już zupełnie nie dało się tego uniknąć, ujawniała się cała absurdalność tego złudzenia. Otto Gerran miał pięć stóp, dwa cale wzrostu w butach na koturnie, ważył dwieście czterdzieści pięć funtów i gdyby nie wyjątkowo fatalnie wiszące na nim ubranie – odnosiło się wrażenie, że krawiec po prostu załamał ręce i dał za wygraną – byłby najprecyzyjniejszym odwzorowaniem idealnej kuli, jakie kiedykolwiek widziałem na oczy. Brakowało mu zupełnie szyi, miał długie, szczupłe, wrażliwe dłonie i najmniejsze stopy, jakie zdarzyło mi się widzieć u człowieka jego postury. Kiedy akcja ratownicza dobiegła końca, Gerran podniósł wzrok i spojrzał na kapitana Imrie. Twarz Gerrana miała barwę purpurowosiną z przewagą purpury. Nie była to oznaka wściekłości, bo Gerran nigdy nie objawiał gniewu i powszechnie uważano, że uczucie to jest mu zupełnie obce. Po prostu kolor sinopurpurowy związał się z nim tak nieodłącznie jak brzoskwiniowo-kremowy z mityczną angielską różą. Zawał serca winien był zapukać do jego drzwi już co najmniej piętnaście lat temu.

–Słowo daję, kapitanie Imrie, to prawdziwy koszmar! – Jak na człowieka tak obszernych kształtów Gerran miał zaskakująco piskliwy głos. To znaczy zaskakująco dla kogoś, kto nie jest lekarzem. – Czy naprawdę musimy płynąć prosto w ten okropny sztorm?

–Sztorm? – Kapitan Imrie opuścił szklaneczkę i spojrzał na Gerrana ze szczerym

zdumieniem. – Nazwał pan sztormem tę odrobinę wiatru? – Przeniósł wzrok w stronę stołu, przy którym siedziałem z panem Stokesem. – Siódemka, prawda, panie Stokes? No, może na krawędzi ósemki, czyż nie tak?

Pan Stokes dolał sobie rumu, odchylił się w krześle i na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego namysłu. Był w równym stopniu pozbawiony owłosienia na głowie i brodzie, jak kapitan Imrie hojnie nim obdarowany. Ze swoją lśniąca łysiną, ściągniętą, ogorzałą twarzą, pokrytą niezliczoną ilością zmarszczek i blizn, z długą, chudą, obwisłą szyją wyglądał tak samo staro i ponadwiekowo jak żółw z Galapagos. A i poruszał się z tą samą szybkością co one. Pan Stokes i kapitan Imrie razem rozpoczynali swą służbę na morzu – na trałowcach w niewiarygodnie zamierzchłych czasach pierwszej wojny światowej – i pozostali razem aż do chwili przejścia na emeryturę, przed dziesięcioma laty. Wieść niosła, że nikt nigdy nie słyszał, by choć raz zwrócili się do siebie inaczej niż „kapitanie Imrie” i „panie Stokes”. Ten i ów twierdził wprawdzie, że w rozmowach prywatnych nazywali siebie „szyprem” i „chiefem” (pan Stokes był starszym mechanikiem), ale nie dawano temu wiary jako bezpodstawnej i niegodnej uwagi plotce, tak bardzo było to niepodobne do żadnego z nich.

Minęła dłuższa chwila, nim pan Stokes wyrobił sobie wyważoną opinię i zdecydował się ją wygłosić.

–Siódemka – powiedział.

–Siódemka. – Kapitan Imrie przyjął ten werdykt bez cienia wahania, zupełnie jakby wysłuchał orzeczenia wyroczni, i nalał sobie następną szklaneczkę whisky. Podziękowałem wszystkim dobrym bogom za krzepiącą na duchu obecność na mostku Smithy’ego, naszego pierwszego oficera. – Widzi pan, panie Gerran? Zupełne nic. – Otto Gerran czepiający się właśnie kurczowo krawędzi stołu, który przechylił się pod kątem trzydziestu stopni, nie zdobył się na żadną odpowiedź. – Sztorm? Mój Boże, mój Boże... Pamiętam, jak po raz pierwszy poprowadziliśmy z panem Stokesem „Różę Poranka” na łowiska Wyspy Niedźwiedziej... a przed nami nikomu jeszcze nie udało się łowić na tych wodach i wrócić z pełnymi ładowniami... Było to chyba w roku dwudziestym ósmym...

–W dwudziestym dziewiątym – sprostował pan Stokes.

–W dwudziestym dziewiątym. – Kapitan Imrie skupił spojrzenie swych jasnoniebieskich oczu na Gerranie i Johannie Heissmanie, małym, chudym, bladym człowieczku o nieustannie zalęknionym wyrazie twarzy i rękach, które ani na chwilę nie zaznawały spokoju. – O, wtedy to był sztorm! Szliśmy razem z kutrem z Aberdeen, zapomniałem, jak się nazywał...

–„Srebrny Plon” – podpowiedział pan Stokes.

–O właśnie, „Srebrny Plon”. Awaria silnika przy dziesiątce. Dwie godziny leżał burta do fali, dwie godziny, nim udało nam się rzucić mu linę. Jego szyper... jego szyper...

–MacAndrew. John MacAndrew.

–Dziękuję, panie Stokes. Skręcił kark. Holowaliśmy jego statek – i jego samego z szyją w łubkach – całe trzydzieści godzin w tej dziesiątce, z tego cztery w jedenastce. To ci dopiero były fale! Mówię panu, góry, po prostu góry wody. Godzina za godziną dziób zwał się trzydzieści stóp w dół i ostatkiem sił wydzwigał z powrotem trzydzieści stóp w górę, wszyscy poza panem Stokesem i mną ledwie trzymali się na nogach i zwracali nawet własną ślinę... – Urwał, gdyż w tej samej chwili Heissman zerwał się od stołu i wybiegł z salonu. – Czy pański przyjaciel się zdenerwował, panie Gerran?

–A nie moglibyśmy stanąć w dryf, czy jak to wy tam nazywacie? – spytał błagalnym tonem Gerran. – Albo gdzieś się schronić?

–Schronić się? Przed czym tu się chronić? Och, pamiętam, jak...

–Pan Gerran i jego ekipa nie spędzili całego życia na morzu, panie kapitanie – odezwałem się.

–No tak, no tak... Stanąć? To przecież nie uspokoi fal. A najbliższym schronieniem jest Jan Mayen. Trzysta mil na zachód stąd, prosto pod wiatr.

–A nie moglibyśmy przed tym wiatrem uciec? To na pewno by coś dało.

–Owszem, to moglibyśmy zrobić. Bez wątpienia przestałoby tak kołysać. Skoro pan sobie tego życzy, panie Gerran. Wie pan przecież, jak brzmi kontrakt: kapitan będzie spełniał wszelkie polecenia, z wyjątkiem takich, które mogłyby narazić statek na fizyczne niebezpieczeństwo.

–Świetnie, świetnie, a zatem zmykajmy.

–Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że ta siódemka może podmuchać jeszcze dzień czy dwa?

Teraz, gdy kres obecnych cierpień znalazł się praktycznie o krok, pan Gerran pozwolił sobie na nikły uśmiech.

–Cóż, kapitanie, nie potrafimy jeszcze panować nad kapryсами Matki Natury.

–I że będziemy musieli skręcić prawie dziewięćdziesiąt stopni na wschód?

–W tej kwestii całkowicie zdaję się na pana, kapitanie.

–Odnoszę wrażenie, że jednak nie wszystko pan pojmuje. Będzie nas to kosztowało dwa, może nawet trzy dni. A jeśli uciekniemy na wschód, znajdziemy się na północ od Przylądka Północnego, gdzie pogoda jest zazwyczaj gorsza niż tutaj. Możemy zostać zmuszeni do schronienia się w Hammerfest. Możemy stracić cały tydzień, niewykluczone, że nawet więcej. Nie wiem, ile setek funtów dziennie płaci pan za wynajęcie tego statku z całą załogą, nie wiem, ile pan płaci swoim filmowcom i wszystkim tym aktorom i aktorkom – powiadają, że takie, co to się je nazywa gwiazdami, potrafią zrobić majątek dosłownie nie wiadomo kiedy... – Kapitan Imrie urwał i odepchnął się wraz z krzesłem od stołu. – Ale o czym ja tu mówię? Dla kogoś takiego jak pan pieniądze nie mają znaczenia. Zechce mi pan wybaczyć, udam się od razu na mostek.

–Chwileczkę!... – Gerran wydawał się wyraźnie zaniepokojony. Jego skąpstwo było legendarne w filmowym świecie i kapitan Imrie, według mnie niezupełnie niechcący, trafił w jego najczulszy punkt. – Jak to, tydzień? Mielibyśmy stracić cały tydzień?

–Jeśli dopisze nam szczęście. – Kapitan Imrie przysunął krzesło z powrotem do stołu i sięgnął po whisky.

–Ale ja i tak straciłem już całe trzy dni. Klify Orkad, morze, „Róża Poranka”... Nie nakręciliśmy nawet skrawka taśmy. – Dłonie Gerrana pozostawały niewidoczne, ale nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że wyłamuje sobie palce.

–A do tego pański reżyser i operatorzy od czterech dni rozłożeni na obie łopatki – dodał współczująco kapitan Imrie. Nie sposób było powiedzieć, czy pod maskującą mierzwą wąsów i brody krył się jakiś uśmiech, czy nie. – Kaprysy natury, panie Gerran.

–Trzy dni – powtórzył Gerran. – I może jeszcze tydzień. A budżet na plenery tylko na trzydzieści trzy dni, od Kirkwall do Kirkwall. – Otto Gerran był wyraźnie chory. Stan żołądka i budżet filmu musiały przyprawiać go o głębokie wewnętrzne rozdarcie. – Ile mamy jeszcze do Wyspy Niedźwiedziej, kapitanie Imrie?

–Jakieś trzysta mil, trochę w tę czy tamtą. Dwadzieścia osiem godzin, jeżeli uda nam się utrzymać pełną szybkość.

–Przecież chyba jest pan w stanie ją utrzymać?

–Nie chodzi mi o „Różę Poranka”, ona wszystkiemu da radę. Chodzi mi o pańskich ludzi, panie Gerran. To oczywiście nie przynosi im żadnej ujmę, ale coś mi się zdaje, że bardziej swojsko czuliby się na rowerach wodnych w jakimś parku.

–No tak, rzeczywiście, rzeczywiście. – Było jasne jak słońce, że dopiero w tej chwili dostrzegł ten aspekt sprawy. – Doktorze Marlowe, w czasie lat służby w marynarce musiał pan mieć wiele do czynienia z chorobą morską. – Urwał, a ponieważ nie

zaprzeczyłem, ciągnął dalej: – Ile czasu trzeba, żeby przyjść do siebie po takiej chorobie?

–Zależy, jak poważnie ktoś był chory. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale wydawało mi się, że to dość logiczna odpowiedź. – Jak długo i jak ciężko chorował. Po półtoragodzinnej przeprawie przez wzburzony Kanał wystarczy dziesięć minut i człowiek znów się czuje jak młody bóg. Ale po czterech dniach atlantyckiego sztormu mija czasami i drugie tyle, nim znów chwyci się równy wiatr w żagle.

–Ale od choroby morskiej chyba się nie umiera, prawda?

–Nigdy o niczym takim nie słyszałem. – Przy całym braku zdecydowania i ślamazarnej nieporadności, które skłaniały ludzi do naśmiewania się z niego – po kryjomu, oczywiście, i za plecami – Otto Gerran, co uświadomiłem sobie po raz pierwszy i z jakimś niejasnym uczuciem zaskoczenia, potrafił okazać konsekwencję graniczącą z bezwzględnością. Pewnie miało to jakiś związek z pieniędzmi. – To znaczy o wypadku zejścia od choroby morskiej jako takiej. Ale jeśli ktoś cierpi na schorzenia serca, silną astmę, bronchit, wrzody żołądka... No cóż, w takim wypadku owszem, może się to dla niego zakończyć fatalnie.

Milczał dłuższą chwilę, pewnie robiąc w pamięci błyskawiczny przegląd stanu zdrowia wszystkich członków obsady i ekipy zdjęciowej, a w końcu powiedział:

–Muszę przyznać, że niepokoję się trochę o naszych ludzi. Czy nie zechciałyby pan ich zbadać, ot, po prostu rzucić na nich okiem? Zdrowie jest o wiele ważniejsze od wszelkich zysków, jakie może nam przynieść ten przeklęty film. Zresztą, co to za zyski w dzisiejszych czasach! Jestem pewien, że jako lekarz całkowicie się pan ze mną zgodzi.

–Oczywiście – odparłem. – Już idę.

Otto nie bez powodu zyskał sobie reputację, jaką cieszył się już od dwudziestu lat i trudno było nie podziwiać totalnej i totalnie odrażającej hipokryzji, która na pewno miała w tym swój udział. Załatwił mnie w przepięknym stylu. Powiedziałem, że sama choroba morska nie może spowodować śmierci, więc gdybym teraz orzekł, że któryś z jego aktorów czy ktoś z ekipy zdjęciowej nie jest w stanie znieść dłużej ciągów, jakie braliśmy od morza, należałoby kategorycznie na dostarczenie dowodu, że cierpi on na schorzenie, które w połączeniu z chorobą morską może doprowadzić do zgonu. Po pierwsze, biorąc pod uwagę skąpą aparaturę badawczą na pokładzie, dowód taki byłoby mi niezwykle trudno dostarczyć. Po drugie, nawet gdybym go dostarczył, to i tak na nic by się nie zdał, bo jeszcze przed opuszczeniem Wielkiej Brytanii wszyscy członkowie ekipy zostali poddani surowym badaniom lekarskim na zlecenie towarzystwa ubezpieczeniowego, które wystawiało im polisy. Jeślibym natomiast wystawił wszystkim czysty konosament medyczny, Otto kazałby ciągnąć

pełną parą ku Wyspie Niedźwiedziej, nie bacząc na cierpienia „naszych ludzi”, o których tak się rzekomo martwił, a bez wątpienia oszczędzając w ten sposób wiele czasu i pieniędzy. A gdyby jakimś mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności któryś z nich nierozważnie zmarł na naszych rękach, no to przecież nikt inny, tylko ja sam dałem zielone światło i mnie czekała ława oskarżonych.

Dopiłem kieliszek pośledniej brandy, którą w tak nikłych ilościach wydzielał nam Otto, i wstałem od stołu.

–Będzie pan tutaj? – spytałem.

–Tak. Widzę, doktorze, że mogę liczyć na pańską współpracę. Jestem zobowiązany, bardzo zobowiązany.

–Firma się poleca – odparłem i wyszedłem.

Zaczynałem lubić Smithy’ego, choć właściwie nic o nim nie wiedziałem i praktycznie w ogóle go nie znałem. I nie pisane mi go było poznać, to znaczy bliżej. Nawiązanie znajomości przy okazji wykonywania przeze mnie obowiązków służbowych nie wchodziło raczej w rachubę: Smithy miał sześć stóp dwa cale wzrostu w kapciach, ważył z górą dwieście funtów i był chyba najmniej prawdopodobnym kandydatem na pacjenta, jakiego spotkałem w swym życiu.

–Tam, w apteczce pierwszej pomocy. – Wskazał głową szafkę w rogu skąpo oświetlonej sterówki. – Prywatny eliksir samego kapitana Imrie. Tylko na nagłe wypadki.

Wyjąłem jedną z kilku butelek, przypiętych sprężynowymi klamrami na podkładkach z filcu, i obejrzałem ją sobie pod lampą nad stołem nawigacyjnym. Moje uznanie dla Smithy’ego wzrosło o kilka kolejnych punktów. Na siedemdziesiątym którymś stopniu szerokości geograficznej północnej i pokładzie emerytowanego trawlera, choćby i przebudowanego, człowiek raczej nie spodziewa się znaleźć Otarda-Dupuy VSOP.

–Co zalicza się do nagłych wypadków?

–Atak pragnienia.

Nalałem trochę Otarda-Dupuy do małej szklaneczki i podałem ją Smithy’emu, który jednak potrząsnął głową i poprzestał na przyglądaniu się, jak próbuje koniaku, po czym z należyтым szacunkiem odejmuję szklankę od ust.

–Marnowanie tego na gaszenie pragnienia – powiedziałem – to zbrodnia przeciwko naturze. Kapitan Imrie nie wpadnie w zachwyt, kiedy tu wejdzie i ujrzy, że dobrałem się do jego zapasów na szczególną okazję.

–Kapitan Imrie jest człowiekiem, który żyje wedle niezłomnych zasad, najbardziej zaś niezłomną z niezłomnych jest ta, by nigdy nie pojawiać się na mostku między ósmą wieczorem a ósmą rano. Nocą zmieniamy się przy sterze z Oakleyem, to znaczy naszym bosmanem. Może mi pan wierzyć, że tak jest bezpieczniej dla wszystkich. Co pana sprowadza na mostek, doktorze, poza wrodzonym darem lokalizowania zapasów VSOP?

–Poczucie obowiązku. Nim zabiorę się do sprawdzania stanu zdrowia płatnych niewolników pana Gerrana, sprawdzam stan pogody. Pan Gerran obawia się, że jeśli pociągniemy dalej tym kursem, to przy tej pogodzie zaczną mu padać jak muchy. – Pogoda chyba się pogarszała, bo kołysanie „Róży Poranka”, zwłaszcza boczne, dawało się we znaki znacznie bardziej niż przedtem. To moje odczucie mogło wynikać z wysokości, na jakiej znajdował się mostek, ale chyba nie tylko.

–Pan Gerran powinien był zabrać ze sobą chiromantkę albo wróżkę, a pana zostawić w domu. – Niezwykle opanowany, wykształcony i ewidentnie inteligentny Smithy wydawał się zawsze lekko rozbawiony. – Co do pogody, prognoza z szóstej po południu była taka jak zwykle dla tych regionów: niejasna i mało zachęcająca. Nie mają tutaj zbyt wielu stacji meteorologicznych.

–A według pana?

–Lepiej nie będzie. – Przestał zawracać sobie głowę pogodą i uśmiechnął się. – Nie bardzo się nadaję do pogaduszek, ale komu one potrzebne przy Otardzie-Dupuy? Niech pan sobie klapnie tutaj na godzinkę, a potem powie panu Gerranowi, że wszyscy jego płatni niewolnicy, jak ich pan nazwał, balują na rufie.

–Przypuszczam, że pan Gerran jest z natury nieco podejrzliwy i lubi sobie to i owo sprawdzić. Ale jeśli mogę...

–Niech się pan nie krępuje.

Nalałem sobie jeszcze trochę koniaku i odstawiłem butelkę do szafki. Smithy, tak jak uprzedzał, nie był zbyt rozmowny, ale milczał dość towarzysko.

–Marynarka wojenna, prawda, doktorze? – odezwał się w końcu.

–Czas przeszły.

–I teraz to?

–Haniebny upadek. Dla pana nie?

–Kontra z trafieniem. – W półmroku sterówki zamajaczyły białe zęby, wyszczerzone w uśmiechu. – Błąd w sztuce lekarskiej, lewy handelek penicyliną z tubylcami czy po

prostu popijawa w czasie dyżuru?

–Nic tak czarownego. Określili to mianem niesubordynacji.

–Coś takiego, u mnie też. – Chwila milczenia. – A ten pański Gerran... Facet jest w porządku?

–Lekarze firmy ubezpieczeniowej twierdzą, że tak.

–Nie o to mi chodzi.

–Nie może pan ode mnie żądać, żebym się źle wyrażał o własnym pracodawcy. – Znow ten sam ledwie widoczny błysk białych zębów.

–To też już jakaś odpowiedź. Bo według mnie ten facet to chyba wariat, a może to obraźliwe określenie?

–Tylko dla psychiatrów. Ja z nimi nie rozmawiam. Mnie „wariat” zupełnie odpowiada. Ale chciałbym panu przypomnieć, że pan Gerran ma na swym koncie wybitne osiągnięcia.

–Jako wariat?

–To też. Ale także jako producent filmowy.

–Jaki producent wywoziłby swoją ekipę na Wyspę Niedźwiedzią tuż przed nadejściem zimy?

–Pan Gerran pragnie realizmu.

–Pan Gerran powinien kazać sobie przebadać głowę. Czy on ma choć cień pojęcia, jak tam jest o tej porze roku?

–Pan Gerran jest także marzycielem.

–Morze Barentsa to nie miejsce dla marzycieli. Nie mogę pojąć, jakim cudem tym Amerykanom udało się wysłać człowieka na Księżyc.

–Nasz przyjaciel, Otto, nie jest Amerykaninem. Pochodzi z Europy Środkowej. Gdyby potrzebował pan producentów lub handlarzy snów, to wiadomo, gdzie ich szukać – nad pięknym modrym Dunajem.

–Czyli tam, skąd pochodzą także najwięksi łajdacy i hochsztaplerzy Europy?

–Nie można mieć wszystkiego naraz.

–Zawędrował szmat drogi od tego swego Dunaju.

–Otto wyjechał w ogromnym pośpiechu, kiedy mnóstwo ludzi tak wyjeżdżało, to znaczy rok przed wybuchem wojny. Trafił do Ameryki – no bo gdzie indziej? – a tam do Hollywood – i znów: bo gdzie indziej? Może pan mówić o Ottonie, co panu ślina na język przyniesie – a obawiam się, że wielu to właśnie robi – ale nie może pan nie podziwiać jego żywotności. Zostawił w Wiedniu świetnie prosperującą wytwórnię filmową i wylądował w Kalifornii tak jak stał, w tym, co miał na grzbiecie.

–To wcale nie tak mało.

–To było dawno temu. Widziałem jego zdjęcia. Nie miał linii charta, ale na pewno ważył ze sto funtów mniej niż dziś. Tak czy inaczej, w ciągu zaledwie kilku lat Otto poważnie zaistniał w amerykańskim przemyśle filmowym kilkoma niestrawnymi, superpatriotycznymi produkcjami, które krytyków wprawiły w czarną rozpacz, a tłumy w ekstatyczne uniesienie, podobno głównie dzięki temu, że w odpowiednim momencie przerzucił się z antynazizmu na antykomunizm. W połowie lat pięćdziesiątych w przeczuciu, że kinematograficzna gwiazda Hollywood powoli gaśnie – może tego nie widać, ale Otto ma wbudowany radarowy system wczesnego ostrzegania – jego umiłowanie przybranej ojczyzny wyparowuje bez śladu i Otto, wraz z saldem konta bankowego, przenosi się do Londynu, gdzie kręci awangardowe filmy. Te krytyków wprawiają w ekstatyczne uniesienie, publiczność w czarną rozpacz, a samego Ottona wpędzają w kłopoty finansowe.

–Sporo pan wie na temat tego swego Ottona.

–Każdy, kto przeczytał pierwsze pięć stron prospektu jego najnowszego filmu, wie sporo na temat „tego swego Ottona”. Dam panu egzemplarz. Ani słowa o filmie, wszystko tylko o Ottonie. Oczywiście nie znajdzie pan tam takich określeń jak „niestrawny” czy „czarna rozpacz” i trzeba trochę poczytać między wierszami, ale to tam jest.

–Chętnie sobie przeczytam – odparł Smithy, a po chwili zastanowienia dodał: – Skoro jest niewypłacalny, to skąd wziął forszę? No, na ten film?

–Och, to pańskie cieplarniane życie! Producent filmowy wzbija się na szczyty swych możliwości finansowych właśnie wtedy, gdy komornicy koczują pod bramami studia – oczywiście wynajętego. Kto, kiedy banki zamykają mu kredyt, kiedy firmy ubezpieczeniowe stawiają ultimatum, wydaje w Savoyu najhuczniejszy bal roku? Nasz przyjaciel, słynny producent. To coś w rodzaju prawa natury. Pan niech lepiej trzyma się tych swoich statków, panie Smith – dodałem uprzejmie.

–Smithy – poprawił mnie odruchowo. – No, to kto finansuje pańskiego przyjaciela?

–Poprawka: pracodawcę. Nie mam pojęcia. Finanse Ottona to temat tabu.

–Ale przecież ktoś musi mu tę forszę dawać!

–Ktoś musi, fakt. – Odstawiłem szklaneczkę i wstałem. – Dzięki za gościnę.

–I to po tym, jak kilka jego kolejnych filmów zrobiło klapę? To nienormalne. A co najmniej podejrzane.

–Widzi pan, Smithy, świat filmu pełen jest nienormalnych i podejrzanych indywiduów. – Szczerze mówiąc, wcale nie wiedziałem, czy tak jest naprawdę, ale jeśli nasz ładunek pasażerów był reprezentatywną próbką całego przemysłu filmowego, to ta ekstrapolacja wydawała się zupełnie uzasadniona.

–A może po prostu wpadł Ottonowi w ręce temat, dzięki któremu przejdzie do historii i utnie wszystkie plotki na swój temat.

–Nie temat, tylko scenariusz. I tu mógł pan trafić w samo sedno. Rzecz w tym, że musiałyby pan porozmawiać o tym osobiście z panem Gerranem. Poza Heissmanem, który ten scenariusz napisał, jedynie Gerran widział go na oczy.

To bynajmniej nie zależało od wysokości sterówki. Kiedy stanąłem na drabince z prawej burty, po zawietrznej – na tych starych kutrach parowych nie było wewnętrznego przejścia łączącego mostek z pokładem – nie miałem cienia wątpliwości, że pogoda rzeczywiście się pogarsza, i to w szybkim tempie, co z pewnością musiało już dotrzeć do każdego, kto swego zainteresowania panującymi warunkami meteorologicznymi nie narażał na nieuczciwą konfrontację z Otardem-Dupuy. Nawet po tej stronie statku, jakoby bardziej zacisznej niż przeciwna, dojmująco zimny wiatr uderzył we mnie z taką siłą, że musiałem obiema rękami ucześcić się poręczy. A przy bocznych przechyłach „Róży Poranka”, gwałtownych, nierównych, dochodzących do pięćdziesięciu stopni – zupełnie paskudnych, ale w, swoim czasie służyłem na krążowniku, który przeleciał łukiem stustopniowym i wyszedł z tego cało – druga para rąk też by mi się przydała.

Nawet w najczarniejsze noce, a ta bezspornie do takich właśnie należała, na morzu nie jest kompletnie ciemno. Nawet jeśli nie da się precyzyjnie wskazać linii, gdzie morze styka się z niebem, to przesunąwszy wzrokiem poniżej lub powyżej przypuszczalnego położenia horyzontu można z całkowitą pewnością stwierdzić: to jest morze, a to niebo – bo morze jest zawsze ciemniejsze. Tej nocy nie sposób było coś takiego stwierdzić. I to nie dlatego, że gwałtownie rozkołysana „Róża Poranka” stanowiła bardzo niestabilny punkt obserwacyjny, ani nie dlatego, że ciągnące od wschodu wzburzone, poszarpane fale rozbełtały horyzont w coś zupełnie nieokreślonego. Powodem była mgła. Tej nocy po raz pierwszy powierzchnię morza zasnuła kurzawa marznących drobin wody – niezbyt jeszcze gęsta, ale wystarczająco, żeby ograniczyć widoczność do dwóch mil – to zdumiewające zjawisko spotykane w Norwegii, gdzie wiatr znad lodowców dociera nad ciepłe wody

fiordów, lub tutaj, gdzie ciepłe powietrze znad Atlantyku styka się z wodami Arktyki. Widać było tylko – i zupełnie mi to wystarczyło – że wiatr zdziera już grzbiety fal i roztrzaskuje je o przedni pokład „Róży Poranka”, skąd zmienione w białą lodową pianę z wściekłym sykiem spływają przez prawą burtę z powrotem do morza. Noc na kominek i ciepłe bambosze.

Skręciłem w stronę dziobu, ku drzwiom prowadzącym do pasażerskich kajut, i wpadłem na kogoś, kto stał pod drabinką, uczepiwszy się jej dla zachowania równowagi. Twarzy nie widziałem, bo zasłaniały ją targane wiatrem włosy, ale i nie było to potrzebne, gdyż tylko jedna osoba na pokładzie miała takie długie pszeniczne kosy, a mianowicie Mary droga. „Mary droga”, a nie Mary Droga. Mogąc wybierać spośród pasażerów „Róży Poranka” osobę, na którą chciałbym wpaść, zawsze wybrałbym sobie Mary drogą. Nadałem jej ten przydomek dla odróżnienia od sekretarki planu Gerrana, nazywanej Mary kochanie. Mary droga nazywała się właściwie Mary Stuart, ale to także nie było jej prawdziwe nazwisko. W metryce miała napisane Ilona Wiśniowiecka, uznała jednak roztropnie, że nie dopomogłoby jej to w zrobieniu kariery filmowej. Dlaczego przybrała szkockie nazwisko, trudno było odgadnąć. Może po prostu podobało jej się jego brzmienie.

–Mary droga – powiedziałem. – Na pokładzie, o tej porze, w taką noc? – Sięgnąłem ręką i dotknąłem jej policzka. Nam, lekarzom, uchodzą na sucho nawet morderstwa. Skórę miała lodowato zimną. – Z tym fanatycznym uwielbieniem świeżego powietrza łatwo przesadzić. Wchodzimy do środka. – Wziąłem ją pod ramię, stwierdzając bez zdziwienia, że cała dygoce, a ona zupełnie potulnie usłuchała.

Drzwi prowadziły bezpośrednio do saloniku dla pasażerów, który choć dość wąski, biegł przez całą szerokość statku. Jego drugi koniec zajmował barek z wbudowaną w ścianę szafką z przeszkloną żelazną kratą, gdzie trzymano trunki. Drzwiczki były stale zamknięte, a klucz od nich spoczywał w kieszeni Ottona Gerrana.

–Nie musi mnie pan wiązać i taszczyć jak skazańca, panie doktorze. – Z nawyku mówiła niskim, przyciszonym głosem. – Sama wiem, że co za dużo to niezdrowo, i miałam właśnie wrócić do środka.

–A po co pani tam w ogóle wychodziła?

–Przecież lekarz powinien to wiedzieć. – Dotknęła środkowego guzika swego czarnego skórzanego płaszcza, z czego wynioskowałem, że jej żołądek niezbyt przychylnie odnosi się do lunaparkowych wyczynów kolejki górskiej zwanej „Różą Poranka”. Zrozumiałem jednak także, że nawet gdyby morze było gładkie jak lustro, to i tak wyszłaby na ten mroźny wygwizdów. Nie rozmawiała zbyt wiele ze swymi współpasażerami ani oni z nią.

Odgarnęła splątane włosy i dopiero wtedy zobaczyłem, że jest bardzo blada, a

ienie pod jej orzechowymi oczami pogłębiały się z wyczerpania. Ze swymi ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi była bardzo piękna, taką wyrazistą, słowiańską urodą – była wprawdzie Łotyszką, ale wcale mi to nie przeszkadzało widzieć w niej Słowiankę – co przyznawano dość powszechnie, zawsze jednak z lekceważącym komentarzem, że na tym kończą się jej zalety. Jej ostatnie – i jedyne – dwa filmy uchodziły za knoty pierwszej wody. Małomówna, opanowana, zawsze trzymała się z rezerwą i zdążyłem już ją polubić, tworząc tym samotną, jednoosobową mniejszość.

–Lekarze nie są nieomylni – odparłem. – W każdym razie ten lekarz. – Obrzuciłem ją swoim najlepszym klinicznym spojrzeniem. – Co dziewczyna taka jak pani robi na końcu świata w pływającym muzeum?

–To osobiste pytanie – odparła po krótkim wahaniu.

–Łapiduchy są okropnie wścibskie: jak tam pani migrena?, a wrzód?, a zapalenie kaletki maziowej? Zupełnie nie znamy umiaru.

–Potrzebuję pieniędzy.

–To tak jak ja. – Uśmiechnąłem się do niej, a ponieważ nie odpowiedziała mi tym samym, zostawiłem ją i zszedłem na główny pokład.

Tu właśnie były pomieszczenia pasażerskie „Róży Poranka”, dwa rzędy kajut wzdłuż biegnącego od dziobu do rufy korytarza. Niegdyś znajdowały się w tym miejscu ładownie do przechowywania ryb i choć przy przebudowie statku wszystko dokładnie wyszorowano, wyparzone parą, okadzono i zdezynfekowano, w powietrzu nadal unosił się silny i odrażający fetor tranu dorszowego, który za długo trzymano na słońcu. Nawet w normalnych okolicznościach przyprawiał o mdłości; w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, trudno było liczyć, że pomoże on cierpiącemu w szybkim otrząśnięciu się ze skutków choroby morskiej. Zapukałem do pierwszych drzwi po prawej i wszedłem do środka.

Johann Heissman, zastygły na swej koi w horyzontalnym bezruchu, wyglądał jak skrzyżowanie odpoczywającego wojownika ze średniowiecznym biskupem pozującym do rzeźby nagrobnej, która w stosownym czasie ozdobi wieko jego sarkofagu. Z chudymi woskowożółtymi palcami splecionymi na zapadłej piersi, chudym woskowożółtym nosem wycelowanym w sufit i osobliwie przezroczytymi, opuszczonymi powiekami kojarzył się zwłaszcza z grobowcem. Skojarzenie to jednak musiało być zwodnicze, bo człowiek, który przeżył dwadzieścia lat w sowieckim obozie pracy na dalekiej Syberii, nie mówi *pas* z powodu zwykłej *mal de mer*.

–Jak się pan czuje, panie Heissman?

–Chryste Panie! – Otworzył wodniścieszare, podbiegłe krwią oczy, ale nie spojrzał na mnie, tylko jęknął i zamknął je z powrotem. – A jak mam się czuć?!

–Bardzo przepraszam, ale pan Gerran niepokoi się...

–Pan Gerran to niebezpieczny wariat. – Nie wziąłem tego za oznakę nagłej poprawy jego stanu fizycznego, ale bez dwóch zdań jego głos zabrzmiał teraz znacznie donośniej. – Czubek! Psychopata!

Choć prywatnie gotów byłem przyznać, że diagnoza Heissmana szła w odpowiednim kierunku, powstrzymałem się od komentarza, i to nie z powodu szacunku należnego swemu pracodawcy. Otto Gerran i Johann Heissman przyjaźnili się zbyt długo, żebym ryzykował wdzieranie się w delikatny obszar stosunków, które musiały ich łączyć. Z moich dociekań wynikało, że znali się od zawsze. Chodzili razem do jakiegoś nieokreślonego naddunajskiego gimnazjum przed ponad czterdziestu laty, tuż przed Anshlussem roku 1938 byli współwłaścicielami nieźle prosperującej wytwórni filmowej w Wiedniu. W tym punkcie czasu i przestrzeni ich drogi nagle się rozeszły, zdecydowanie i jak się podówczas wydawało, definitywnie, bo podczas gdy wrodzony instynkt pokierował ucieczką Gerrana w stronę Hollywood, Heissman zbiegł niefortunnie w zupełnie niewłaściwym kierunku i dopiero przed trzema laty, ku absolutnemu niedowierzaniu wszystkich, którzy go znali i od ponad ćwierci wieku uważali za zmarłego, wyłonił się ni stąd, ni zowąd z mroźnych otchłani Syberii. Odszukał Gerrana i ich przyjaźń z miejsca odżyła z tą samą siłą co niegdyś. Uważano powszechnie, że Gerran zna szczegóły straconych lat Heissmana, i jeśli rzeczywiście tak było, to znał je tylko on jeden, gdyż Heissman – co wydawało się zrozumiałe – nigdy nie rozmawiał na temat swojej przeszłości. O tych dwóch wiedziano na pewno tylko dwie rzeczy: że to Heissman, który miał na koncie kilkanaście przedwojennych scenariuszy filmowych, był motorem wyprawy do Arktyki, i że Gerran przyjął go na pełnoprawnego wspólnika w swojej firmie Olympus Productions. W świetle tego wszystkiego wypadało przezornie trzymać się na baczności i zachować komentarze do komentarzy Heissmana wyłącznie dla siebie.

–Jeśli pan sobie czegokolwiek życzy, panie Heissman...

–Nie życzę sobie niczego. – Uniósł ponownie przezroczyście powieki i tym razem spojrzał na mnie, czy raczej spiorunował wzrokiem. – Niech pan zachowa tę kurację dla tego kretyna Gerrana.

–Jaką kurację?

–Lobotomię. – Wyczerpany zamknął oczy i znów przeistoczył się w średniowiecznego biskupa, więc zostawiłem go samemu sobie i zapukałem do następnych drzwi.

Kabinę tę zajmowało dwóch mężczyzn, jeden wyraźnie powalony morską chorobą, drugi równie wyraźnie nie cierpiący na nią w najmniejszym stopniu. Neal Divine, reżyser filmu, pograżył się w rezygnacji, z jaką oczekuje się śmierci pukającej już do

drzwi, rezygnacji uderzająco podobnej do tej, której z takim upodobaniem poddawał się Heissman, i choć śmierć miała do jego drzwi jeszcze spory kawał drogi, bez wątpienia był bardzo chory. Spojrzał na mnie, zmusił się do bladego uśmiechu ni to przeprosin, ni to powitania, po czym na powrót odwrócił wzrok. Żal mi się go zrobiło, kiedy tak tam leżał, ale prawdę mówiąc, było mi go żal od pierwszej chwili, gdy zjawił się na pokładzie „Róży Poranka”. Chudy, o zapadniętych policzkach, bez reszty oddany swemu rzemiosłu, nerwowy, nieustannie miotany rozterkami w obliczu przyprawiającej o katusze konieczności podejmowania decyzji, chodził i mówił cicho, jakby w ciągłym strachu, że go usłyszą bogowie. Mogła to być maniera zupełnie nieistotna, ale skłonny byłem przypuszczać, że tak nie jest. Bez wątpienia żył w ciągłym strachu przed Gerranem, który nie zadawał sobie najmniejszego trudu, żeby ukryć fakt, iż w tym samym stopniu, w jakim podziwia go jako artystę, gardzi nim jako człowiekiem. Dlaczego Gerran, facet bezdyskusyjnie inteligentny, zachowuje się w ten sposób, nie miałem pojęcia. Może po prostu należał do tej wcale niemałej grupy ludzi, którzy żywią tak bezgraniczną wrogość do ludzkości jako takiej, że nie tracą żadnej okazji, by wyładować ją na słabych, uległych lub tych, co nie mogą odplacić im tą samą monetą. A cała sprawa miała podłoże osobiste. Za mało wiedziałem i o nich, i o ich przeszłości, żeby móc formułować jakikolwiek sensowny sąd w tej sprawie.

–O, sam uzdrowiacz dobrodziej – rozległ się za moimi plecami ochryply głos. Odwróciłem się powoli i spojrzałem na odzianą w piżamę postać siedzącą na koi. Lewą ręką trzymała się mocno pasa na ścianie, a w prawej równie mocno ścisnęła szyjkę butelki szkockiej, w trzech czwartych pustej.

–To w górę, to w dół rzucają statkiem rozszalałe fale, lecz naszemu dobremu pasterzowi nic nie może przeszkodzić w pełnieniu misji miłosierdzia wśród swego powalonego mdłościami stada. Czy chłapnie pan sobie ze mną poobiednią kapkę, dobry człowieku?

–Później, Lonnie, później. – Lonnie Gilbert wiedział i ja wiedziałem i obaj wiedzieliśmy, że ten drugi wie, że później będzie już za późno, bo trzy cale whisky w rękach Lonniego miały tyle szans przetrwania, co ostatnia beza na herbatce u pastora, ale konwenansom stało się zadość, honorów domu dopełniono. – Nie było pana na obiedzie, więc pomyślałem...

–Obiedzie? – Umilkł, wsłuchał się w modulację i intonację wypowiedzianego słowa, doszedł do wniosku, że zawarł w nim zbyt mały ładunek pogardy, i powtórzył je jeszcze raz: – Obiedzie?! Nie chodzi mi o tę breję, którą pewne osoby pozbawione mojego wyrafinowanego gustu uważają za w pełni jadalną, chodzi o porę, w której ją podają. Zupełne barbarzyństwo. Nawet wódz Hunów, Attyla...

–Chce pan powiedzieć, że nie zdąży pan jeszcze wypić aperitif, a tu już po deserze?

–Właśnie. No i co robić?

Zadane przez podstarzałego kierownika produkcji pytanie to miało charakter czysto retoryczny. Pomimo swych niemowlęco błękitnych oczu i bezbłędnej dykcji od momentu wejścia na pokład „Róży Poranka” Lonnie nawet przez chwilę nie był trzeźwy; powszechnie przypuszczano, że nie był trzeźwy od lat. Nikogo – a już najmniej samego Lonniego – nic to nie obchodziło, nie dlatego jednakże, by on sam nikogo nie obchodził. Troszczyli się o niego prawie wszyscy, bardziej lub mniej, w zależności od charakteru. Starzejący się już Lonnie całe życie oddał filmom. Miał rzadki talent, któremu jednak nie dane było się rozwinąć, gdyż ciążyło na nim przekleństwo – czy też błogosławieństwo – braku energii i bezwzględności potrzebnych do przebiccia się na szczyt. Ludzie zaś, z przeróżnych, nie zawsze chwalebnych przyczyn, lubią hołubić tych, którym się nie powiodło; a do tego, jak wieść niosła, Lonnie nigdy nie wyrażał się źle o swych bliźnich, co także przyczyniało się do pogłębienia afektu, jakim darzyli go wszyscy poza przedstawicielami mniejszości z nawyku mówiącej źle zawsze i o wszystkich.

–To problem, którego wolałbym nie musieć rozwiązywać – odparłem. – Jak pan się czuje?

–Ja? – Odchylił łysą głowę czterdzieści pięć stopni do tyłu, przytknął butelkę do ust, opuścił ją i otarł z siwej brody kilka kropli. – Nigdy w życiu nie byłem chory. Czy słyszał kto kiedy, żeby grzyb w marynacie zaczął się psuć? – Przekrzywił głowę w bok. – Oho!

–Co oho? – Nasłuchiwał czegoś, tyle widziałem, ale ni diabła nie mogłem się zorientować czego, bo wszystko zagłuszał łoskot uderzeń dziobu o fale i metaliczne, wibrujące dudnienie wiekowego kadłuba towarzyszące każdemu skokowi „Róży Poranka” na łeb na szyję w dół.

–„Z kraju Elfów tchnienie zaklętych rogów tak się żali...”[*A. Tennyson „Księżniczka”, tłum. Z. Kubiaka.]” – powiedział Lonnie. – „Słysz! Oto trąby anielskich heroldów!”* [*Ch. Vosley „Christmas Hymn”, tłum J. Szeniawskiego.]

„Słyszałem” i tym razem do mnie dotarło. Od chwili wejścia na pokład „Róży Poranka” kilkakroć z wciąż rosnącym przerażeniem słyszałem ten zgrzytliwy kakofoniczny jazgot, który jeśli coś wieścił, to chyba tylko nadejście dnia sądu ostatecznego. Trzem sprawcom tego piekielno – obłąkańczego zgiełku, młodym asystentom Josha Hendriksa, dźwiękowca ekipy, słoń musiał z lekka musnąć trąbą ucho, a ich klasyczną edukację muzyczną z trudem dałoby się uznać za kompletną, gdyż jeśli nawet mieli jakieś pojęcie o zapisie nutowym, to raczej bardzo blade. John, Lukę i Mark byli odlani według tej samej nowoczesnej matrycy, nosili spływające do ramion włosy, ich odzienie skłaniało do podejrzeń, że zrobili skok na pralnię jakiegoś indyjskiego guru. Cały wolny czas, to znaczy dzień i noc, spędzali w dziobowej

światlicy z gitarą, perkusją, ksylofonem i aparaturą nagrywającą, gdzie odbywali próby szykując się na nadejście wielkiego dnia, gdy podbiją wreszcie świat muzyki pop i zabłysną w nim pod nazwą – zupełnie moim zdaniem trafną – „Trzech Apostołów”.

–W taką noc mogliby chyba oszczędzić swoich współpasażerów – mruknąłem.

–Nie docenia pan naszego nieśmiertelnego tria, drogi chłopcze. Można być najbardziej wstrząsającym ze wszystkich żyjących muzyków, a jednocześnie mieć szczerzłote serce. W nadziei, że ulży to naszym cierpieniom, postanowili dać występ i zaprosili wszystkich pasażerów. – Za drzwiami kajuty przetoczyło się echo ochryplego wycia, przez które przebijał się rozdzierający wrzask jakiegoś torturowanego zwierzęcia. Lonnie przymknął oczy. – Koncert się chyba właśnie rozpoczął.

–Szczerze mówiąc, trudno znaleźć błąd w ich rozumowaniu – powiedziałem. – Arktyczny sztorm wydaje się przy tym słonecznym popołudniem na Tamizie.

–Naprawdę ich pan krzywdzi. – Lonnie obniżył poziom trunku w butelce o kolejny cal i opadł na koję, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. – Niech pan tam idzie i sam się przekona.

Poszedłem więc i przekonałem się, że rzeczywiście ich krzywdziłem. „Trzej Apostołowie” opleceni gęstwą mikrofonów, wzmacniaczy, głośników i niepojętego mnóstwa innego sprzętu elektronicznego, bez którego żaden współczesny trubadur nie zechce i co ważniejsze, nie jest w stanie wystąpić, podrygiwali na niskiej scenie w narożniku światlicy. Z podziwu godną łatwością zachowując równowagę, w czym pomagały im chyba konwulsyjne łamańce i obroty ciał, tak nieodłącznie związane z ich sztuką jak te elektroniczne protezy, zupełnie nieźle trafiali w rytm kołysania „Róży Poranka”. Odziani dość tradycyjnie, w dżinsy i wzorzyste jaskrawe kaftany, pochyleni nad mikrofonami w natchnionym zapamiętaniu trzech młodzi pomocnicy dźwiękowca odrzucili wszelkie zahamowania i wspięli się na szczyt swego kunsztu, a z wyrazu ekstazy dostrzegalnego na ich twarzach, w każdym momencie zakrytych w osiemdziesięciu procentach dziko rozedrganymi grzywami włosów, należało się domyślać, że w przekonaniu „Apostołów” ich kunszt graniczy z najwyższym artyzmem. Zastanowiłem się przelotnie, jak wyglądałoby aniołowie z zatyczkami w uszach, po czym przeniósłem uwagę na publiczność.

Słuchaczy było razem piętnastu: dziesięciu członków ekipy filmowej i pięciu aktorów. Równo tuzin z nich miał się dość kiepsko, ale ich cierpienia trzymała w ryzach fascynacja – niewiele jednak mająca wspólnego z ekstazą – występem „Trzech Apostołów”, którzy wydobyli właśnie z instrumentów muzyczne *crescendo*, wykonując jednocześnie ruchy przypominające zaawansowaną formę tańca świętego Wita. Poczulem na ramieniu dotknięcie czyjeś dłoni, spojrzałem w bok i zobaczyłem

Charlesa Conrada.

Gerran obsadził go w głównej męskiej roli w swoim filmie. Conrad miał trzydzieści lat, nie zdobył jeszcze pozycji gwiazdora, ale osiągnął już liczące się międzynarodowe uznanie. Był pogodnym mężczyzną, przystojnym nieokrzesaną urodą, z grzywą gęstych ciemnych włosów opadających mu nieustannie na oczy; miał wręcz niewiarygodnie niebieskie oczy i olśniewająco białe zęby – prawdziwe i własne tak jak nazwisko – które każdego dentystę mogły wprawić w zachwyt albo w czarną rozpacz, w zależności od tego, co nim powodowało: estetyczne czy ekonomiczne aspekty wykonywanego zawodu. Charles Conrad zawsze do wszystkich odnosił się przyjaźnie, uprzejmie, nawet opiekuńczo i nie było wiadomo, czy wynika to z jego natury, czy z wyrachowania. Zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył mi ją do ucha i wskazał ruchem głowy na „Apostołów”.

–Czy w pańskim kontrakcie wyszczególniono włosiennicę?

–Nie, a co? W pańskim ją wyszczególniono?

–Solidarność klasy robotniczej. – Uśmiechnął się, spoglądając na mnie z dziwnie badawczym błyskiem w oku. – Porzucił pan obóz miłośników opery?

–Nigdy się w nim nie okopywałem. A poza tym zawsze powtarzam swoim pacjentom, że zmiana robi równie dobrze jak odpoczynek. – Muzyka urwała się nagle, więc ściszyłem głos o jakieś pięćdziesiąt decybeli. – Choć zwracam panu uwagę, że taka zmiana to już lekka przesada. Prawdę mówiąc, jestem na służbie. Pan Gerran trochę się o was wszystkich niepokoi.

–Chciałby, żeby jego stado dotarło do rzeźni w przyzwoitej kondycji?

–No cóż, przypuszczam, że stanowicie dla niego wcale pokaźną inwestycję.

–Inwestycję?! Ha! Czy pan wie, że ten kuty na cztery nogi kutwa nie tylko najął nas za cenę z licytacji pogorzelniska, ale w dodatku nie zapłaci nam ani pensa aż do zakończenia zdjęć?

–Nie, tego nie wiedziałem. – Umilkłem na chwilę. – Żyjemy w demokratycznym, wolnym kraju, panie Conrad. Nikt was nie zmusza do sprzedawania się na targu niewolników.

–Co pan powie! Czy pan w ogóle ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje w przemyśle filmowym?

–Blade.

–Najwyraźniej. Otóż panuje w nim największy kryzys w historii. Osiemdziesiąt

procent techników i aktorów pozostaje bez pracy. Lepiej pracować za grosze, niż umrzeć z głodu. – Zachmurzył się, ale zaraz jego wrodzone pogodne usposobienie wzięło górę. – Niech pan powie Gerranowi, że jego podpora i ostoja, niespożyty odtwórca głównej męskiej roli, Charles Conrad, żyje i ma się dobrze. Zwracam pańską uwagę, że dobrze, a nie – świetnie. Żeby mieć się świetnie, musiałbym na własne oczy zobaczyć, jak ta rozeschnięta beka po piwie wypada za burtę.

–Powtórzę mu wszystko słowo w słowo. – Rozejrzałem się po sali. „Trzej Apostołowie” zrobili sobie – łaska boska – przerwę i przepłukiwali gardła imbirowym piwem, choć wyraźnie mieliby chętkę na coś mocniejszego. – To stadko dotrze na targ – powiedziałem do Conrada.

–Błyskawiczna diagnoza masowa?

–Raczej doświadczenie. Oszczędza czasu. Kogo brakuje?

–Hm... – Rozejrzał się. – Heissmana...

–Już się z nim widziałem. I z Nealem, Divinem, i z Lonniem, i z Mary Stuart. Zresztą jej nie spodziewałbym się tu zastać.

–Piękna jest i wyniosła ta nasza młoda Słowianka.

–Podpisuję się pod tym, ale tylko w połowie. Nie trzeba być zaraz wyniosłym, żeby trzymać się z dala od ludzi.

–Ja też ją lubię. – Zerknąłem na niego spod oka. Do tej pory rozmawialiśmy tylko dwa razy, zupełnie przelotnie. Widać było, że mówi poważnie. Westchnął ciężko. – Szkoda, że to nie ona jest moją partnerką zamiast naszej firmowej Maty Hari.

–Chyba nie ma pan na myśli uroczej panny Haynes?

–Mam – odparł ponuro. – Kobiety fatalne grają mi na nerwach. Zauważył pan zapewne, że brak jej wśród obecnych. Założę się, że leży w łóżku z tymi swymi dwoma kłapouchymi kundlami, i cała trójka ma psychodeliczne wizje od wążania soli trzeźwiących.

–Kogo jeszcze brakuje?

–Antonia. – Na jego twarzy znów zagościł uśmiech. – Według Hrabiego, który dzieli z nim kabinę, Antonio jest *in extremis* i pewnie nie doczeka świtania.

–Rzeczywiście opuścił jadalnię w jakimś pośpiechu. – Zostawiłem Conrada i przysiadłem się do stolika Hrabiego, mężczyzny o szczupłej, orlej twarzy, cieniutkim czarnym wąsiku, prostych, czarnych brwiach i siwiejących włosach, zaczesanych od

samego czoła gładko do tyłu. Znalazłem go w kondycji lepszej niż znośna. Trzymał w ręku ogromną porcję brandy, a ja bez pytania wiedziałem, że musi to być najlepszy koniak, jaki można było zdobyć, albowiem Hrabia cieszył się reputacją wybitnego konesera wszystkiego co dobre, od blondynek poczynając, a na kawiorze kończąc, stawiającego sobie dokładnie te same perfekcyjne wymagania w pogoni za rozkoszami życia, co przy wykonywaniu swego zawodu. Być może właśnie dzięki temu doszedł do swej obecnej pozycji najlepszego kamerzysty filmowego w kraju, a zapewne i w całej Europie. Bez pytania także wiedziałem, skąd ten koniak pochodzi. Wieść niosła, że Hrabia zna Gerrana od niepamiętnych czasów, a w każdym razie dość długo, by wolno mu było zabierać ze sobą własny zapas trunków na każde safari, na które wyprawiał się Gerran. Hrabia Tadeusz Leszczyński – nigdy nie zwracano się do niego po imieniu i nazwisku, bo nikt nie potrafił tego wymówić – posiadał ogromną wiedzę o życiu, od kiedy w pośpiechu i na zawsze opuścił swe rozległe polskie włości w połowie września 1939 roku.

–Dobry wieczór, panie hrabio – powiedziałem. – Pana przynajmniej znajduję w zdrowiu.

–Tadeusz dla znajomych. Z przyjemnością wyznam, że w kwitnącym. Stosuję odpowiedni środek profilaktyczny. – Dotknął prawie niezauważalnego wybrzuszenia marynarki. – Czy zechce pan wziąć udział w tej kuracji? Te wasze penicyliny i aureomycyny to zwykle dekokty wieźm dla naiwnych.

–Niestety, robię obchód. Pan Gerran chce wiedzieć, jak bardzo ta pogoda daje się we znaki jego ludziom.

–Coś takiego! A sam Otto dobrze ją znosi?

–Nie najgorzej.

–Jednak trudno o pełnię szczęścia.

–Conrad mówi, że pańskiemu współlokatorowi, Antoniowi, przydałaby się wizyta lekarza.

–Antoniowi przydałby się knebel, kaftan bezpieczeństwa i niańka, i to w tej właśnie kolejności. Tarza się po koi, zapaskudził całą podłogę i jęczy jak łamany kołem heretyk. – Hrabia zmarszczył grymaśnie nos. – To nieznośne, zupełnie nieznośne.

–Mogę sobie wyobrazić.

–Jako człowiek niezwyklej wrażliwości uczuć musi mnie pan rozumieć.

–Oczywiście.

–Po prostu nie byłem w stanie tam wytrzymać.

–Jasne. Zjrzę do niego. – Odsunąłem krzesło na całą długość zabezpieczającego je łańcucha i w tej samej chwili zobaczyłem, że obok mnie siada Michael Stryker. Stryker, jeden ze współników Gerrana w Olympus Productions, łączył dwie funkcje, zwykle zupełnie odrębne: scenografa i szefa budowy dekoracji; Otto Gerran nigdy nie tracił okazji zaoszczędzenia paru funtów. Był wysokim, bezspornie przystojnym brunetem, nosił starannie przystrzyżony wąsik i gdyby nie długie, modnie zmierzwione włosy, zakrywające mniej więcej dziewięćdziesiąt procent jedwabnego swetra polo, który sobie upodobał, łatwo można by go wziąć za amanta filmowego z połowy lat trzydziestych. Sprawiał wrażenie twardego, był bezdyskusyjnie cyniczny i, z tego co słyszałem, całkowicie amoralny. Wyróżniał się także z jeszcze jednego powodu, choć trudno by to uznać za powód do chwały, był mianowicie zięciem Ottona Gerrana.

–Rzadko widzimy pana na pokładzie o tak późnej porze – zagaił, wyjął długiego czarnego rosyjskiego papierosa, wcisnął go do onyksowej cygarniczki ze starannością i precyzją mechanika montującego popychacze w silniku rolls-royce’a i podniósł ją do światła, żeby sprawdzić rezultat. – Miło z pańskiej strony, że zszedł pan do mas, wykazał ducha koleżeńskiej solidarności i tak dalej. – Zapalił papierosa, wydmuchnął ponad stołem kłęb gryzącego dymu i zmierzył mnie taksującym spojrzeniem. – Po namyśle dochodzę do wniosku, że to jednak nie to. Pan nie należy do osób dających się powodować uczuciom takim jak duch koleżeńskości. My bardziej lub mniej musimy, pan nie. Pan pewnie nawet by tego nie umiał. Jest pan na to zbyt chłodny, zbyt kliniczny, ma pan w sobie za dużo rezerwy, za silną żądzę obserwacji i zanadto jest pan samotnikiem. Zgadza się?

–Zupełnie przyzwoita charakterystyka każdego lekarza.

–Pan tu służbowo, prawda?

–Tak jakby.

–Dam głowę, że przysłał pana ten stary cap.

–Przysłał mnie pan Gerran. – Stawało się coraz oczywistsze, że najbliżsi współpracownicy Ottona Gerrana raczej nie skoczą sobie do oczu o prawo dostąpienia zaszczytu zgłoszenia jego kandydatury do Half Fame.

–Właśnie tego starego capa miałem na myśli. – Stryker spojrział w zamyśleniu na Hrabiego. – Ta troskliwość ze strony naszego Ottona jest zastanawiająca, nie sądzisz, Tadeuszu? To zupełnie nie w jego zwyczaju. Ciekawe, co się za tym kryje?

Hrabia wyjął cyzelowaną, srebrną piersiówkę, nalał sobie następną solidną porcję koniaku, uśmiechnął się, ale nic nie odrzekł. Ja także zachowałem milczenie,

ponieważ sądziłem, że znam odpowiedź na to pytanie. Nawet później, spoglądając wstecz, nie winiłem się za to, bo swój wniosek wyciągnąłem na podstawie wszystkich dostępnych mi w owym czasie faktów. – Nie widzę tu panny Haynes – zwróciłem się po chwili do Strykera. – Czy ona źle się czuje?

–Niestety, chyba kiepski z niej żeglarz. Ciężko to odchorowuje, ale co tu można poradzić? Błagała o środki uspokajające albo nasenne i męczyła mnie, żebym posłał po pana, ale oczywiście musiałem powiedzieć nie.

–Dlaczego?

–Drogi panie, od chwili kiedy znaleźliśmy się na pokładzie tej piekielnej łajby, ona jedzie praktycznie na samych lekach. – Ma chłop szczęście, pomyślałem, że kapitan Imrie i pan Stokes nie siedzą przy tym stoliku. – Najpierw łyka własne tabletki na chorobę morską, potem te, które pan nam wydzielił, przegryza je czymś na pobudzenie, a na deser bierze barbiturany. Sam pan wie, co by się stało, gdyby do tego wszystkiego zaczęła jeszcze zażywać środki uspokajające albo jakieś inne leki.

–Nie, nie wiem. Może pan mi to powie.

–Słucham?

–Czy ona pije? To znaczy dużo?

–Czy pije? Nie, nawet nie tyka alkoholu.

–Dlaczego szewc nie może pilnować swojego kopyta? – Westchnąłem ciężko. – Ja nie biorę się do waszych filmów, wy nie bierzcie się do leczenia. Każdy student pierwszego roku medycyny powie panu, że... Zresztą mniejsza z tym. Czy ona będzie wiedziała, jakie tabletki dziś zażyła i ile? W końcu nie mogła ich połknąć znowu aż tak wiele, bo padłaby już bez czucia.

–Przypuszczam, że będzie.

–Za piętnaście minut smacznie zaśnie – powiedziałem, odsuwając się na krześle od stołu.

–Jest pan pewien? To znaczy...

–Gdzie jest jej kabina?

–Pierwsza po prawej w korytarzu.

–A pańska? – spytałem Hrabiego.

–Pierwsza po lewej.

Skinąłem głową, wstałem, opuściłem świetlicę, zapukałem do pierwszych drzwi po prawej i na ledwie słyszalną odpowiedź wszedłem do środka. Judith Haynes siedziała w łóżku wsparta na poduszkach, a po obu jej stronach – tak jak to przewidywał Conrad – leżały psy, dwa bardzo piękne i pięknie utrzymane cocker spaniele. Nie wyczułem natomiast nawet śladu zapachu soli trzeźwiących. Na mój widok zatrzepotała pięknymi rzęsami i posłała mi nikły uśmiech, drżący, a jednocześnie odważny. Nogi się pode mną nie ugięły, serce nie wyrwało mi się z piersi.

–To bardzo miło z pańskiej strony, doktorze, że zechciał mnie pan odwiedzić. – Miała ten rodzaj gęstego jak ciemny miód głosu, który w bliskim, bezpośrednim kontakcie wywierał dokładnie taki sam efekt, co w kinie przy wygaszonych światłach. Ubrana była w różową pikowaną podomkę, kłócącą się zgrzytliwie z kolorem jej włosów, a na szyi zawiązała zieloną szyfonową apaszkę, która wcale nieźle do niego pasowała. Jej twarz była pokryta alabastrową bladością. – Michael powiedział, że pan nie jest w stanie mi pomóc.

–Panem Strykerem kierowała przesadna ostrożność. – Usiadłem na brzegu łóżka i ująłem przegub jej dłoni. Cocker spaniel, ten bliżej mnie, zawarczał gardłowo i obnażył kły. – Jeśli ten pies mnie ugryzie, zatłukę go jak psa.

–Rufus nie skrzywdziłby nawet muchy, prawda, kochanie? – Nie o muchy się martwiłem, ale zachowałem milczenie, a ona ciągnęła ze smutnym uśmiechem: – Czy pan jest uczulony na psy, doktorze Marlowe?

–Jestem uczulony na pokąsanie.

Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. O Judith Haynes wiedziałem tylko to, co słyszałem z drugiej ręki, ponieważ zaś ta druga ręka należała wyłącznie do jej kolegów po fachu, mocno powątpiewałem w większość uzyskanych informacji. Zdążyłem już się przekonać, że w filmowym światku tylko jedno jest pewne: podgryzanie się, hipokryzja, dwulicowość, insynuacje i niszczenie osobowości stanowią tak integralną część wszystkich prowadzonych w nim rozmów, że po prostu nie sposób odgadnąć, gdzie kończy się prawda, a zaczyna fałsz. Bardzo szybko odkryłem, że jedyną bezpieczną wskazówką jest przyjęcie założenia, że prawda kończy się zaraz po pierwszym słowie.

Panna Haynes utrzymywała podobno, że ma lat dwadzieścia cztery, i wedle doskonale poinformowanych źródeł utrzymywała tak już od lat czternastu. To tłumaczyło, mówiono półgębkiem, jej upodobanie do owijania szyi szyfonowymi apaszkami, bo tam właśnie ujawniały się te brakujące lata; a przecież równie dobrze mogła po prostu lubić szyfonowe apaszki. Z tą samą pewnością twierdzono, że była skończoną jędzą i sekutnicą, a jej jedynej zalety upatrywano w absolutnym oddaniu dwóm cocker spanielom, lecz nawet temu dość dwuznacznemu komplementowi towarzyszyło zwykle zastrzeżenie, że jako istota ludzka musiała przecież coś lub

kogoś kochać, musiała mieć coś lub kogoś, kto odwzajemniałby jej uczucie. Mówiono, że próbowała z kotami, ale nic z tego nie wyszło; najwyraźniej koty nie odwzajemniały jej miłości. Jedno wszakże nie podlegało żadnej dyskusji. Powszechnie godzono się, że wysoka, szczupła panna Haynes, ze swymi wspaniałymi tycjanowskiej barwy włosami i klasyczną urodą greckich rzeźb, nie potrafi zagrać nawet kołka w płocie. Mimo to jej nazwisko przyciągało tłumy; kombinacja pełnej zadumy królewskiej miny stanowiącej jej znak firmowy i kontrastujące z nią sensacje na temat prywatnego życia robiły swoje. Fakt, iż była córką Ottona Gerrana, którym wedle krążących plotek gardziła, żoną Michaela Strykera, którego podobno nienawidziła, i pełnoprawnym udziałowcem Olympus Company, zapewne też nie przeszkadzał jej w karierze.

Stan fizyczny panny Haynes nie budził we mnie żadnego niepokoju. Spytałem, ile tabletek różnych lekarstw zażyła tego dnia, i po chwili bezradnego drżenia i wyliczania kształtnym i spiczastym palcem wskazującym prawej ręki na kształtnych i spiczastych palcach ręki lewej – wieść niosła, że potrafi dodawać funty i dolary z szybkością i dokładnością dużego komputera firmy IBM – podała mi kilka szacunkowych liczb, a ja w rewanżu podałem jej kilka pigułek z instrukcją, ile i kiedy ma zażyć, i zostawiłem samą. Psom nie przepisałem żadnych środków; jak na mój gust trzymały się aż za dobrze.

Kabina Hrabiego i Antonia znajdowała się dokładnie po przeciwnej stronie korytarza. Zapukałem dwa razy. Nie doczekałem się odpowiedzi, wszedłem do środka i zrozumiałem, dlaczego nie mogłem się jej doczekać. Antonio był w kabinie, ale mógłbym pukać do sądnego dnia, a on i tak by nie usłyszał, bo Antonio nie słyszał już niczego. Pokonać drogę z Via Veneto do Mayfair, by umrzeć tak nędzną śmiercią na Morzu Barentsa... Dla tego wesołego, roześmianego chłopaka żadne miejsce na ziemi nie było odpowiednim, właściwym czy słusznym miejscem śmierci. Jeśli zdarzyło mi się kiedy spotkać człowieka zakochanego w życiu, to był nim właśnie Antonio. By ten ulubieniec sybaryckich salonów europejskich stolic miał umrzeć w tym odpychającym i nieopisanie niegościnnym otoczeniu, wydawało się tak niestosowne, że aż szokujące, tak nierzeczywiste, że odbierało na chwilę wszelką zdolność pojmowania. A jednak tam był, leżał ledwie o krok u moich stóp, w pełni rzeczywisty i całkowicie martwy.

Kabinę przepelniał kwaśnosłodki odór wymiocin, które widać było dosłownie wszędzie. Antonio nie leżał na swej koi, tylko obok niej na dywanie, z głową wygiętą do tyłu pod nieprawdopodobnym kątem dziewięćdziesięciu stopni. Na jego ustach i podłodze obok czerwieniła się krew, dużo jeszcze nie zakrzepłej krwi. Ciało leżało wykręcone w niewiarygodnej pozycji, z rękami i nogami groteskowo rozrzuconymi, z przeświecającymi żółto spod skóry kostkami knykci. Tarzał się, wymiotował, jęczał jak łamany kołem, mówił Hrabia, i nie bardzo odbiegał od prawdy, bo Antonio umarł tak, jak umiera się na torturach: w potwornych męczarniach. Bóg świadkiem, że musiał krzyczeć, choć niemal cały czas wymiociny zatykały mu gardło, krzyczeć

przeraźliwie, po prostu musiał, bo nie byłby w stanie się od tego powstrzymać. Ale przy wyjących wniebogłosy „Trzech Apostołach” jego jęki przebrzmiały nie zauważone. I wtedy nagle przypomniałem sobie krzyk, który usłyszałem w czasie rozmowy z Lonniem Gilbertem. Poczułem, że włos jeży mi się na karku: powinienem był odróżnić przeraźliwy skowyt rockowego piosenkarza od krzyku człowieka konającego w potwornych męczarniach.

Ukląknęłam, dokonałam pobieżnych oględzin, nie stwierdzając niczego ponad to, co mógłby stwierdzić każdy laik, zasunąłem powieki na wychodzące z orbit oczy i, w przewidywaniu rychłego nadejścia stężenia pośmiertnego, rozprostowałem powykręcane członki z łatwością, która wzbudziła we mnie niejasne zdziwienie. Potem wyszedłem z kabiny, zamknąłem drzwi na klucz i tylko na moment zawahałem się, nim wsunąłem go do kieszeni. Jeśli Hrabia był człowiekiem tak wielkiej wrażliwości uczuć, jak utrzymywał, powinien być mi wdzięczny, że zabrałem klucz ze sobą.

Rozdział 2

–Nie żyje? – Ceglastosina twarz Ottona Gerrana pociemniała do tego stopnia, że dałbym słowo, iż pokryła się warstwą indygo. – Powiedział pan: nie żyje?

–Tak właśnie powiedziałem.

Poza nami dwoma w salonie jadalni nie było już nikogo; minęła dziesiąta, a punktualnie o dziewiątej trzydzieści kapitan Imrie i pan Stokes oddalili się do swoich kajut, gdzie mieli pozostać odizolowani od reszty świata przez następne dziesięć godzin. Zabrałem ze stołu Ottona butelkę zwykłego samogonu, na której ktoś miał czelność umieścić nalepkę z bezwstydnym kłamstwem, że to brandy, odniosłem ją do pentry stewardów, wróciłem z butelką Hine'a i usiadłem. O szoku, w jakim znajdował się Otto, wiele mówił fakt, że nie tylko nie zauważył mojej krótkiej nieobecności, ale teraz patrzył bez jednego mrugnięcia wprost na mnie, jak nalewam sobie miarkę na dwa palce. Na jego twarzy nie dostrzegłem żadnej reakcji; dałbym głowę, że wcale tego nie widział. Skąpstwo Ottona Gerrana mógł do tego stopnia zneutralizować tylko stan bardzo zbliżony do kompletnego porażenia. Ciekaw byłem, co właściwie przyprawiło go aż o taki wstrząs. To prawda, że każda wiadomość o śmierci kogoś znajomego może być szokiem, ale paralizującym szokiem bywa zwykle wówczas, gdy chodzi o najdroższych i najbliższych. Tymczasem jeśli Otto żywił do kogokolwiek choćby śladowe ilości uczucia – do kogokolwiek, a co tu mówić o nieszczęsnym Antoniu – to krył się z tym wręcz po mistrzowsku. Może, jak wielu ludzi, hołdował przesądom związanym ze śmiercią na morzu; może niepokoił się o skutek, jaki ta fatalna wiadomość może wyrzucić na aktorach i ekipie zdjęciowej; może zastanawiał się ponuro, gdzie na tym bezmiarze Morza Barentsa zdobyć charakteryzatora, fryzjera i garderobianego, bo w imię świętej oszczędności połączył te trzy zazwyczaj odrębne działości i zatrudnił do ich uprawiania jedną osobę, zmarłego właśnie Antonia. Widocznym wysiłkiem woli oderwał wzrok od butelki Hine'a i skupił go na mnie.

–Jak to, nie żyje?

–Ustała akcja serca, przestał oddychać, to i nie żyje. Każdy by nie żył.

Otto sięgnął po butelkę Hine'a i chlusnął trochę koniaku do kieliszka – nie nalał, tylko dosłownie chlusnął. Ręka tak mu się przy tym trzęsła, że na białym obrusie pojawiła się plama wielkości mojej dłoni. Chlusnął sobie na trzy palce, przy mojej porcji na dwa, co mogłoby nie być wielką różnicą, ale Otto użył ogromnej baloniastej koniakówki, podczas gdy ja niewielkiej, w kształcie tulipana. Drżącą ręką podniósł kieliszek do ust i jednym haustem zmniejszył o połowę jego zawartość. Znaczna część trunku trafiła mu do ust, ale wcale nie miała ściekła na gors koszuli. Przebiegło mi przez myśl, nie po raz pierwszy zresztą, że gdybym znalazł się kiedyś w sytuacji

bez wyjścia, kiedy wszystko wydaje się stracone, a ostatnią szansą może być zawezwanie na pomoc tego jednego, wiernego, sprawdzonego druha, nazwisko Ottona Gerrana na pewno samo mi się nie nasunie.

–Jak on umarł? – Koniak dobrze mu zrobił. Mówił cicho, niewiele głośniejsze niż szeptem, ale już bez poprzedniego drżenia.

–W strasznych męczarniach. A jeśli chciał pan spytać, od czego, to odpowiem, że nie wiem.

–Jak to pan nie wie? Przecież... przecież podobno jest pan lekarzem. – Miał wyraźne trudności z utrzymaniem się na krześle. W jednej ręce zaciskał pękata koniakówkę, a przy dzikich harcach „Róży Poranka” drugiej ledwie wystarczało, żeby przyzwicie zakotwiczyć jego zwaliste ciało. Ponieważ nic nie odpowiedziałem, ciągnął dalej: – Czy to od morskiej choroby? Czy możliwe, żeby to ona go wykończyła?

–Och, śladów morskiej choroby jest tam aż nadto.

–Ale przecież mówił pan, że od tego się nie umiera.

–On nie umarł od tego.

–Mówił pan: wrzody na żołądku... Albo serce, albo astma...

–Antonio umarł od trucizny.

Na twarzy Ottona nie dostrzegłem żadnej oznaki zdradzającej, że pojął, co powiedziałem. Wpatrywał się we mnie przez chwilę nieruchomym spojrzeniem, po czym nagle odstawił kieliszek, wparł się oboma rękami w blat i raptownie dźwignął na nogi, co było wcale niemałym wyczynem zważywszy jego posturę. W tym momencie statkiem paskudnie rzuciło. Pochyliłem się szybko nad stołem i ledwie zdążyłem chwycić przewracającą się koniakówkę Ottona. Gerran zatoczył się w bok i chwiejnym krokiem dotarł do drzwi po prawej, zawietrznej burcie, prowadzących na górny pokład. Jednym pchnięciem otworzył je na oścież i mimo przeraźliwego wycia wiatru i łoskotu fal usłyszałem gwałtowne torsje. Wrócił do jadalni, zamknął za sobą drzwi, z wysiłkiem dowlóknął się do stołu i osunął na swoje miejsce. Twarz miał szarą jak popiół. Podałem mu kieliszek, a on wychylił go do dna, sięgnął po butelkę i ponownie go napełnił. Pociągnął następny łyk i spojrzał z niedowierzaniem.

–Od trucizny?!

–Wyglądało to na strychninę. Czy wszyscy...

–Strychnina?! Strychnina! Wielki Boże, strychnina! Musi... musi pan zrobić

autopsję... sekcję... sekcję zwłok...

–Niech pan nie gada głupot. Niczego takiego nie zrobię, i to z wielu powodów. Przede wszystkim, czy pan ma pojęcie, jak wygląda sekcja zwłok? Daję panu słowo, że to robota, przy której można się porządnie upaćkać. Nie mam tu do tego żadnych warunków. I nie jestem patologiem, a do sekcji potrzebny jest patolog. A także zgoda najbliższych krewnych. Ciekaw jestem, skąd pan ją weźmie na środku Morza Barentsa. Potrzebny jest nakaz koronera – nie mamy koronera. A nawet gdyby, to koroner wydaje taki nakaz tylko w wypadku podejrzenia o nieczystą grę. W tym wypadku żadne tego typu podejrzenie nie istnieje.

–Nie istnieje? Przecież sam pan powiedział...

–Powiedziałem, że wyglądało to na strychninę. Nie powiedziałem, że to była strychnina. Jestem nawet pewien, że nie. Wydawał się mieć klasyczne objawy: konwulsje i kurcz tężcowy tylny – to takie gwałtowne wyprężenie do tyłu, tak silne, że całe ciało opiera się tylko na głowie i piętach – a na jego twarzy malowało się bezgraniczne przerażenie; agonii na skutek otrucia strychniną niemal zawsze towarzyszy świadomość nieuchronności śmierci. Ale kiedy go wyprostowałem, nie stwierdziłem żadnych śladów kurczu tężcowego. Poza tym nic tu się nie zgadza w czasie. Strychnina zaczyna zwykle działać po paru minutach, w pół godziny od jej zażycia jest już po wszystkim. Antonio siedział z nami przy obiedzie co najmniej dwadzieścia minut i nic mu nie było, to znaczy męczyła go choroba morska, i to wszystko. A umarł ledwie kilka minut temu, o wiele za późno. Poza tym kto, u Boga Ojca, mógłby chcieć usunąć z tego świata takiego nic nikomu nie wadzącego chłopaka jak Antonio? Czy zatrudnia pan u siebie wściekłego psychopatę, który zabija dla samej przyjemności zabijania? Czy potrafi pan w tym dostrzec jakiś sens?

–Nie, nie, to rzeczywiście bez sensu. Ale ta trucizna... Powiedział pan...

–Zatrucie pokarmowe.

–Zatrucie pokarmowe?! Przecież nikt nie umiera od zatrucia pokarmowego! Ma pan na myśli zatrucie ptomainą?

–Oczywiście, że nie, bo nic takiego nie istnieje. Może pan jeść ptomainę, ile dusza zapagnie, i nic się panu nie stanie. Ale zatruc pokarmowych jest całe mnóstwo: żywnością skażoną chemicznie – na przykład rtęcią w mięsie ryb; żywnością na pozór tylko jadalną – na przykład grzybami, które okazują się trującymi muchomorami, małżami jadalnymi, które okazują się małżami niejadalnymi, i tak dalej. Ale prawdziwe paskudztwo to salmonella. Potrafi zabijać, może mi pan wierzyć. Pod sam koniec wojny jedna z jej odmian, *salmonella enteritidis*, powaliła trzydzieści osób w Stoke-on-Trent. Sześć z tych osób zmarło. Znane jest jednak jeszcze większe paskudztwo: *clostridium botulinum*, czyli laseczka jadu kiełbasianego. To coś w

rodzaju przyszywanego kuzyna salmonelli, urocza bakteryjka, która jak utrzymują służby sanitarne, w jedną noc może położyć pokotem całe miasto. Laseczka ta wydziela egzotoksyny, substancje trujące, najprawdopodobniej najsilniejsze trucizny występujące w przyrodzie. W okresie międzywojennym grupa turystów urządziła sobie piknik nad Loch Maree w Szkocji. Na lunch zjedli kanapki z wekowanym pasztetem z kaczki. Osiem osób zatrulo się *clostridium botulinum*. Wszystkie zmarły. Nie było na to lekarstwa wtedy, nie ma na to lekarstwa i dziś. Właśnie to albo coś w tym rodzaju musiał zjeść Antonio.

–Ach tak, rozumiem. – Pociągnął następny łyk koniaku, po czym spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. – Wielki Boże, człowieku, czy pan nic nie rozumie?! Wszystkim nam grozi to samo, wszystkim co do jednego! To *clostridium* czy jak mu tam może się rozprzestrzenić...

–Spokojnie, to nie jest infekcyjne ani zakaźne.

–Ale przecież kuchnia...

–Myśli pan, że nie pomyślałem o tym? To paskudztwo nie może pochodzić stamtąd. Gdyby tak było, wszyscy już przenieślibyśmy się na tamten świat. Bo zakładam, że Antonio jadł dokładnie to co my, nim stracił apetyt. Nie zwracałem szczególnej uwagi, ale pewnie dowiem się czegoś od osób, które siedziały obok niego, znaczy Hrabiego i Cecila.

–Cecila?

–Cecila Golightly, pańskiego pomocnika operatora kamery czy jak go tam nazywacie.

–Ach, Książę! – Z jakiegoś bliżej nie znanego powodu Cecil, drobny, rezolutny cwaniaczek z londyńskich przedmieść, znany był powszechnie pod przezwiskiem Książę. Może dlatego, że było tak absurdalne i tak bardzo do niego nie pasowało. – Ten prosiak miałby coś zobaczyć? Akurat! Nawet na chwilę nie odrywa wzroku od talerza. Ale Tadeusz rzadko co przeoczy.

–Popytam. Sprawdzę także kuchnię, spiżarnię i chłodnię. Prawdopodobieństwo jest jak jeden do dziesięciu tysięcy, ale jednak sprawdzę. Pewnie się okaże, że Antonio miał własną spiżarenkę puszkowanych specjałów. Czy mam w pana imieniu porozmawiać z kapitanem Imrie?

–Z kapitanem Imrie?

–Kapitan statku musi zostać o tym powiadomiony. – Wykazywałem ogromną cierpliwość. – Śmierć trzeba odnotować w dzienniku okrętowym. Trzeba wystawić świadectwo zgonu. Normalnie zrobiłby to sam, ale nie w sytuacji, kiedy na pokładzie

jest lekarz. Muszę jednak dostać od niego upoważnienie. Trzeba zarządzić przygotowania do pogrzebu. Pogrzebu na morzu. Pewnie jutro rano.

–O tak – Gerran wzdrygnął się – proszę to dla mnie zrobić. Oczywiście, oczywiście, pogrzeb na morzu. Muszę natychmiast iść do Johna i powiedzieć mu o tym koszmarnym wydarzeniu. – Mówiąc „John” miał zapewne na myśli Johna Cummingsa Goina, głównego księgowego filmu, głównego księgowego i współudziałowca Olympus Productions, człowieka, o którym mówiono powszechnie, że trzyma w garści finanse spółki, a co za tym idzie – i samą spółkę. – A potem do łóżka. Tak, tak, do łóżka. Wiem, że to brzmi okropnie, kiedy biedny Antonio leży martwy w swojej kajucie, ale jestem roztrzęsiony, zupełnie roztrzęsiony. – Nie mogłem mieć mu tego za złe. Rzadko widywałem ludzi tak wytraconych z równowagi.

–Mogę panu przynieść coś na uspokojenie.

–Nie, nie, nic mi nie będzie.

Zupełnie odruchowo – no, prawie zupełnie – zabrał ze stołu butelkę Hine’a, wetknął ją do jednej z przepaścistych kieszeni swej wielkiej jak dwuosobowy namiot marynarki i wytoczył się z jadalni. W kwestii bezsenności wyraźnie wolał się zdać na domowe specyfiki niż najnowocześniejsze nawet produkty przemysłu farmaceutycznego.

Podszedłem do drzwi od prawej burty, otworzyłem je i wyjrzałem na zewnątrz. Stwierdzenie Smithy’ego, że pogoda się nie poprawi, było zwykłym asekuranctwem; pogarszała się i jeśli znałem się na tym choć odrobinę, pogarszała się w błyskawicznym tempie. Temperatura powietrza spadła już grubo poniżej zera, a nad głową pojawiły się pierwsze drobne płatki śniegu, pędzone wiatrem niemal równoległe do powierzchni morza. Fale przestały być falami, zmieniły się po prostu w góry wody, niby to przewalające się kapryśnie w każdą możliwą stronę i wszystkie strony naraz, a mimo to ciągnące wciąż na wschód. „Róża Poranka” wykonywała już nie tylko ruch korkociągu, zaczynała się chwiać, zwałała po mostek w doliny fal z eksplozyjnym trzaskiem do złudzenia przypominającym salwę niezbyt odległych okrętowych dział, po czym ze wszystkich sił próbowała się wyprostować, po to tylko, by natychmiast zderzyć się z następną ścianą wody, która jednym miażdżącym ciosem wpędzała ją na powrót w sytuację zda się bez wyjścia. Wychyliłem się mocniej, zadarłem do góry głowę i z niejakim zdziwieniem wypatrzyłem w ciemności flagę dziko łopoczącą na przednim maszcie. Ze zdziwieniem, bo nie powiewała w prawo pod kątem prostym do burty jak należało, tylko pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Oznaczało to, że wiatr zaczyna skręcać na północny wschód, a co ta zmiana miałaby nam przynieść, nie umiałbym nawet zgadywać; podejrzewałem jednak niejasno, że raczej nic dobrego. Cofnąłem się do środka, z niemałym wysiłkiem przyciągnąłem i zamknąłem drzwi i pomodliłem się w duchu o obecność na mostku bezgraniczniekrzepiącego swą kompetencją Smithy’ego. Wróciłem do składziku

stewardów i jako że razem z Ottonem odeszła resztką koniaku – to znaczy, zdatnego do picia koniaku – pozwoliłem sobie wziąć stamtąd butelkę dwunastoletniej whisky. Zabrałem ją do kapitańskiego stołu, siadłem na kapitańskim krześle, nalałem sobie kapeńkę i wetknąłem butelkę w poręczny żelazny stojak kapitana Imrie.

Zastanawiałem się, dlaczego nie powiedziałem Gerranowi prawdy. Uważałem się za kłamcę przekonującego, ale przecież nie nałogowca. Może dlatego, że daleko mu było do mojego wyobrażenia człowieka pewnego i niezawodnego i nie wydawał się idealnym kandydatem na powiernika, zwłaszcza gdyby do tego, co już wypił na moich oczach, dołożył jeszcze kilka łyków brandy.

Antonio nie umarł na skutek zażycia strychniny. Tego byłem zupełnie pewien. Równie pewien jak tego, że nie umarł od laseczki jadu kielbasianego. Egzotoksyny wydzielane przez tę bakterię są rzeczywiście tak groźne, jak mu powiedziałem, ale Otto, na szczęście, nie miał pojęcia, że okres inkubacji laseczki rzadko wynosi mniej niż cztery godziny, a notowano wypadki, gdy wydłużał się nawet do czterdziestu ośmiu. Co wcale nie znaczy, że to w jakikolwiek sposób łagodzi jej fatalne skutki. Istniało pewne znikome prawdopodobieństwo, że Antonio mógł wrębać po południu puszkę, powiedzmy, zakażonych trufli czy jakiegoś innego specjału rodem ze swej ojczyzny. W takim jednak wypadku symptomy wystąpiłyby już w czasie obiadu, a poza osobliwym żółtawozielonkawym zabarwieniem twarzy nie zaobserwowałem niczego, co by na to wskazywało. Musiała to być jakaś trucizna systemowa, ale trucizn takich jest bardzo wiele, a mnie trudno byłoby uznać za eksperta w tej dziedzinie. Niekoniecznie też szło za tym podejrzenie o nieczystą grę. Znacznie więcej ludzi umiera w wyniku przypadkowego zatrucia niż na skutek kłosań osób nieżyczliwych.

Otworzyły się drzwi od zewnątrz i pojawiło się w nich dwoje ludzi. Z trudem utrzymywali się na rozstawionych szeroko nogach, oboje byli młodzi, oboje w okularach i oboje mieli twarze niemal całkowicie zasłonięte starganymi przez wiatr włosami. Na mój widok zawahali się, spojrzeli po sobie i chcieli zawrócić, ale przywołałem ich skinieniem ręki. Przeszli próg i zamknęli za sobą drzwi. Zataczając się podeszli do mojego stolika, usiedli, odgarnęli włosy z twarzy i wówczas rozpoznałem w nich Mary kochanie, naszą sekretarkę planu, i Allena – nikt nigdy nie zwracał się do niego inaczej i nie wiadomo było nawet, czy to imię, czy nazwisko – chłopaka od ładowania kamery, poważnego młodego człowieka, którego nie tak dawno poproszono, by opuścił uniwersytet.

–Bardzo przepraszam, doktorze Marlowe, że tak tu pana naszliśmy. – Było mu wyraźnie przykro, bił od niego należny memu wiekowi szacunek. – Nie mieliśmy pojęcia... Szczerze mówiąc, szukaliśmy jakiegoś miejsca, gdzie można by posiedzieć w spokoju.

–No i je znaleźliście. Właśnie wychodzę. Spróbujcie tej znakomitej szkockiej pana

Gerrana. Patrząc na was odnoszę wrażenie, że obojgu dobrze by to zrobiło. – Rzeczywiście byli bardzo bladzi.

–Och, nie, dziękuję, doktorze Marlowe, my nie pijemy. – Mary kochanie – wszyscy zwracali się do niej wyłącznie „Mary kochanie...” – była osobą równie poważną jak Allen i mówiła stosownym do tego sztywnym głosem. Miała bardzo długie, proste, niemal platynowe włosy, opadające równo na plecy i od lat nie poddawane zabiegom żadnego fryzjera. Antonio musiał cierpieć na ich widok katusze. Miała surową minę, ogromne okulary w rogowej oprawie, nie stosowała żadnego makijażu – nawet szminki – i próbowała przybierać pozę osoby niezwykle serio, sucho rzeczowej, tylko bez żartów, osoby w stylu „Dziękuję bardzo, ale poradzę sobie sama”, pozę tak jawnie fałszywą, że nikt nie miał serca jej tego wytknąć.

–Nie mieli miejsc w gospodzie?

–No cóż – odparła Mary kochanie – sam pan wie, że tam, w świetlicy, trudno o zaciszny kąć. A do tego ci trzech młodzi... młodzi...

–„Trzej Apostołowie” dają z siebie wszystko – wszedłem jej łagodnie w słowo. – Ale salonik na pewno musiał być pusty.

–Właśnie że nie. – Allen starał się nadać swemu głosowi ton potępienia, ale wydawało mi się, że niezbyt szczerego. – Zastaliśmy tam kogoś. W piżamie. Pana Gilberta.

–Trzymał w rękach wielki pęk kluczy. – Mary kochanie urwała, zacisnęła usta i dodała: – Próbował otworzyć barek, w którym pan Gerran trzyma wszystkie swoje butelki.

–To dość podobne do Lonniego – przyznałem. Nic mi było do tego. Jeśli Lonniemu świat wydawał się tak bardzo smutny i niepełny, to niewiele można było na to poradzić. Pozostawało tylko trzymać kciuki, żeby Otto go na tym nie przyłapał. – Przecież zawsze mogliście skorzystać z pani kabiny.

–Och, nie! Co to, to nie!

–No tak, rozumiem – zgodziłem się bez protestów, choć zupełnie nie mogłem pojąć, niby dlaczego nie mieliby tego zrobić. Widocznie byłem za stary. Zostawiłem ich samych i przez pentrę stewardów przeszedłem do kuchni. Była mała, oszczędnie rozplanowana i nieskazitelnie czysta – minisymfonia nierdzewnej stali i białych kafelków. Sądziłem, że o tak późnej porze nie zastanę w niej nikogo, ale się myliłem. Przy kuchni stał pochylony nad garnkami Haggerty, nasz główny kucharz, w przepisowej czworokątnej białej czapie na krótko ostrzyżonej siwiejącej głowie. Odwrócił się i spojrzał na mnie z lekka zaskoczony.

–Dobry wieczór, doktorze – powiedział z uśmiechem. – Przychodzi pan na lekarską inspekcję mojej kuchni?

–Za pańskim pozwoleniem, owszem.

–Chyba nie bardzo rozumiem, sir. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Potrafił być niezwykle słuźbiście oficjalny ten Haggerty. Dwadzieścia kilka lat w Royal Navy wycisnęło na nim swoje piętno.

–Bardzo mi przykro, to zwykła formalność. Wygląda na to, że mamy na pokładzie przypadek zatrucia pokarmowego. Chciałbym się po prostu rozejrzeć.

–Zatrucie pokarmowe?! Zapewniam pana, że nikt nie mógł się zatruć niczym z tej kuchni. Nigdy w życiu jeszcze mi się to nie zdarzyło. – Urażona duma zawodowa nie dopuściła w nim do głosu czysto ludzkiej ciekawości i troski o to, kto padł ofiarą zatrucia i jak było ono ciężkie. – Spędziłem dwadzieścia siedem lat jako kucharz w marynarce wojennej, doktorze Marlowe, z tego ostatnie siedem jako szef kuchni na lotniskowcu, i jeśli ktoś chce powiedzieć, że w swoim kambuzie nie przestrzegam warunków higieny...

–Nikt niczego takiego nie mówi. – Przybrałem ten sam ton, którym on zwracał się do mnie. – Nawet ślepy by zauważył, że panuje tu nieskazitelna czystość. Jeśli źródłem zatrucia było coś, co pochodziło z tej kuchni, to pan na pewno nie ponosi za to winy.

–Nic, co pochodziło z mojej kuchni, nie mogło być źródłem żadnego zatrucia. – Haggerty miał kanciastą, rumianą twarz i oczy jak bławatki. Pod wpływem gniewu policzki pociemniały mu o dwa tony, a błękitne oczy wrogo załśniły. – Pan wybacz, ale jestem zajęty. – Odwrócił się do mnie tyłem i zaczął grzechotać garami. Nie lubię, jak ktoś wypina się plecami, kiedy z nim rozmawiam. W pierwszym odruchu chciałem go ustawić ponownie twarzą do siebie, ale zdążyłem się zreflektować; facet uniósł się po prostu honorem zawodowym, z jego punktu widzenia zupełnie bezzasadnie obrażanym. Toteż ograniczyłem się do użycia słów.

–Pracuje pan do późna w nocy, panie Haggerty.

–Kolacja na mostek – odparł przez zęby. – Dla pana Smitha i bosmana. Zmieniają się o jedenastej i wtedy razem jedzą.

–Miejmy nadzieję, że o północy będą nadal czuć się rześko i zdrowo.

Bardzo powoli odwrócił się ku mnie.

–Co to ma znaczyć?

–Że co zdarzyło się raz, może się zdarzyć i drugi. Czy pan wie, że nie wyraził pan

najmniejszego zainteresowania tym, kto uległ zatruciu ani w jak ciężkim ta osoba jest stanie?

–Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć, sir.

–Wydaje mi się to niezwykle dziwne. Zwłaszcza że osoba ta rozchorowała się bezpośrednio po spożyciu potraw przyrządzonych w tej kuchni.

–Mnie obowiązują rozkazy kapitana Imrie – odparł nieco bez związku. – Nie pasażerów.

–Dobrze pan wie, gdzie o tej porze znajduje się kapitan Imrie. W swoim łóżku, pogrążony w twardym, bardzo twardym śnie. To żadna tajemnica. Może zechciałby pan pójść ze mną i zobaczyć swoje dzieło? Rzucić okiem na swoją ofiarę? – Nie było to ładnie z mojej strony, ale nie bardzo wiedziałem, co innego mi pozostało.

–Na moje dzieło?! Moją ofiarę?! – Starannie zestawił garnki na jedną stronę i zdjął z głowy biały kucharski czepek. – No, lepiej niech się okaże, że to poważna sprawa, panie doktorze.

Zaprowadziłem go na dół, do kabiny Antonia, i otworzyłem drzwi. Bijący z wewnątrz fetor był nie do wytrzymania. Antonio leżał tak, jak go zostawiłem, tyle tylko, że teraz wyglądał znacznie bardziej martwo niż przedtem – o ile tak można powiedzieć: krew odpłynęła mu z twarzy i rąk, które stały się przeźroczyście białe. Odwróciłem się do Haggerty'ego.

–No jak, dość poważna?

Haggerty nie zbladł, ponieważ rumiane twarze pokryte płataniną spękanych naczynek krwionośnych nie bledną, ale jego policzki przybrały osobliwy ceglasty kolor. Przez dobre dziesięć sekund nie odrywał wzroku od leżącego na podłodze martwego człowieka, po czym wycofał się z kabiny i szybko odszedł w głąb korytarza. Zamknąłem drzwi na klucz i ruszyłem za nim, zataczając się od ściany do ściany w rytm paskudnych bocznych przechyłów „Róży Poranka”. Dotarłem chwiejnym krokiem do salonu jadalni, zabrałem z kutego w żelazie stojaka kapitana Imrie butelkę whisky z czarną nalepką, uśmiechnąłem się sympatycznie do Mary kochanie i Allena – Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyśleli widząc to moje przejście – i wróciłem do kambuza. Haggerty dołączył do mnie po trzydziestu sekundach. Wyglądał na chorego i wiedziałem, że musiał chorować. Nie miałem wątpliwości, że w czasie życia spędzonego na morzu napatrzył się na niejedno, ale widok człowieka zmarłego gwałtowną śmiercią na skutek otrucia ma w sobie coś wyjątkowo przerażającego. Nalałem mu potrójną porcję szkockiej, a on pochłonął ją jednym haustem. Zakrztusił się, zakasłał i albo kaszel, albo trunek przywrócił mu trochę kolorów.

–Co to było? – spytał ochryplym głosem. – Jaka... jaka trucizna mogła w taki sposób zabić człowieka? Wielki Boże, w życiu nie widziałem czegoś tak potwornego.

–Nie wiem. Właśnie chcę się tego dowiedzieć. Czy teraz już mogę się tu rozejrzeć?

–Rany boskie, pewnie! Niech mi pan tego nie wypomina, panie doktorze. Przecież nic nie wiedziałem, prawda? Od czego chce pan zacząć?

–Jest dziesięć po jedenastej.

–Dziesięć po? Rany boskie, zupełnie zapomniałem o mostku! – Z godną podziwu zręcznością przygotował w mgnieniu oka kolację dla sterników: dwie puszki soku pomarańczowego, otwieracz, butelkę zupy i drugie danie w menażkach z pokrywkami na zatrzask. Wrzucił to do wiklinowego koszyka, dodał sztucce i dwie butelki piwa, a wszystko razem zajęło mu niewiele ponad minutę.

Pod jego nieobecność – co trwało nie dłużej niż dwie minuty – zbadałem tę trochę odpieczętowaną żywność, którą Haggerty trzymał w swojej kuchni, zarówno na półkach, jak i w wielkiej lodówce. Nawet gdybym umiał przeprowadzić odpowiednie analizy – a nie umiałem – to z braku odpowiedniej aparatury i tak nie byłbym w stanie ich zrobić, toteż mogłem jedynie zdać się na wzrok, smak i powonienie. Nie stwierdziłem niczego niewłaściwego. Nieskazitelnie czysta żywność w nieskazitelnie czystych pojemnikach. Haggerty rzeczywiście przestrzegał w swojej kuchni wszelkich zasad higieny.

Kiedy wrócił, poprosiłem o dokładny jadłospis z całego dnia.

–Sok pomarańczowy albo ananasowy, zupa ogonowa...

–Wszystko z puszek? – Skinął głową. – Zajrzyjmy do kilku z nich. – Otworzyłem po dwie puszki każdego rodzaju, razem sześć, i spróbowałem ich zawartości pod bardzo czujnym okiem Haggerty'ego. Miały taki sam smak jak każda puszkowana żywność, to znaczy nie miały praktycznie żadnego, ale choć mdłe, na swą konserwową modłę wydawały się zupełnie nieszkodliwe.

–Danie główne? – spytałem. – Baranina, brukselka, chrzan i gotowane ziemniaki?

–Zgadza się. Ale tego nie trzymamy tutaj. – Zabrał mnie do przyległej chłodni, gdzie magazynowano owoce i warzywa, a następnie sprowadził na dół, do zamrażalni, gdzie w świetle nagich żarówek huśtały się upiornie na stalowych hakach półcie wołowiny, wieprzowiny i baraniny. Znalazłem dokładnie to, co spodziewałem się znaleźć, czyli nic. Powiedziałem Haggerty'emu, że cokolwiek się wydarzyło, bez wątplenia nie było jego winą, po czym ruszyłem w mozolną drogę na górny pokład i dalej wewnętrznym korytarzem dotarłem do kabiny kapitana Imrie. Nacisnąłem klamkę, ale drzwi były zamknięte na zasuwkę. Zapukałem kilka razy, bez rezultatu.

Zacząłem walić w nie z całej siły, aż zbuntowały mi się kostki palców, potem kopać – wciąż z tym samym skutkiem. Kapitan Imrie miał przed sobą jeszcze dziewięć godzin snu i ów stosunkowo nieznaczny hałas nie miał szansy wyrwać go z otchłani niebytu, w której zdążył już się pogрузić. Dałem spokój. Smithy powinien wiedzieć, jak postąpić w takiej sytuacji.

Wróciłem do kuchni, opuszczonej już przez Haggerty'ego, przeszedłem przez składzik stewardów i znalazłem się w jadalni. Mary kochanie i Allen siedzieli na sofie pod ścianą: czworo rąk splecionych w mocnym uścisku, dwie blade, bardzo blade twarze oddalone od siebie o mniej więcej trzy cale, oczy zapatrzone w siebie z czymś w rodzaju nieszczęsnego, mistycznego urzeczenia. Znałem prawo mówiące, że romanse na statkach rozwijają się znacznie szybciej niż na lądzie, byłem jednak pewien, iż zjawisko to obejmuje swym zasięgiem wyłącznie rejon Wysp Bahama i inne tego typu klimatyczne raje. Wydawało mi się, że na eks-kutrze rybackim, daleko za kołem podbiegunowym i w arktycznym sztormie, brak podstawowych warunków do rozwoju romantycznych flirtów. Musiałem się jednak mylić. Zająłem fotel kapitana Imrie, nałamałem sobie maleńkiego drinka i powiedziałem:

–Zdrowie!

Poderwali się i odskoczyli od siebie, jakby byli podłączeni do prądu, a moja uwaga uruchomiła jego dopływ.

–Ależ pan nas przestraszył, doktorze Marlowe – powiedziała z wyrzutem w głosie Mary kochanie.

–Bardzo mi przykro.

–I tak zresztą już wychodziliśmy.

–W takim razie przykro mi podwójnie. – Spojrzałem na Allena. – Inaczej tu niż na uniwersytecie, co?

–Trochę inaczej. – Uśmiechnął się blado.

–Co pan studiował?

–Chemię.

–Długo?

–Trzy lata. No, prawie trzy. – Znów blady uśmiech. – Aż tyle czasu trwało, nim się zorientowałem, że nigdy nie będę w tym dobry.

–A teraz ile ma pan lat?

–Dwadzieścia jeden.

–Och, to ma pan jeszcze kupę czasu, żeby odkryć, w czym może pan być dobry. Ja swój dyplom lekarski zrobiłem dopiero w wieku lat trzydziestu trzech.

–Trzydziestu trzech... – Nie dodał nic więcej, ale jego mina dopowiedziała to za niego: jeśli już wtedy byłem taki stary, to jakież niewyobrażalne brzemie lat musiałem dźwigać teraz. – Co pan robił przedtem?

–Nic, o czym warto by mówić. Powiedzcie mi proszę, oboje jedliście dziś obiad przy stole kapitańskim, prawda? – Skinęli głowami. – Siedzieliście mniej więcej naprzeciwko Antonia, zgadza się?

–Tak mi się zdaje – odparł Allen. Nie ma co, pomyślałem, dobry początek. Tak mu się zdaje.

–Antonio nie najlepiej się czuje. Staram się dowiedzieć, czy nie zjadł czegoś, co mogłoby mu zaszkodzić, na co mógłby być uczulony. Czy któreś z was widziało, co on jadł?

Spojrzeli niepewnie po sobie.

–Kurczaka? – poddałem zachęcająco. – Frytki?

–Bardzo mi przykro, doktorze Marlowe – odparła Mary kochanie. – Obawiam się, że... niestety żadne z nas nie zwróciło na to uwagi. – Z tej strony nie doczekam się pomocy; byli tak zatopieni w sobie, że pewnie nie zauważyli, co sami jedli na obiad, a co tu mówić o tym, co jadł Antonio. Albo może w ogóle nic nie jedli. Nie mogłem sobie tego przypomnieć. Ja też nie popisałem się spostrzegawczością. Ale w końcu skąd mogłem wiedzieć, że za chwilę ktoś dokona morderstwa.

Podnieśli się już z sofy i przywarli do siebie, by podtrzymać się nawzajem na rozchybotanym pokładzie, który próbował umknąć im spod nóg.

–Jeśli schodzicie na dół – poprosiłem – to może zapytalibyście Tadeusza, czy nie byłby tak uprzejmy, żeby zająć tu do mnie. Znajdą go państwo w świetlicy.

–Może poszedł już do łóżka i śpi – powiedział Allen.

–Tadeusz może być wszędzie – odparłem stanowczo – ale na pewno nie we własnej kabinie.

Hrabia zjawił się w ciągu minuty. Bił od niego potężny zapach koniaku.

–Szlag by to trafił! – powiedział bez żadnych wstępów z wyrazem irytacji na swej

rasowej twarzy. – Szlag by to trafił! Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie mógłbym znaleźć zapasowy klucz do swojej kabiny? Ten idiota Antonio wlaź i zamknął się od wewnątrz, po czym pewnie naszpikował się środkami uspokajającymi. W żaden sposób nie mogę go obudzić. Co za kretyn!

–Antonio nie mógł pana usłyszeć. On nie zamknął kajuty od wewnątrz, tylko ja od zewnątrz. – Wyjąłem z kieszeni jego klucz. Hrabia spojrzał na mnie nic nie rozumiejącymi oczami, po chwili przez twarz przemknął mu błysk nagłego zrozumienia i odruchowo sięgnął po swoją piersióweczkę. Był to raczej chwilowy wstrząs, ale z pewnością prawdziwy. Przechylił piersiówkę do góry dnem i wysączył do kieliszka kilka ostatnich kropel. Zdegustowany sięgnął po butelkę whisky kapitana Imrie, nalał sobie pewną ręką i jednym haustem wypił zawartość kieliszka.

–Nie mógł mnie usłyszeć? Czy on... czy on niczego już nie słyszy?

–Bardzo mi przykro. Musiał coś zjeść, nie potrafię tego sobie inaczej wytłumaczyć, jakąś zabójczą toksynę, jakąś potężną, błyskawicznie działającą i śmiertelną truciznę.

–Nie żyje? – Skinąłem głową. – Nie żyje... – powtórzył. – A ja kazałem mu przestać odstawiać tę krzykliwą włoską operę i zostawiłem go samego. Konającego człowieka. – Skrzywił się nieprzyjemnie, lecz mina ta nie miała nic wspólnego z krytyką Jasia Wędrowniczka. – Odstępstwo od katolicyzmu miewa swoje zalety, doktorze Marlowe.

–Bzdury. Worek pokutny i posypywanie sobie głowy popiołem nie tylko w niczym nie pomogą, ale po prostu są tu nie na miejscu. Przecież nie mógł pan podejrzewać, że dzieje się z nim coś niedobrego. Ja sam widziałem go przy stole i wcale nie okazałem się mądrzejszy, a podobno jestem lekarzem. A kiedy zostawił go pan samego w kabine i tak było za późno na cokolwiek. On już wtedy konał. – Dołałem mu whisky, ale własną szklaneczkę zostawiłem w spokoju. Nawet jeden względnie trzeźwy umysł mógł się okazać przydatny, choć w owej chwili zupełnie nie umiałbym powiedzieć do czego. – Siedział pan obok niego przy obiedzie. Czy pamięta pan, co jadł?

–To co zwykle. – Hrabia był znacznie bardziej wstrząśnięty, niż jego arystokratyczna natura pozwalała mu okazać. – To znaczy wręcz przeciwnie.

–Panie Tadeuszu, ja zupełnie nie jestem w nastroju do rozwiązywania łamigłówek.

–Grapefruity i nasiona słonecznika. Mniej więcej tym właśnie żył. Był jednym z tych wegetariańskich czubków.

–Niech pan stąpa ostrożnie, panie Tadeuszu. Te czubki mogą jeszcze oddać panu ostatnią przysługę.

–Wyjątkowo nietaktowna uwaga. – Hrabia znów się skrzywił. – Antonio nie jadał

mięsa. I miał coś przeciwko ziemniakom. Toteż zjadł tylko brukselkę i chrzan. Pamiętam bardzo dobrze, bo obaj z Cecilem oddaliśmy mu swoje porcje chrzanu, w którym, zdaje się, wyjątkowo gustował. – Wzdrygnął się. – Barbarzyńskie pożywienie, dobre wyłącznie dla nie znających się na rzeczy podniebień Anglosasów. Nawet młody Cecil ma dość wycucia, żeby nie cierpieć tego pastewnego paskudztwa. – Co godne odnotowania, Hrabia był jedynym człowiekiem w całej ekipie filmowej, który nie nazywał Cecila Golightly Księciem. Może uważał, że wypadłby niekorzystnie w tej rywalizacji, a może – co bardziej prawdopodobne – będąc arystokratą do szpiku kości nie pochwalał zbyt frywolności w szermowaniu szlacheckimi tytułami.

–Pił sok owocowy?

–Antonio miał własny, domowej roboty kleik jęczmienny. – Hrabia uśmiechnął się blado. – Utrzymywał, że wszystko, co pochodzi z puszek, zostało przed wsadzeniem do nich sfalszowane. W tych sprawach był ogromnie rygorystyczny ten nasz Antonio.

–Zupa? Jadł zupę?

–Z wołowych ogonów?!

–No tak, jasne. Coś jeszcze? To znaczy, czy jadł coś jeszcze?

–Nie dokończył nawet głównego dania. No, tej swojej brukselki z chrzanem. Jak pan sobie zapewne przypomina, wstał od stołu w ogromnym pośpiechu.

–Przypominam sobie. Czy on był podatny na chorobę morską?

–Nie wiem. Proszę pamiętać, że znałem go wcale nie dłużej niż pan. Od dwóch dni był jakby trochę blady, ale w końcu kto z nas nie był?

Starłem się wymyślić kolejne przenikliwe pytanie, kiedy do jadalni wszedł John Cummings Goin. Swoje niecodzienne nazwisko odziedziczył po dziadku z francuskiej górnej Sabaudii, gdzie nazwisko to nie jest wcale aż takie niezwykle. W ekipie filmowej nie nazywano go oczywiście inaczej jak John Kum lub po prostu Kum, ale Goin chyba zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie należał do ludzi, z których można by sobie stroić żarty.

W taką noc każdy, kto wchodził do salonu jadalni z głównego pokładu, musiał mieć fryzurę co najmniej w nieładzie, żeby nie powiedzieć skołunioną przez wiatr. Na głowie Goina wszystkie włosy tkwiły dokładnie na swym miejscu – czarne, gładkie, z idealnym przedziałkiem pośrodku i zaczesane równo do tyłu trzymały się jego czaszki jak przylepione. Powiadano, że Goin zarzucił zwykłe patentowe brylantyny fryzjerskie na rzecz kleju do wołowej skóry. Nie miałem powodu, żeby w to wątpić.

Fryzura ta zresztą doskonale odzwierciedlała jego charakter: wszystko w nim było gładkie, opanowane, niezmałcone i całkowicie pod kontrolą. Tylko pod jednym względem porównanie to zawodziło. Napomadowane włosy tak lśniły, że jego fryzurę można by nazwać błyskotliwą, gdy tymczasem sam Goin był zaledwie przyziemnie sprytny. Średniego wzrostu, pulchny, ale nie gruby, o gładkiej, nie tkniętej zmarszczkami twarzy, Goin był jedynym znanym mi człowiekiem używającym monokla, i to tylko do czytania klauzul pisanych najdrobniejszym drukiem i umieszczonych w najmniej widocznym miejscu – jak to najczęściej bywa z nieprzyjemnymi a najistotniejszymi warunkami kontraktów – z którymi w swojej profesji spotykał się dość często. Ten monokl kojarzył się z nim tak nieodłącznie, że wydawało się niewyobrażalne, by mógł stosować do czytania jakiś inny typ szkła. Był cywilizowanym i światowym człowiekiem w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Zdjął z półki szklaneczkę do whisky, odczekał na moment względnego bezruchu rozkołysanej dziko „Róży Poranka”, podszedł szybko i pewnie do krzesła po mojej prawej stronie, podniósł butelkę Johnnie Walkera i spytał:

–Czy można?

–Łatwo przyszło, łatwo poszło – odparłem. – Ukradłem ją właśnie z prywatnego zapasu pana Gerrana.

–Wyznanie to liczy się panu na plus. – Nalał sobie szklaneczkę. – To czyni mnie pańskim współnikiem. Zdrowie.

–Rozumiem, że przychodzi pan prosto od pana Gerrana – powiedziałem.

–Owszem. Jest wstrząśnięty. To co się stało z tym chłopcem, jest bolesne, bardzo bolesne. Straszne nieszczęście. – To także była jedna z cech Goina: zawsze znał odpowiednią kolejność rzeczy. Zwykły główny księgowy firmy na wieść o śmierci kogoś z jej pracowników zastanawia się natychmiast, jak odbije się to na finansach realizowanego właśnie przedsięwzięcia. Dla Goina na pierwszy plan wysuwał się ludzki aspekt tej sprawy. Choć może tylko na pierwszy plan w rozmowie, pomyślałem, czując zarazem, że to myśl dla niego krzywdząca. Goin ciągnął dalej: – Jak słyszałem, nie jest pan w stanie ustalić przyczyny zgonu. – Dyplomacja była niechybnie jego drugą naturą: mógł przecież z łatwością i zgodnie z prawdą powiedzieć, że nie miałem pojęcia, na co umarł Antonio. Powiedziałem to za niego.

–Nie mam pojęcia, na co umarł.

–Takimi wyznaniem nie dorobi się pan gabinetu przy Harley Street.

–Trucizna, to pewne. Ale na tym cała pewność się kończy. Mam ze sobą zwykłą biblioteczkę medyczną przydatną w czasie morskich podróży, ale niewiele mi to pomoże. Żeby zidentyfikować truciznę, trzeba albo przeprowadzić analizy chemiczne,

albo obserwować jej działanie na ofierze. Większość znanych trucizn daje specyficzne dla siebie objawy i wywołuje swoiste reakcje obronne organizmu. Ale Antonio nie żył już, kiedy go znalazłem, a na statku nie ma warunków do przeprowadzenia jakichkolwiek badań patologicznych, nawet gdybyśmy założyli, że umiałbym je zrobić.

–Odbiera mi pan resztki wiary w ludzi pańskiego zawodu. Cyjanek?

–Niemożliwe. Antonio nie umarł od razu. Kilka kropli kwasu cyjanowodorowego, czyli pruskiego, a nawet niewielka ilość kwasu aptecznego – a jest to tylko dwuprocentowy bezwodnik kwasu pruskiego – i człowiek jest martwy, nim jego kieliszek uderzy o podłogę. A poza tym cyjanek oznaczałby morderstwo, w przypadku cyjanku zawsze tak jest. Nie ma takiej możliwości, by zażył go przez przypadek. Ja natomiast jestem zupełnie pewien, że śmierć Antonia była nieszczęśliwym wypadkiem.

–A skąd ta pewność? – Goin dolał sobie whisky.

–Skąd ta pewność? – Było to pytanie, na które odpowiedź trudno było wytrząsnąć jak z rękawa, zwłaszcza że jeśli naprawdę byłem o czymś przekonany, to właśnie o tym, że śmierci Antonia na pewno nie można było złożyć na karb nieszczęśliwego wypadku. – Po pierwsze, nie było okazji do podania mu trucizny. Wiemy, że przez całe popołudnie, aż do obiadu, Antonio był w swojej kabinie zupełnie sam. – Spojrzałem na Hrabiego. – Czy Antonio miał w kabinie jakieś własne zapasy żywności?

–Jak pan to zgadł? – Hrabia sprawiał wrażenie zaskoczonego.

–Ja nie zgaduję, tylko wykluczani możliwości. Miał czy nie?

–Dwa wory szklanych słoików, chyba już wspominałem, że Antonio nie brał do ust niczego z puszek, z najróżniejszymi dziwacznymi potrawami warzywnymi. A do tego dziesiątki słoiczków z żywnością dla niemowląt, papkami, kleikami i przecierami. Ten biedak był niezwykle skrupulatny w kwestiach swego odżywiania się.

–No więc wszystko zaczyna się wyjaśniać. Myślę, że tu znajdziemy odpowiedź na nasze pytanie. Powiem kapitanowi Imrie, żeby skonfiskował te jego zapasy i po powrocie poddamy je analizie. Wracając do sprawy okazji, Antonio przyszedł na obiad, jadł to samo, co my...

–Poza sokiem, zupą, baraniną i ziemniakami – wtrącił Hrabia.

–Zgadza się, tego nie, ale to, co jadł, jedliśmy wszyscy. Potem wrócił prosto do swojej kabiny. Po drugie, któż mógłby chcieć zabić kogoś tak nieszkodliwego jak Antonio? Zwłaszcza, że nikt go przedtem nie znał i po raz pierwszy ujrzyliśmy go na

oczy, kiedy wsiadł na pokład w Wiek? A poza tym chyba tylko szalenciec mógłby zadać komuś śmiertelną truciznę w gronie tak ściśle zamkniętym jak nasze. Przecież każdy musiałby zdawać sobie sprawę, że nie uda mu się z tego wywinąć i że Scotland Yard zasadzi się na nabrzeżu w Wick w oczekiwaniu na nasz powrót.

–Może szalenciec właśnie by liczył na takie rozumowanie zdrowych na umyśle – odparł Goin.

–Który to król Anglii zmarł z przejedzenia minogami? – spytał Hrabia. – Jeśli o mnie chodzi, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że nasz nieszczęsny Antonio zmarł z przejedzenia chrzanem.

–Dość prawdopodobne. – Odsunąłem krzesło, żeby wstać, ale nie zrobiłem tego natychmiast. Uwaga Hrabiego uruchomiła gdzieś w najdalszych, mrocznych zakamarkach mojej pamięci maleńki dzwoneczek, tak delikatny, stłumiony i odległy, że gdybym nie zamienił się cały w słuch, zupełnie umknąłby mojej uwagi: ale ja nasłuchiwałem, jak się nasłuchuje, kiedy się w jakiś sposób wie, że oto nadlatuje starucha z kosą i bierze już zamach do ciosu. Czuję, że obaj panowie bacznie mi się przyglądają. Westchnąłem ciężko. – Decyzje, decyzje, nie ma przed nimi ucieczki. Antonia trzeba przygotować...

–Brezent?

–Brezent. Kabinę Hrabiego trzeba wysprzątać. Śmierć odnotować w dzienniku pokładowym. Wystawić świadectwo zgonu. A pan Smith będzie musiał zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

–Pan Smith? – Hrabia wydawał się zaskoczony. – A nie nasz czcigodny dowódca?

–Kapitan Imrie spoczywa w objęciach Morfeusza – odparłem. – Już próbowałem.

–Chyba pomylił pan bogów – powiedział Goin. – Chodziło panu pewnie o Bachusa.

–To możliwe. Zechcą mi panowie wybaczyć.

Poszedłem prosto do swojej kabiny, ale nie po to, żeby wypisywać świadectwo zgonu. To, co powiedziałem Goinowi, było prawdą, rzeczywiście wozilem ze sobą najróżniejsze podręczniki medyczne, które składały się na wcale niemałą biblioteczkę. Wybrałem z niej kilka książek, w tym dziewiąte, edynburskie wydanie „Prawoznawstwa i toksykologii medycznej” Glaistera z roku 1950, „Podręcznik farmacji sądowej” Dewara (Londyn, 1946) i „Medycynę i toksykologię sądową” Gonzalesa, Vance’a i Helperna, którą wydano chyba jeszcze przed wojną. Zacząłem przeglądać indeksy i nim minęło pięć minut to, czego szukałem, znalazłem w rozdziale „Trucizny ogólnoustrojowe” pod hasłem „Tojad”.

„Tojad, trująca roślina z rodziny jaskrowatych, zwana mordownikiem. Poprawna nazwa tojad mocny, *Aconitwn napellus*. Wytwarzany przez tojad alkaloid, zwany akonityną, uważany jest powszechnie za najsilniejszą ze wszystkich rozpoznanych do tej pory trucizn. Śmiertelna dawka dla człowieka wynosi 0,004 grama. Tojad i wytwarzany przezeń alkaloid wywołują po zażyciu uczucie palenia, charakterystycznego mrowienia i drętwienia. Następnym objawem, zwłaszcza po zażyciu dużych dawek, są gwałtowne torsje, którym towarzyszy porażenie mięśni, zanik wrażliwości zmysłów, porażenie ośrodka oddechowego i gwałtowne zahamowanie akcji serca, co kończy się śmiercią w wyniku niedotlenienia.

Postępowanie w przypadku zatrucia. Aby odniosło skutek, musi być natychmiastowe. Płukanie żołądka roztworem 12 gramów kwasu taninowego w dwóch galonach ciepłej wody, a następnie roztworem 1,2 grama kwasu taninowego w 180 mililitrach wody letniej. Bezpośrednio potem podaje się doustnie wodę z dużą ilością węgla zwierzęcego. W zależności od stopnia zatrucia mogą się okazać potrzebne środki pobudzające pracę serca i układu oddechowego lub nawet sztuczne oddychanie, tlen i masaż serca.

Uwaga. Najczęstszą przyczyną zatruc tojadem jest przypadkowe spożycie bulwy tej rośliny, która jest dość podobna do korzenia chrzanu”.

Rozdział 3

Przeczytałem już ustęp o tojadzie, lecz wciąż jeszcze się w niego wpatrywałem, gdy mimo zaabsorbowania zaczęło do mnie docierać, że z „Różą Poranka” dzieje się coś niedobrego. Nadal płynęła, z niezawodnym jak zawsze dudnieniem turbin opalanych olejem napędowym, ale jej ruch uległ zmianie. Kołysanie boczne tak się nasiliło, że huśtała się teraz potwornie i przerażająco, zataczając łuki bliskie siedemdziesięciu stopniom, ruch wznosząco-opadający odpowiednio osłabł, a natężenie wibracji, w jakie wprawiały cały kadłub pionowe uderzenia dziobu w ciągnące z ukosa fale, zmalało osiągając zaledwie ułamek dotychczasowego zgrzytliwego łoskotu.

Zaznaczyłem zakładką ustęp o tojadzie, zamknąłem książkę i ruszyłem chwiejnymi zakosami korytarzem – powiedzieć: rzuciłem się biegiem, znaczyłoby skłamać, gdyż bieg w tych warunkach był fizyczną niemożliwością – potem po schodkach do saloniku i wyszedłem na górny pokład. Było ciemno, ale nie aż tak, bym nie mógł z grubsza określić naszego kierunku po podmuchach sztormowego wiatru czy strzępach piany zdzieranej z czubków wzburzonych grzywaczy. Skuliłem się w sobie i przywarłem mocniej do pobliskiej barierki, gdyż w tej samej chwili za lewą burtą, bliżej dziobu niż śródokręcia, wyrosła ogromna ściana wody, czarna, pocięta białymi żyłami piany i złowieszczą. Górowała nade mną co najmniej o dziesięć stóp. Byłem pewien, że jeszcze sekunda i te setki ton wody runą wprost na przedni pokład trawlera. Wydawało się po prostu niemożliwe, by nas ominęła, a jednak myliłem się. Zanim fala zwała się ostatecznie na pokład, wodna przepaść po prawej stronie statku pogłębiła się i „Róża Poranka”, kładąc się w przechył o kącie niemal czterdziestu stopni, po prostu osunęła się w nią, zepchnięta potworną masą wody, pracą na jej odsłoniętą lewą burtę. Rozległ się znajomy mi już głuchy łoskot jakby huk pobliskiego gromu, „Róża Poranka” jęknęła i zadygotała, gdy przeciążone nity i płyty poszycia naprężyły się, by sprostać nagłemu atakowi rozdzierających sił. Spieniona, lodowato zimna woda chlusnęła przez prawą burtę, zawirowała mi wokół kostek i natychmiast ściekła przez luki odpływowe, bo w tejże samej chwili „Róża Poranka” wyprostowała się i przechyliła gwałtownie na drugą burtę. W tym wszystkim nie było żadnego powodu do obaw, żadnego zagrożenia dla życia czy bezpieczeństwa, arktyczne trawlerzy budowano uwzględniając właśnie takie sytuacje i „Róża Poranka” mogłaby w nieskończoność zbierać podobne cięgi bez najmniejszego uszczerbku dla siebie. A jednak powód do niepokoju był – jeśli można użyć tego słowa na określenie rozpaczliwej, dojmującej trwogi. Ta potężna fala, która uderzyła „Różę Poranka” w dziobową część lewej burty, zbiła nas niemal dwadzieścia stopni z kursu. I tak już pozostało. „Róża Poranka” zeszła dwadzieścia stopni z kursu i nikt nawet nie próbował sprowadzić jej na ten kurs z powrotem. Jeszcze jedna, tym razem mniejsza fala zepchnęła nas o kolejne pięć stopni na wschód i nadal nikt nie reagował. Rzuciłem się biegiem do schodków na mostek.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie godzinę wcześniej natknąłem się na Mary

drogą, znów wpadłem na kogoś i omal tego kogoś nie przewróciłem. Tym razem zderzenie było znacznie potężniejsze, ciemna postać jęknęła „oj!” albo coś w tym rodzaju. Kobieta, której zabraknie tchu w piersiach, wydaje zupełnie inne sapnięcie niż mężczyzna, a do tego instynkt i coś jakby przebłysk intelektu podpowiedziały mi, że po raz drugi wpadłem na tę samą osobę: Judith Haynes powinna być w łóżku ze swoimi spanielami, Mary kochanie powinna być z Allenem albo o nim śnić w łóżku. A nawet gdyby nie, to żadna z nich nie była miłośniczką świeżego powietrza.

Burknąłem coś, co można by wziąć za szorstkie przeprosiny, i stawiałem właśnie nogę na pierwszym – szczeblu, kiedy chwyciła mnie obiema rękami za ramię.

–Coś się stało. Czuję to. Co takiego? – Mówiła spokojnie, akurat dość głośno, bym ją usłyszał poprzez przeraźliwe *obligato* wiatru w olinowaniu. Jasne, że czuła; widok doktora Marlowe kroczącego choć odrobinę żwawiej niż zwyczajowym spacerkiem zdradzał, że coś się stało równie wyraźnie jak wycie alarmu przeciwlotniczego albo syreny policyjnej. Miałem już na końcu języka odpowiedź mniej więcej tej właśnie treści, kiedy dodała: – Dlatego wyszłam na pokład. – Unieszkodliwiła tym w zarodku szykowaną przeze mnie ciętą uwagę, okazało się bowiem, że wcześniej niż ja spostrzegła, że dzieje się coś niedobrego. Ale w końcu jej myśli nie zaprzętało *Aconitum napellus*.

–Statkiem nikt nie kieruje. Na mostku nie ma nikogo, kto próbowałby utrzymać go na kursie.

–Czy mogę się na coś przydać? – Była cudowna.

–Owszem. Na ścianie w kuchni, koło pieca, jest bojler z gorącą wodą. Niech pani przyniesie garnek wody, tylko nie za gorącej do picia, kubek i sól. Mnóstwo soli.

Raczej wyczułem, niż zobaczyłem, jak skinęła głową i już jej nie było. W chwilę później znalazłem się w sterówce. W mroku zamajaczyły mi dwie postaci: jedna skulona koło stołu z mapami, druga siedząca na pozór prosto przy sterze, ale to było wszystko, co dojrzałem. Dwie sufitowe lampy ledwie się żarzyły mętną żółtą poświatą. Niemal piętnaście sekund ciskałem się jak szalony, żeby zlokalizować tuż przed kołem pulpity sterowniczy, ale potem wystarczyły już tylko dwie. Znalazłem tyrystor, przekręciłem go zgodnie z ruchem wskazówek zegara na maksimum i zmrużyłem oczy przed rażącym zalewem jaskrawego światła.

Smithy leżał na boku przy stole, Oakley siedział za sterem, w zasadzie pionowo, ale nie znaczyło to wcale, że jest w lepszej formie niż pierwszy oficer. Wyglądało na to, że po prostu żaden nie był w stanie zmienić pozycji, w której się znajdował. Obaj wtulili głowy w kolana i obaj trzymali się kurczowo za brzuchy. Ani jeden, ani drugi nie wydawał z siebie żadnych dźwięków. Być może nie cierpieli bólu, a pozycje, jakie przyjęli, były wynikiem bezwolnego skurczu mięśniowego; równie prawdopodobne

było to, że uległy porażeniu ich struny głosowe.

Najpierw zająłem się Smithym. Każde życie ludzkie przedstawia sobą dokładnie tę samą wartość, a przynajmniej tak właśnie uważają wszyscy członkowie wszelkich grup cierpiących; w tym jednak wypadku kierowałem się troską o dobro ogółu zainteresowanych, a fakt, że wśród owego ogółu znajdowałem się przypadkiem ja sam, nie miał wpływu na mój wybór. Jeśli „Róża Poranka” płynęła pełną parą w jakąś kabałę, a miałem dziwne przeczucie, że tak akurat było, to najbardziej zależało mi na Smithym.

Oczy miał otwarte, a ich spojrzenie wydawało się rozumne. W paragrafie o tojadzie twierdzono między innymi, że do końca zachowuje się pełną świadomość. Czy możliwe, żeby to był ów koniec? Porażenie ruchowe, podawał podręcznik, i mieliśmy je tu bez wątplenia. Potem porażenie czucia. Może właśnie dlatego nie wyli z potwornego bólu. A może zdarli już sobie gardła od krzyku, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, teraz zaś przestali już cokolwiek czuć. Kątem oka dostrzegłem i podświadomie zanotowałem w pamięci, że na podłodze leżą blisko siebie prawie opróżnione dwie metalowe menażki. Gdyby nie pewien dziwny szczegół, uznałbym, że obaj mężczyźni są w agonii: nigdzie nie widziałem śladów gwałtownych torsji, o których wspominał podręcznik. Żałowałem rozpaczliwie, że gdzieś, kiedyś nie zadałem sobie trudu nauczenia się czegoś o truciznach, źródłach ich pochodzenia, działaniu, skutkach, objawach i objawach nietypowych – z czym chyba miałem teraz do czynienia – jeśli takie objawy mają.

Do sterówki weszła Mary Stuart. Ociekała wodą, włosy miała w potwornym nieładzie, ale szybko się uwinęła i przyniosła to, o co prosiłem, w tym także łyżkę, o której zapomniałem.

–Sześć łyżek soli na kubek wody – powiedziałem. – Szybko. Niech pani dobrze zamiesza.

Podręcznik zalecał płukanie żołądka, ale jeśli chodzi o dostępność taniny i węgla zwierzęcego, to z równym powodzeniem mógłbym się znajdować na Księżycu. Całą i, szczerze mówiąc, jedyną nadzieję pokładałem w silnie i szybko działającym środku wymiotnym. Staruszek na studiach zalecał alun albo siarczan cynku, ale ja sam nigdy nie natknąłem się na nic lepszego niż chlorek sodu, czyli zwykła sól kuchenna. Modliłem się w duchu, żeby wchłanianie akonityny do krwiobiegu nie postąpiło za daleko – bo że była to akonityna, nie wątpiłem ani przez chwilę. Zdarzają się zbiegi okoliczności, ale wprowadzanie w tej odsłonie tak frymuśnej substancyjki jak na przykład kurara, zakrawałoby na lekką przesadę. Dźwignąłem Smithy’ego do pozycji siedzącej i wsuwałem mu właśnie ręce pod pachy, gdy do sterówki wpadł ciemnowłosy młody marynarz. Jak na tę paskudną pogodę ubrany był raczej skąpo, miał na sobie tylko džinsy i golf. Był to Allison, starszy z podoficerów odpowiedzialnych za mostek. Spojrzał – po prostu spojrział, a nie wytrzeszczył oczy –

na swoich kolegów. Był tak samo rasowym marynarzem jak Smithy.

–Co się stało, doktorze?

–Zatrucie pokarmowe.

–Pomyślałem, że to coś w tym rodzaju. Spałem, kiedy naraz coś mnie obudziło. Wiedziałem, że coś się musiało stać, że nikt nie panuje nad statkiem. – Wierzyłem mu. Wszyscy doświadczeni ludzie morza mają ten szósty zmysł, tę zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa. Nawet podczas snu. Zetknąłem się z tym już wcześniej. Podszedł szybko do stołu nawigacyjnego, po czym rzucił okiem na kompas i zauważył: – Zeszliśmy z kursu pięćdziesiąt stopni na wschód.

–Mamy się gdzie tłuc, dokoła całe Morze Barentsa – odparłem – Niech mi pan pomoże.

Wzięliśmy Smithy’ego pod ramiona i wywlekliśmy go do drzwi od lewej burty. Mary droga przestała mieszać zawartość metalowego kubka, który trzymała w ręce, i spojrzała na nas z niejakim zdumieniem.

–Gdzie zabieracie pana Smitha?

–Wynosimy go na powietrze. – A myślała, że co chcemy z nim zrobić? Wyrzucić go za burtę? – Jest bardzo świeże. Świetnie robi na zdrowie.

–Ale tam pada śnieg! Jest przeraźliwie zimno!

–Smithy będzie także, mam nadzieję, potężnie chorował. Lepiej, żeby to zrobił na zewnątrz niż tutaj. Jak smakuje ta mieszanka?

–Potwornie! – Spróbowała łyżką odrobinę wody z solą i skrzywiła się niemiłosiernie.

–Czy może to pani przełknąć? Zebrała się w sobie i wzdrygnęła.

–Ledwo, ledwo.

–To niech pani doda jeszcze trzy łyżki soli. – Wywlekliśmy Smithy’ego na zewnątrz i oparliśmy pod ścianą w pozycji siedzącej. Brezentowa osłona mostka chroniła go nieco przed wiatrem. Oczy miał otwarte, śledził wzrokiem nasze poczynania i chyba zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przystawiłem mu kubek do ust i przechyliłem, ale nasz domowej roboty środek wymiotny ściekał mu tylko po brodzie. Odgiąłem głowę do tyłu i wlałem trochę emetyku do ust. Porażenie czucia nie było całkowite, bo twarz wykrzywił mu mimowolny grymas odrazy. Co ważniejsze, grdyka przesunęła mu się w górę i w dół i wiedziałem, że musiał trochę przełknąć. Zachęcony tym, wlałem mu do ust drugie tyle i tym razem połknął wszystko. Nim

minęło dziesięć sekund, chwyciły go najgwałtowniejsze torsje, jakie widziałem w życiu. Pomimo protestów Mary drogiej i jasno czytelnych obaw Allisona, wmusiłem w Smithy'ego następną porcję wody z solą. Kiedy zaczął wymiotować krwią, zająłem się Oakleyem.

Piętnaście minut później mieliśmy przed sobą dwóch bardzo chorych ludzi, cierpiących na potworne bóle brzucha i osłabionych do granic zupełnego wycieńczenia. Liczyło się jednak tylko to, że udało nam się zawrócić ich z drogi, którą odszedł nieszczęsny Antonio. Allison stanął za sterem, „Róża Poranka” została sprowadzona z powrotem na kurs, Mary droga, ze swymi pszenicznymi włosami zlepionymi płatkami śniegu, przykucnęła obok kompletnie wykończonego Oakleya. Smithy przyszedł już do siebie na tyle, żeby usiąść na sztormowym progu sterówki, ale nadal musiałem go podtrzymywać ramieniem przy co gwałtowniejszych wybrykach „Róży Poranka”. Zaczynał odzyskiwać mowę, choć dopiero w minimalnym zakresie.

–Brandy – wychrypiał.

–Przeciwwskazana. Tak powiadają podręczniki. – Pokręciłem przecząco głową.

–Otard-Dupuy – obstawał przy swoim. Jasność umysłu zachował nienaruszoną. Wstałem i przyniosłem butelkę z prywatnego zapasu kapitana Imrie. Po tym, co jego żołądek właśnie przeszedł, tylko kwas karbolowy mógłby w nim poczynić jeszcze jakieś szkody. Przyłożył szyjkę do ust, pociągnął spory łyk i natychmiast jeszcze raz zwymiotował.

–Może od razu trzeba było dać panu koniakowi – powiedziałem. – Ale woda z solą wychodzi taniej.

Spróbował się uśmiechnąć, choć wysiłek ten sprawił mu wyraźny ból, po czym znów przechylił butelkę. Tym razem koniak pozostał na swoim miejscu; Smithy musiał mieć żołądek zbrojony stalą albo wykładany azbestem. Odebrałem mu butelkę i podsunąłem Oakleyowi, który skrzywił się i potrząsnął głową.

–Kto trzyma ster? – spytał Smithy ochrypłym, wytężonym szeptem, jakby mówienie sprawiało mu ból; z całą pewnością było tak w istocie.

–Allison.

Skinął głową, uspokojony.

–Cholerny statek – mruknął. – Cholerne morze. Cierpię na morską chorobę. Ja na morską chorobę!

–Jest pan chory, to prawda. Ale ta choroba nie ma nic wspólnego z morzem. Ten

cholerny statek i jego tarzanie się w tym cholernym morzu uratowały panu życie; bezwietrzna cisza i Smithy znajdowałby się już wśród nieśmiertelnych. – Próbowałem się zastanawiać, po co ktoś, kto nie był zupełnie obłąkany, mógłby chcieć wysłać Smithy'ego i Oakleya między nieśmiertelnych, ale myśl ta wydała się tak nedorzeczna, że porzuciłem ją niemal w tej samej chwili, w której przyszła mi do głowy. – Zatrucie pokarmowe. Miałem szczęście. Dotarłem tu w porę.

Skinął głową, ale nic nie odpowiedział. Pewnie mówienie sprawiało mu za dużo bólu.

–Pan Oakley ma twarz i ręce jak kawałki lodu – powiedziała Mary droga. – I cały dygoce z zimna. Szczerze mówiąc, ja też.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że i ja sam trzęsę się jak barani ogon. Pomogłem Smithy'emu usadowić się w przyśrubowanym do podłogi krześle za kołem sterowym, po czym wróciłem wesprzeć Mary drogą, która próbowała postawić na nogi Oakleya. Udało nam się ustawić go z grubsza pionowo, co nie było wcale łatwym zadaniem, gdyż nogi miał jak z waty i leciał nam przez ręce, a każde z nas mogło użyć w tym celu tylko jednej ręki, bo drugą musieliśmy przytrzymywać się sami. Wtedy u szczytu schodków pojawił się Goin z Hrabią.

–Dzięki Bogu, nareszcie! – Goin wydawał się odrobinę zdyszany, ale nawet jeden włoszek jego fryzury nie był nie na swoim miejscu. – Szukaliśmy pana dosłownie wszę... Na miłość boską, co to ma znaczyć? Czy ten człowiek jest pijany?

–Chory. Na tę samą chorobę co Antonio, tylko jemu się poszczęściło. Co to za panika?

–Ta sama przypadłość. Musi pan natychmiast iść z nami, Marlowe. Rany boskie, to się zaczyna przekształcać w regularną epidemię!

–Jedną chwilę. – Wtaszczyłem Oakleya do sterówki i usadziłem go jak najwygodniej na stercie kapoków. – Jeśli dobrze rozumiem, mamy następny przypadek zachorowania?

–Tak, Otto Gerran. – Może uniosłem brwi, nie pamiętam, wiem natomiast, że nie poczułem się zbyt zaskoczony. Miałem wrażenie, że każdy, komu zdarzyło się choćby powąchać tego cholernego tojadu, mógł lada chwila zvalić się na ziemię. – Zapukałem do jego kabiny dziesięć minut temu, nie było odpowiedzi, więc wszedłem do środka i zobaczyłem, że tarza się po dywanie...

Przez głowę przebiegła mi obrazoburcza myśl, że z uwagi na niemal idealnie kulisty kształt ciała nikt nie był lepiej przystosowany do tarzania się po dywanie niż Otto; wydawało się jednak mało prawdopodobne, żeby sam Otto dostrzegł w takim momencie humorystyczny aspekt sytuacji.

–Czy może pan wezwać tu sobie kogoś do pomocy? – spytałem Allisona.

–Bez problemu. – Wskazał ruchem głowy na mały aparat w rogu. – Wystarczy zadzwonić do kubryku.

–Nie ma potrzeby. – To był Hrabia. – Ja zostanę.

–To bardzo miło z pana strony. – Skinąłem głową kolejno Smithy’emu i Oakleyowi. – Jeszcze nie przyszli do siebie na tyle, żeby zejść na dół. Gdyby tego próbowali, to jak dwa i dwa cztery wylądują za burtą. Czy mógłby pan im przynieść jakieś koce?

–Oczywiście. – Zawahał się. – Moja kabina...

–Jest zamknięta. Moja nie. Znajdzie pan koce na łóżku i zapasowe na dnie w szafie. – Hrabia wyszedł, a ja zwróciłem się do Allisona. – Czy poza wysadzeniem drzwi dynamitem jest jakiś sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę kapitana? Facet musi mieć bardzo twardy sen.

Allison uśmiechnął się i ponownie wskazał na aparat w rogu.

–Telefon z mostka dzwoni mu nad samą głową. W obwód wmontowany jest opornik. Mogę tak go podkręcić, że telefon zaryczy jak syrena przeciwmgielna „Queen Elizabeth II”.

–Niech pan mu powie, żeby przyszedł do kabiny pana Gerrana. I niech pan powie, że to pilne.

–No tak... – Allison wyraźnie się wahał. – Widzi pan, kapitan Imrie nie bardzo lubi być budzony w środku nocy. To znaczy, jeśli nie ma po temu jakiegoś naprawdę poważnego powodu. A skoro pierwszy i bosman czują się już znów jako tako...

–Niech pan mu powie, że Antonio nie żyje.

Rozdział 4

Otto przynajmniej jeszcze żył. Mimo wycia wichru i ryku fal, mimo postękiwania i trzeszczenia podstarzałego trawlera, przedzierającego się z trudem przez arktyczny sztorm, głos Ottona słyhać było wyraźnie już kilkanaście stóp przed drzwiami kabiny. Nie bardzo natomiast dawało się rozróżnić w nim słowa; rozdzierające jęki i udręczone posapywania wróżyły, że po otwarciu drzwi nie ujrzymy niczego dobrego.

Otto Gerran wyglądał stosownie do wydawanych przez siebie odgłosów. Co prawda, nie była to jeszcze agonia, ale szybko ku niej zmierzał. Turlał się po podłodze, dokładnie tak, jak opowiedział Goin, i zaciskał sobie obie ręce na gardle, jakby próbował sam siebie udusić. Jego normalnie ceglastosiny koloryt przeszedł w głęboki i niebezpieczny fiolet, oczy nabiegły krwią, a od brunatnej piany, którą toczył z ust, wargi nabrały niemal tego samego odcienia co reszta twarzy. Zresztą może zawsze miał taki kolor warg, jak ktoś cierpiący na sinicę. Nie występował u niego ani jeden symptom z tych, które zaobserwowałem u Smithy'ego i Oakleya – i wierz tu, człowieku, ekspertom od toksykologii i ich uczonym podręcznikom.

–Trzeba go postawić na nogi i przetransportować do łazienki – powiedziałem do Goina. Jako oznajmienie intencji było to zupełnie jasne i proste, ale wcielenie tejże intencji w życie nie tylko nie było proste – było wręcz niewykonalne. Zadanie dźwignięcia do pionu dwustu czterdziestu pięciu funtów galarety nie okazującej chęci do współdziałania zupełnie przerastało nasze siły. Miałem właśnie dać za wygraną i na miejscu udzielić mu pierwszej pomocy, po której kabina z pewnością nadawałaby się do gruntownego sprzątnięcia, gdy w drzwiach stanął kapitan Imrie z panem Stokesem. Moje zaskoczenie niezwykłą szybkością, z jaką się pojawili, było niczym w porównaniu z osłupieniem na widok ich kompletnego przyodziewku. Dopiero kiedy zauważyłem poziome zagniecenia na spodniach, dotarło do mnie, że po prostu obaj położyli się spać w ubraniach. Zmówiłem w duchu krótką modlitwę za szybki i pełny powrót do zdrowia Smithy'ego.

–Co tu się, u Boga Ojca, dzieje? – spytał kapitan Imrie. Bez względu na to, w jakim stanie znajdował się jeszcze godzinę wcześniej, teraz był już zupełnie trzeźwy. – Allison mówi, że ten Włoch nie żyje, a... – Urwał w pół słowa, gdyż w tej właśnie chwili Goin i ja odsunęliśmy się od siebie na tyle, by mógł rzucić okiem na rozciągniętego na podłodze, jęczącego Gerrana. – Pieska jego niebieska! – Podeszedł bliżej i wybałuszył oczy. – Co to jest? Atak padaczki?

–Trucizna. Ta sama trucizna, która zabiła Antonia i omal nie zabiła pańskiego pierwszego i Oakleya. No, niechże nam panowie pomogą przenieść go do łazienki.

–Trucizna! – Kapitan Imrie spojrział na pana Stokesa w taki sposób, jakby chciał uzyskać zapewnienie, że to absolutnie niemożliwe, ale pan Stokes nie był w nastroju

do składania jakichkolwiek zapewnień. Oniemiał wpatrywał się w wijącego się na podłodze człowieka. – Trucizna! Na moim statku! Jaka znowu trucizna? Skąd ją wzięli? Kto im ją podał? Dlaczego ktoś...

–Jestem lekarzem, a nie detektywem. Nie znam odpowiedzi na żadne kto, gdzie, kiedy, dlaczego i co. Wiem tylko, że my tu gadamy, a ten człowiek umiera.

We czterech daliśmy radę przetaszczyć Ottona do łazienki w niecałe trzydzieści sekund. Nie patyczkowaliśmy się z nim zbytnio, ale mieliśmy chyba prawo zakładać, że wolał być Ottonem Gerranem poobijanym, lecz żywym, niż Ottonem Gerranem bez jednego sińca, ale za to martwym. Emetyk podziałał na niego równie szybko i skutecznie jak na Smithy’ego i Oakleya i w trzy minuty później leżał już na swojej koi pod stertą koców. Nadal jęczał coś bez związku i dygotał tak gwałtownie, że aż szczął zębami, ale ciemny fiolet zaczął ustępować z jego policzków, a piana zaschła mu na ustach.

–Przypuszczam, że już wszystko w porządku, ale proszę mieć na niego oko, dobrze? – powiedziałem zwracając się do Goina. – Wrócę za pięć minut.

–Chciałbym zamienić z panem słówko, doktorze Marlowe. – Kapitan Imrie zatrzymał mnie przy drzwiach.

–Później.

–Zaraz! Jako dowódca tego statku... – Położyłem mu rękę na ramieniu i kapitan zamilkł. Miałem ochotę powiedzieć, że jako dowódca tego statku zalał się w pestkę i chrapał na swej koi, kiedy ludzie wokół niego padali jak muchy, ale nie byłoby to zbyt uczciwe, ponosiły mnie nerwy, bo działy się nieprzyjemne rzeczy, które nie powinny się dziać, a ja nie wiedziałem ani dlaczego, ani kto jest temu winien.

–Otto Gerran będzie żył – powiedziałem. – Będzie żył, ponieważ miał to szczęście, że ten oto tutaj pan Goin zajrzał do jego kajuty. A ilu ludzi nie miało tego szczęścia, ilu leży na podłodze w kabinach, powalonych chorobą do tego stopnia, że nie mają siły dowiec się do drzwi? Do tej pory mamy cztery ofiary: kto powiedział, że nie może ich być kilkanaście?

–Kilkanaście?!... No tak, no tak, oczywiście. – Jeśli ja się w tym wszystkim gubiłem, to kapitan Imrie zaginął już z kretelem. – Pójdziemy z panem.

–Dam sobie radę.

–Tak jak dał pan sobie radę z panem Gerranem?

Ruszyliśmy prosto do świetlicy. Zastaliśmy tam dziesięć osób, samych mężczyzn, raczej milczących i w kiepskich nastrojach. Niełatwo jest prowadzić ożywioną

konwersację i tryskać humorem, kiedy człowiek musi jedną ręką trzymać się kurczowo krzesła, a w drugiej równie kurczowo zaciskać szklankę z drinkiem. „Trzej Apostołowie”, czy to ze zmęczenia, czy też na ogólne życzenie, odłożyli na bok narzędzia pracy i popijali ze swoim szefem, Joshem Hendriksem, małym, chudym, nieustannie zafrasowanym Anglo-Holandrem w średnim wieku, który nawet w czasie wolnym od pracy chodził obwieszony masą dyndającego na paskach sprzętu elektronicznego i nagraniowego; mówiono, że i w łóżku nie rozstaje się z tym rynsztunkiem. Stryker siedział przy stoliku w kącie, pogrążony w rozmowie z Conradem i dwoma innymi aktorami, Güntherem Jungbeckiem i Jonem Heyterem; nie wydawał się przybity troską o cierpiącą żonę. Trzeci stolik zajmowali John Halliday, fotograf, i Sandy, rekwizytor. O ile mogłem się zorientować, nikt nie cierpiał na nic, czego nie można byłoby dożyć na karb skocznej błazenady „Róży Poranka”. Na nasz widok podniosło się kilka nieco zdziwionych i zaciekawionych spojrzeń, ale nie miałem najmniejszego zamiaru wyjaśniać celu naszej dość niecodziennej wizyty. Wyjaśnienia trwają, a akonityna, o czym bezlitośnie wciąż na nowo mnie przekonywano, nie czeka na nikogo.

Allena i Mary kochanie znaleźliśmy w pustym saloniku. Byli jeszcze bardziej zieloni na twarzach, ale trzymali się kurczowo za ręce. Wpatrywali w siebie z najwyższym natężeniem, jak ludzie, którzy wiedzą, że jutra nie będzie; stykali się prawie nosami i chyba oboje musieli robić zęza, żeby się nawzajem jako tako widzieć. Po raz pierwszy, od kiedy ją poznałem, Mary kochanie zdjęła ogromne okulary – bez wątpienia zaparowane od dyszącego oddechu Allena. Ich brak uczynił z niej naprawdę śliczną dziewczynę, wcale nie przydając tego bezbronnego i nagiego wyglądu, jaki często maluje się na twarzach osób stale noszących okulary, gdy je na chwilę zdejmą. Jedno było pewne – Allen miał gust, i to znakomity.

Rzuciłem okiem na barenki w kącie sali. Oszklone drzwiczki wyglądały na nietknięte, z czego wywnioskowałem, że Lonnie Gilbert potrafił otworzyć swoim pękiem kluczy praktycznie każdy zamek. Gdyby mu się tutaj nie powiodło, musiałbym zauważyć ślady użycia jakiegoś narzędzia, no, może nie ognistego topora oszalałego wikinga, ale przynajmniej delikatnego dłutka. Tymczasem tutaj śladów nie było.

Heissman spał w swojej kajucie nerwowym, niespokojnym snem, ale z pewnością nie był chory. W kabinie obok, na koi podciągniętej tak wysoko, że ledwie go było widać, Neal Divine jeszcze bardziej przypominał średniowiecznego biskupa, lecz tym razem biskupa pogrążonego w błogiej nieświadomości. Lonnie siedział na swoim pościeli z rękami założonymi na obszernym brzuchu; z faktu, że jego prawa dłoń kryła się pod narzutą, najprawdopodobniej czule zaciśnięta na szyjce zwędzonej szkockiej, oraz z jego rozanielonej miny można było wnioskować, iż ta obfitość kluczy będących w jego posiadaniu znajdowała błogostawioną różnorodność zastosowań.

Minąłem kabinę Judith Haynes – ona nie jadła obiadu – i wszedłem do ostatniej, jak

wówczas sądziłem, zajętej kajuty. Główny elektryk ekipy, wysoki, tęgi osobnik o rumianej twarzy i puciołowatych policzkach, uszczęśliwiony nazwiskiem Frederick Crispin Harbottle, leżał wsparty na łokciu i smętnie jadł jabłko. Wbrew pozorom był ponurakiem i nieprzejednanym pesymistą. Z powodów, których nigdy nie zdołałem dociec, znany był powszechnie pod przydomkiem Eddie: podobno słyszano, jak jednym tchem wymienia siebie i pewnego innego, nieco bardziej znanego elektryka, Tomasza Edisona.

–Przepraszam – powiedziałem. – Mamy kilka przypadków zatrucia pokarmowego. Jak widzę, pana to ominęło. – Skinieniem głowy wskazałem jego współlokatora, zwiniętego w kłębek na swej koi plecami do nas. – Jak tam Książę?

–Żyje – odparł Eddie z filozoficzną rezygnacją w głosie. – Nim zasnął, jęczał i stękał, że go brzuch boli, ale bogiem a prawdą, jęczy tak i stęka co noc. Wie pan, jak to z nim jest. On po prostu nie może się powstrzymać.

Wszyscy wiedzieliśmy, jak to jest z Księciem. Jeśli w cztery dni można stać się legendą, to Cecil Golightly był takim właśnie przypadkiem – Jego nieokiełznana żarłoczność graniczyła z niepodobieństwem. Kiedy niecałą godzinę wcześniej Otto Gerran nazwał go prosiakiem, który ani na chwilę nie odrywa wzroku od talerza, mówił szczerą prawdę. Ta zdolność pochłaniania nieopisanych ilości pożywienia była taką samą anomalią, jak ewidentna niesprawność jego metabolizmu, jeśli bowiem widok Księcia z czymś się kojarzył, to z wizerunkiem człowieka, który dopiero co opuścił obóz koncentracyjny po bardzo długim tam pobycie.

Raczej z nawyku, niż z jakiegokolwiek innego powodu, obrzuciłem go pobieżnym spojrzeniem i całe szczęście, bo ujrzałem szeroko otwarte, zamglone z bólu oczy biegające szaleńczo i bez celu na wszystkie strony, spopielale wargi poruszające się bezgłośnie w równie spopielalej twarzy i zakrzywione palce obu rąk wbite z całych sił w brzuch, jakby Książę chciał go sobie wydrzeć z ciała.

Powiedziałem Goinowi, że wrócę do kajuty Ottona za pięć minut – wróciłem po czterdziestu pięciu. Książę, czekając na ratunek znacznie dłużej niż Smithy, Oakley czy Gerran, dosłownie otarł się o śmierć, zabrnął w jej stronę tak daleko, że w pewnej chwili omal nie zaprzestałem swoich wysiłków, uznając jego stan za zupełnie beznadziejny. Ale on sam okazał się znacznie bardziej uparty niż ja, a jego chudy jak szczapa organizm jak z żelaza. Mimo to, bez niemal ciągłego sztucznego oddychania, bez zastrzyków pobudzających pracę serca, bez podawania obfitych ilości tlenu umarłby na pewno. A teraz miał na pewno żyć.

–Czy już po wszystkim? Już wszystko w porządku? – Otto Gerran mówił słabym, płaczkowym głosem i patrząc z boku musiałem przyznać, że ma do tego pełne prawo. Nie odzyskał jeszcze swego normalnego zabarwienia, wyglądał bardzo mizernie – na tyle, na ile człowiek o nalanej twarzy może tak wyglądać – i nie ulegało wątpliwości,

że ostatnie przeżycia zupełnie go wycieńczyły. Biorąc pod uwagę, że fatalna pogoda uniemożliwiła mu nakręcenie choćby skrawka taśmy, a teraz na dokładkę przez pokład przetoczyła się fala zatruc, Otto miał powody, by wierzyć, że los mu nie sprzyja.

–Raczej tak – odparłem. Biorąc pod uwagę, że miał na pokładzie kogoś mocno nieżyczliwego, kto lekką ręką szafował jedną z najskuteczniejszych niezwyklej trucizn, było to chyba jedno z najbardziej bezpodstawnych i optymistycznych zapewnień, jakie złożyłem w swoim życiu, ale coś przecież musiałem odpowiedzieć. – Gdyby były jeszcze jakieś ofiary, do tej pory musiałyby już wystąpić u nich objawy. A ja sprawdziłem wszystkich, co do jednego.

–Czy aby na pewno? – spytał kapitan Imrie. – A co z moją załogą? Oni jadają to samo co państwo.

–Nie pomyślałem o tym. – I rzeczywiście nie pomyślałem. Na skutek jakiejś umysłowej blokady albo zwykłej bezmyślności założyłem, bez żadnego uzasadnienia, że sprawa może dotyczyć wyłącznie członków ekipy filmowej. Kapitan Imrie posądzał mnie pewnie o to, że uważam członków jego załogi za ludzi drugiej kategorii, którzy w porównaniu z cenną i kosztowną ekipą Gerrana nie zasługiwali na zaprzątanie sobie nimi głowy. – To znaczy, nie wiedziałem – dodałem szybko – że jedzą to samo co my. A przecież powinno być to dla mnie oczywiste. Jeśli zechcą mnie panowie zaprowadzić...

W asyście ponuro milczącego pana Stokesa kapitan Imrie zaprowadził mnie do pomieszczeń mieszkalnych załogi. Składały się one z pięciu osobnych kajut – dwóch dla obsługi pokładu i po jednej dla: obsługi maszynowni, dwóch kucharzy, dwóch stewardów. Właśnie tę ostatnią odwiedziłem jako pierwszą.

Otworzyliśmy drzwi i po prostu skamienieliśmy w progu na zda się nieskończoną chwilę, która w istocie trwała ledwie kilka sekund – bezmyślne stworzenia, którym odebrało wszelką energię, mowę i zdolność ruchu. Ja najszybciej otrząsnąłem się z szoku i wszedłem do środka.

Odór był tak odrażający, że po raz pierwszy tej nocy mnie samego o mało nie chwyciły torsje. W całej kabinie panował nieopisany nieład i bałagan: przewrócone krzesła, porozrzucane ubrania, pościel i koce zerwane z obu koi, skotłowane, splątane, podarte i walające się w strzępach po całej podłodze. W pierwszej chwili odnosiło się nieodparte wrażenie, że stoczono tu walkę na śmierć i życie, ale zarówno Moxen, jak i Scot, ten ostatni niemal całkowicie ukryty pod strzępami prześcieradła, leżeli na tym poboju zaskakująco pogodnie i żaden nie nosił najmniejszych oznak użycia przemocy.

–Powiadam: wracamy, i to natychmiast! – Kapitan Imrie wyprostował się sztywno w

fotelu, jakby chciał przez to utwierdzić swe przywództwo nie tylko argumentacyjnie, lecz i fizycznie. – Pamiętajcie, panowie, że to ja jestem dowódcą tego statku, że to ja odpowiadam zarówno za pasażerów, jak i za załogę. – Wyjął z kutego w żelazie stojaka swoją butelkę i nalał sobie potężną porcję; odruchowo i bez specjalnego zdziwienia zauważyłem, że nie uczynił tego zbyt pewną ręką. – Gdybym miał na pokładzie tyfus albo cholera, natychmiast popłynąłbym do najbliższego portu, gdzie można uzyskać pomoc lekarską, i poddał się kwarantannie. Trzech zmarłych, czterech ciężko chorych... Nie sądzę, żeby tyfus czy cholera były gorsze od tego, co mamy na pokładzie „Róży Poranka”. Kto następny umrze? – Spojrzał na mnie niemal oskarżycielsko. Kapitan Imrie zdawał się hołdować dość uzasadnionemu skądinąd pogładowi, że to ja, jako lekarz, miałem obowiązek chronić życie i że ponieważ nie wywiązywałem się z tego obowiązku najlepiej, to, co się wydarzyło, było w znacznej części moją winą. – Doktor Marlowe przyznaje, że nie potrafi wyjaśnić przyczyn tej... tej śmiertelnej epidemii. Na Boga Ojca, przecież chyba już samo to powinno wystarczyć, żeby odwołać tę wyprawę!

–Do Wick mamy kawał drogi – odezwał się Smithy. Tak jak siedzący obok niego Goin okutany był w kilka koców i, tak jak Otto, wciąż jeszcze wyglądał dość kiepsko. – W tym czasie może się jeszcze wiele wydarzyć.

–Do Wiek, panie Smith? Ja nie myślę o Wiek. Do Hammerfest mogę zawinąć w dwadzieścia cztery godziny.

–Nawet szybciej – poparł kapitana pan Stokes. Pociągnął łyk rumu, zastanowił się i orzekł: – Przy wietrze i fali z lewego baksztagu i niewielkiej pomocy ze strony mojej maszynowni? W dwadzieścia godzin. – Zrachował jeszcze raz w pamięci swoje słupki i nie znalazł w nich żadnego błędu. – Zgadza się, w dwadzieścia godzin.

–Widzicie, panowie? – Kapitan Imrie przeniósł świdrujące spojrzenie swych niebieskich oczu ze mnie na Ottona. – W dwadzieścia godzin.

Po ustaleniu, że wśród załogi nie ma dalszych ofiar, kapitan Imrie dość apodyktycznie jak na siebie wezwał do jadalni Ottona Gerrana, a Otto z kolei posłał po swoich trzech współdziałowców, Goina, Heissmana i Strykera. Czwarty współnik, panna Haynes, spała głębokim snem, jak doniósł Stryker, co nie wydawało się wcale dziwne, wzięwszy pod uwagę środki nasenne, jakie jej zaaplikowałem. Hrabia dołączył do nas nie zaproszony, ale wszyscy traktowali jego obecność jako coś zupełnie naturalnego.

Powiedzieć, że w salonie jadalni panowała atmosfera paniki, byłoby przesadą, aczkolwiek wybaczną; stwierdzić natomiast, że atmosferę tę cechował niepokój, troska i poczucie niepewności, byłoby poważnym błędem z gatunku niedopowiedzeń. Największe zdenerwowanie okazywał chyba Otto Gerran, co wydawało się o tyle zrozumiałe, że to on właśnie miał najwięcej ze wszystkich obecnych do stracenia.

–Doceniam powody pańskiego niepokoju, kapitanie – odparł. – Pańska troska o nas wystawia panu jak najlepsze świadectwo. Uważam jednak, że ta troska czyni pana nadmiernie ostrożnym. Doktor Marlowe twierdzi, że ta... hm... epidemia z całą pewnością wygasła. Wyjdziemy na skończonych głupców, jeśli rzucimy się do ucieczki i zawrócimy, a tymczasem już nic więcej nam się nie przydarzy.

–Jestem za stary, panie Gerran – odparł kapitan Imrie – żeby przejmować się takimi rzeczami. Jeśli mam do wyboru wyjść na głupca albo odpowiadać za następną śmierć na pokładzie, to bez wahania wolę wyjść na głupca, nawet skończonego.

–Zgadzam się z panem Gerranem – odezwał się Heissman. Jego wygląd i głos zdradzały, że nadal jest w marnym stanie. – Zaprzepaścić wszystko, kiedy już tak blisko do Wyspy Niedźwiedziej, niewiele ponad dzień drogi... Niech pan nas tam wysadzi, a potem płynie sobie do Hammerfest, zgodnie z pierwotnym planem. W ten sposób dotrze pan tam w... powiedzmy, sześćdziesiąt godzin zamiast w dwadzieścia cztery. Cóż takiego miałyby zajść w ciągu tych dodatkowych trzydziestu sześciu godzin, co nie wydarzy się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech? Mamy stracić wszystko dla zyskania tych trzydziestu sześciu godzin tylko dlatego, że ktoś uległ panice?

–Ja nie ulegam panice, jak to pan określił. – Spokojna godność Imriego robiła wrażenie. – Zawsze...

–Nie mówiłem tego pod pana adresem – zarzekł się Heissman.

–...zawsze troszczę się przede wszystkim o ludzi, za których odpowiadam. Bo to ja za nich odpowiadam. Ja osobiście. I to do mnie należy decyzja w tej sprawie.

–Oczywiście, panie kapitanie, oczywiście – odezwał się Goin, jak zwykle niewzruszony, opanowany, chłodno rzeczowy. – Ale czy nie uważa pan, że w tych sprawach należy zachować umiar, zważyć wszystkie za i przeciw? Z jednej strony mamy zupełnie minimalną, zdaniem doktora Marlowe’a, szansę, by fala zatrucię miała się powtórzyć, z drugiej niemal pewność – nie, pójdę dalej i powiem: pewność niezbitą – że jeśli popłyniemy prosto do Hammerfest, czeka nas kwarantanna, i to Bóg raczy wiedzieć jak długa. Minie co najmniej tydzień, może nawet dwa, nim władze portu wydadzą nam zezwolenie na zejście na ląd. Wtedy będzie już za późno na cokolwiek, pozostanie nam tylko porzucić wszelką myśl o nakręceniu tego filmu i wrócić do domu. – Niecałą godzinę wcześniej Heissman ciskał najbardziej uwłaczające uwagi pod adresem władz umysłowych Gerrana, teraz jednak stanowczo poparł go przeciwko kapitanowi Imrie. A Goin robił właśnie dokładnie to samo. Obaj umieli pilnować swego interesu. – Straty, jakie poniesie wytwórnia, będą ogromne.

–Niech pan nie opowiada takich rzeczy, panie Goin – odparł kapitan Imrie. – Chce pan powiedzieć: straty, jakie poniesie towarzystwo ubezpieczeniowe, będą ogromne.

–Błąd – odezwał się Stryker, a ze sposobu, w jaki to zrobił, i tonu jego głosu wynikało jasno, że wszyscy członkowie rady nadzorczej Olympus Productions nade wszystko cenili sobie solidarność. – Wszyscy aktorzy i członkowie ekipy zdjęciowej są ubezpieczeni osobiście i każdy z osobna. Samego filmu, gwarancji jego szczęśliwego ukończenia, nie dało się ubezpieczyć, w każdym razie przy stawkach ubezpieczeniowych, jakich zażądano. My i tylko my poniesiemy stratę, a chciałbym dodać, że dla pana Gerrana, który ma o wiele większe udziały w firmie niż ktokolwiek z pozostałych, skutki będą rujnujące.

–Ogromnie mi przykro. – Kapitan Imrie zdawał się szczerze współczuć swym rozmówcom, ale ani przez moment nie sprawiał wrażenia człowieka, który miałby dać się odwieść od swego zamiaru. – Obawiam się jednak, że to już wasze, panowie, zmartwienie. Chciałbym też przypomnieć, panie Gerran, co pan sam powiedział dziś wieczorem. „Zdrowie”, powiedział pan, „zdrowie jest znacznie ważniejsze niż wszelkie zyski, jakie może nam przynieść ten film”. Czy nie sądzi pan, że to jest właśnie sytuacja, w której należałoby się pokierować tą zasadą?

–Bzdura – powiedział bez emocji Goin. Posiadał rzadki dar wypowiedzania obraźliwych w intencji stwierdzeń spokojnym, rzeczowym tonem, który dziwnie pozbawiał je całej obraźliwości. – Powiada pan, że pan Gerran użył słowa „zysk”. Pan Gerran oczywiście chętnie zrezygnowałby z każdego potencjalnego zysku, gdyby zaistniała tego potrzeba, i potrzeba ta wcale nie musiałaby być szczególnie poważna czy nagląca. Już nieraz mu się to zdarzało. – Klóciło się to nieco z obrazem Ottona, jaki sobie wyrobiłem, ale w końcu Goin znał go o wiele więcej lat niż ja dni. – Nawet bez zysku, wychodząc na zero, utrzymalibyśmy się jakoś na powierzchni. Zresztą w dzisiejszych czasach większość wytwórni filmowych na nic więcej nie może liczyć. Ale pan ani nikt z nas nie mówi tutaj o braku zysku. Mówimy o stracie, totalnej, nieodwracalnej stracie, wyrażającej się sześciocyfrową liczbą, stracie, która nas kompletnie zrukuje. Wspólnie zainwestowaliśmy w ten film naszą ostatnią koszulę, kapitanie Imrie, a pan tu mówi lekko o likwidacji naszej wytwórni, wysłaniu dziesiątków naszych techników – i ich rodzin – w kolejkę po zasiłek dla bezrobotnych i zniszczeniu, najprawdopodobniej nieodwracalnym, karier kilku bardzo obiecujących aktorów i aktorek. A wszystko to z powodu znikomego ryzyka – według doktora Marlowe’a, zupełnie znikomego ryzyka – że ktoś jeszcze może zachorować. Czy w całej tej sprawie nie zatracił pan aby właściwych proporcji, kapitanie Imrie?

Jeśli kapitan Imrie coś zatracił, to tego nie przyznał. W ogóle nic nie przyznał. Nie wyglądał na człowieka, który miałby zamiar popaść w głęboką zadumę nad tym zagadnieniem.

–Pan Goin dotknął samego sedna problemu – odezwał się Otto. – Samego sedna. Ale jest jeszcze jeden ważny aspekt tej sprawy, który chyba umknął pańskiej uwadze, kapitanie Imrie. Przypomniał mi pan, co powiedziałem wcześniej. Teraz ja pozwolę sobie przypomnieć, co wcześniej powiedział pan. Pozwolę sobie panu przypomnieć...

–A ja pozwolę sobie panu przerwać, panie Gerran – wszedłem mu w słowo. Aż za dobrze wiedziałem, co ma zamiar powiedzieć, i wysłuchanie tego teraz było ostatnią rzeczą, której bym sobie życzył. – Bardzo proszę, oto polubowne rozwiązanie, jeśli się panom spodoba. Pan chce płynąć dalej, podobnie jak panowie Goin i Heissman. I tak jak ja – choćby tylko dlatego, że moja reputacja jako lekarza zdaje się od tego zależeć. Tadeuszu?

–Nie ulega kwestii – odparł Hrabia. – Wyspa Niedźwiedzia.

–A pytać o to pana Smitha i pana Stokesa byłoby oczywiście nie na miejscu. Toteż proponuję...

–To nie jest parlament, panie Marlowe – przerwał mi Imrie. – Nawet nie rada miejska. Na statku decyzje nie podlegają referendum.

–Ani przez myśl mi to nie przeszło. Proponuję, żebyśmy sporządzili dokument. Proponuję zanotować w nim propozycje kapitana Imrie i opinie zainteresowanych. Proponuję ustalić, że jeśli zdarzy się choćby jeszcze jeden przypadek choroby, płyniemy natychmiast do Hammerfest, nawet gdyby nas to spotkało o milę od Wyspy Niedźwiedziej. Proponuję zanotować, że w świetle oficjalnego oświadczenia lekarza, iż nie istnieje już żadne zagrożenie dla życia i zdrowia załogi i pasażerów – które to oświadczenie sporządzą i podpiszą – kapitan Imrie zostaje zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności i nie ponosi żadnej winy za ewentualne tego zdrowia i życia narażenie. Jedyny obowiązek kapitana, z którego nie możemy go zwolnić, to troska o fizyczne bezpieczeństwo statku, a z takim zagrożeniem nie mamy do czynienia. Na koniec oświadczymy, że kapitan nie ponosi żadnej winy i odpowiedzialności za konsekwencje naszej decyzji. Nawigacja i dowodzenie statkiem pozostaje oczywiście całkowicie w pańskich rękach. I złożymy pod tym pięć naszych podpisów. Co pan na to, kapitanie Imrie?

–Zgoda. – Bywają sytuacje, w których nie należy zwlekać, i kapitan Imrie wyraźnie uznał, że obecna do nich należy. Moja propozycja była co najwyżej kulawym kompromisem, ale kompromisem, który go zadowalał. – A teraz, jeśli panowie zechcą mi wybaczyć... Muszę bardzo wcześnie wstać. Konkretnie o czwartej. – Ciekaw byłem, kiedy ostatni raz wstał o tej nieludzkiej godzinie. Na pewno jeszcze w czasach, kiedy prowadził połowy. Ale choroba pierwszego i bosmana stwarzały rzeczywiście wyjątkową sytuację. Spojrzał na mnie i powiedział: – Otrzymam ten dokument przy śniadaniu?

–Otrzyma pan. Czy po drodze do łóżka nie mógłby pan poprosić Haggerty'ego, żeby do mnie wpadł? Sam bym to zrobił, ale on ma chyba jakiś uraz do cywilów.

–Całe życie służby w marynarce pozostawia nawyki, których nie sposób się pozbyć w jedną noc. Zaraz?

–Powiedzmy za dziesięć minut. Do kuchni.

–Nadal prowadzi pan swoje śledztwo, czy tak? To co się stało, to nie pana wina, doktorze Marlowe.

Rzeczywiście nie moja, pomyślałem, więc przestańcie wreszcie patrzeć na mnie tak, jakbym to ja wszystkich otruł. Ale nic nie powiedziałem, tylko podziękowałem kapitanowi i życzyłem dobrej nocy, na co on pożyczył dobrej nocy nam wszystkim i wyszedł w towarzystwie Smithy’ego i pana Stokesa. Otto splótł ręce na piersi i rzucił mi spojrzenie rasowego prezesa rady nadzorczej,

–Jesteśmy panu winni podziękowania, doktorze Marlowe. To była świetna robota, znakomita propozycja uratowania twarzy. – Uśmiechnął się. – Nie przywykłem znosić bez szemrania, gdy ktoś mi przerywa, ale w tym wypadku było to usprawiedliwione.

–Gdybym panu nie przerwał, płynęlibyśmy już do Hammerfest. Chciał mu pan przypomnieć klauzulę kontraktu, która powiada, że kapitan ma wykonywać wszystkie pańskie rozkazy, z wyjątkiem takich, które mogłyby wystawić na niebezpieczeństwo sam statek. Chciał pan mu zwrócić uwagę, że ponieważ bezpieczeństwu samego statku nic nie zagraża, zatem z prawnego punktu widzenia zawrócenie z drogi równałoby się złamaniu kontraktu, dawałoby więc formalne podstawy do odmowy uiszczenia całej należności, a to z pewnością postawiłoby go na skraju bankructwa. Ale tacy ludzie stawiają pieniądze na dalekim, dalekim miejscu za poczuciem osobistej godności, a kapitan Imrie ma je mocno rozwinięte. Kazałby panu iść do diabła i skierował statek do Hammerfest.

–Powiedziałbym, że diagnoza naszego czcigodnego doktora jest w stu procentach trafna. – Hrabia znalazł gdzieś trochę koniaku i bez skrępowania pozwolił sobie się nim poczęstować. – O mały włos nie zawałiłeś sprawy, mój drogi chłopcze.

–Zgadza się – powiedział Gerran. – Wszyscy jesteśmy dłużnikami doktora Marlowe’a. – Jeśli prezesa rady nadzorczej nawet zirytowała poufałość ze strony kamerzysty, to zupełnie nie dał tego po sobie poznać.

–Darmowy bilet na premierę – odparłem – i jesteśmy kwita. – Z tym opuściłem obrady tego zacnego grona i objając się o ściany ruszyłem do części pasażerskiej statku. Allen i Mary kochanie tkwili nadal w saloniku, tyle tylko, że teraz złożyła głowę na jego ramieniu, i wydawało się, że śpi. Skinąłem Allenowi zdawkowo ręką, a on odwzajemnił mi się tym samym. Chyba zaczynał się przyzwyczajać do tego mojego kursowania w tę i z powrotem.

Wszedłem do kabiny Księcia bez pukania, żeby nie obudzić kogoś, kto mógłby w niej spać. I dobrze zrobiłem. Eddie, elektryk, nie tylko twardo spał, ale i głośno chrapał. Nie zrobiło widać na nim specjalnego wrażenia, że współlokator z kajuty

otał się o kosę kostuchy. Cecil Golightly nie spał, wyglądał bardzo blado i mizernie – co było zrozumiałe – ale nie sprawiał wrażenia cierpiącego, zapewne za przyczyną Mary Stuart. Równie blada jak on siedziała na brzegu łóżka i trzymała go za rękę, której na moje oko wcale nie miał zamiaru wyrwać. Przebiegło mi przez myśl, że może Mary Stuart ma więcej przyjaciół, niż jej samej i mnie się zdawało.

–Wielki Boże! – zawołałem. – Pani ciągle tutaj?

–Dlaczego to pana dziwi? Przecież kazał mi pan tu zostać i zaopiekować się Cecilem. A może już pan o tym zapomniał?

–Skądże znowu – skłamałem. – Zaskoczyło mnie tylko, że została tu pani tak długo, to wszystko. To bardzo miło z pani strony. – Spojrzałem na zwiniełego na swej koi Księcia. – No, jak tam? Lepiej?

–Znacznie, doktorze, znacznie, znacznie lepiej. – Głos, jakim to powiedział, ledwie wyduszony szept, tego nie potwierdzał, ale w końcu po przejściach ostatniej godziny trudno było oczekiwać czegoś innego.

–Chciałbym z panem chwilkę porozmawiać. Tylko kilka minut. Czuje się pan na siłach?

Skinął głową.

–To ja zostawię panów samych – powiedziała Mary droga i chciała wstać, ale powstrzymałem ją położeniem ręki na ramieniu.

–Nie ma potrzeby. Nie mamy z Księciem żadnych sekretów. – Spojrzałem na niego w sposób, z którego jak miałem nadzieję, można było wyczytać głęboki namysł. – Choć może być i tak, że Księżę ukrywa coś przede mną.

–Ja chciałbym coś ukrywać? – Cecil Golightly wydawał się szczerze zdumiony.

–Niech pan mi powie, kiedy poczuł pan bóle?

–Bóle? O wpół do dziesiątej. Może o dziesiątej. Coś koło tego, nie wiem dokładnie. – Pozbawiony przejściowo swego poczucia humoru i żywego dowcipu Księżę wyglądał naprawdę żałośnie. – Kiedy mnie to chwyciło, nie w głowie mi było patrzeć na zegarek.

–Jasne – przyznałem współczująco. – I po obiedzie nie brał pan już niczego do ust?

–Niczego. – Tym razem zabrzmiało to nawet dość stanowczo.

–Nawet maluśkiej kanapeczki? Widzi pan, Cecilu, mam nie lada problem. Czy panna

Stuart wspominała panu, że były jeszcze inne przypadki zatrucia? – Skinął głową. – No więc, zastanawiające jest to, że wszyscy pozostali rozchorowali się niemal natychmiast po jedzeniu, a w pańskim przypadku nastąpiło to dopiero po godzinie. Muszę przyznać, że wydaje mi się to bardzo dziwne. Jest pan zupełnie pewien, że nic pan nie jadł? Nic a nic?

–Panie doktorze! – spróbował zażartować. – Przecież pan mnie zna!

–Owszem i dlatego właśnie pytam. – Mary droga mierzyła mnie chłodnym, pełnym wyrzutu spojrzeniem, gotowa lada chwila spytać, czy nie widzę, że mam przed sobą chorego. – Widzi pan, wiem, że pozostali chorzy zatruli się czymś, co podano na obiad, i dlatego potrafię im pomóc. Ale pańska choroba musi mieć jakąś inną przyczynę. Nie mam pojęcia, jaką, a w związku z tym nie wiem, jak pana leczyć, dopóki zaś nie postawię diagnozy, nie mogę ryzykować kuracji na chybił trafił. Jutro rano będzie pan bardzo głodny, ale pański organizm musi mieć czas, żeby przyjść do siebie. Nie wolno panu jeść absolutnie niczego, co mogłoby wywołać jego reakcję. Tym razem mogłaby ona być tak gwałtowna, że nie zdołałbym już nic dla pana zrobić. W pana wypadku tylko czas może wystawić świadectwo zdrowia.

–Co to znaczy?

–Trzy dni o samej herbacie i sucharach.

Księżę nie zbladł jeszcze bardziej tylko dlatego, że było to już niemożliwe. Wyglądał jak rażony gromem.

–Herbata i suchary? – wychrypiał słabo. – Przez trzy dni?!

–Dla pańskiego własnego dobra, Cecilu. – Poklepałem go współczująco po ramieniu i zacząłem się zbierać do wyjścia. – Wszyscy chcemy, żeby znów stanął pan na nogach, i to jak najszybciej.

–Trochę mnie ssało w żołądku – wyznał Księżę żałośnie.

–Kiedy?

–Tuż przed dziewiątą.

–Tuż przed dziewiątą?! Pół godziny po skończeniu obiadu?!

–Właśnie wtedy ssie mnie najbardziej. Zajrzałem do kuchni, no i widzi pan, stał tam na ogniu rondel... Ale zdążyłem zjeść tylko jedną łyżkę! Usłyszałem, że nadchodzą ludzie i schowałem się do chłodni.

–I odczekał pan, aż sobie pójda?

–Przecież musiałem odczekać. – W głosie Księcia słyhać było urażoną godność. – Gdybym uchylił drzwi, choćby odrobinę, natychmiast by mnie zauważyli.

–A więc nie zauważyli pana. To znaczy, że odeszli. I co było potem?

–Wpieprzyli wszystko do ostatniej łyżeczki – powiedział z goryczą w głosie Książę.

–Na pana szczęście.

–Na szczęście?

–To byli Moxen i Scot, prawda? Stewardzi?

–Skąd... skąd pan wie?

–Uratowali panu życie.

–Co takiego?

–Zjedli to, co pan miał zamiar zjeść. I dlatego pan żyje. A oni obaj już nie.

Allen i Mary kochanie porzucili chyba swoje nocne czuwanie, bo w saloniku nie było żywego ducha. Do spotkania w kuchni z Haggertym zostało mi jeszcze pięć minut, pięć minut na pozbieranie myśli. Problem w tym, że aby zbierać, trzeba mieć co. W tej samej chwili usłyszałem kroki w korytarzyku i zorientowałem się, że ze zbierania nici. Próbując bezskutecznie poradzić sobie z dzikim kołysaniem „Róży Poranka”, Mary Stuart dotarła niepewnie do stojącego obok fotela i raczej się nań osunęła, niż w nim usiadła. Była szara na twarzy i wyglądała dość kiepsko, jeśli niezwykle piękna młoda kobieta w ogóle może kiepsko wyglądać. Powinienem był czuć się poirytowany, że zakłóca mi bieg myśli, to znaczy założywszy, że zdołałbym je skłonić do biegu, ale nie odkryłem u siebie nawet śladu podobnego uczucia. Zaczynałem sobie uświadamiać, choć jeszcze dość niejasno, że po prostu nie jestem w stanie żywić do tej Łotyszki żadnych uczuć, które by choć nieznacznie zatrącały o wrogość. Poza tym przyszła tu wyraźnie po to, żeby ze mną porozmawiać, co znaczyło, że liczyła na pomoc, pocieszenie albo zrozumienie, a tak dumnej, tak powściągliwej, tak bardzo zamkniętej w sobie dziewczynie bez wątpienia nie przyszło to łatwo. Sumienie nie pozwoliłoby mi jej tego utrudniać.

–Zmogło panią? – spytałem. Być może nie było to zbyt wyszukane zagajenie rozmowy, ale od lekarza nie oczekuje się wyszukanych manier. Skinęła głową. Splotała i rozplatała ręce tak mocno, że przez skórę przeświecały jej delikatnie kostki palców.

–Myślałem, że z pani dobry żeglarz. – Postąpiłem w myśl zalecenia: zastosuj lekkie podejście.

–To nie ma nic wspólnego z morzem. Porzuciłem metodę lekkiego podejścia.

–Mary droga, może poszłaby pani do łóżka i spróbowała się choć trochę przespać?

–No, wie pan! Trzech ludzi zatrulo się i umarło, a ja mam przyłożyć głowę do poduszki, natychmiast zasnąć i może jeszcze mieć cudowne sny, tak? – Nic nie odpowiedziałem, a ona dodała z kwaśną miną: – Przekazywanie złych wieści nie jest chyba pańską najmocniejszą stroną.

–Zawodowa gruboskórność. Nie przyszła tu pani po to, żeby karcić mnie za brak taktu. O co chodzi, Mary droga?

–Dlaczego mówi pan do mnie zawsze „Mary droga”?

–Czy to panią gniewa?

–Och, nie. Kiedy pan to mówi, nie. – W ustach każdej innej kobiety zabrzmiałoby to kokieteryjnie, ale teraz niczego podobnego nie wychwyciłem. Po prostu stwierdzenie faktu, nic więcej.

–Znakomicie. – Nie wiem, co chciałem powiedzieć przez to „znakomicie”. Może próbowałem dać jej poznać, jaki to jestem biegły w konwersacji. – No więc, o co chodzi?

–Boję się – odparła z prostotą.

No i proszę, bała się. Była zmęczona, wykończona, pielęgnowała czterech ciężko, bardzo ciężko zatrutych ludzi, dowiedziała się, że trzech innych, których znała osobiście, umarło, a arktyczny sztorm wokół nas szalał z taką gwałtownością, że tylko to wystarczyłoby, żeby zachwiać najbardziej nieustraszonymi, a ona wyznaje nieśmiało, że się boi. Ale nie podzieliłem się z nią żadną z tych myśli.

–Wszyscy się czasami boimy, Mary.

–Pan też?

–Ja też.

–Teraz się pan boi?

–Teraz nie. Czego tu się bać?

–Śmierci. Choroby i śmierci.

–Ja muszę żyć ze śmiercią, Mary. Nienawidzę jej, oczywiście że tak, ale jej się nie boję. Gdybym się bał, byłbym do niczego jako lekarz. Nie sądzi pani?

– Źle się wyraziłam. Ze śmiercią mogę się pogodzić. Ale nie wtedy, kiedy uderza na oślepa, a człowiek wie, że wcale nie jest taka ślepa. Tak jak w tym wypadku. Uderza na chybił trafił, bez zastanowienia, bez sensu i powodu, a przecież wiadomo, że jakiś sens i powód musi być. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Rozumiałem doskonale.

– Nawet kiedy wspinam się na szczyty intelektu – odparłem – metafizyka nie jest moją najmocniejszą stroną. Być może kostucha rzeczywiście zaczęła kogoś wybierać, ale jestem zbyt zmęczony...

– Ja nie mówię o metafizyce. – Zaciśniętymi rękami wykonała gest wyrażający niemal złość. – Na tym statku dzieje się coś bardzo niedobrego, doktorze Marlowe.

– Bardzo niedobrego? – Bóg jeden wiedział, że podpisałbym się pod tym obiema rękoma. – A co konkretnie, Mary droga?

– Nie będzie się pan śmiać, doktorze Marlowe? – spytała z głęboką powagą. – Nie uzna pan tego za przywidzenia głupiej kobiety?

Musiałem odpowiedzieć bez chwili zwłoki, toteż okrężnie, lecz z namysłem odparłem:

– Nie mógłbym pani obrażać, Mary droga. Za bardzo panią lubię.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się nieznacznie, ale czy uradowana moimi słowami, czy rozbawiona, nie mogłem odgadnąć. – Pozostałych też pan tak lubi?

– Czy pozostałych też tak...?

– Czy atmosfera na statku nie jest zastanawiająca? Czy ludzie, którzy ją tworzą, nie wydają się panu bardzo dziwni?

Odzyskałem grunt pod nogami.

– Musiałbym urodzić się ślepy i głuchy, żeby tego nie zauważyć – odparłem ze szczerością. – Człowiek cały boży dzień odpiera ledwie zawoalowane ataki wrogości, przebija się łokciami przez ściany napięcia, brnie przez zdradliwe prądy i wiry, a jednocześnie – jeśli wybaczy mi pani pomieszczenie metafor – próbuje osłonić oczy przed ciągłymi snopami iskier, które sypią się wkoło, gdy wszyscy naraz usiłują kuć swoje własne żelazo. Wszyscy są przerażająco mili dla wszystkich, oczywiście do chwili, gdy uda im się kogoś zwieść do tego stopnia, by nieopatrznie odsłonił plecy. Otto Gerran, nasz szacowny pracodawca, nie może się nachwalić swoich współników, Heissmana, Goina, Strykera i swojej drogiej córeczki, ale wystarczy, żeby odeszli na stronę, a już wiesz na nich psy. Należałoby to uznać za rzecz

zupełnie niewybaczalną, gdyby nie fakt, iż Heissman, Stryker i droga córeczka rewanżują się dokładnie tym samym nie tylko jemu, ale także sobie nawzajem. Te same małostkowe zawiści, tę samą patentowaną obłudę, takich samych przyjemniaczków z nożami za pazuchą ma pani także wśród ostatnich członków ekipy filmowej, co bynajmniej nie znaczy, że sami uważają się za coś pośledniejszego od Gerrana i jego kumpli. Słowa „kumple” używam tu, rozumie pani, niezupełnie w ścisłym jego znaczeniu. Ażeby wszystko do reszty zagmatwać, mamy tu czarujące wzajemne powiązania między obiema grupami. Książę, Eddie Harbottle, Halliday, Hendricks i Sandy serdecznie nie cierpią tego, co można by nazwać kierownictwem, a kierownictwo odpłaca im pięknym za nadobne. Na dodatek wszyscy razem mają chyba jakąś anse do naszego nieszczęsnego reżysera, Neala Divine’a. Pewnie, że to widzę, trzeba by być kompletnym tumanem, żeby tego nie dostrzec, ale przymykam oczy, składając to w dziewięćdziesięciu procentach na karb normalnego, zdrowego obrabiania sobie siedzeń, tak nieodłącznie związanego ze światem filmu. Łgarzy, oszustów, pochlebców, hochsztaplerów, naciągaczy i hipokrytów wszędzie jest pełno, tyle tylko, że środowisko filmowe działa chyba jak potężnie zniekształcająca lupa. Wybiera i uwypukla wszystkie co bardziej niepożądane cechy, jednocześnie ignorując te pożądane, w najlepszym razie pomniejszając je do tego stopnia, że aż trzeba się domyślać ich istnienia.

–Nie ma pan o nas zbyt wygórowanego mniemania, prawda?

–Skąd to pani przyszło do głowy?

–Więc wszyscy jesteście źli? – Zignorowała moją uwagę.

–Nie wszyscy. Pani nie. Ani druga Mary, ani Allen... ale to może dlatego, że jesteście za młodzi albo zbyt krótko przebywacie w tym środowisku, by przyswoić sobie obowiązujące w nim standardy zachowania. Jestem pewien, że i Charles Conrad należy do aniołów.

–Chce pan przez to powiedzieć, że podobnie myślicie? – Znów ten nieznaczny uśmiech.

–Owszem. Zna go pani choć trochę?

–Kłaniamy się sobie.

–Powinna go pani lepiej poznać. On na pewno by tego chciał. Lubi panią, tak powiedział. Nie, nie rozmawialiśmy o pani. Pani nazwisko padło wśród kilkunastu innych.

–Pochlebca. – Powiedziała to nieokreślonym tonem i nie mogłem się zorientować, czy mówiła miło o Conradzie, czy też ironicznie o mnie samym. – To znaczy, że pan się ze mną zgadza? Że w panującej tu atmosferze jest coś bardzo dziwnego?

–Oceniając według normalnych kryteriów, tak.

–Według każdego kryterium. – W jej głosie zadźwięczała zaskakująca pewność. – Nieufność, podejrzliwość, zawiść... Człowiek wprawdzie spodziewa się je znaleźć w naszym nieprzyjemnym świecie, ale nie na taką skalę, z jaką się tu spotykamy. Niech pan nie zapomina, że ja coś wiem na ten temat. Urodziłam się w kraju komunistycznym. Rozumie pan?

–Owszem. Kiedy pani uciekła?

–Dwa lata temu. Dopiero dwa lata temu.

–Jak?

–Bardzo proszę. Może ktoś jeszcze zechce skorzystać z tej drogi.

–A ja oczywiście jestem na żołdzie Kremla. Jak pani sobie życzy.

–Obraził się pan? – Potrząsnąłem głową. – Nieufność, podejrzliwość, zawiść, doktorze Marlowe. Ale tu mamy coś więcej, znacznie więcej. Tu jest nienawiść i strach. Ja... ja to czuję w powietrzu. A pan?

–Pani chodzi o coś konkretnego, Mary droga, tylko zmierza pani do tego niezwykle okrutną drogą. Wolałbym, żeby od razu przeszła pani do sedna. – Spojrzałem na zegarek. – Nie chciałbym być wobec pani niegrzeczny, ale nie chciałbym też być niegrzeczny wobec kogoś, kto na mnie czeka.

–Kiedy ludzie się nienawidzą i boją się siebie nawzajem, mogą się dziać straszne rzeczy. – To nie wymagało potwierdzenia, więc zachowałem milczenie, a ona ciągnęła dalej: – Mówi pan, że te choroby, te śmierci są skutkiem przypadkowego zatrucia. Ale czy tak jest naprawdę, doktorze Marlowe? Czy tak jest naprawdę?

–A więc to do tego tyle czasu pani zmierzała? Uważa pani... uważa pani, że mogła to być czyjaś robota, że ktoś mógł to zrobić z przemyśleniem... Czy tak? – Miałem nadzieję, że wyraźnie słyszy w moim głosie, iż ta myśl dopiero teraz po raz pierwszy powstała mi w głowie.

–Już sama nie wiem, co myśleć. Ale owszem... tak właśnie sędzę.

–Kto?

–Kto? – Spojrzała na mnie z miną, która wyrażała chyba prawdziwe zdumienie. – A skąd mam to wiedzieć? Pewnie każdy.

–Jako rzecznik oskarżenia wzbudziłaby pani sensację. No więc, jeśli nie kto, to

dłaczego?

Zawahała się, odwróciła wzrok, ponownie na mnie zerknęła, po czym wbiła oczy w podłogę.

–Tego też nie wiem.

–To znaczy, że swoją niewiarygodną sugestią opiera pani wyłącznie na instynkcie wyrobionym pod rządami komunistów?

–Fatalnie to wyłożyłam, prawda?

–Tu nie ma co wyklądać, Mary. Niech pani po prostu prześledzi fakty, a sama się pani zorientuje, jaka to niedorzeczna sugestia. Choroba dotknęła siedmiu nie mających ze sobą nic wspólnego ludzi, powaliła ich zupełnie na chybił trafił. Chyba że może mi pani podać przyczynę, dla której ofiarą powinna paść właśnie grupa tak bardzo różnorodna, składająca się z producenta filmowego, fryzjera, pomocnika operatora, pierwszego oficera, bosmana i dwóch stewardów. Czy potrafi pani wyjaśnić, dlaczego jedni z nich przeżyli, a inni zmarli? Czy potrafi pani wyjaśnić, dlaczego dwie ofiary spożyły tę truciznę w potrawach podanych na obiad w jadalni, dwie w kuchni, a jedna, Księżę, albo tu, albo tu? Potrafi pani?

Potrząsnęła głową, pszeniczne włosy opadły jej na oczy, a ona pozwoliła im tam zostać. Może nie chciała na mnie patrzeć, a może nie chciała, żebym ja patrzył na nią.

–Po dzisiejszym dniu – podjąłem – dano mi jasno do zrozumienia, że moja zawodowa reputacja legła w gruzach, ale skłonny jestem postawić wszystko, co z niej jeszcze pozostało, i dołożyć, co tylko sobie pani życzy, że to hurtowe zatrucie było zupełnie przypadkowe i że nikt na pokładzie „Róży Poranka” nie miał zamiaru, ochoty ani nadziei otruć tych siedmiu ludzi. – Co wcale nie było równoznaczne z twierdzeniem, że nikt na pokładzie „Róży Poranka” nie jest winien tej tragedii. – Chyba że mamy wśród siebie szaleńca. Zresztą może sobie pani mówić, co chce, o naszych współtowarzyszach podróży – już to pani zresztą zrobiła – można ich uznać za... hm... indywidualistów, ale żaden z nich nie jest psychopatą. A w każdym razie psychopatycznym mordercą.

Nie spojrzała na mnie ani razu i, nawet kiedy skończyłem mówić, nadal prezentowała rai czubek swojej głowy. Podniosłem się, zatoczyłem do fotela, w którym siedziała, uczepliłem się jedną ręką oparcia, palcem zaś drugiej dotknąłem jej podbródka. Wyprostowała się i odgarnęła włosy z oczu, wielkich orzechowych oczu, nieruchomych i nadal przepelnionych strachem. Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem, ale wyraz jej oczu nie uległ zmianie. Odwróciłem się i wyszedłem z saloniku.

Byłem całe dziesięć minut spóźniony na spotkanie w kambuzie, a ponieważ Haggerty dał mi już nad wyraz jasno do zrozumienia, że pedantycznie przestrzega zasad dobrego wychowania, spodziewałem się zastać go w nastroju z pogranicza oziębłej dezaprobaty i wrzenia z wściekłości. Okazało się jednak, że uwagę Haggerty'ego zaprzętają bliższe i pilniejsze sprawy. Zbliżając się do kuchni od strony składziku stewardów, usłyszałem burzliwą i gniewną wymianę zdań. A konkretnie podniesiony i gniewny głos Haggerty'ego.

Właściwie była to nie tyle wymiana zdań, co monolog. Prowadzący go Haggerty był purpurowy z gniewu, a jego błękitne jak bławatki oczy ciskały ognie. Drugą stroną tej bardzo jednostronnej dyskusji miał nieszczęście być Sandy, nasz rekwizytor. Milcząca akceptacja, z jaką przyjmował wiadro wylewanych mu na głowę obelg, wynikała nie tyle z braku czegoś do powiedzenia, co z braku powietrza. W pierwszej chwili pomyślałem, że Haggerty zaciska swą ogromną dłoń na cienkiej szyi Sandy'ego, ale już w następnej zorientowałem się, że zaciska tylko obie kłapy jego marynarki naraz, co wychodziło mniej więcej na to samo. A że Sandy był o połowę mniejszy od naszego głównego kucharza, niewiele mógł na to poradzić. Popukałem Haggerty'ego w ramię.

–Udusi pan tego człowieka – powiedziałem łagodnie. Haggerty obejrzał się na moment przez ramię i powrócił do duszenia. Wciąż łagodnym tonem ciągnąłem dalej: – To nie jest okręt marynarki wojennej, a ja nie jestem oficerem żandarmerii, więc nie mogę panu wydawać rozkazów. Ale każdy sąd uzna mnie za wiarygodnego świadka i chyba nikt nie będzie podważał moich zeznań, kiedy zostanie pan oskarżony o napad i pobicie. To może pana kosztować oszczędności całego życia.

Haggerty spojrzał na mnie ponownie i tym razem nie odwrócił wzroku. Z ociąganiem puścił kołnierz mikrogo rekwizytora i po prostu stał dalej, piorunując mnie wzrokiem i dysząc ciężko, jakby nagle odjęło mu mowę.

Sandy'emu za to przywróciło. Pomasował sobie gardło, żeby sprawdzić, czy nie zmieniło się w krwisty befsztyk, po czym obrzucił Haggerty'ego wieloma nie nadającymi się do druku inwektywami.

–Widzisz? – wykrzykiwał. – Sam słyszałeś, ty tłusty pawianie! Będzie na ciebie sąd! Napad z pobiciem, stary, to cię będzie drogo...

–Zamknij się – powiedziałem zmęczonym głosem. – Nic nie widziałem, on cię nawet nie tknął palcem. Ciesz się, że nadal możesz oddychać. – Spojrzałem na Sandy'ego z namysłem. Właściwie go nie znałem, praktycznie nic o nim nie wiedziałem. Nie byłem nawet pewien, czy go lubię czy nie. Pozostawał dla mnie anonimowy jak Allen czy świętej pamięci Antonio. Jeśli miał nawet jakieś nazwisko, to chyba nikt go nie znał. Twierdził, że jest Szkotem, ale mówił silnym akcentem z Liverpoolu. Był dziwnym, niewyrośniętym zasuszonym karłem o pomarszczonej orzechowobrazowej twarzy i

głowie – na jej szczycie lśniła mu wielka łysina – i strąkach białych włosów, które zaczynały mu się na wysokości małżowin usznych i opadały nie czesaną płataniną na chude ramiona. Miał rozbiegane oczka niezwykle podobne do oczu łasicy, choć to akurat porównanie nie byłoby sprawiedliwe; mógł to być efekt noszenia okularów, które sobie upodobał, bez oprawek, ze stalowymi zausznikami. Pod wpływem ginu, a ulegał temu wpływowi częściej niż rzadziej, miał skłonność twierdzić, że nie tylko nie zna dnia swych urodzin, ale nie wie nawet, w którym roku one nastąpiły. Umiejscawiał to wydarzenie w okolicy lat 1919-1920. W zgodnej pokładowej opinii dobrze poinformowanych, nie nazbyt w tym wypadku bezlitosnej, datę tę należałoby cofnąć do roku 1900.

Dopiero w tej chwili zauważyłem na podłodze kilka puszek sardynek i sardeli i jedną większą wołowiny.

–O proszę! – powiedziałem. – Nocny marek znów uderza!

–Co to ma znaczyć? – spytał podejrzliwie Haggerty.

–Musiał pan poskąpić naszemu przyjacielowi odpowiedniej dokładki przy obiedzie – odparłem.

–To nie było dla mnie! – Pod wpływem napięcia głos Sandy’ego przeszedł w podniesiony pisk. – Przysięgam! Widzi pan...

–Powinienem wyrzucić tego pokurcza za burtę. To zwykły mały szemrany złodziejasek. Wystarczy się odwrócić, a drań już tu jest, już mu we łbie te jego złodziejskie sztuczki. A na kogo spadnie wina za kradzież, no, na kogo? Kto będzie musiał się rozliczyć przed kapitanem z brakujących zapasów? Kto będzie musiał pokryć stratę z własnej kieszeni? I komu obetną pensję za to, że nie zamykał kambuza na klucz? – W trakcie tych rozważań nad niesprawiedliwością życia Haggerthy’emu ciśnienie znów wyraźnie skoczyło. – I pomyśleć – dodał z goryczą – że zawsze ufałem swoim bliźnim. Powinienem mu być skrócić kark.

–No cóż, teraz już za późno – zauważyłem racjonalnie. – Nie może pan ode mnie, lekarza, oczekiwać krzywoprzysięstwa w sądzie. A poza tym, nic się nie stało, niczego nie skradziono. Nie ma pan żadnych strat do pokrycia z własnej kieszeni, więc po co się narażać kapitanowi? – Spojrzałem na Sandy’ego, a potem na puszki na podłodze. – Czy to wszystko, co pan chciał ukraść?

–Przysięgam na Boga...

–Och, niechże pan przestanie – przerwałem mu w pół słowa, a zwracając się do Haggerty’ego spytałem: – Gdzie on był i co robił, kiedy pan tu wszedł?

–Co robił? Węszył tym swoim długim nochalem po lodówce! Oto co robił! Złapałem

go na gorącym uczynku.

Otworzyłem drzwiczki wielkiej lodówki. Wypełniona była niemal po brzegi tylko kilkoma rodzajami podstawowych produktów. Masło, sery, pasteryzowane mleko, bekon, konserwy mięsne. To wszystko.

–Niech no pan tu podejdzie – poleciłem Sandy’emu. – Chcę sprawdzić, co pan ma w kieszeniach.

–Chce pan sprawdzić, co mam w kieszeniach?! – Wybawiony zrzędzeniem Opatrzności z opałów i już pewien, że nikt nie zostanie powiadomiony o jego postępkach, Sandy odzyskał nagle całą pewność siebie. – Za kogo pan się, u diabła, ma? A może pan jest gliną, co?

–Tylko zwykłym lekarzem. Lekarzem, który próbuje odkryć, dlaczego dziś w nocy zmarło troje ludzi. – Sandy rozdziawił usta, rozbiegane oczka za szklami okularów zrobiły się zupełnie okrągłe i utkwione we mnie wreszcie znieruchomiały. – Nie wiedział pan, że Moxen i Scot, nasi stewardzi, nie żyją?

–Ano, słyszałem. – Przesunął językiem po wargach. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

–Tego nie wiem, jeszcze.

–Nie może mnie pan w to wrobić! O czym pan w ogóle mówi? – Po całej wojowniczości Sandy’ego nie zostało śladu ni popiołu. – Ja nie mam z tym nic wspólnego!

–Trzech ludzi zmarło, a czwarty był już jedną nogą w grobie. Przyczyną ich śmierci było zatrucie pokarmowe. Cała żywność na statku pochodzi z kuchni. Interesuję się zatem ludźmi, którzy bez pozwolenia tu zagląдают. – Przeniosłem wzrok na Haggerty’ego. – Chyba jednak powinniśmy poprosić tu kapitana.

–Nie! Rany boskie! – Sandy był bliski paniki. – Pan Gerran mnie zabije!

–Proszę tutaj. – Podeszedł do mnie, porzucając wszelką myśl o stawianiu oporu. Przeszukałem go dokładnie, ale nie znalazłem jedynego narzędzia, za którego pomocą mógłby zatruć żywność w lodówce, czyli strzykawki z igłą. – Co pan miał zamiar zrobić z tymi konserwami? – spytałem.

–To nie było dla mnie. Już wam mówiłem. Po co mi tyle puszek? Ja jadam tyle, co pół zdechłej myszy. Niech pan spyta, kogo chce. Każdy panu powie.

Nie musiałem nikogo pytać. Mówił prawdę. Tak jak Lonnie Gilbert, w uzupełnianiu dziennej dawki kalorii polegał głównie na produktach zakładów gorzelniczych. Ale te

mięśne konserwy mogły mu służyć do zmylenia tropu, do odwrócenia uwagi, na wypadek, gdyby ktoś go przyłapał, co się właśnie stało. – Jeśli nie dla pana, to dla kogo?

–Dla Księcia. To znaczy Cecila. Byłem u niego przed chwilą. Skarżył się, że jest głodny. To znaczy, nie. Skarżył się, że będzie głodny, bo na trzy dni skazał go pan na same suchary i herbatę.

Wróciłem pamięcią do swojej rozmowy z Księciem. Te suchary i herbata miały mi posłużyć wyłącznie do wyduszenia z niego informacji. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zapomniałem odwołać swoją groźbę. Ta część wyjaśnień Sandy’ego musiała być prawdą.

–I to Księżę poprosił pana o zdobycie zapasu żywności?

–Nie.

–Powiedział mu pan, że coś pan dla niego załatwi?

–Nie. Chciałem mu zrobić niespodziankę. Chciałem zobaczyć jego minę, kiedy wrócę z konserwami.

Impas. Mógł mówić prawdę, równie dobrze jednak mógł wykorzystywać tę historyjkę jako przykrywkę dla bardziej niecnych działań. Nie potrafiłem tego rozstrzygnąć i miałem małą szansę, że kiedykolwiek mi się to uda.

–Niech pan wraca do swego przyjaciela, Księcia, i powie mu, że od śniadania może znowu jeść to, co wszyscy – powiedziałem.

–To znaczy... że mogę odejść?

–Jeśli pan Haggerty nie będzie się upierał przy składaniu skargi.

–Nie poniżyłbym się do tego. – Haggerty chwycił wielką łapą za kołnierz Sandy’ego i zacisnął go wystarczająco mocno, żeby mały rekwizytor zapiszczał z bólu. – Jeszcze raz cię przyłapię w pobliżu mojego kambuza, a nie skończy się to na łapaniu za kark. Ja ci ten pieprzony kark skręcę. – Odprowadził go do drzwi, wyrzucił za nie – dosłownie – i wrócił. – Według mnie za łatwo pan mu to puścił płazem.

–Ten człowiek nie jest wart pańskich nerwów, panie Haggerty. Pewnie mówił prawdę, co oczywiście wcale go nie tłumaczy. Czy po kolacji dla pasażerów Moxen i Scot zjedli swą kolację tutaj?

–Jak co wieczór. Kelnerzy jadają zwykle przed gośćmi, ale ci dwaj woleli na odwrót.

Teraz, kiedy Sandy zniknął mu już z oczu, Haggerty sprawiał wrażenie człowieka wytrąconego z równowagi i mocno zatroskanego. Utrata dwóch stewardów musiała być dla niego poważnym ciosem i pewnie z tego właśnie powodu tak gwałtownie zareagował na obecność Sandy'ego.

–Sądzę, że wytropiłem źródło zatrucia. Przypuszczam, że chrzan był zakażony pewnymi bardzo niesympatycznymi żyjątkami, zwanymi *clostridium botulinum*, beztlenowymi bakteriami występującymi powszechnie w ziemi ogrodowej. – Nigdy nie słyszałem o takim zakażeniu, co wcale nie znaczyło, że nie mogło się ono zdarzyć. – Nie rzuca to na pana najmniejszego cienia. Te bakterie są zupełnie nie do wykrycia ani przed, ani w czasie, ani po gotowaniu. Czy jeszcze pozostało coś z kolacji?

–Trochę. Przygotowałem garnek dla Moxena i Scota, a resztę odłożyłem.

–Odłożył pan?

–Do wyrzucenia. Było tego za mało, żeby jeszcze jakoś wykorzystać.

–A więc wszystko poleciało za burtę. – Kolejne drzwi zamknęły się przede mną.

–W taką noc? A gdzież tam! Odpadki pakuje się w plastikowy worek, w worku robi się dziurki i wyrzuca za burtę, ale dopiero rano.

–Chce pan powiedzieć, że te resztki nadal tu są? – Drzwi ponownie się uchyliły.

–Jasne. – Ruchem głowy wskazał plastikowy kosz przymocowany do ściany motylkowymi śrubami. – Tam.

Podszedłem do kosza i uniosłem wieko.

–Chce pan zrobić analizę? – spytał Haggerty.

–Taki właśnie miałem zamiar. To znaczy, zatrzymać próbki do analizy. – Opuściłem wieko. – Ale nie da się tego zrobić. Kosz jest pusty.

–Pusty? Za burtę... przy takiej pogodzie? – Haggerty podszedł i zupełnie niepotrzebnie sam sprawdził kosz. – A niech mnie kule biją! W dodatku to wbrew przepisom.

–Może to pański pomocnik...

–Charlie? Ten leń i obibok? Mowy nie ma. A poza tym dziś ma wolne. – Haggerty potarł ręką siwiejącą szczecinę na głowie. – Bóg jeden raczy wiedzieć, czemu to zrobili, ale to musiał być Moxen albo Scot.

–No tak – odparłem. – To musiał być któryś z nich.

Byłem tak zmęczony, że mogłem jedynie myśleć o koi w mojej kajucie. Dopiero kiedy znalazłem się w tej kajucie i spojrzałem na nagą koję, przypomniałem sobie, że wszystkie koce zabrano dla Smithy'ego i Oakleya. Nie wiedzieć czemu, spojrzałem na stolik, gdzie zostawiłem podręczniki toksykologii, które wcześniej wertowałem, i całe zmęczenie opuściło mnie jak ręką odjął.

„Toksykologia sądowa”, która dostarczyła mi informacji o akonitynie, leżała wciśnięta w narożnik listwy okalającej blat stołu, rzucona tam jednym z gwałtownych przechyłów „Róży Poranka”. Przymocowana do grzbietu książki jedwabna wstążka zakładki leżała niemal cała na blacie, co samo w sobie nie byłoby niczym dziwnym, gdyby nie fakt, że doskonale pamiętałem moment pieczołowitego zaznaczania nią strony z fragmentem, który czytałem.

Ciekawe, kto już wiedział, że czytałem rozdział o akonitynie.

Rozdział 5

Moja kajuta przestała mi nagle odpowiadać jako miejsce do spania. Ekscentryczny magnat żeglugowy, który kompletnie wybebeszył „Różę Poranka” i przystosował ją do potrzeb pasażerów, musiał czuć potężną awersję do zamków u drzwi, ponieważ zaś dysponował odpowiednimi środkami, dał tej awersji stosowny wyraz. Mogła to być po prostu zwykła fobia, choć równie dobrze skutek przekonania, że zbyt wielu ludzi straciło niepotrzebnie życie na morzu zatrzasnąwszy się w swoich kabinach w chwili tonięcia statku – co istotnie było prawdą. Tak czy inaczej kajut na „Różę Poranka” nie można było zamknąć od wewnątrz ani na klucz, ani na zasuwkę, bo tych też nie było.

Uznałem, że moje miejsce jest w salonie. O ile zapamiętałem, u styku ścian stała tam obszerna narożna kanapa, w której kąt mogłem się wygodnie wklinać, zabezpieczając sobie jednocześnie plecy. Skrzynia pod kanapą mieściła wspaniałą zestaw grubych wełnianych pledów; jeszcze jeden spadek po poprzednim właścicielu, jak te pozbawione zamków drzwi. Co najważniejsze, jadalnia była jasno oświetlonym miejscem publicznym, gdzie nawet o tak późnej porze w każdej chwili mógł wejść któryś z pasażerów i gdzie nikt nie zdołałby się zakraść i zaskoczyć mnie zniemacka. Oczywiście wszystkie te środki bezpieczeństwa zdałyby się psu na budę, gdyby ktoś okazał się do tego stopnia nieżyczliwy, by kropnąć mnie na pewniaka przez szybę jednego z dużych okien jadalni. Pewne pocieszenie stanowił fakt, że tajemniczy złoczyńca czy złoczyńcy do tej pory nie posunęli się do jawnego użycia przemocy, ale przecież nie było żadnych gwarancji, że tego nie zrobią. Dlaczego, u diabła, wydawcy publikacji naukowych nie pójdą w ślady prestiżowej Encyclopaedia Britannica i nie dadzą sobie spokoju z wszelkimi zakładkami?

W tym momencie przypomniałem sobie, że wychodząc z jadalni zostawiłem tam radę nadzorczą Olympus Productions obradującą w najlepsze na sesji plenarnej. Ile czasu upłynęło od tej pory? Dwadzieścia minut, nie więcej. Jeszcze dwadzieścia i teren powinien być wolny. Nie żebym żywił w stosunku do któregoś z tej czwórki jakieś konkretne podejrzenia. Po prostu, mogło im się wydać dziwne, że wolę spędzić tę noc na kanapie w salonie, dysponując zupełnie wygodną kajutą.

Trochę pod wpływem niewytłumaczonego impulsu, a trochę dla zabicia czasu postanowiłem zajrzeć do Księcia, sprawdzić jego samopoczucie, obietnicą przywrócenia od śniadania normalnej diety zapewnić mu spokojną noc i przy okazji wy badać, czy Sandy mówił prawdę. Kabina Księcia była trzecia po lewej. Drzwi drugiej po prawej stały otworem, rozwarte pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Zajmowała ją nasza piękna Łotyszka. Mary Stuart była wewnątrz, ale nie spała. Z szeroko otwartymi oczami i rękami splecionymi na kolanach siedziała na krześle wciśniętym między stół i koję.

–A to co znowu? – spytałem. – Zabawia się pani w nocnego stróża?

–Nie chce mi się spać.

–A te otwarte drzwi? Czekają pani na kogoś?

–Skądże znowu. Po prostu nie da ich się od wewnątrz zamknąć.

–I nigdy się nie dawało. Drzwi w kabinach w ogóle nie mają zamków.

–Wiem. Ale nie zwracałam na to uwagi. Aż do dzisiaj.

–Chyba... chyba nie przyszło pani go głowy, że ktoś mógłby się zakraść i wykończyć panią we śnie? – spytałem tonem człowieka, któremu nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że może mu się coś podobnego przytrafić.

–Już sama nie wiem, co myśleć. Dobrze się czuję, nic mi nie będzie. Bardzo pana proszę.

–Ciągłe jeszcze się pani boi? – Pokręciłem głową. – A wstyd! Niech pani pomyśli o swojej imienniczce, Mary kochanie. Ona nie boi się sama spać.

–Wcale nie jest sama.

–Jak to? Hm, no cóż, żyjemy w czasach tolerancji i pobłażliwości.

–Jest z Allenem. W świetlicy.

–Ach tak. No to dlaczego pani do nich nie dołączy? Jeśli czuje się pani zagrożona, to przecież razem raźniej.

–Nie chciałabym grać roli... jak to się mówi...? aha, przyzwoitki.

–Banialuki! – odparłem i poszedłem do Księcia. Nabrał już trochę kolorów i wyraźnie przychodził do siebie. Spytałem, jak się czuje.

–Podle – odparł, rozcierając brzuch.

–Nadal boli?

–Raczej ssie. Z głodu.

–Dziś już ani kęsa. Jutro, kiedy wróci pan do sił, damy spokój sucharom i herbacie. A przy okazji... Wysyłanie Sandy'ego, żeby pobuszował w kuchni, nie było najmądrzejszym pomysłem. Haggerty przyłapał go na gorącym uczynku.

–Sandy’ego? Do kuchni? – Jego zdziwienie nie było udawane. – Ja go nigdzie nie wysyłałem.

–Ale Sandy na pewno wspomniał, że się tam wybiera.

–Ani słowem. Niech mnie pan w to nie wrabia.

–Nikt nikogo w nic nie wrabia. Musiałem go źle zrozumieć. Może po prostu chciał panu zrobić niespodziankę. Mówił coś, że czuł się pan wygłodniały.

–Zgadza się, rzeczywiście mu tak powiedziałem. Ale jak Boga Kocham...

–W porządku, nic się nie stało. Dobranoc.

Ruszyłem w drogę powrotną i znowu minąłem otwarte drzwi kajuty Mary Stuart. Spojrzała na mnie, ale nie odezwała się, więc i ja zachowałem się tak samo. Wróciwszy do siebie, spojrzałem na zegarek. Upłynęło dopiero pięć minut, pozostało jeszcze piętnaście. Raczej mnie szlag trafi, pomyślałem, niż będę tyle czekał. Znowu opadło mnie zmęczenie, zmęczenie tak wielkie, że lada chwila mogłem zasnąć na stojąco. Niemniej potrzebny mi był jakiś pretekst, żeby pójść do salonu. Zapędziłem słabnący gwałtownie mózg do jego wymyślenia i w kilka sekund znalazłem rozwiązanie problemu. Otworzyłem swoją lekarską walizeczkę i wyjąłem z niej jedną z ważniejszych pozycji w spisie jej zawartości – formularze świadectwa zgonu. Trzy. Nie wiadomo dlaczego przeliczyłem, ile ich jeszcze zostało: dziesięć. Czyli razem trzynaście. Na szczęście nie byłem przesądny. Włożyłem formularze i kilka kartek okrętowej papeterii z niezwykle imponującym nagłówkiem – poprzedni właściciel wyraźnie nie lubił się rozdrabniać – do podręcznego neseserka.

Otworzyłem drzwi od kajuty na całą szerokość, żeby mieć trochę światła, sprawdziłem, czy korytarz jest pusty i szybko wykręciłem żarówkę z lampy na suficie. Upuściłem ją kilka razy na podłogę, z coraz większej wysokości, aż potrząsnąwszy nią przy samym uchu usłyszałem charakterystyczne pobrzękiwanie zerwanego włókienka. Wkręciłem bezużyteczną już teraz żarówkę z powrotem, podniosłem z podłogi neseserek, zamknąłem drzwi i udałem się na mostek.

Pośpiesznie przemykając górnym pokładem i schodami sterówki stwierdziłem, że pogoda nie poprawiła się ani na jotę. Odniosłem niejasne wrażenie, że chyba tylko trochę mniej kołysze, ale może był to skutek potwornego zmęczenia, pod którego wpływem nie byłem już w stanie precyzyjnie odbierać doznań. Jedno natomiast nie ulegało żadnej wątpliwości: niemal poziomo siekący śnieg zgęstniał do tego stopnia, że światło na maszcie zmieniło się w rozmazaną iskierkę tylko sporadycznie rozbłyskującą w ciemności nad głową.

Siedzący za kołem sterowym Allison więcej czasu poświęcał ekranowi radaru niż kompasowi, co przy panującej widoczności wydawało się zupełnie zrozumiałe.

–Czy wie pan, gdzie kapitan trzyma listę załogi? – spytałem. – W swojej kabinie?

–Nie. – Obejrzał się przez ramię. – W szafie z mapami, o, tam. – Zawahał się. – A po co panu ta lista, doktorze?

Wyjąłem z nesesera formularze świadectwa zgonu i przysunąłem je do lampki nad kolumną kompasu. Allison zacisnął usta.

–W górnej szufladzie, po lewej.

Znalazłem listę, wpisałem nazwiska, adresy, wiek, miejsce urodzenia, wyznanie i nazwiska najbliższych krewnych obu zmarłych, odłożyłem księgę na miejsce i zszedłem do jadalni. Od czasu, kiedy zostawiłem w niej Gerrana, jego trzech wspólników i Hrabiego, minęło pół godziny, a cała piątka nadal siedziała przy tym samym stole, pilnie studiując zawartość rozłożonych przed nimi teczek w kartonowej oprawie. Na blacie leżała ich cała sarta, jeszcze kilka zaścierało podłogę, niewątpliwie zrzuconych gwałtownymi przechyłami statku. Hrabia spojrzał na mnie sponad kieliszka; pojemność jego żołądka mierzona ilością pochłoniętego koniaku wprawiała w osłupienie.

–Ciągle jeszcze na nogach? Naprawdę zaharowuje się pan dla nas, mój drogi. Jeszcze trochę i zaproponuję, żeby dokooptować pana do składu naszej rady.

–Ma pan przed sobą szewca, który woli pilnować swego kopyta. – Przeniosłem wzrok na Gerrana. – Przepraszam za najście, ale muszę wypełnić kilka formularzy. Jeśli przeszkadzam panom w jakiejś poufnej naradzie...

–Zapewniam pana, że nie dzieje się tu nic poufnego. – Odpowiedzi udzielił mi Goin. – Przeglądamy głównie scenopis zdjęć na najbliższe dwa tygodnie. Jutro dostaną go wszyscy aktorzy i członkowie ekipy. Chce pan jeden egzemplarz?

–Z przyjemnością, ale dopiero kiedy skończę. Niestety wysiadło u mnie światło, a przy zapałce kiepsko się pisze.

–Właśnie wychodziliśmy. – Otto nadal był szary na twarzy i wyglądał na zmęczonego, ale okazał się dość twardy, by zmusić swój organizm do funkcjonowania nawet wtedy, gdy ten odmówił posłuszeństwa. – Chyba nam wszystkim przyda się odrobina porządnego snu.

–Jako lekarz właśnie to bym panom zaordynował. Czy mogą jednak panowie wstrzymać się z odejściem jeszcze pięć minut?

–Jeśli to konieczne, oczywiście.

–Obiecaliśmy kapitanowi Imrie rękojmię, gwarancję czy jak go tam zwał, zwalnającą

go z wszelkiej odpowiedzialności w wypadku, gdyby nasza tajemnicza epidemia pociągnęła za sobą dalsze ofiary. Kapitan chce ją otrzymać przy śniadaniu i to już podpisaną. A ponieważ ma zamiar wstać o czwartej rano i śniadanie zje pewnie odpowiednio wcześnie, myślę, że wygodniej panom będzie podpisać tę gwarancję już teraz.

Skinieniami głów wyrazili zgodę. Usiadłem przy pobliskim stole i najładniejszym charakterem pisma, na jaki mnie było stać – to znaczy ledwie czytelnie – oraz w najlepszym prawniczym żargonie – czyli prawie bełkocie – sporządziłem oświadczenie o przejęciu pełnej odpowiedzialności, które według mnie powinno załatwić sprawę. Tamci chyba też tak uważali albo po prostu byli tak zmęczeni, że już nic ich nie obchodziło, bo ledwie rzuciwszy okiem na moje dzieło, podpisali je jak jeden mąż. W tym także Hrabia, a ja nie mrugnąłem nawet okiem. Do tej pory ani przez myśl mi nie przeszło, że Hrabia może należeć do tych wysokich dyrektorskich sfer. Sądziłem, iż co bardziej wzięci operatorzy, a Hrabia bez wątpienia był jednym z najlepszych w swojej branży, niejako z założenia muszą być wolnymi strzelcami, a co za tym idzie, nie są stosownymi kandydatami na stanowiska członków rady nadzorczej jakiejś jednej wytwórni filmowej. Tłumaczyłoby to jednak w pewnym stopniu brak należytego szacunku, jaki Hrabia okazywał Gerranowi.

–A teraz do łóżek. – Goin odsunął się z krzesłem od stołu. – Pan też, doktorze?

–Jak tylko wystawię świadectwa zgonu.

–Niemily obowiązek. – Podał mi jedną z teczek. – Może to pana potem trochę rozerwie.

Kiedy brałem od niego scenopis, Gerran dźwignął się na nogi z tym samym co zwykle ogromnym wysiłkiem.

–A te pogrzeby... Te pogrzeby na morzu. O której się je urządza, doktorze Marlowe?

–Zwyczajowo o pierwszym brzasku – odparłem. Otto przymknął oczy z miną cierpiętnika. – Po tym, co pan przeszedł, panie Gerran, radziłbym panu je sobie darować. Niech pan jak najdłużej jutro wypoczywa.

–Naprawdę tak pan uważa? – Potwierdziłem skinieniem głowy. Maską cierpienia zniknęła z jego twarzy. – Zastąpisz mnie, John?

–Oczywiście – odparł Goin. – Dobranoc, doktorze. Dzięki za okazaną współpracę.

–Tak, tak, dziękuję, bardzo dziękuję – dorzucił spiesznie Otto. Wyszli chwiejnie całą gromadką, a ja wyjąłem i wypełniłem formularze świadectwa zgonu. Włożyłem je do jednej koperty, oświadczenie do drugiej – w samą porę przypomniałem sobie, żeby

złożyć na nim także swój podpis – obie zakleiłem i zaadresowałem do kapitana Imrie. Następnie zniosłem je na mostek, chcąc poprosić Allisona, żeby oddał kapitanowi, kiedy ten pojawi się tam o czwartej rano. Allisona nie zastałem. Zamiast niego na wysokim stołku za kołem sterowym siedział okutany po uszy Smithy. Nie trzymał koła, które od czasu do czasu obracało się to w jedną, to w drugą stronę, jakby z własnej woli, i wzmacnił oświetlenie sterówki. Był blady, miał wielkie cienie pod oczami, ale nie wyglądał już na chorego. Zasób sił żywotnych tkwiący w tym człowieku był wręcz niesamowity.

–Automatyczny pilot – wyjaśnił prawie wesoło – i jasno jak w domu. Co komu ze ślepienia w ciemności, kiedy widoczność równa zeru?

–Powinien pan być w łóżku – powiedziałem lakonicznie.

–Właśnie stamtąd przybyłem i zaraz tam się udaję. Pierwszy oficer Smith niezupełnie jeszcze przyszedł do siebie i jest tego całkowicie świadom. Wpadłem tylko na chwilę sprawdzić naszą pozycję i zluzować Allisona na kawę. A poza tym liczyłem, że może tu pana spotkam. W kajucie pana nie zastałem.

–No i spotykamy się. W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

–W sprawie niejakiego Otarda-Dupuy – odparł. – Jak pan się na to zapatruje?

–Pozytywnie. – Smithy zsunął się ze stołka i podszedł do znanej mi już szafki. – Ale przecież nie przeczesywał pan statku tylko po to, żeby zaproponować mi kieliszek koniaku.

–Nie. Szczerze mówiąc, próbowałem nad tym i owym pogłównkować. Ale główka nie ta. Gdybym był w tym dobry, na pewno nie marnowałbym się na tej łajbie. No i pomyślałem, że może pan mi pomoże. – Wręczył mi kieliszek.

–Dobrana by z nas była para – odparłem. Skwitował to przelotnym uśmiechem.

–Trzech zmarłych i czwarty o mało co trup. Zatrucie pokarmowe. To znaczy, niby czym?

Powtórzyłem mu tę samą opowieść o beztlenowych bakteriach, którą uraczyłem Haggerty'ego. Ale Smithy to nie Haggerty.

–To chyba jakaś ogromnie wybredna trutka. Powala A i go zabija, a nie tyka B, powala C, lecz go nie zabija, ale omija D i tak dalej. A przecież wszyscy jedliśmy dokładnie to samo.

–Trucizny są powszechnie znane z tego, że z nimi nigdy nic nie wiadomo. Sześć osób na pikniku je dokładnie tę samą zakażoną żywność. Trzy lądują w szpitalu, a

reszta nie poczuje nawet mdłości.

–Zgoda, jedni mają bóle brzuszka, a inni nie. Ale to całkiem co innego niż powiedzieć, że jakaś trucizna, tak silna, że może zabić, zabić gwałtownie i szybko, na kogoś zupełnie nie podziała. Nie jestem lekarzem, ale nikt mi tego nie wmówi.

–Mnie też wydaje się to nieco dziwne. I do jakich wniosków pan doszedł?

–Że to nie było zatrucie, tylko otrucie. Rozmyślne.

–Rozmyślne? – Pociągnąłem kolejny łyk Otarda-Dupuy, zastanawiając się, na ile mogę zawierzyć Smithy’emu. Tylko trochę, uznałem, przynajmniej na razie. – Jasne, że rozmyślne – powiedziałem. – Dla naszego truciciela nie ma nic prostszego. Bierze torebkę trucizny, a do tego, oczywiście, swoją czarodziejską różdżkę. Macha różdżką, robi się niewidzialny i przemyka bezszelestnie między stołami w jadalni. Szczypta dla Ottona, dla mnie nic, szczypta dla pana, szczypta dla Oakleya, ale ani grama dla, powiedzmy, Heissmana i Strykera, dwie szczypty dla Antonia, dla dziewcząt ani ani, szczypta dla Księcia, po dwie dla Moxena i Scota, i tak dalej. Dość nieobliczalny i kapryśny facet z tego naszego niewidzialnego przyjaciela. Czy też może nazwałby go pan wybrednym?

–Nie wiem, jak bym go nazwał – odparł trzeźwo Smithy. – Ale wiem, jak nazwać pana. Jest pan nieszczerym, obłudnym, przewrotnym facetem, który o wiele za gorliwie, jak na mój gust, próbuje zamydlić mi oczy. Oczywiście nie chciałem pana urazić.

–Jasne.

–Według mnie, jest pan nie w ciemię bity. Nikt mi nie wmówi, że ta myśl nie zaświtała panu nawet w głowie.

–Zaświtała, ale właśnie dlatego, że rozważałem ją znacznie dłużej niż pan, musiałem tę hipotezę odrzucić. Bo gdzie motywy, gdzie środki i sposobność popełnienia takiego czynu? Nie sposób ich się tu doszukać. Każdy lekarz wezwany do przypadkowego zatrucia musi na wstępie założyć, że nie było ono wcale przypadkowe. Nie wiedział pan o tym?

–A więc czuje się pan usatysfakcjonowany?

–Jak najbardziej.

–No tak... – mruknął i umilkł na chwilę. – Czy pan wie, że w kabinie radiowej mamy nadajnik obejmujący swym zasięgiem niemal całą północną półkulę? Mam przecucie, że już wkrótce przyjdzie nam go użyć.

–A do czegoż, u licha?

–Do wezwania pomocy.

–Pomocy?

–Pomocy. Widzi pan, pomoc to coś takiego, czego człowiek potrzebuje, kiedy znajdzie się w tarapatach. Myślę, że już teraz by nam się przydała. A jeszcze jakiś zabawny wypadek i będę tego pewien jak cholera.

–Bardzo mi przykro – powiedziałem – ale zupełnie za panem nie nadążam. A poza tym Anglia znajduje się kawał drogi stąd.

–Ale atlantyckie siły NATO nie. Prowadzą morskie manewry gdzieś w pobliżu Przylądka Północnego.

–Jest pan świetnie poinformowany.

–Warto być dobrze poinformowanym, kiedy się rozmawia z kimś, kto po trzech tajemniczych zgonach twierdzi, że jest jak najbardziej usatysfakcjonowany, gdy ja tymczasem jestem pewien, że nikt nie powinien zaznać chwili spokoju, nie mówiąc już o satysfakcji, dopóki nie wyjaśni się dokładnie ich przyczyny. Przyznałem, że nie jestem wyjątkowym bystrzakiem, ale odrobinę inteligencji jednak posiadam. I coś mi się zdaje, że ma pan o niej zbyt niskie mniemanie.

–Wręcz przeciwnie. Pan natomiast ma chyba zbyt wysokie o mojej. Dzięki za Otarda-Dupuy.

Podszedłem do przeszklonych drzwi od strony sterburty. „Róża Poranka” nadal kołysała się i huśtała, drżała i dygotała, brnąc mozolnie na północ przez rozszalałe morze, ale w dole nie widać już było szarpanych wiatrem fal. Znaleźliśmy się w świecie pozbawiającej zdolności widzenia, zajadle wirującej bieli, świecie śniegowej ciemności, zaczynającym się i kończącym ledwie na wyciągnięcie ręki. Spojrzałem na skrzydło pokładu mostkowego i w bladej poświacie padającej z okien sterówki zobaczyłem na śniegu ślady stóp. Tylko jednej pary, tak ostro zarysowane i wyraźne, jakby ktoś odcisnął je dosłownie przed kilkoma sekundami. Ktoś tu był – przez moment nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości – ktoś tu był i podsłuchiwał moją rozmowę ze Smithym. Dopiero w następnej chwili dotarło do mnie, że są to moje własne ślady, nie zasypane ani nawet odrobinę nie zatarte, bo brezentowa osłona mostka chroniła pokład u mych stóp przed zacinającym śniegiem. Spać, pomyślałem, spać natychmiast, bo przez brak snu, męczące wydarzenia ostatnich godzin, czysto fizyczne wyczerpanie fatalną pogodą i ponure proroctwa Smithy’ego zaczyna mi się zwidywać. Wyczułem, że Smithy stanął obok mnie.

–Pan jest ze mną szczery, doktorze Marlowe?

–Oczywiście. A może to ja, według pana, jestem tą niewidzialną Lukrecją Borgią, która chyłkiem przemyka po statku i sypie sobie szczyptę tu, szczyptę tam?

–Nie, nie pan, ale też nie jest pan ze mną szczery – powiedział z przygnębieniem. – Może pewnego dnia pan tego pożałuje.

I pewnego dnia pożałowałem tego, bo gdybym wtedy zaufał Smithy’emu, nie musiałbym go zostawić na Wyspie Niedźwiedziej – już na zawsze.

Wróciwszy do jadalni, zabrałem ze stołu teczkę, którą dał mi Goin, i przeniosłem się na kanapę. Znalazłem sobie ciepły pled, uznałem, że na razie nie jest mi potrzebny, i ulokowałem się w samym narożniku, kładąc nogi na kręconym krześle. Bez specjalnego zainteresowania wziąłem do ręki tekturowy skoroszyt i rozważałem właśnie, czy go otworzyć, gdy uchyliły się drzwi od zawietrznej i stanęła w nich Mary Stuart. Opatulona była w grube tweedowe palto, jej potargane pszeniczne włosy oblepiały płatki śniegu.

–A więc tu pan jest. – Zatrzasnęła głośno drzwi i spojrzała na mnie prawie z wyrzutem.

–Tu – potwierdziłem.

–Nie było pana w kajucie. I zepsuło się tam światło. Wie pan o tym?

–Wiem. Miałem coś do napisania i dlatego właśnie tu przyszedłem. Czy coś się stało?

Przebiegła chwiejnym krokiem salon i osunęła się ciężko na ławeczkę pod przeciwległą ścianą.

–Nic poza tym, o czym pan już wie. – Powinna się bliżej zaprzyjaźnić ze Smithym. Jedno warte było drugiego. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym tu została?

Mogłem być odpowiedzieć, że to, czy mam coś przeciwko, czy nie, nie ma żadnego znaczenia, że salon jadalni jest w takim samym stopniu mój co jej, ale wyglądała na stworzenie z rodzaju nieco przewrażliwionych, toteż uśmiechnąłem się tylko i odparłem:

–Poczułbym się dotknięty, gdyby zostawiła mnie tu pani samego. Skwitowała to krótkim uśmiechem, owinęła się szczelniej tweedowym płaszczem i usadowiła najwygodniej, jak mogła, zabezpieczając się podparciem obu rąk przed gwałtownymi skokami „Róży Poranka”. Przymknęła oczy i wtedy cień długich, czarnych rzęs padł na jej wilgotne, blade policzki, silnie uwydatniając ostro i wysoko zarysowane kości jarzmowe, dziedzictwo po słowiańskich przodkach.

Patrzeć na Mary Stuart nie było katogą, ale im dłużej jej się przyglądałem, tym bardziej czułem się nieswojo. Przyczyną tego były nie tyle jej zwariowane przywidzenia czy potrzeba towarzystwa, co wyraźna niewygodna, jaką cierpiała próbując zachować równowagę na wąskiej ławeczce, gdy ja leżałem rozwalony wygodnie w samym rogu wielkiej kanapy. Nie ma nic gorszego, niż czuć się dobrze i musieć patrzeć na kogoś, komu jest wyraźnie źle, chyba że żywi się do tej osoby silną animozję. W takim wypadku można oczywiście czerpać z tego znaczną przyjemność. Ja jednak nie żywiłem do siedzącej naprzeciw mnie dziewczyny ani animozji, ani niczego w tym rodzaju. Żeby nasilić we mnie poczucie winy, zaczęła nieopanowanie drżeć.

–Proszę – powiedziałem. – Będzie pani znacznie wygodniej na moim miejscu. Może pani także wziąć ten pled.

–Nie, dziękuję. – Otworzyła oczy.

–Tych pledów jest tu cała masa – powiedziałem prawie ze złością. Nic szybciej nie wyzwala we mnie najgorszych instynktów, niż widok łagodnie uśmiechniętego cierpienia. Wziąłem pled, zrobiłem na rozkołysanej podłodze kilka dwukroków z fokstrota i szczelnie ją nim otuliłem. Spojrzała na mnie z powagą, ale nic nie powiedziała.

Wróciwszy w kątek kanapy, ponownie wziąłem do ręki teczkę od Goina, zamiast jednak czytać, pograżyłem się w rozmyślaniach o swojej kajucie i w spekulacjach, kto podczas mojej nieobecności mógł ją odwiedzić. Mary Stuart, ale sama mi o tym powiedziała, a fakt, że siedziała tu, potwierdzał powód tych odwiedzin. Albo przynajmniej zdawał się potwierdzać. Mówiła, że się boi, że czuje się samotna, toteż naturalną koleją rzeczy pragnęła czyjegoś towarzystwa. Tylko dlaczego mojego? Dlaczego nie, powiedzmy, Charlesa Conrada, który był o niebo młodszy, sympatyczniejszy i urodziwszy ode mnie? Albo nawet towarzystwa któregoś z jego dwóch kolegów, Günthera Jungbecka albo Jona Heytera, także bardzo przystojnych facetów? Może chciała być ze mną z zupełnie innego powodu? Może mnie obserwowała, pilnowała, może pełniła przy mnie coś w rodzaju warty, dając komuś sposobność do odwiedzenia w tym czasie mojej kajuty... Z niezwykłą ostrością uświadomiłem sobie nagle, że mam tam rzeczy, których wolałbym nikomu nie pokazywać.

Odłożyłem teczkę i ruszyłem do drzwi. Otworzyła oczy i uniosła głowę.

–Dokąd pan wychodzi?

–Nie dokąd, tylko skąd. Stąd.

–Przepraszam. Ja tylko... Wróci pan?

–To ja przepraszam. Nie jestem ordynusem – skłamałem – tylko ślaniem się ze zmęczenia. Idę na dół. Zaraz wracam.

Skinęła głową i odprowadziła mnie spojrzeniem do samych drzwi. Zamknąłem je za sobą, odczekałem w bezruchu jakieś dwadzieścia sekund nie zważając na zbłąkane podmuchy śnieżycy, które nawet tu, po zawietrznej, z wyraźnym upodobaniem wciskały mi się za kołnierz i w nogawki spodni, po czym przeszedłem szybko kilka kroków i zerknąłem w szklaną taflę dużego okna. Siedziała tam, gdzie ją zostawiłem, tyle że teraz oparła łokcie na kolanach, twarz ukryła w dłoniach i wolno kiwała głową z boku na bok. Dziesięć lat wcześniej jednym susem znalazłbym się z powrotem w salonie, chwycił ją w ramiona i przekonał, że już po wszystkich kłopotach. Ale teraz byłem dziesięć lat starszy, toteż rzuciłem tylko na nią okiem, zastanawiając się, czy przewidziała, że zajrzę przez okno, po czym zszedłem na pokład pasażerski.

Było już po północy, ale widać pora zamknięcia barku w saloniku jeszcze nie nastąpiła, bo Lonnie Gilbert, z heroicznym uporem lekceważąc straszliwy gniew Ottona, którym ten musiał wybuchnąć po wykryciu przestępstwa, otworzył na oścież przeszklone drzwiczki szafki z trunkami i zablokował je haczykami, a sam ukrył się za barem, z butelką whisky w jednej ręce i syfonem wody sodowej w drugiej. Rozpromienił się w ojcowskim uśmiechu, kiedy przechodziłem, a ponieważ wyjaśnianie Lonniemu, że lepsze gatunki whisky nie potrzebują anemicznego wsparcia wody sodowej, wydało mi się spóźnione o ładnych parę lat, skinąłem mu tylko głową i zszedłem na dół.

Jeśli ktoś odwiedził moją kajutę i przetrząsnął bagaż, to zrobił to niezwykle ostrożnie. Na tyle, na ile mogłem sobie przypomnieć, wszystko było tak jak zostawiłem, niczego nie ruszono, ale też człowiek z pewnym doświadczeniem rzadko zostawia po sobie ślady. Obie moje walizki miały na wiekach płócienne kieszenie z wciągniętą gumką. Przytrzymując wieka jak najbardziej poziomo, w każdej z kieszeni umieściłem małą monetę, wsuwając ją dokładnie pod gumkę, po czym zamknąłem walizki. Mimo szaleńczych podrygów kutra monety powinny pozostać na swych miejscach, unieruchomione naciskiem ubrań. Wystarczyłoby jednak otworzyć walizkę i ów nacisk zwolnić, a następnie choćby trochę wieko unieść, aby monety ześliznęły się na samo dno kieszeni. Następnie zamknąłem swój kuferek medyczny – znacznie większy i cięższy niż zwykła walizeczka lekarska lecz przecież i wyposażony był znacznie zasobniej – i wystawiłem go na korytarz. Zamknąłem za sobą drzwi, starannie wciskając między nie a framugę wypaloną papierową zapałkę. Gdyby ktoś te drzwi choćby tylko odrobinę uchylił, zapałka musi wypaść.

Kiedy dotarłem z powrotem do saloniku, Lonnie nadal stał na posterunku. Przestało mnie to już dziwić.

–Aaa! – Spojrzał ze zdumieniem na swoją pustą szklaneczkę i nieomylną ręką sięgnął za siebie. – Nasz dobrodziej uzdrowiacz ze swą czarodziejską walizeczką.

Śpieszymy na ratunek cierpiącej ludzkości? Jakaś nowa i paskudna epidemia, czy tak? Stary wuj Lonnie jest z pana dumny, chłopcze, naprawdę dumny. Ten hipokratesowy duch... – Urwał tylko po to, żeby natychmiast podjąć dalej. – A skoro już przy tym jesteśmy, skoro, jak mógłby to ktoś ująć, mimochodem zatrąciliśmy o ten temat... temat ducha... „Hipokreny splonionej świeżością”* [*L Keats „Oda do słowika”, tłum. J. Pietrkiewicza.]... Może przypadkiem zechciałby pan wychylić ze mną czarkę eliksiru, który mam tu pod ręką...?

–Dziękuję, Lonnie, ale nie. Proponuję natomiast, żeby poszedł pan spać. Jeśli to dłużej się przeciągnie, jutro nie wstanie pan z łóżka.

–I o to właśnie, drogi chłopcze, w tym wszystkim chodzi. Wcale nie chcę jutro wstawać z łóżka. Pojutrze? No cóż, jeśli będę musiał, stawię czoło pojutrze. Zwracam panu jednak uwagę, iż uczynię to bez ochoty, zdążyłem się już bowiem przekonać, że każde jutro przygnębiająco przypomina każde dziś. A jeśli o jakimś dziś można powiedzieć co dobrego, to tylko tyle, że w danym momencie taka to a taka jego część bezpowrotnie już minęła... – Zawiesił głos w podziwie nad płynnością swej wymowy i natychmiast podjął dalej: -...bezpowrotnie minęła, jak powiadam, i z każdą następną chwilą zostaje go coraz mniej. Ale jutro zawsze wisi nad nami całe. Niech pan tylko pomyśli: cały długi, ciągnący się w nieskończoność dzień. – Uniósł napełnioną ponownie szklaneczkę. – Ludzie piją na ogół, żeby zapomnieć o przeszłości. Ale niektórzy z nas, bardzo, bardzo nieliczni – a ponieważ nieskromnie byłoby powiedzieć, że przerastamy swych bliźnich inteligencją, zdolnością przewidywania i pojmowania, powiem po prostu, iż jesteśmy inni – więc niektórzy z nas, jak powiadam, piją, żeby zapomnieć o przyszłości. Zapyta pan: jak można zapomnieć o przyszłości? Po pierwsze wymaga to nabrania wprawy. I oczywiście odrobiny wsparcia. – Wychylił whisky jednym haustem i zaczął recytować:

„Ciągłe to jutro, jutro i znów jutro,

Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia,

Aż do ostatniej głoski czasokresu...”* [*W. Szekspir „Makbet”, tłum. J. Paszkowskiego.]

–Lonnie – przerwałem mu – pan nie ma w sobie nic z Makbeta.

–Utrafił pan w samo sedno. Nie mam. Tragiczna postać, człowiek pogrążony w smutku, dążący do samozagłady, skazany na zatracenie. A ja... Ja jestem zupełnie inny. My, Gilbertowie, jesteśmy ludźmi nieposkromionego charakteru, nieugiętego ducha. Bardzo poważam Szekspira, ale moim typem jest Walter de la Mare. – Podniósł szklaneczkę do oczu, zezując na nią krótkowzrocznie pod światło. – „Patrz niby raz ostatni na całe piękno każdej chwili”* [*W. de la Mare „Farewell” tłum. J. Szeniawskiego.]

–Nie wydaje mi się, żeby w tym właśnie sensie to napisał, Lonnie. Tak czy inaczej, oto prośba i polecenie lekarza: niech pan stąd wreszcie znika. Otto każe pana ćwiartować i włóczyć koźmi, jeśli pana tu nakryje.

–Otto? Wie pan co? – Pochylił się ku mnie, jakby chciał w tajemnicy mi się z czegoś zwierzyć. – Otto to bardzo porządny facet. Lubię go. Zawsze był dla mnie dobry, naprawdę. Większość ludzi ma dobre serce, mój drogi chłopcze, nie wiedział pan o tym? Większość ludzi. Wielu ma nawet bardzo dobre. Ale nikt nie ma tak dobrego jak Otto. Pamiętam, jak...

Urwał, widząc, że obchodzę wokół bar i zbieram butelki. Odstawiłem je na miejsce, zamknąłem drzwiczki szafki, wrzuciłem mu pęk kluczy do kieszeni szlafroka i ująłem pod ramię.

–Nie chcę pozbawić pana środków niezbędnych do życia – wyjaśniłem – nie jestem bezwzględny ani nie próbuję moralizować. Ale jestem człowiekiem wrażliwym i wolałbym nie być w pobliżu, kiedy się pan przekona, że pańska ocena charakteru Ottona była w stu procentach mylna.

Lonnie ruszył ze mną bez szmeru sprzeciwu. Gdzieś w kajucie musiał mieć ukryty awaryjny zapasik alkoholu. Na rozhuśtanych schodach spytał:

–Pewnie uważa pan, że pędzę na tamten świat na gazie do dechy, co?

–Nic mnie nie obchodzi, jak pan prowadzi swoje auto, jeśli tylko nie potrąci pan nikogo po drodze.

Wszedł chwiejnie do swojej kajuty, usiadł ciężko na koi i natychmiast zdumiewająco zwinnie przeskoczył w bok. Mogłem się tylko domyślać, że usiadł na butelce szkockiej. Spojrzał na mnie w zadumie i spytał:

–Niech pan mi powie, chłopcze, czy według pana w rajach mają barki?

–Na ten temat nic mi, niestety, nie wiadomo.

–No tak, no tak... Miło spotkać lekarza, który nie uważa się za źródło całej mądrości. Może pan już odejść, drogi chłopcze.

Spojrzałem na Neala Divine'a, pogrążonego w spokojnym śnie, i jeszcze raz na Lonniego, który wyraźnie nie mógł się doczekać, aż zostanie sam, i opuściłem kabinę.

Mary Stuart siedziała, jak ją zostawiłem; podparta na swej ławeczce sztywno wyprostowanymi rękami, kurczowym chwytem zaciśniętych palców próbowała przeciwdziałać silniejszym teraz dziobowym przechyłom „Róży Poranka”. Kołysanie

boczne wyraźnie natomiast osłabło, z czego wywnioskowałem, że wiatr nadal zmienia kierunek na północny. Spojrzała na mnie dużymi orzechowymi oczami, które w jej niehumanoidalnie wyciętej twarzy wydawały się wprost nienaturalnie wielkie, po czym odwróciła wzrok.

–Bardzo przepraszam. – Stwierdziłem, że zaczynam się tłumaczyć. – Rozmawiałem o poezji i teologii z naszym kierownikiem produkcji. – Wróciłem na swoje miejsce w kącie i usiadłem z ulgą. – Czy pani go zna?

–Kto nie zna Lonniego? – Spróbowała się uśmiechnąć. – Pracowaliśmy razem przy moim ostatnim filmie. – Znowu zdobyła się na nikły uśmiech. – Widział pan ten film?

–Nie. – Ale słyszałem o nim tyle, że nadłożyłbym pięć mil, byle tylko ominąć kino, w którym go wyświetlano.

–Był okropny, po prostu okropny. Nie mam pojęcia, dlaczego dali mi jeszcze jedną szansę.

–Jest pani bardzo piękną dziewczyną – odparłem. – Piękne dziewczyny nie muszą umieć grać, dobra gra zaćmiewa urodę. A może jest pani wspaniałą aktorką. Skąd mam to wiedzieć? Ale wracając do Lonniego...

–A tak. Lonnie był w naszej ekipie. I pan Gerran, i pan Heissman. – Nie odezwałem się, więc ciągnęła dalej: – To trzeci film, który robimy razem. Trzeci od czasu, kiedy pan Heissman... od kiedy pan Heissman...

–Wiem. Pan Heissman był dość długo nieobecny.

–Lonnie to taki miły człowiek. Zawsze służy pomocą, ma dobre serce i według mnie jest bardzo mądry. Ale bywa dziwny. Wie pan, że Lonnie lubi sobie pociągnąć. Pewnego razu wróciliśmy do hotelu po dwunastu godzinach pracy na planie. Wszyscy byli zupełnie wykończeni, ja też, więc zamówiłem sobie podwójny dżin. I wtedy Lonnie okropnie się na mnie zdenerwował. Niech pan powie, dlaczego?

–Bo bywa dziwny. Wynika z tego, że go pani lubi?

–A jakże go można nie lubić? On lubi wszystkich, więc wszyscy odpłacają mu tym samym. Nawet pan Gerran go lubi... są bardzo zaprzyjaźnieni. Ale w końcu znajdują się od niepamiętnych czasów.

–Nie wiedziałem. Czy Lonnie ma jakąś rodzinę? Jest żonaty?

–Nie wiem. Chyba był. Może się rozwiódł. Dlaczego pan o niego wypytuje?

–Bo jestem typowym wścibskim łapiduchem, który lubi jak najwięcej wiedzieć o

swoich obecnych i potencjalnych pacjentach. Teraz na przykład wiem już, że gdyby kiedyś trzeba było postawić Lonniego na nogi, to na pewno nie dam mu koniaku, gdyż nie odniosłoby to najmniejszego skutku.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Rozmowa zakończona. Wyjąłem z kanapy drugi pled, szczelnie się nim owinąłem – temperatura w jadalni wyraźnie spadała – i znów wziąłem teczkę od Goina. Otworzyłem ją na pierwszej stronie i zabrałem się do lektury. Poza tytułem: „Wyspa Niedźwiedzia” nie było żadnego wstępu.

„Wedle szerzonych z uporem godnym lepszej sprawy pogłosek Olympus Productions przystępuje do realizacji swego najnowszego filmu w atmosferze zagadkowości graniczącej ze ścisłą tajemnicą. W następstwie tych plotek podobne zarzuty pojawiły się w pismach codziennych i fachowych i w braku oficjalnego dementi ze strony wytwórni te nie znajdujące pokrycia twierdzenia zyskały sobie znaczny posłuch i wiarę, co w zaistniałych okolicznościach należy chyba uznać za psychologiczną nieuchronność”.

Przeczytałem jeszcze raz ten bełkot, trawestację angielszczyzny mów tronowych królowej, nadający się jedynie na kolumny co bardziej snobistycznych niedzielnych magazynów, i wreszcie pojąłem: trzymają ten film pod korcem i nic ich nie obchodzi, co kto na ten temat mówi. Pomyślałem, że to znakomity sposób na reklamę, ale nie, posądzenie to okazało się dla naszych chłopców krzywdzące. A przynajmniej tak twierdzili. Czytałem dalej.

„Zdarzały się już produkcje kinematograficzne” – wywnioskowałem, że chodzi o filmy – „organizowane, a czasami i realizowane w warunkach podobnej tajemnicy, jedynym jednak celem tych rzekomo utajonych przedsięwzięć było – niestety! – wyrachowanie i chęć zdobycia bezpłatnej reklamy. Twierdzimy otóż stanowczo i nie bez dumy, że nam cel taki jest zupełnie obcy”. – Pocziwy stary Olympus, tego nie mogłem nie zrozumieć. Wytwórnia filmowa, która nie życzyła sobie darmowej reklamy. Tylko patrzeć, jak Bank Anglii zacznie kręcić nosem na dźwięk słowa „pieniądze”. – „Nasze autentyczne pragnienie zachowania przy produkcji tego filmu jak najdalej idącej dyskrecji, które wzbudziło takie zaciekawienie i dało początek tak wielu, najczęściej błędnym spekulacjom, narzuciły nam względy najwyższej wagi. Obchodzenie się ze scenariuszem, który w niepowołanych rękach mógłby z dużą dozą prawdopodobieństwa wywołać groźne w skutkach reperkusje międzynarodowe, wymaga ogromnej delikatności i finezji, przymiotów niezbędnych do stworzenia kinematograficznego arcydzieła, jakim bez wątpienia, w naszym przekonaniu, okrzyknięty zostanie ten film. Uważamy jednak – nie, jesteśmy pewni – że nawet największa delikatność i finezja nie byłyby w stanie – i o tym także jesteśmy przekonani – zapobiec fatalnym szkodom wyrządzonym przez światową furorę, jaką natychmiast i automatycznie zrobiłaby fabuła naszego filmu, gdyby treść scenariusza przeciekła przedwcześnie do publicznej wiadomości.

Jesteśmy jednak najzupełniej pewni, że kiedy film ten zostanie ukończony – bo że zostanie, nie ulega kwestii – według naszego pomysłu, w stosownym terminie i przy zachowaniu najściślejszej dyskrecji (dlatego właśnie posunęliśmy się aż do tego, by uzyskać notarialnie poświadczoną przysięgę dochowania tajemnicy od wszystkich aktorów i członków ekipy filmowej biorących udział w realizacji produkcji, o której tu mowa, w tym także prezesa wytwórni i członków rady nadzorczej), wprawiona do tego czasu w stan najwyższej ciekawości publiczność obejrzy dzieło tak niezrównane, o takiej sile wyrazu, że uzna za jak najbardziej usprawiedliwione...”

Mary Stuart kichnęła, więc pożyczylem jej stu lat, błogosławiąc ją w duchu za to opatrnościowe oderwanie mnie od lektury tego porażającego skromnością manifestu. Spojrzałem na nią ponownie, a ona ponownie kichnęła. Siedziała jakoś dziwnie skulona, ze ściągniętą twarzą, blada jak ściana, wciąż zaciskała kurczowo ręce. Odłożyłem manifest Olympus Productions, wyplątałem się z koca, chwiejnymi zakosami – skutek niezwykle już silnego kołysania „Róży Poranka” – przeszedłem pod przeciwległą ścianę jadalni, usiadłem obok niej i wziąłem jej dłonie w swoje. Były lodowato zimne.

–Marznie pani – zauważyłem mało odkrywczo.

–Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie.

–Może jednak poszłaby pani do swojej kajuty? Tam jest co najmniej dwadzieścia stopni cieplej, a poza tym nigdy pani nie uśnie, jeśli będzie pani musiała tak kurczowo bronić się przed spadnięciem na podłogę.

–Tam też nie usnę. Nie zmrużyłam oka od czasu... – Urwała. – A tu nie czuję takich... takich nudności. Bardzo pana proszę.

–W takim razie mech pani przynajmniej zajmie moje miejsce – powiedziałem nie dając tak łatwo za wygraną. – Tam będzie znacznie wygodniej.

–Bardzo proszę, niech mnie pan zostawi. – Cofnęła ręce. Poddąłem się, niech siedzi. Zrobiłem trzy kroki w stronę kanapy, zatrzymałem się rozzłoszczony, wróciłem i podniosłem ją na nogi, wcale nie tak znowu delikatnie. Spojrzała na mnie bez słowa, z pełnym otępienia zaskoczeniem, i nie protestowała ani nie stawiała oporu, kiedy poprowadziłem ją do swego kąta, wyjąłem kolejne dwa wełniane pledy, opatuliłem ją nimi, położyłem jej nogi na krześle i usiadłem obok. Popatrzyła mi prosto w oczy, wodząc spojrzeniem od prawego do lewego i z powrotem, po czym przytuliła się do mnie, spuściła powieki i wsunęła mi jedną ze swych lodowatych dłoni pod klapę marynarki. Przez cały ten czas ani razu się nie odezwała, jej twarz pozostała zupełnie bez wyrazu. Poczuliśmy się głęboko wzruszony tym rozczulającym dowodem zaufania, gdyby nie świadomość, że jeśli postawiła sobie lub otrzymała zadanie nie spuszczać mnie z oka, to nawet w najśmielszych myślach nie mogła liczyć na

doprowadzenie do sytuacji, w której to jej oko spoczęłoby w odległości pół cala od gorsu mojej koszuli. Nie mogłem nawet głębiej odetchnąć, żeby natychmiast o tym nie wiedziała. Z drugiej strony, jeśli była niewinna jak ten biały śnieg, co prawie już całkiem zalepił okno znajdujące się niewiele ponad sześć cali od mojej głowy, to póki praktycznie siedziała mi na kolanach, było mniej niż prawdopodobne, by jakiś niechętny mi obywatel – lub obywatelki – zdecydował się podjąć przeciwko mnie działania natury gwałtownej a nieodwracalnej. Uznałem, że nic na tym targu nie tracę. Opuściłem wzrok na jej śliczną, na wpół ukrytą twarz, i po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że może nawet robię interes.

Sięgnąłem po swój koc, zarzuciłem go sobie wokół ramion na modłę Indian Nawaho i podjąłem lekturę manifestu wytwórni Olympus Productions. Kolejne dwie strony były hiperbolicznym rozwinięciem poprzednich, w wywodach autora – przypuszczałem, że był nim Heissman – do znudzenia przewijał się bliźniaczy wątek niedoścignionego arcyzmu produkcji i konieczności zachowania najściślejszej tajemnicy. Po tej wprawce w kadzeniu samemu sobie autor przechodził do faktów.

„Po długim namyśle, wnikliwym rozpatrzeniu i odrzuceniu znacznej liczby alternatywnych możliwości zdecydowaliśmy w końcu, iż najodpowiedniejszym miejscem do realizacji naszego filmu będzie Wyspa Niedźwiedzia. Zdajemy sobie sprawę, że wszyscy państwo – w tym także cała załoga»Róży Poranka«, z kapitanem Imrie włącznie – byliście przekonani, iż celem naszej wyprawy jest sąsiedztwo wysp lofockich leżących u północnych wybrzeży Norwegii; rozejście się w pewnych kręgach londyńskich pogłoski tej treści bezpośrednio przed naszym wyjazdem nie było – że tak to ujmemy – czystym zbiegiem okoliczności. Nie mamy zamiaru tłumaczyć się z tego fortelu, który ten i ów może uznać za niczym nie uzasadnione, umyślne wprowadzenie w błąd, gdyż był on nieodzowny do realizacji naszego celu i zachowania pełnej tajemnicy.

Przedstawimy teraz krótki opis Wyspy Niedźwiedziej, dostarczony nam wraz z tłumaczeniem przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Oslo, za co niniejszym wyrażamy mu nasze najserdeczniejsze podziękowania”. Odetchnąłem z ulgą. Skoro tłumaczem nie był Heissman, to może już przy pierwszym czytaniu uda się pojąć, o co chodzi. „Informacja ta, co chyba zbyteczne dodawać, dotarła do nas za łaskawym pośrednictwem osoby trzeciej, w żaden sposób nie powiązanej z Olympus Productions, a mianowicie pewnego znanego ornitologa, który życzył sobie zachować pełną anonimowość. Na marginesie należałoby wspomnieć, iż rząd norweski udzielił nam pozwolenia na kręcenie zdjęć na wyspie, zapewne w przekonaniu, iż chodzi o przyrodniczy film dokumentalny. Niniejszym oświadczamy, że my osobiście nigdy nikogo w takim przekonaniu nie utrzymywaliśmy ani tym bardziej nie składaliśmy nikomu żadnych tego rodzaju zapewnień”.

Zamyśliłem się nad ostatnim akapitem. Nie chodziło mi o bijące z niego zadowolenie z przechytrzenia wszystkich naokoło, bo widać była to nieodłączna cecha pisarskiej

twórczości Heissmana. Zastanawiające było to, że w ogóle o tym pisał. Heissman nie należał do ludzi obdarzonych ciętymi do skrywania swej błyskotliwości pod korcem – określenie „cichy spryciarz” uważał pewnie za wewnętrznie sprzeczne – ale jednocześnie nie był człowiekiem, który by dopuścił, aby ta osobliwa skłonność do manifestowania samozadowolenia naraziła go na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Kiedy rząd norweski odkryje, że został wyprowadzony w pole, w całym prawie międzynarodowym nie znajdzie ani jednego paragrafu, na podstawie którego mógłby coś w tej sprawie zrobić. Olympus Productions nie przeoczyłaby czegoś tak oczywistego. Jedyne, co mu pozostanie, to zakazać rozpowszechniania ukończonego filmu na terenie swego kraju, a że Norwegię trudno raczej uznać za liczący się rynek, nikt z tego powodu nie wpadnie w bezsenność. Z drugiej strony, był to skuteczny sposób na uciszenie wszelkich wyrzutów sumienia – zgoda, poruszyliśmy się w świecie filmu, ale należało założyć, że Heissman brał pod uwagę nawet najmniej prawdopodobne ewentualności – jakie mogłyby się zrodzić, gdyby całe przedsięwzięcie nie uzyskało nawet tego sztucznego błogosławieństwa władz. Co więcej, sam fakt dopuszczenia do najgłębszych tajemnic wytwórni ściślej z nią wiązał członków całej ekipy. Jest bowiem niemal prawem natury, że ludzkość, która nadal przeżywa bolesny proces dorastania, uwielbia małe, zamknięte lub tajne stowarzyszenia, czy będzie to zabita deskami łoża masońska w Saskatchewan czy White Club przy St. James, i ma skłonność do zadzierzganiania węzłów przyjaźni i lojalności z innymi członkami takiej grupy oraz tworzenia wspólnego frontu przeciwko wszystkim pechowcom, którzy nie dostąpili wtajemniczenia. Nie uszło mej uwagi, że istniało jeszcze inne, znacznie bardziej złowieszcze wytłumaczenie konfidencjonalnej szczerości Heissmana, ale że zrobiło się już bardzo późno, nie czułem się w nastroju do zgłębiania tej sprawy.

„Wyspa Niedźwiedzia, jedna z wysp archipelagu Spitsbergen, z których największą jest Spitsbergen Zachodni. Archipelag ten pozostawał ziemią niczyją aż do początków dwudziestego wieku, kiedy to z uwagi na znaczne zaangażowanie inwestycyjne w eksploatację kopalin i szybki rozwój wielorybnictwa Norwegia wystąpiła o uznanie jej zwierzchnictwa nad tym terytorium, składając odpowiednią petycję na konferencji” – nie wyszczególniano jakiej konferencji – „w Christianii (Oslo) w roku 1910, 1912 i ponownie w roku 1914. Za każdym razem sprzeciw Rosji uniemożliwiał przyjęcie tej propozycji. Dopiero w 1919 roku Rada Najwyższa Sprzymierzonych przyznała Norwegii zwierzchnictwo nad tym terytorium, które formalnie zostało objęte 14 sierpnia 1925 roku”.

Po niepodważalnym ustaleniu prawa własności autor raportu ciągnął dalej: „Wyspa (Niedźwiedzia) leży na 74°28’ szerokości północnej i 19°13’ długości wschodniej, około 260 mil na północno-północny zachód od Przylądka Północnego w Norwegii i 140 mil na południe od Spitsbergenu Zachodniego, na styku Mórz: Grenlandzkiego, Norweskiego i Barentsa. Ze względu na odległości dzielące ją od najbliższych sąsiadów, jest to najbardziej odosobniona wyspa Arktyki”.

Tu następował długi i jak dla mnie bardzo mało interesujący wywód na temat historii wyspy, która zdawała się składać wyłącznie z nieustających zatargów między Norwegami, Niemcami i Rosjanami o prawo do eksploatacji złóż i połowu wielorybów. Z pewnym jednak zaintrygowaniem przeczytałem, że wcale nie tak dawno, bo jeszcze w latach dwudziestych, w kopalni węgla w Tunheim na północnym wschodzie wyspy pracowało stu osiemdziesięciu norweskich górników; do tej pory byłem przekonany, że nawet polarne niedźwiedzie, od których wyspa wzięła swoją nazwę, muszą z daleka omijać to pustkowie. Wyglądało na to, że kopalnie zostały zamknięte w wyniku badań geologicznych, które ujawniły niewystarczającą jakość i grubość złóż, aby ich dalsza eksploatacja okazała się opłacalna. Wyspa nie pozostała jednak bezludna. Z raportu wynikało, że rząd norweski do obecnej chwili utrzymuje stację radiowo-meteorologiczną w Tunheim.

Dalej następował opis zasobów naturalnych, miejscowej flory i fauny, któremu przyszło mi uwierzyć na słowo. Natomiast ustępy dotyczące klimatu, ze zrozumiałych względów wszystkich nas bardzo interesujące, okazały się znacznie ciekawsze i nie wróżyły nic dobrego. „Ścieranie się wód Gólfstromu z wodami Arktyki stwarza fatalne warunki pogodowe, z wysokimi opadami i gęstymi mgłami. Średnia temperatura lata wynosi niewiele ponad 5° Celsjusza. Śnieg i lód na jeziorach topnieje dopiero w połowie lipca. Dzień polarny trwa 106 dni, od 30 kwietnia do 13 sierpnia; noc 90 dni – od 7 listopada do 4 lutego. Pozostałe dni stanowią porę przejściową”. W świetle tej ostatniej uwagi nasza obecność na wyspie o tej porze roku stawała się coraz bardziej dziwna, gdyż Otto mógł liczyć co najwyżej na kilka godzin światła dziennie. No cóż, może scenariusz wymagał, żeby cały film nakręcić po ciemku.

„Pod względem ukształtowania fizycznego i geologicznego Wyspa Niedźwiedzia przypomina trójkąt zwrócony wierzchołkiem na południe. Ma dwanaście mil długości z północy na południe i od dziesięciu mil szerokości na północy do dwóch na południu, w miejscu, gdzie przechodzi w najdalej wysunięty cypel. Ogólnie rzecz biorąc, północ i zachód wyspy zajmuje dość równy płaskowyż o średniej wysokości około stu stóp, natomiast południe i wschód pokrywają góry zgrupowane w dwóch głównych masywach: Grzbietu Cierpienia na wschodzie oraz grupy gór Antarcticfjell, Alfredfjell, Hambergfjell i Fuglefjell na najdalszym południowym wschodzie.

Na wyspie nie ma lodowców. Cały jej obszar pokrywa sieć płytkich jezior o głębokości nie przekraczającej kilku jardów. Zajmują one około jednej dziesiątej jej powierzchni. Pozostała część wyspy to głównie lodowe bagna oraz piargi i osypiska, niezwykle utrudniające wszelkie próby poruszania się po jej wnętrzu.

Brzegi Wyspy Niedźwiedziej uważane są za jedne z najbardziej niegościnnych na świecie. Opinia ta znajduje pełne uzasadnienie zwłaszcza na południu, gdzie wyspa kończy się nagle pionowymi urwiskami z licznymi wodospadami uchodzącymi do morza strumieni Charakterystyczne dla tego obszaru są sterczące z morza u

podnóża urwisk samotne słupy skalne, pozostałości z odległych czasów, kiedy wyspa była znacznie większa niż obecnie. Topnienie śniegów i lodu na przełomie czerwca i lipca, potężne prądy pływowe i postępująca erozja podkopują te przybrzeżne wzgórza i masy skał nieustannie zwalają się do morza. Potężne dolomitowe zbocza Hambergfjellu opadają pionowo do powierzchni wody z wysokości ponad tysiąca czterystu stóp; z morza wystają ostre skalne iglice mierzące do dwustu pięćdziesięciu stóp. Urwiska Fuglefjellu (Ptasiego Szczytu) wznoszą się na niemal tę samą wysokość, a u ich południowego krańca znajdujemy niezwykłą kolekcję skalnych słupów, wieżyc i arkad. Na wschód od tego miejsca, pomiędzy Kapp Bull a Kapp Kolthoff, znajduje się zatoka otoczona z trzech stron pionowymi klifami, których wysokość w żadnym miejscu nie schodzi poniżej tysiąca stóp.

Te klify są najwspanialszymi terenami lęgowymi ptactwa na całej północnej półkuli”.

Pewnie ptakom to wszystko odpowiadało. Na tym kończył się raport Królewskiego Towarzystwa Geograficznego albo ten jego fragment, który zdecydowano się zamieścić. Zbierałem się właśnie w sobie przed powrotem do klarownej prozy Heissmana, gdy otworzyły się drzwi po zawietrznej i stanął w nich John Halliday. Nasz znakomity fotosista był ciemnowłosym, śniadym, małomównym i nie znającym uśmiechu Amerykaninem. Teraz jednak miał wyjątkowo nawet jak na siebie chmurną minę. Dostrzegłszy nas zawahał się w progu, trzymając drzwi otwarte.

–Przepraszam. – Zrobił ruch, jakby miał zamiar się wycofać. – Nie wiedziałem...

–Proszę wejść, proszę wejść – przywołałem go do środka. – Pozory mylą. To, co pan widzi, to układ stricte lekarz – pacjent. – Zamknął drzwi i usiadł ponuro na ławie, którą tak niedawno zajmowała Mary Stuart. – Bezsenna? – spytałem. – Atak *mal de mer!*

–Bezsenna. – Żuł posępnie kawałek czarnego tytoniu, którego pewnie nawet do snu nie wyjmował z ust. – Działkę morskiej choroby w całości obrabia Sandy. – Wiedziałem, że Sandy i Halliday dzielą kajutę, a kiedy po raz ostatni oglądałem Sandy’ego w kuchni, rzeczywiście nie wyglądał kwitnąco, ale wówczas złożyłem to na karb wyraźnej chętki Haggerty’ego, żeby go wypatroszyć. To by tłumaczyło, dlaczego opuściwszy kambuz nie wpadł natychmiast do Księcia.

–Trochę go chwyciło?

–Nie trochę, tylko bardzo. Nabrał jakiegoś dziwnego koloru zapaskudził dokładnie cały dywan. – Halliday zmarszczył nos. – ten zapach...

–Mary! – Potrząsnąłem nią łagodnie. Otworzyła zamglone od snu oczy. – Przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść. – Nie odezwała się słowem, kiedy na wpół

dźwignąłem ją do pozycji siedzącej, spojrzała tylko obojętnie na Hallidaya i znowu opuściła powieki.

–Chyba nie jest z nim aż tak źle – powiedział Halliday. – Mam na myśli, że to nie jest zatrucie ani nic w tym rodzaju. Jestem pewien.

–Nie zaszkodzi zobaczyć – odparłem. Halliday miał pewnie rację, choć z drugiej strony Sandy swobodnie buszował po kuchni do chwili, kiedy Haggerty go nakrył, a przy tych chwytnych i lepkich paluszkach wszystko było możliwe, także i to, że apetycik miał jednak ciut większy niż wróbelek. Podniosłem z podłogi swoją walizeczkę lekarską i wyszedłem.

Tak jak mówił Halliday, twarz Sandy’ego przybrała dość osobliwy odcień zieleni, a sam Sandy bez wątpienia rzeczywiście był ciężko chory. Siedział na swej koi oparty plecami o ścianę i obiema rękoma trzymał się za brzuch. Kiedy wszedłem, podniósł na mnie żalosne spojrzenie.

–Jezu, umieram – jęknął. Zaklął krótko, soczyście i niewybrednie na życie w ogóle, ze szczególnym uwzględnieniem Ottona Gerrana. – Po co ten stuknięty skurwysyn wlecze nas tą piekielną, śmierdzącą łajbą...

Dałem mu środek uspokajająco-nasenny i wyszedłem. Sandy coraz mniej przypadł mi do gustu, a co ważniejsze, ofiary zatrucia akonityną nic mogą wydobyć z siebie głosu, nie mówiąc już o sypaniu jak z rękawa rynsztokowymi zwrotami, z czym nie miał wyraźnie żadnych trudności.

Mary Stuart siedziała nadal z zamkniętymi oczami i kołysała się z boku na bok w rytm przechyłów statku. Halliday żuł markotnie swoją prymkę. Spojrzał na mnie z takim brakiem zainteresowania, jakby nawet śmierć Sandy’ego nie była w stanie go poruszyć.

–Miał pan rację – powiedziałem. – To tylko sztorm.

Usiadłem obok Mary Stuart. Nawet jednym drgnieniem powieki nie zdradziła, że dostrzegła mój powrót. Mimowolnie wzdrygnąłem się z zimna i owinąłem szczelnie kocem.

–W tej jadalni robi się chłodnawo – powiedziałem. – Może weźmie pan sobie jeden z tych pledów i przekima jakoś tu, na kanapie?

–Nie, dzięki. Nie miałem pojęcia, że tu taki ziąb. Zabieram swoje koce i poduszkę i wynoszę się do saloniku. – Uśmiechnął się blado. – Byle tylko Lonnie nie stratował mnie podkutymi buciorami podczas swej nocnej wachty. – Widać dla nikogo nie było żadną tajemnicą, że trunki w saloniku przyciągają Lonniego jak magnes. Halliday poruszył jeszcze parę razy szczękami, po czym ruchem głowy wskazał butelkę

tkwiącą w stojaku kapitana Imrie. – Pan pija whisky, doktorze. Tam ma pan coś na rozgrzewkę.

–Zgadza się, pijam, ale jestem bardzo wybredny. Co to jest?

–Johnnie Walker z czarną nalepką – powiedział przyjrząwszy się butelce.

–Trudno o coś lepszego, ale ja za nim nie przepadam. Panu jest zimno, niech się pan nie krępuje. To na koszt firmy. Kradzione z zapasu Ottona.

–Ja też nie przepadam za szkocką whisky. Co innego bourbon...

–Wyżera dziury w przewodzie pokarmowym. Mówię to panu jako lekarz. Jeden łyk Johnnie Walkera i przysięgnie pan już nigdy w życiu nie wziąć do ust nawet kropli tych zabójczych destylatów z Kentucky. No, niech pan spróbuje.

Halliday spojrzał na butelkę jakby z wahaniem.

–A pani? – odezwałem się do Mary Stuart. – Może chociaż troszeczkę? Nie ma pani pojęcia, jak ciepło się od tego robi na sercu.

Uniosła powieki i spojrzała na mnie wzrokiem dziwnie pozbawionym wyrazu.

–Nie, dziękuję. Ja prawie nie pijam alkoholu. – Zamknęła oczy z powrotem.

–Nie ma ludzi bez skazy – odparłem z roztargnieniem, bo co innego zaprzętało mi myśli. Halliday nie chciał pić z tej butelki, Mary Stuart nie chciała pić z tej butelki, ale Halliday wyraźnie uważał, że ja koniecznie powinienem się z niej napić. Czy podczas mojej nieobecności siedzieli na swoich miejscach, czy też krzatali się pracownicy jak pszczołki: jedno do drzwi, pilnować, czy aby za wcześnie nie wrócę, drugie do stojaka kapitana Imrie zmienić właściwości Johnnie Walkera ingrediencjami niekoniecznie pochodzącymi ze Szkocji? I po co Halliday przyszedł do jadalni, jeśli nie po to, żeby mnie stąd na chwilę wywabić? Dlaczego nie poszedł z poduszką i kocami prosto do saloniku, zamiast leżeć bez sensu do jadalni, gdzie było znacznie zimniej niż na dole, o czym musiał przecież wiedzieć, choćby stąd, że jadał tu posiłki? Oczywiście dlatego, że zanim Mary Stuart zdradziła przede mną swą obecność, dostrzegła mnie przez okno i doniosła o tym Hallidayowi. Problem ten można było rozwiązać wyłącznie przez wywabienie mnie na chwilę z jadalni. To, że Sandy akurat zachorował, było tylko dogodnym zbiegiem okoliczności – choć i to niekoniecznie, pomyślałem nagle. Jeśli to Halliday tak zręcznie posługiwał się truciznami albo jeśli tylko był z tym kimś w zмовie, to domieszanie Sandy'emu do drinka niewielkiej dawki jakiegoś emetyku nie nastroczało żadnych problemów, poza wypatrzeniem dogodnej chwili – Wszystko trzymało się kupy.

W tym momencie dotarło do mnie, że Halliday wstał i zmierza chwiejnie w moją

stronę, z butelką w jednej ręce i szklaneczką w drugiej. Niemal bezwiednie zauważyłem, że butelka jest napełniona mniej więcej w jednej trzeciej. Kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, przystanął przede mną, napełnił szklaneczkę, skłonił się lekko i podał mi ją z uśmiechem.

–Może obaj jesteśmy odrobinę zacofani i konserwatywni, doktorze. Więc jak w piosence: „Zechcę, jeśli zechcesz przykład mi dać...”

–Skłonność do eksperymentowania liczy się panu na plus, ale nie, dziękuję. – Odwzajemniłem mu się takim samym uśmiechem. – Mówiłem już panu, że nie przepadam za Johnnie Walkerem. Wiem, bo już go próbowałem. A pan? Próbował pan?

–Nie, ale...

–No to skąd pan wie, że go pan nie lubi?

–Nie wydaje mi się...

–Spróbuje pan, czy pan chce, czy nie. No już, proszę pić!

–Czy zawsze nakłania pan ludzi do picia wbrew ich woli? Czy tak właśnie postępują lekarze? – Mary Stuart miała szeroko otwarte oczy. – Wmuszają alkohol w tych, którzy nie mają na niego ochoty?

Miałem ochotę zawyć i warknąć coś w rodzaju: Może byś się zamknęła?!, ale zamiast tego uśmiechnąłem się i odrzekłem pogodnie:

–Sprzeciw abstynentów odrzucony.

–A co mi szkodzi – powiedział Halliday, podnosząc szklaneczkę do ust. Zawisłem na niej wzrokiem, aż uprzytomniłem sobie, że przecież nie mogę się tak gapić – co razem trwało ułamek sekundy – uśmiechnąłem się pobłażliwie, zerknąłem na Mary Stuart, która leciuteńkim zaciśnięciem ust dała wyraz pruderyjnej dezaprobacie, po czym spojrzałem z powrotem na Hallidaya, w samą porę, by zobaczyć, jak odejmuje od ust opróżnioną do połowy szklaneczkę.

–Wcale nie takie złe – oświadczył. – Powiedziałbym, że nawet niezłe. Tylko ma jakiś taki dziwny posmaczek.

–W Szkocji mogliby pana za to aresztować – odparłem machinalnie. Ten łajdak nonszalancko wychylił cykutę, a jego współniczka Patrzyła na to bez mrugnięcia okiem. Moja miłość własna doznała bardzo poważnego uszczerbku; zrozumiałem, że wyszedłem na kompletnego i skończonego idiotę. Moje zdolności indukcyjne i dedukcyjne sprowadzały się do zera; jako detektyw zrobiłbym plajtę. Miałem nawet

ochotę ich przeprosić, tyle że zupełnie nie wiedzieliby, za co.

–Właściwie, to może i ma pan rację, doktorze. Człowiek mógłby to nawet polubić. – Halliday podniósł szklaneczkę, pociągnął następny łyk, odstawił butelkę na stojak i wrócił na swe poprzednie miejsce. Posiedział tam w milczeniu może z pół minuty, dokończył szkockiej i raptownie wstał. – Po tym, co w siebie wlałem, niestraszne mi nawet podkute buciory Lonniego. Dobranoc. – I tyle go było.

Spojrzałem na drzwi, za którymi zniknął. Myśli kłębiły mi się w głowie, choć po wyrazie mojej twarzy nikt by tego nie odgadł. Nadal nie mogłem pojąć, po co w ogóle Halliday przyszedł do jadalni. I co mu strzeliło do głowy, że tak nagle zerwał się i wyszedł. Jałowe spekulacje, nie potrafiłem nawet ustalić żadnego sensownego punktu wyjściowego. Zerknąłem na Mary Stuart i dopiero teraz ogarnęło mnie prawdziwe poczucie winy. Morderczynie miewają wszelakie kształty, rozmiary i powierzchowności, ale gdyby ta konkretna powierzchowność miała skrywać jedną z nich, to już nigdy więcej nie mógłbym zawierzyć trzeźwości swego osądu. Zachodziłem w głowę, jak ja w ogóle mogłem powziąć tak absurdalne podejrzenie. Musiałem być chyba bardziej zmęczony, niż sądziłem.

Jakby poczuwszy na sobie mój wzrok, otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Posiadała niezwykłą zdolność przybierania nieruchomego, kompletnie obojętnego wyrazu twarzy, ale pod tą rezerwą, pod tą chłodną beznamietnością wyczuwałem ogromną wrażliwość i bezbronność. Może dlatego, że chciałem wyczuwać, ale miałem dziwne przeświadczenie, że to nie było jedyną przyczyną. Nadal bez słowa, nadal z tym samym wyrazem twarzy, czy raczej twarzą bez wyrazu, uniosła się nieco w górę, przeskoczyła niezdarnie w swym kokonie z grubych pledów ku mnie i usiadła tuż obok. Ja, istne wcielenie dobrotliwego wujaszka, otoczyłem ręką jej ramiona, ale nie dane mi było trwać w tej pozycji, bo już w następnej chwili ujęła mnie za przegub dłoni i powoli, niespiesznie, zdjęła moją rękę ze swych ramion, przeniosła ją ponad głową i odsunęła od siebie. Żeby udowodnić, że lekarze to istoty nadludzkie, i pacjenci, którzy przecież tak naprawdę nie bardzo odpowiadają za swe czyny, nie są w stanie ich obrazić, uśmiechnąłem się do niej. Odpowiedziała mi uśmiechem i wtedy ze zdumieniem, które nie znalazło odbicia na mojej twarzy, stwierdziłem, że jej oczy wezbrały łzami. Chyba uświadomiła sobie obecność tych łez i chciała je ukryć, bo nagle zarzuciła nogi na krzesło, przysunęła się do mnie i powróciła do bliższego badania gorsu mej koszuli, tyle że tym razem obejmując mnie w pół. Z punktu widzenia swobody ruchów równie dobrze mógłbym zostać zakuty w kajdanki. Zresztą o to właśnie bez wątpienia jej chodziło. Tego, że nie żywi wobec mnie żadnych wrogich zamiarów, byłem pewien; równie pewien jak tego, że postanowiła za wszelką cenę nie stracić mnie z oczu, a to w najpewniejszy, jaki знаła, sposób osiągnięcia tego celu. Nie umiałem odgadnąć, ile to musiało kosztować tę dumną samotniczkę; a problem dlaczego to w ogóle robiła, już zupełnie przekraczał możliwości mojej wyobraźni.

Siedziałem na tej kanapie i próbowałem poukładać jakoś to wszystko w kompletnie już teraz zamroczonej głowie, ale co było do przewidzenia, nie posunąłem się w swych rozważaniach ani o krok. Poza tym moje pełne piasku oczy hipnotyzowało zachowanie szkockiej w butelce na stojaku z kutego żelaza, która w rytm regularnych przechyłów „Róży Poranka” miarowo jak metronom wspinała się to na jedną, to na drugą ściankę butelki. Jedno z drugim i powiedziałem:

–Mary droga...

–Tak? – Nie podniosła głowy, żeby na mnie spojrzeć, i nie musiała mówić, dlaczego. Okolice mojego czwartego guzika u koszuli wyraźnie nasiąkały wilgocią.

–Nie chciałbym pani ruszać z miejsca, ale pora na mój napaścerek przed snem.

–Whisky?

–O, dwa serca, co w jeden biją takt!

–Nie. – Objęła mnie mocniej.

–Nie?

–Nienawidzę zapachu whisky.

–Chwała Bogu – mruknąłem *sotto voce* - że nie jesteś moją ślubną.

–Co pan powiedział?

–Powiedziałem: „oczywiście, Mary droga”.

Po upływie pięciu minut uświadomiłem sobie, że mój umysł ogłosił już na dzisiaj fajrant. Sięgnąłem leniwie po deklarację programową Olympus Productions, przebiegłem wzrokiem bełkotliwy ustęp o zdeponowaniu jedynepełnego egzemplarza scenariusza w sejfie pewnego londyńskiego banku i odłożyłem ją na bok. Mary Stuart oddychała równo i spokojnie i wydawało się, że zasnęła. Pochyliłem głowę i dmuchnąłem jej leciutko w lewą powiekę, praktycznie jedyną widoczną część twarzy. Ani drgnęła. Spała rzeczywiście. Poruszyłem się na próbę, tylko trochę, i jej ramiona natychmiast zacisnęły się mocniej wokół mnie; nim pozwoliła sobie na spoczynek, musiała zostawić jasne zalecenia swojej podświadomości. Pogodziłem się z tym, że przyjdzie mi pozostać w tej pozycji. Ten rodzaj ubezwłasnowolnienia nie mógł mi wyrządzić żadnych trwałych szkód. Zastanawiałem się mgliście, jaki cel przyświecał pojmaniu mnie w tę słodką niewolę. Czy chodziło o to, by przeszkodzić mi w działaniu, czy też o to, by zapobiec natknięciu się przeze mnie na działania jakichś mocy piekielnych, które mogły właśnie grasować po pokładzie. Byłem zbyt zmęczony, żeby przejąć się tym problemem. Postanowiłem po prostu siedzieć, gdzie

siedziałem, i czuć bezsenność do świtania. Nie minęły dwie minuty, a spałem jak kamień.

Mary Stuart nie miała budowy tragarza i nawet z daleka nikt by jej z nim nie pomylił, ale puchem łabędzim też nie była podbita; kiedy się przebudziłem, lewą rękę miałem zupełnie zdrętwiałą. Ścierpła mi do tego stopnia, że praktycznie do niczego się nie nadawała, co uświadomiłem sobie w chwili, gdy zmuszony byłem prawą ręką unieść nadgarstek lewej, żeby sprawdzić, którą godzinę wskazują fosforyzujące zielonkawe wskazówki mojego zegarka. Wskazywały czwartą czterdzieści pięć.

O stanie moich władz umysłowych wiele mówi fakt, iż upłynęło pełne dziesięć sekund, nim uprzytomniłem sobie, dlaczego widzę, że wskazówki mego zegarka zielonkawo fosforyzują. Oczywiście dlatego, że było ciemno. Ale dlaczego ciemno? Kiedy zasypiałem, paliły się wszystkie światła. I co mnie obudziło? Bo że coś mnie obudziło, byłem zupełnie pewien. Nie wiem skąd. Po prostu czułem, że nie obudziłem się sam z siebie, tylko na skutek jakiegoś zewnętrznego bodźca. Co to za bodziec i skąd się wziął? Dźwięk albo dotknięcie, nic innego nie wchodziło w rachubę. A cokolwiek to było, sprawca pozostawał w salonie. Musiał tu być. Od mego przebudzenia minęło za mało czasu, żeby zdążył wyjść. Co ważniejsze, zjeżone włosy na karku mówiły mi wyraźnie, że w tym pomieszczeniu przebywa jeszcze ktoś, i to ktoś wrogo do mnie nastawiony.

Ująłem delikatnie dłonie Mary Stuart, chcąc wyswobodzić się z jej objęć. Jeszcze raz odruchowo stawiała opór – jej podświadomość nie należała do takich, co zasypiają na warcie – ale nie byłem w nastroju do ulegania jakimś tam podświadomościom. Oderwałem od siebie jej ręce, zsunąłem się na podłogę, ułożyłem ją ostrożnie na kanapie, wstałem niezdarnie i przepelzłem na środek jadalni.

Zastygłem w bezruchu, uczepony krawędzi stołu dla zachowania równowagi, i wstrzymawszy niemal oddech zamieniłem się w słuch. Mogłem sobie oszczędzić tych zachodów. Od mojego zaśnięcia pogoda bez wątpienia się polepszyła, wprawdzie nie radykalnie, ale dało się to zauważyć. Jednak nie do tego stopnia, by poprzez świst wiatru, łoskot fal, metaliczne jęki i trzeszczenie sędziwych płyt poszycia i nitów „Róży Poranka” można było słyszeć odgłos ukradkowych ruchów.

Bliższy wyłącznik światła – drugi umieszczono przy wejściu do pentry stewardów – znajdował się przy drzwiach od zawiętrznej. Zrobiłem krok w tym kierunku i przystanąłem. Czy ten ktoś, kto znajdował się w jadalni, wiedział już, że obudziłem się i wstałem? Czy jego oczy lepiej widziały w ciemności niż moje, dopiero co otwarte? Czy dostrzegał zarys mojej sylwetki? Czy odgadł, że w pierwszym odruchu skieruję się do wyłącznika, i czy miał zamiar mi w tym przeszkodzić? W jaki sposób? Czy mógł mieć przy sobie broń i jaką? Uświadomiłem sobie, że moją całą bronią są dwie gołe ręce, z których jedna nadal była tylko bezużyteczną, bezwładną masą mrowiących igielek i szpilek. Stałem w miejscu, nie wiedząc, co począc.

Usłyszałem metaliczny zgrzyt klamki i twarz owionęło mi lodowate powietrze; ten ktoś wychodził z jadalni. Czterema susami dopadłem drzwi, piątym wyskoczyłem na pokład i oślepiło mnie rażące światło. Zupełnie instynktownie zasłoniłem się prawą ręką i natychmiast pożałowałem, że nie mogłem tego zrobić lewą, gdyż wówczas choć trochę osłabiłbym uderzenie czegoś twardego, ciężkiego i bardzo solidnego, co z wielką siłą trafiło mnie w szyję. W oczach pociemniało mi z bólu. Chwyciłem się rozpaczliwie krawędzi drzwi, ale ręce miałem jak z waty. Nogi musiałem mieć jeszcze słabsze, bo choć zachowałem całkowitą przytomność, zwałem się na pokład, jakby mi je kto wytrybował. Zanim chwilowy paraliż ustąpił i, wykorzystując drzwi jako podporę, zdołałem podciągnąwszy się w górę stanąć chwiejnie na nogach, zostałem na pokładzie sam. Nie miałem pojęcia, gdzie zniknął napastnik. Był to zresztą problem czysto akademicki, gdyż nogi ledwie utrzymywały ciężar mego ciała w jako tako statycznej pozycji. Wszelka myśl o pościgu, biegu, pokonywaniu schodów i drabinek była wręcz absurdalna.

Czepiając się nadal wszystkiego, co mi wpadło pod rękę, cofnąłem się do jadalni, namacałem wyłącznik, włączyłem światło i zamknąłem za sobą drzwi. Mary Stuart leżała wsparta na łokciu, wierzchem dłoni tarła jedno oko, a powieka drugiego opadała jej ciężko, jak u kogoś budzącego się z bardzo głębokiego albo narkotycznego snu. Odwróciłem wzrok, dowlokłem się do stołu kapitana Imrie i opadłem na jego krzesło. Wziąłem ze stojaka butelkę whisky. Była napełniona do połowy. Wpatrywałem się w nią niewidzącym spojrzeniem przez całe dziesięć długich sekund, które wydawały mi się wiekami, po czym oderwałem od niej wzrok, żeby odszukać szklankę, której używał Halliday. Nigdzie jej nie było. Mogła spaść na podłogę i po turlać się niemal w każdym kierunku. Zdjąłem z półki przy stole inną szklaneczkę, nalałem do mej odrobinę szkockiej, wypilem i wróciłem na swoje miejsce. Szyja paliła mnie żywym ogniem. Nie mogłem ruszyć głową; jedno porządne potrząśnięcie i pewnie by mi spadła.

–Niech pani nie oddycha przez nos – powiedziałem – a w ogóle nie poczuje pani zapachu tego piekielnego napitku. – Uniosłem ją do pozycji siedzącej, poprawiłem pledy i ubiegłem ją, sam dla odmiany otaczając ją ramionami. – No, już.

–Co to było? Co się stało? – spytała cicho, z drżeniem w głosie.

–To tylko drzwi. Wiatr je otworzył. Musiałem je zamknąć, to wszystko.

–Ale nie było światła.

–Bo je zgasilem. Jak tylko pani usnęła.

Wyplątała rękę spod pledów i delikatnie dotknęła mojej szyi.

–Już ciemnieje – szepnęła. – To będzie ogromny, paskudny siniak. I krwawi. –

Dotknąłem szyi chusteczką do nosa i stwierdziłem, że się nie myli. Wepchnąłem chusteczkę pod kołnierzyk koszuli i ją tam zostawiłem. – Jak to się stało? – spytała tym samym szeptem.

–Głupi przypadek. Pośliznąłem się na śniegu i rąbnąłem szyją o sztormowy parapet drzwi. Muszę przyznać, że trochę boli.

Nic nie odpowiedziała. Wyplątała drugą rękę, chwyciła obie klapy mojej marynarki, popatrzyła mi w oczy z wyrazem cierpienia na twarzy i oparła czoło na moim ramieniu. Przyszła kolej na moczenie mojego kołnierzyka. Jak na strażniczkę – bo tego, że jej głównym zadaniem było nie spuszczać mnie z oka i skutecznie unieruchomić, powoli stawałem się pewien – zachowywała się zupełnie niezwykle, ale też była najbardziej niezwykłą strażniczką, z jaką zdarzyło mi się zetknąć w życiu. I najmiłą. Doktorze Marlowe, powiedziałem sobie, ta dama wyraźnie potrzebuje pocieszenia, a ty jesteś tylko człowiekiem. Dałem swym podejrzeniom wychodne i pogładziłem splecione, pszeniczne włosy. Tkwiłem w przekonaniu – nie pamiętam już, pod jakim wpływem je sobie wyrobiłem – że nic skuteczniej nie uspokaja wzburzonych kobiecych uczuć niż ten właśnie kojący gest. Nim minęło kilka sekund, zacząłem zachodzić w głowę, skąd ja mogłem wytrzasnąć tę rażąco nieścislą informację: Mary Stuart odepchnęła mnie nagle i uderzyła dwukrotnie w ramię zaciśniętą lewą pięścią. Jeśli żywiłem jeszcze jakieś przypuszczenia, że może być istotą z łabędziego puchu, to w tym momencie natychmiast i ostatecznie ich się pozbyłem.

–Niech pan tego nie robi – zawołała. – Niech pan tego nigdy nie robi!

–W porządku – odparłem zgodnie. – Już nigdy tego nie zrobię. Przepraszam.

–Nie, nie! Bardzo pana proszę! To ja przepraszam. Sama nie wiem, co mnie napadło... – Urwała, choć wargi nadal jej drżały, i spojrzała na mnie przez łzy. Nie była już piękna, była bezbronna, pokonana, zrozpaczona. Poczułem się ogromnie nieswojo, bo nie lubię oglądać dumnych i zamkniętych w sobie ludzi doprowadzonych do takiego stanu. Zaczerpnęła szybko powietrza i, ku memu największemu zdumieniu, zarzuciła mi ręce na szyję i zamknęła ją w uścisku tak mocnym i zawziętym, jakby chciała mnie z miejsca udusić. Ramiona jej zadrżały i rozpląkała się bezgłośnie.

Świetna robota, pomyślałem z uznaniem, doprawdy świetna. Nieistotne, dla kogo to było zagrane... I w tej samej chwili otrząsnąłem się ze swego cynizmu. Abstrahując od tego, że powszechnie znane niedostatki jej kunsztu aktorskiego absolutnie wykluczały odegranie takiej sceny, byłem pewien – choć trudno byłoby powiedzieć, dlaczego – że to, co oglądam, to prawdziwie spontaniczny wybuch nieopanowanych emocji. Ale co, u licha, miało jej dać udawanie, że się przede mną odsłania?

I nad kim, w takim razie, lała te łzy? Nie nade mną, tego byłem pewien, no bo niby dlaczego nade mną? Ja jej właściwie nie znałem, ona właściwie nie знаła mnie, byłem dla niej tylko ramieniem, na którym można się wyplakać, co więcej, pewnie tylko ramieniem lekarza. Ludzie mają najdziwniejsze wyobrażenia o lekarzach; może uważają, że ich ramiona są godniejsze zaufania i dostarczają więcej pociechy niż ramiona innych bliźnich. Albo lepiej chłoną wodę. Równie pewien byłem tego, że nie płakała nad sobą. Żeby znieść wychowanie, jakiemu, wedle jej napomknień, została poddana i wyjść z tego bez szwanku, trzeba ogromnej odporności psychicznej i wiary we własne siły, co niejako automatycznie wykluczało skłonność do litowania się na sobą. Więc nad kim, u licha, roniła te łzy?

Nie wiedziałem i, szczerze mówiąc, w tym momencie niewiele mnie to obchodziło. W normalnych okolicznościach, przy braku innych spraw na tyle ważnych, by zaprzętać moją uwagę, tak piękna dziewczyna, tak ewidentnie łaknąca pocieszenia, mogłaby liczyć na moją pełną i troskliwą opiekę; okoliczności nie były jednak normalne, moje myśli zaprzętały inne sprawy, i to w takim stopniu, że osobliwe zachowanie Mary Stuart wydawało się relatywnie bez znaczenia.

Nie mogłem oderwać wzroku od butelki whisky na stojaku przy kapitańskim stole. Kiedy Halliday nalewał sobie pierwszego drinka – na moje własne usilne nalegania, przypomniałem sobie z przykrością – butelka napełniona była w jednej trzeciej. Po drugim, w jednej czwartej. A teraz w połowie. Cichy i zdecydowany na wszystko nocny gość, który wyłączył przed chwilą światło i przeszedł przez salon jadalni, zamienił butelki i na dodatek usunął szklankę, z której pił Halliday.

Mary Stuart mruknęła coś pod nosem, tak niewyraźnie, że nie zrozumiałem ani słowa. Przez te słone łzy i tę słoną krew ta noc miała mnie kosztować jeszcze nową koszulę.

–Słucham?

–Przepraszam. Przepraszam, że zachowałam się tak głupio. Wybacz mi pan?

Poklepałem ją po ramieniu odruchowym gestem, nadal nie mogąc oderwać wzroku i myśli od butelki whisky, ale ta odpowiedź chyba jej wystarczyła. Z wahaniem w głosie spytała:

–Czy ma pan zamiar dalej spać? – Jeśli myślała, że już przestała się głupio zachowywać, to tylko jej się zdawało. Choć może wcale nie była taka głupia, jak z kolei zdawało się mnie.

–Nie, Mary droga, nie będę już spał. – Ton niezłomnego postanowienia był zupełnie zbędny; pulsujące łupanie w szyi było dostateczną gwarancją, że nie zdołam zmrużyć oka.

-No, to dobrze.

Nie zapytałem, co ta tajemnicza uwaga miała oznaczać. Trudno było o bliższy fizyczny kontakt między nami, ale myślami odbiegłem już daleko. Rozmyślałem o Hallidayu, człowieku, którego podejrzewałem o to, że przyszedł mnie zabić, człowieku, którego praktycznie zmusiłem do wypicia whisky ze stojaka kapitana Imrie, człowieku, który wypił to, co było przeznaczone dla mnie.

Wiedziałem, że już go nie zobaczę. Żywego.

Rozdział 6

Na tych szerokościach geograficznych i w tej porze roku świt nastaje dopiero o wpół do jedenastej rano. Pochowaliśmy trzech zmarłych, Antonia, Moxena i Scota, a ich cienie z pewnością musiały nam wybaczyć nieprzystojny pośpiech, z jakim się to odbyło. Śnieżna nawałnica nadal szalała w najlepsze, wicher ciął sztyletami mrozu, które przebijały odzież i ciało i przenikały lodowymi mackami do szpiku kości. Kapitan Imrie, w grubych rękawiczkach, odczytał szybko z wielkiej, okutej mosiądzem Biblii modlitwę za zmarłych – a przynajmniej tak przypuszczam. Równie dobrze mógł odczytać Kazanie na Górze, bo wiatr wyrwał mu z ust niesłyszalne słowa i unosił je nad szaro – białe pustkowie fal. Owinięty w brezent kształt trzy razy ześlizgiwał się gładko za burtę spod jedynej flagi brytyjskiej, jaką miała na swym pokładzie „Róża Poranka”; trzy razy znikał bezgłośnie pod powierzchnią morza. Widzieliśmy rozpryski wody, ale ich nie słyszeliśmy, gdyż uszy przepełniało nam rozdzierające, samotne requiem wichru w oblodzonym olinowaniu.

Na łądzie żałobnikom trudno zazwyczaj oderwać się od świeżo usypanego grobu, ale tu nie było żadnego grobu, nie było na czym zatrzymać wzroku, a przenikliwy mróz wybijał z głowy każdą myśl, poza pragnieniem jak najszybszego schronienia się w ciepłe. W dodatku kapitan Imrie ogłosił, że stary rybacki zwyczaj nakazuje wypić za pamięć zmarłego. Nie miałem pojęcia, czy to prawda, równie dobrze mógł to być zwyczaj wymyślony przez niego samego, a zmarli na pewno nie byli rybakami, ale tak czy inaczej oświadczenie kapitana bez wątpienia mocno przyczyniło się do błyskawicznego opustoszenia pokładu.

Ja pozostałem na miejscu. Czulem wyraźną awersję do pójścia śladem pozostałych. Nie dlatego, aby propozycja kapitana Imrie wydawała mi się nie na miejscu czy nie do przyjęcia z punktu widzenia etyki – tylko najwięksi hipokryci mogliby się doszukać w etyce chrześcijańskiej zakazu życzenia tym, co odeszli, szczęśliwej podróży – lecz dlatego, że w tłumie bardzo trudno byłoby zobaczyć, kto i czym napełnia moją szklaneczkę. Co więcej, poprzedniej nocy spałem najwyżej trzy godziny, mój umysł ze zmęczenia pracował na zwolnionych obrotach, trochę mi się w nim ćmiło i miałem nadzieję, że, co tu ukrywać, bohaterskie zaaplikowanie sobie kuracji śnieżnych biczy arktycznych trochę mi go przejaśni. Chwyciłem się mocno jednej z licznych lin sztormowych rozpiętych na pokładzie, dobrnąłem jakoś do największego z przewożonych ładunków, skorzystałem z iluzorycznego schronienia po jego zawietrznej i zacząłem czekać na przejaśnienie.

Halliday nie żył. Nie znalazłem jego ciała. Przeszukałem dyskretnie wszystkie prawdopodobne i większość nieprawdopodobnych schowków na „Różę Poranka” – zwłoki zniknęły bez śladu. Byłem pewien, że ciało Hallidaya spoczywa w czarnych głębinach Morza Barentsa. Nie wiedziałem, w jaki sposób tam się znalazło i wydawało się to bez znaczenia: być może ktoś pomógł mu wypaść za burtę, choć równie

dobrze mogło się obejść bez niczyjej pomocy. Wyszedł z jadalni tak raptownie, bo trucizna domieszana do jego szkockiej – mojej szkockiej – działała równie skutecznie, co błyskawicznie. Poczul gwałtowny atak mdłości, a w takiej sytuacji człowiek odruchowo pędzi do burty. Przy osłabieniu wymiotami i oszołomieniu działaniem trucizny wystarczyło pewnie jedno poślizgnięcie się na śniegu czy lodzie podczas któregoś z setek gwałtownych przechyłów trawlera, i Halliday nie był w stanie uchronić się przed przekościłowaniem przez niski reling. Jedyna pociecha, jeśli można to nazwać pociechą, to to, że nim woda wdarła mu się do płuc, uległ już prawdopodobnie działaniu trucizny. Nie podzielam dość rozpowszechnionego mniemania, że śmierć przez utonięcie jest stosunkowo lekkim i bezbolesnym sposobem rozstania się z tym światem. Choćby tylko z tego powodu, że jest to pogląd, na którego potwierdzenie brak w istocie rzeczy przekonujących dowodów.

Byłem pewien, że braku Hallidaya nie odkrył jeszcze do tej pory nikt poza mną samym i osobą winną jego śmierci, choć to drugie wcale nie było już takie pewne. Ten, kto domieszał trucizny do whisky, mógł w ogóle nic nie wiedzieć o wizycie Hallidaya w jadalni. Zgoda, Halliday nie pojawił się na śniadaniu, ale nie on jeden, a cała reszta ścierała pojedynczo w ciągu dobrych dwóch godzin, więc nikt nie mógł zwrócić na to uwagi. Jego współlokator z kabiny, Sandy, czuł się nadal tak kiepsko, że obecność czy nieobecność Hallidaya były mu bardziej niż obojętne. A ponieważ Halliday zadowalał się zwykle własnym towarzystwem, wydawało się raczej mało prawdopodobne, by ktoś przejął się jego nieobecnością na tyle, żeby zacząć rozpytywać. Liczyłem, że jeszcze długo pozowanie nie odkryta. Chociaż gwarancja z naszymi podpisami, którą rankiem otrzymał kapitan Imrie, ani słowem nie precyzowała, jakie działania należałoby podjąć w przypadku, gdyby ktoś zaginął, to istniało spore prawdopodobieństwo, że kapitan skwapliwie skorzysta z tego pretekstu, by przerwać podróż i pełną parą ruszyć do Hammerfest.

Kiedy nad ranem wróciłem do swojej kajuty, zapalka, którą wetknąłem między drzwi a framugę, leżała na podłodze. Monety w kieszeniach walizek zsunęły się spod gumek na samo dno, co niedwuznacznie dowodziło, że ktoś otwierał mój bagaż. O tym, jak bardzo byłem zmęczony, świadczy choćby fakt, że odkrycie to wcale mnie nie zaskoczyło, a przecież powinno, bo chociaż już ktoś wiedział, że pocziwy doktor wkuwa rozdział o akonitynie i w związku z tym musi zdawać sobie sprawę, iż zatrucie nie było dziełem przypadku, to jednak trudno było to uznać za wystarczający powód do przetrząsania bagażu rzezonego doktora. Aż się prosiło, żebym lepiej niż kiedykolwiek do tej pory pilnował pleców.

I w tej właśnie chwili usłyszałem za nimi jakieś skrzypnięcie. Odruch nakazywał zrobić kilka szybkich kroków do przodu – skąd mogłem wiedzieć, jaki twardy lub ostry przedmiot lada sekunda spadnie mi na potylicę albo zagłębi się między łopatkami – po czym błyskawicznie się odwrócić. Jednocześnie rozsądek podpowiadał, że to dość nieprawdopodobne, by ktoś pokusił się o załatwienie mnie w biały dzień, na górnym pokładzie, pod okiem zaciekawionej obsługi mostka. Toteż

odwróciłem się niespiesznie i ujrzałem Charlesa Conrada chowającego się za skrzynię z ładunkiem, która od zawietrznej dawała nieco osłony przed śnieżycą.

–A to co znowu? – spytałem. – Poranny łyk świeżego powietrza za wszelką cenę? Czy może nie przepada pan za whisky kapitana Imrie?

–Ani jedno, ani drugie. – Uśmiechnął się. – Po prostu ciekawość. – Poklepał okryty brezentem pakunek za naszymi plecami. Pakunek miał prawie dziesięć stóp wysokości, był półkulisty górami, płaski u podstawy, i przymocowany co najmniej kilkunastoma stalowymi linami. – Wie pan, co to jest?

–Czy to podchwytliwe pytanie?

–Tak.

–Prefabrykowane chaty polarne. Tak przynajmniej mówiono w Wiek. Sześć sztuk, dla łatwiejszego transportu zaprojektowane tak, by wchodziły jedna w drugą.

–Ano właśnie. Warstwa wzmocnionej plecionki, izolacja z kapoku, azbest, aluminium. – Wskazał ręką następny pokaźny ładunek, umocowany nieco bliżej dziobu, dokładnie przed tym, za którym kryliśmy się przed śnieżycą. Miał dość dziwny kształt, na całej długości był z grubsza owalny i sterczał w górę na jakieś sześć stóp. – A to?

–Następne podchwytliwe pytanie?

–Jasne.

–I znów spudłuję? Jak za pierwszym razem?

–Jeśli ciągle jeszcze wierzy pan w to, co nagadali panu w Wiek, to oczywiście. To nie są chaty, bo my nie potrzebujemy żadnych chat. Celem naszej wyprawy jest Sorhamma – Południowe Przytulisko – gdzie są już nadające się do wykorzystania baraki. Siedemdziesiąt lat temu przybył tam w poszukiwaniu węgla pewien facet, niejaki Lerner – nawiasem mówiąc, udało mu się ten węgiel znaleźć. Musiał być z niego kawał dziwaka, bo oznakował swój teren malując skały na brzegu w barwy narodowe Niemiec. No więc, ten Lerner postawił baraki i zbudował nawet drogę do najbliższej zatoki, Kvalross Bukta czyli Zatoki Morsów. Po nim usadowiła się tam pewna niemiecka firma rybacka i ona także budowała baraki. Co więcej, w czasie ostatniego Międzynarodowego Roku Geofizycznego norweska ekspedycja naukowa spędziła tu całe dziewięć miesięcy – i od czego rozpoczęła swój pobyt? Od stawiania baraków. Czego jak czego, ale pomieszczeń noclegowych tam nie brakuje.

–Jest pan znakomicie poinformowany.

–Nie zapominam tego, co przeczytałem zaledwie przed półgodziną. Goin zrobił dziś rano obchód i rozdał wszystkim kopie prospektu tego, co mam się stać najwybitniejszym kinematograficznym arcydziełem wszechczasów. Pan tego nie dostał?

–Owszem. Ale nie załączyli słownika.

–Fakt, że przy tej lekturze słownik by się przydał. – Poklepał brezent za naszymi plecami. – To jest makietka centralnej części łodzi podwodnej, sam kadłub, bez bebeczów. Mówiąc makietka, nie mam bynajmniej na myśli, że zrobiono to z dykty. Wykonano ją ze stali, waży z dziesięć ton, z czego cztery to żeliwny balast. Tamta druga paka przed nami to wieżyczka łodzi, którą przyśrubują na wierzchu, kiedy już wszystko znajdzie się w wodzie.

–Coś takiego! – powiedziałem, bo nie byłem w stanie wymyślić żadnego innego komentarza. – A te rzekome ciągniki i beki z paliwem na tylnym pokładzie, to pewnie czołgi i działa przeciwlotnicze?

–Właśnie że nie. Ciągniki i paliwo, wcale nie rzekome. – Zamilkł na chwilę. – Czy pan wie, że istnieje tylko jeden egzemplarz scenariusza tego filmu, i że jest zamknięty w skarbcu Banku Anglii czy w jakiejś innej tego rodzaju skrytce?

–Usnąłem, nim do tego doszedłem.

–Nie ma nawet planu ujęć, które mają być kręcone na tej wyspie. Tylko cała seria nie powiązanych ze sobą scen, które zebrane do kupy nie układają się w żadną sensowną całość. Jasne, że musi istnieć jakaś nić przewodnia, która je w tę sensowną całość połączy. Ale leży zwinięta w kłębek w sejfie Banku Anglii, czy gdzie to ją tam zdeponowano. Bez tego nie można się w niczym połapać.

–Może o to właśnie chodzi, żeby nie można się było w niczym połapać. – Czuję, że stopy zmieniają mi się powoli w bryły lodu. – W każdym razie na tym etapie. Ta konspiracja może mieć znakomite uzasadnienie. A poza tym, czy producenci nie stawiają czasem na reżyserów, którzy popuszczają wodze swojej wyobraźni i natchnieniu, improwizują w trakcie zdjęć, kręcą z kapelusza?

–Ale nie Neal Divine. On w całym swoim życiu nie nakręcił nawet jednej sceny z kapelusza. – Spod gęstej ciemnej czupryny, którą wiatr ze śniegiem zwiewał Conradowi niemal na oczy, niewiele było widać czoła, ale tę widoczną odrobinę pofałdowały głębokie zmarszczki. – Jeśli scenopis Divine’a każe panu w scenie 289 nałożyć melonik i zatańczyć kankana, to w scenie 289 zakłada pan melonik i tańczy kankana. A co do Ottona, to nawet palcem nie kiwnie, póki nie skalkuluje wszystkiego do ostatniego posunięcia i ostatniego grosza. Zwłaszcza grosza.

–Cieszy się opinią rozważnego człowieka.

–Rozważnego?! – Conrad wzdrygnął się. – Czy całe to przedsięwzięcie nie wydaje się panu zupełnie zwariowane?

–Cały świat filmowy – odparłem ze szczerością – wydaje mi się mocno zwariowany, ale jako zwykły szary człowiek, który zetknął się z nim po raz pierwszy w życiu, nie bardzo potrafię ocenić, czy ten konkretny rodzaj wariactwa odbiega od normy, czy też jeszcze się w niej mieści. Co o tym sądzą pańscy koledzy aktorzy?

–Jacy koledzy aktorzy? – spytał ponuro Conrad. – Judith Haynes nadal konferuje na osobności ze swoimi kundlami. Mary Stuart bez końca pisze listy w swojej kajucie, a przynajmniej mówi, że to listy. Według mnie spisuje pewnie testament. A jeśli Günther Jungbeck i Jon Heyter mają o tym wszystkim jakieś zdanie, to starannie zatrzymują je dla siebie. Nawiasem mówiąc, oni sami wydają mi się dość dziwni.

–Nawet jak na aktorów?

–Jeden zero dla pana. – Uśmiechnął się bez zbytniego przekonania. – Pogrzeby na morzu budzą we mnie skłonność do mizantropii. Nie, chodzi o to, że oni tak zupełnie nie orientują się w świecie filmu, przynajmniej brytyjskiego filmu. Może to i zrozumiałe, w końcu Heyter całe życie grał w Kalifornii, a Jungbeck w Niemczech. Właściwie wcale nie są dziwni, tylko tak bardzo nic nas ze sobą nie łączy, że zupełnie nie mamy o czym rozmawiać, żadnych wspólnych tematów, żadnych punktów zaczepienia.

–Ale przecież musiał pan ich znać ze słyszenia?

–Nawet i to nie, ale nie ma się czemu dziwić. Lubię grać, ale świątek aktorski nudzi mnie do granic bólu i nie udzielam się w nim towarzysko. To czyni dziwaka także i ze mnie. Ale Otto za nich ręczy i to mi wystarcza. Szczerze mówiąc, wyraża się o nich wręcz z najwyższym uznaniem. Kiedy przyjdzie co do czego, zaćmią mnie pewnie swoją grą tak, że na ekranie zejdem do roli rekwizytu. – Znów się wzdrygnął. – Ciekawość Conrada pozostaje niezaspokojona, ale Conrad ma już dość. Czy jako lekarz nie zaleciłby mi pan odrobiny tej whisky, którą stary Imrie szafuje podobno tak hojną ręką?

Przeszliśmy do jadalni, gdzie kapitan Imrie nie tyle szafował whisky, co ją raczej wydzielał, i to tak ciężką ręką, że musiała pochodzić z jego własnych zapasów, a nie z rezerwy Ottona. Sam Otto, okutany w barwne pledy, z bladą namiastką właściwego mu ceglastosinego kolorytu twarzy, siedział na swym miejscu za stołem i nie widać było, żeby zgłaszał jakieś obiekcje. Zgromadzenie liczyło co najmniej dwadzieścia osób, pasażerów i członków załogi, i nawet przy najlepszych chęciach panującej tu atmosfery nie można było nazwać radosną. Ze zdziwieniem zauważyłem wśród obecnych Judith Heynes pod troskliwą opieką męża, Michaela Strykera. Ze

zdziwieniem ujrzałem Mary kochanie: widać jej poczucie obowiązku, czy co tam nią kierowało, okazało się silniejsze od awersji do alkoholu. Moje zdumienie pogłębił dodatkowo fakt, że w kącie poszły wszelkie nakazy przyzwoitości i tego ranka Mary kochanie dość nieprzyzwoicie Ignęła do ramienia Allena. Bez zaskoczenia natomiast stwierdziłem brak Mary Stuart. A także Heissmana i Sandy'ego. Dwaj aktorzy, z którymi Conrad miał podobno tak mało wspólnego, Jungbeck i Heyter, trzymali się razem w kącie jadalni i po raz pierwszy spojrziałem na nich z niejakim zainteresowaniem. Faceci wyglądali na aktorów, co do tego nie było dwóch zdań, czy też może precyzyjniej: wyglądali tak, jak w moim przekonaniu powinni wyglądać aktorzy. Heyter był młodym jeszcze, wysokim, przystojnym blondynem, o rysach twarzy, które przed dwudziestoma laty określano pewnie mianem „ostre i wyraziste”; dziś twarz ta nadal pozostała pełna życia, ruchliwa i plastyczna.

Jungbeck co najmniej piętnaście lat od niego starszy, miał barczyste ramiona, gęsty zarost przeświecający spod skóry, ciemne kręcone włosy, przyprószone początkami siwizny, i usta skore do ujmującego uśmiechu. W filmie, który mieliśmy kręcić, obsadzono go w roli czarnego charakteru, ale pomimo odpowiedniej postury i sinawych policzków nawet z daleka nie kojarzył się z nikim tego typu.

Już w następnej chwili zorientowałem się, że milczenie zalegające salon nie wynikało wyłącznie z powagi sytuacji. Słuchano właśnie wystąpienia kapitana Imrie, który przerwał je w momencie naszego wejścia i korzystając z okazji, wydzielił sobie – i zaproponował nam – kolejną porcję trunku. Odmówiłem. I kapitan Imrie podjął swe wystąpienie.

–Tak – ciągnął ponuro – to stosowne, jakże stosowne. Odeszło od nas dzisiaj, tragicznie i pogrążając w boleści, trzech nieodrodnym synów Albionu... – w tym momencie prawie się ucieszyłem, że Antonio nie może tego słyszeć -...ale wszystkich to czeka, wcześniej czy później wybije i nasza godzina. A jeśli już musieli udać się na wieczny odpoczynek, to jakież miejsce nadaje się do tego lepiej, niż te zaszczytne wody Wyspy Niedźwiedziej, gdzie najgłębszym snem śpi dziesięć tysięcy ich rodaków? – Wykazując zupełny brak serca, zaciekawilem się, którą to godzinę bił zegar, kiedy kapitan Imrie pokrzepił się pierwszym drinkiem tego ranka, ale przypomniałem sobie zaraz, że skoro wstał o czwartej, to pewnie uważał, że mamy już pełnię dnia. W tej samej chwili kapitan potwierdził słuszność mego przypuszczenia ponownie napełniając sobie szklaneczkę, tym razem jednak nie przerywając potoczystego monologu. Jego słuchacze, co zauważyłem z prawdziwą przykrością, mieli miny ludzi, którzy woleliby się niezwłocznie znaleźć gdzie indziej.

–Zastanawiam się, co dla państwa znaczy Wyspa Niedźwiedzia – kontynuował kapitan Imrie. – Pewnie nic, bo i dlaczego miałyby coś znaczyć. Wyspa Niedźwiedzia, zwykła nazwa, jak każda inna. Jak wyspa Wight czy tamta w Ameryce... jak jej tam – Coney, wyspa Coney. Po prostu nazwa. Ale dla ludzi takich jak obecny tu pan Stokes i ja, i tysiący innych Wyspa Niedźwiedzia to ciut więcej. To coś w rodzaju punktu

zwrotnego, punktu znaczącego nowy rozdział w naszym życiu, coś jak to, co faceci od geografii i geologii nazywają działem wodnym. Kiedy poznaliśmy tę nazwę, zrozumieliśmy, że żadna inna nazwa nie znaczyła dotąd w naszym życiu tak wiele i już żadna inna tak wiele znaczyć nie będzie. Zrozumieliśmy, że już nic nigdy nie będzie tak samo. Wyspa Niedźwiedzia była miejscem, gdzie młodzi chłopcy wkroczyli w dorosłe życie, raptownie, niejako z dnia na dzień, miejscem, gdzie mężczyźni w pełni sił, tacy jak ja sam, z dnia na dzień się postarzeni. – Mówił teraz do nas zupełnie inny kapitan Imrie, snuł w zadumie wspomnienia drzemiące na dnie duszy, ze smutkiem, ale bez goryczy; przymusowe dotychczas audytorium przestało zerkać z utęsknieniem na wyjścia z jadalni, słuchając słów kapitana z rosnącą uwagą.

–Zwaliśmy ją „Wrotami” – ciągnął. – Wrotami do Morza Barentsa, Morza Białego i tych miejsc w Rosji, do których prowadziliśmy konwoje przez wszystkie długie lata wojny, tyle już lat temu. Ten, kto je przekroczył i powrócił, mógł się uważać za szczęściarza; ten, komu udało się to kilka razy, wyczerpywał swój cały przydział szczęścia w życiu. Ile razy przekraczaliśmy Wrota, panie Stokes?

–Dwadzieścia dwa razy – padła odpowiedź, wyjątkowo nie poprzedzona długim i głębokim namysłem.

–Dwadzieścia dwa razy. Nie mówię tego dlatego, że sam brałem w tym udział, ale ludzie, którzy prowadzili te konwoje do Murmańska, cierpieli tak, jak nikt nigdy w żadnej poprzedniej wojnie nie cierpiał przed nimi i jak już nikt nigdy w żadnej następnej wojnie cierpieć nie będzie. I to właśnie tu, na tych wodach, u Wrót, cierpieli najbardziej, bo to tu właśnie dniem i nocą czatował na nas wróg i to tu właśnie posyłał nas na dno. Wspaniałe okręty i wspaniali chłopcy... Nasi i niemieccy... Więcej ich spoczywa w tych wodach, niż gdziekolwiek indziej na świecie, choć dziś te wody są już czyste, czas wypłukał z nich krew. Ale nie z naszej pamięci, nie z naszej pamięci... Minęło trzydzieści lat, a ja nadal na dźwięk słów „Wyspa Niedźwiedzia”, nawet gdy sam je wypowiadam, czuję, jak krew zastyga mi w żyłach. Wiem, że dziś spoczywają pojednani na tym cmentarzysku Arktyki, a mimo to dźwięk tych słów ścina mi krew. – Wzdrygnął się, jakby rzeczywiście zrobiło mu się zimno, po czym na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. – Starym nie zamykają się usta, gadułam nie zamykają się usta, więc chyba nie mogło państwa spotkać nic gorszego, niż wysłuchanie starego gaduły. A tak naprawdę chciałem tylko powiedzieć, że ci, których pożegnaliśmy, spoczęli w dobrym towarzystwie. – Uniósł szklaneczkę. – *Bon voyage.*

Bon voyage. Ale nie były to słowa ostatniego pożegnania, bo nie po raz ostatni zegnaliśmy kogoś spośród nas. To przeczucie nie opuszczało mnie ani na chwilę i wiedziałem, że kapitan Imrie także ma podobne. Wiedziałem, że właśnie coś w rodzaju wrodzonego instynktu czy wyczulonej intuicji skłoniło go do wygłoszenia tej przemowy, do odgrzebania wspomnień, równie nieproszonych, co pozornie bez związku ze sprawą. Zastanowiłem się, czy kapitan Imrie choćby mgliście zdaje sobie

sprawę z tego myślowego przeniesienia, zastąpienia przerażających koszmarów sprzed lat niesprecyzowaną świadomością, że koszmary te nie są wyłączną domeną otwarcie toczonych wojen, że gwałtowna śmierć nie zna granic w czasie i przestrzeni, a niegościnnie pustkowia Morza Barentsa są jej domostwem i siedliskiem.

Zastanowiłem się, kto z obecnych odczuwa ów atawistyczny strach, ten osobliwy, bezimienny lęk tak często ogarniający nas w najbardziej odludnych i niedostępnych miejscach na ziemi, lęk sięgający swymi korzeniami ery nie znających jeszcze ognia jaskiniowców, tych niewyobrażalnie odległych praprzodków człowieka, którzy kulili się z przerażenia w swych nie oświetlonych pieczarach, gdy w otaczającej ich nocy hulały moce ciemności i zła. Lęk, który tu i teraz aż nazbyt łatwo rozbudziła i spotęgowała nagła, gwałtowna i niewytłumaczalna śmierć trzech ludzi, którzy jeszcze poprzedniego dnia byli ich współtowarzyszami podróży.

Trudno było powiedzieć, kto ulegał wpływowi tych nieuświadomionych, pierwotnych przeczuć, bo człowiek niechętnie przyznaje się do ulegania tak irracjonalnym i dziecinny przesądom nawet przed samym sobą, nie mówiąc już o ujawnianiu ich przed innymi. Bez wątpienia kapitan Imrie i pan Stokes. Stanęli samotnie w kącie i wpatrywali się w trzymane w rękach szklaneczki, dałbym głowę, że niewidzącym spojrzeniem, a już na pewno bez słowa. A ponieważ niezwykle rzadko – jeśli w ogóle – zdarzało im się przebywać we własnym towarzystwie i nie rozwódzić się nad sprawami najwyższej doniosłości, już to samo w sobie było bardzo wymowne. Neal Divine miał policzki jeszcze silniej zapadnięte niż zwykle, ale chyba zaczynał już przychodzić do siebie po fatalnej nocy. Siedział sam, nieustannie obracając w dłoniach pustą szklaneczkę, jak zwykle nerwowo zaprzątnięty własnymi myślami, ale czy myśli te dotyczyły morskiej choroby czy rychłego podjęcia obowiązków reżysera, a co za tym idzie – perspektywy wystawienia się na chłostę ciętego języka Gerrana, nie sposób było powiedzieć. Może i on czuł przenikające w głąb duszy liźnięcia macek z zamierzchłej przeszłości.

Goin i Otto siedzieli obok siebie u szczytu stołu i także zachowywali milczenie. Zastanawiałem się, jaki właściwie układ łączy tych dwóch mężczyzn. Wydawało się, że pozostają w dość serdecznych stosunkach, ale zdążyłem zauważyć, że szukali swego towarzystwa tylko wówczas, gdy należało przedyskutować jakiś problem dotyczący bezpośrednio interesów. Równie dobrze mogło być i tak, że prywatnie nie mieli ze sobą wiele wspólnego, choć mianowanie Goina wiceprezesem i następcą tronu Olympus Productions zdawało się świadczyć o jego wysokich notowaniach u Gerrana. A ponieważ siedzieli teraz razem i siedzieli w milczeniu, zakładałem, że pogrążyli się w zadumie nad sprawami z rodzaju tych, które zaprzętały myśli kapitana Imrie i moje własne. Trzej Apostołowie nie rozmawiali, ale o niczym to nie świadczyło. Pozbawieni swych instrumentów, czasopism muzycznych i jarmarcznie kolorowych komiksów – zajmowanie się nimi w zaistniałej sytuacji uznali pewnie za niestosowne – zmieniali się w niemowy. Stryker, nadal roztaczając troskliwą opiekę

nad swą żoną, rozmawiał przyciszonym głosem z Hrabią, natomiast Księżę ostentacyjnie nie rozmawiał ze swoim współpasażerem z kajuty, Eddiem, ponieważ jednak stosunki między nimi układały się w taki sposób, że co rusz się do siebie nie odzywali, trudno było do tego przywiązywać jakąś wagę. Naraz u mego boku wyrósł Lonnie Gilbert. Zaciekawilo mnie, czy i w jakim stopniu do jego zamroczonego umysłu dotarło ukryte znaczenie słów kapitana Imrie. Lonnie ścisnął w rękę szklankę szkockiej, imponujących zaiste rozmiarów i napełnioną takąż miarką trunku, co jaskrawo kontrastowało ze stosunkowo oszczędnymi drinkami, jakimi częstował się o północy w barku saloniku. Musiałem więc wyciągnąć wnioski, że gdzieś w głębokich zakamarkach jego duszy przetrwały szczątki sumienia, nakazujące mu zachowywać umiar w korzystaniu z trunków zdobytych nie najuczciwszą drogą.

– „Zazdrość, nienawiść i potwarz, i zdrada, ani wzburzenie, co zważ je rozkoszą, tknąć go już nie śmie i bólu nie zada”* [*P. B. Shelley „Adonais”, tłum. J. Szeniawskiego.] – wyrecytował Lonnie.

– Lonnie – wskazałem ruchem głowy na jego szklankę – o której pan dziś zaczął?

– Zaczął? Ja w ogóle nie przestałem. Bezsenna noc. „Dziś żmii czasu nie straszny mu jad i łzy bezsilnej nie musi już ronić, że lód skuł serce, szron na skroni siadł...”

Zorientowawszy się, że utracił we mnie słuchacza, urwał i powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem. Mary kochanie i Allen właśnie wychodzili, uznawszy zapewne, że uczynili już zadość nakazom dobrego wychowania. Mary zawahała się, przystanąła przed krzesłem Judith Haynes, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dzień dobry, panno Haynes. Mam nadzieję, że czuje się pani już lepiej.

Judith Haynes odpowiedziała przelotnym grymasem, błyskiem nieskazitelnego zębów w kąciu ust, i natychmiast odwróciła wzrok: fałszywy uśmiech, który właśnie tak miał zostać odczytany i zrozumiany, a następnie nieodwołalna i pogardliwa odprawa natręta. Zobaczyłem, że na policzki Mary występują rumieńce i ma zamiar coś jeszcze powiedzieć, ale Allen zacisnął usta, ujął ją pod ramię i pociągnął łagodnie w stronę drzwi.

– No, no – mruknąłem. – Ciekawe, o co w tym wszystkim chodzi. Panna Haynes czuje się chyba obrażona, ale ja jakoś zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, żeby nasza mała Mary potrafiła w ogóle wyrządzić komuś przykrość.

– A jednak, mój chłopcze, a jednak. Nasza Judith należy do grona tych nieszczęsnych i godnych politowania przedstawicielek płci pięknej, które po prostu nie są w stanie znieść, gdy jakaś kobieta jest młodsza, ładniejsza lub inteligentniejsza od nich samych. Nasza mała Mary obraża ją przynajmniej pod dwoma z tych trzech względów.

–Rozczarowuje mnie pan – odparłem. – Oto mężnie staram się podważyć, a przynajmniej puścić mimo uszu, jak się zdaje, powszechną opinię, że Judith Haynes jest skończoną jędzą, a tymczasem pan...

–I miał pan rację. – Lonnie z zaskoczeniem przyjrzał się swojej pustej szklanicy. – Judith Haynes nie jest skończoną jędzą, a przynajmniej nie jest to jej sposób na życie. Jeśli zdarzają jej się takie zachowania, to mimowolnie. W stosunku do tych, którzy nie stanowią zagrożenia czy konkurencji, małych dzieci, psów, kotów i tak dalej potrafi zdobyć się na szlachetne odruchy, nawet na uczucie. Ale poza tym jest to biedne, bardzo biedne stworzenie, niezdolne do miłości ani do wzbudzenia w innych miłości do siebie, czyli krótko i węzłowato, istota niekochana, przewrotna, lecz godna litości, istota, która raz spojrzawszy na siebie i stwierdziwszy, że nie podoba jej się to, co widzi, ucieka od rzeczywistości i szuka schronienia w świecie mizantropijnej fantazji. – Zrobił nagły wypad w bok, w kierunku pozostawionej bez dozoru butelki szkockiej, napełnił sobie szklanicę z szybkością i wprawą, jaką może dać tylko wieloletnia praktyka, i z uszczęśliwioną miną powrócił do mnie i swego tematu.

–Chorzy, chorzy, chorzy i tylko chorzy, a nie wszyscy, potrzebują naszej pomocy i współczucia. – W razie potrzeby Lonnie potrafił przybrać ton prawdziwie autorytatywny. – Judith Haynes należy do grona ochoczych ofiar ogólnych okrucieństw – no i jak, cztery „o” pod rząd i nawet się nie zająknąłem – które czerpią prawdziwą rozkosz z doznawania cierpień, upokorzeń i obraz. A jeśli tej obrzy tak naprawdę wcale nie ma, no to tym lepiej: można wtedy wymyślić jakąś inną, jeszcze pełniej zaspokajającą potrzebę serca. Dla tych nieszczęśników, którzy kochają tylko samych siebie, wtulenie się w czułe objęcia roztkliwienia nad sobą, krzepiące jak uścisk starego i bliskiego przyjaciela, jest najcenniejszym w życiu luksusem. Zapewniam pana, drogi przyjacielu, że żaden hipcio nie tarzał się w swym afrykańskim bloku z takim upodobaniem jak...

–Jestem pewien, że ma pan rację, Lonnie – przerwałem mu. – A to porównanie wydaje mi się niezwykle trafne.

Przestałem go słuchać, gdyż moją uwagę zwrócił i przykuł pochwycony kątem oka widok jakiejś postaci przemykającej spiesznie po pokładzie za oknami salonu. Heissman, byłem niemal pewien, że to Heissman, a skoro tak, to natychmiast rodziły się trzy pytania wymagające równie natychmiastowych odpowiedzi. Heissmana rzadko widywano poruszającego się inaczej niż z najwyższym dostojeństwem i rozwagą, skąd więc ten obcy mu pośpiech? Czemu, skoro zmierzał ku rufie, wybrał na – a nie zawietrzną stronę nadbudówki, jeśli nie dlatego, że zalepione od tej strony śniegiem okna jadalni pozwalały mu przedostać się tam w miarę niepostrzeżenie? I co w ogóle robił na pokładzie, zwłaszcza przy swojej powszechnie znanej i niemal patologicznej awersji do zimna, zapewne spadku po długich latach spędzonych na Syberii? Poklepałem Lonniego po ramieniu.

–Wracam, jak to się mówi, migiem – powiedziałem. – Muszę odwiedzić chorych.

Opuściłem jadalnię, bez pośpiechu, drzwiami od zawiętrznej i przystanąłem sprawdzając, czy moje wyjście nie zainteresowało kogoś na tyle, by poszedł moim śladem. I rzeczywiście ktoś to zrobił, niemal natychmiast, ale jeśli uczynił to na skutek zainteresowania moimi poczynaniami, nie dał nic po sobie poznać. Günther Jungbeck rzucił mi krótki, nic nie znaczący uśmiech i ruszył szybko w stronę wejścia do pomieszczeń pasażerskich. Odczekałem jeszcze kilka sekund, po czym wspiąłem się po metalowej drabinie na pokład łodziowy, znajdujący się dokładnie za sterówką i kabiną radiooperatora.

Obszedłem komin i obudowy wlotów powietrza dla silnika, ale nikogo nie znalazłem. Nie byłem tym specjalnie zaskoczony. Przy tej temperaturze i tym wietrze nawet niedźwiedź polarny nie kręciłby się po zupełnie odkrytym pokładzie bez wręcz nieodpartego powodu. Skręciłem w stronę rufy, minąłem jedną z naszych dwóch motorowych łodzi ratunkowych, wyszukałem sobie jakieś iluzoryczne schronienie za osłoną jednego z wentylatorów i wyjrzałem w dół, na pokład rufowy.

Przez kilka pierwszych chwil nie widziałem nic, co mogłoby mnie zainteresować. Głównie dlatego, że wszystkie rzeczy stłoczone na pokładzie rufowym – a było ich grubo ponad dwie dziesiątki, od beczek z paliwem poczynając, na szesnastostopowej łodzi roboczej umocowanej na specjalnym żurawiku kończąc – okrywał tak gruby i bezkształtny całun śniegu, że w większości wypadków nie sposób było rozpoznać nie tylko, co się w takim białym kokonie kryje, ale nawet czy jest to martwy przedmiot czy żywa istota. Dopóki coś się nie poruszyło.

Jeden z kokonów drgnął. Zza zasłony potężnego, kanciastego ładunku, w którym rozpoznałem kabinę ratraka, wyłoniła się jakaś nikła, widmowa postać. Zrobiła pół obrotu w moją stronę i choć jej twarz niemal całkowicie zasłaniał obszerny kaptur i ręka zaciskająca go pod szyją dla ochrony przed śniegiem, wystawało spod niego dość pszenicznych pasemek, abym mógł rozpoznać jedyną osobę na pokładzie o włosach tego koloru. Niemal natychmiast dołączyła do niej inna postać. Wyłoniła się spod krawędzi pokładu łodziowego i nawet gdybym nie zobaczył wychudłej, ascetycznej twarzy, wiedziałbym, że to Heissman.

Podszedł prosto do dziewczyny, ujął ją pod ramię – bez żadnego oporu z jej strony – i coś powiedział. Opadłem na kolana, żeby zmniejszyć ryzyko wykrycia, gdyby któremuś wpadło do głowy spojrzeć w górę, no i po to, by usłyszeć rozmowę. Cel pierwszy osiągnąłem, drugiego niestety nie. Przeszkodził mi zły kierunek wiatru, ale przede wszystkim to, że niemal stykali się głowami. Może uważali, iż temat wymaga przyciszonego, konspiracyjnego tonu, a może po prostu osłaniali w ten sposób twarze przed śnieżycą. Cał za całem podpełzłem na samą krawędź pokładu łodziowego i przykucnąłem na piętach maksymalnie wyciągając szyję, ale to także nic nie dało.

Heissman obejmował teraz Mary Stuart ramieniem i tym razem ten świadczący o zażyłości gest wywołał pewną reakcję, choć raczej dość dla mnie niespodziewaną, gdyż Mary Stuart zarzuciła mu rękę na szyję i wtuliła głowę w ramię. W tym wysoce intymnym tete-ń-tete pozostali co najmniej dwie minuty, po czym odeszli powoli w kierunku pomieszczeń pasażerskich; Heissman nadal obejmował dziewczynę ramieniem. Nawet nie próbowałem ich śledzić, bo nie tylko musiałoby to zaowocować niechybnym wykryciem, ale także zupełnie mijało się z celem: wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, zdążyli już powiedzieć.

–Joga na Morzu Barentsa? – usłyszałem za plecami czyjś głos. – Cóż za zapamięta!

–Fanatycy zawsze we wszystkim przesadzają – odparłem. Podniosłem się niezgrabnie, bez pośpiechu, wiedząc, że ze strony Smithy’ego nic mi nie grozi. Miał na sobie grubą wełnianą kurtkę z kapturem, wyglądał znacznie lepiej niż przed północą i mierzył mnie spojrzeniem, które można by wziąć za rozbawione i kpiące, gdyby nie to, że jego oczy nie dostrzegały w tym, co widziały, niczego zabawnego. – Takie rzeczy trzeba uprawiać bardzo systematycznie – wyjaśniłem.

–Jasne. – Minął mnie, wychylił się przez reling i omiół spojrzeniem głębokie ślady stóp Mary Stuart i Heissmana. – Podgląda pan dzikie ptaszki?

–Lęgowska łysek i czapli.

–No proszę. A nie uważa pan, że jak na ptasich kochanków to dość dziwnie dobrana para?

–To wszystko ten świat filmu, Smithy. Wygląda na to, że od dziwnych ptaszków aż się w nim roi.

–Niech i tak będzie. – Ruchem głowy wskazał na sterówkę. – Oto ciepły i zasobny kącik, doktorze. Idealne miejsce do prowadzenia dalszych ornitologicznych obserwacji.

Kącik okazał się wcale nie taki ciepły, gdyż ujrawszy przez okno, jak pełzną ostrożnie po pokładzie łodziowym, Smithy zostawił za sobą otwarte drzwi, ale za to rzeczywiście zasobny, a mianowicie w butelkę, którą Smithy wyjął z szafki na ścianie. – Czy pošlemy po królewskiego degustatora, żeby sprawdził, czy ten trunek nie zawiera domieszek, które mogłyby nam nie wyjść na zdrowie?

Przyjrzałem się nienaruszonemu kapslowi.

–Chyba że, pana zdaniem, ktoś zabrał ze sobą na pokład całą rozlewnię.

–Sprawdziłem. – Zerwał paski metalu przytrzymujące nakrętkę. – Wczoraj w nocy rozmawialiśmy o tym i owym, w każdym razie ja sporo gadałem. Pan może słuchał, a

może nie. Wtedy zaniepokoiłem się, bo zacząłem podejrzewać, że może nie jest pan ze mną szczery. Teraz cierpnę ze strachu, bo wiem już na pewno, że nie.

–Z powodu mojego zainteresowania ornitologią? – spytałem łagodnie.

–Między innymi. Weźmy to hurtowe otrucie. Miałem czas, żeby to sobie przemyśleć, tak z grubsza. Jasne, że nie mógł pan mieć pojęcia, kto jest trucicielem. Trudno sobie wyobrazić, żeby wiedząc, kto załatwił tego młodego Włocha, pozwolił mu pan zabrać się do następnych sześciu osób, z których dwie w efekcie pożegnały się z tym światem. Ba, nie mógł pan w ogóle mieć pewności, że cała sprawa nie jest czystym przypadkiem. Przecież truciciel działał na pozór zupełnie na chybił trafił.

–Bardzo panu dziękuję – odparłem. Gwałtownie stracił w moich oczach. – Tyle tylko, że działał rzeczywiście na chybił trafił. Bez „na pozór”.

–Tak sobie myślałem zeszłej nocy. – Zupełnie jakby nie usłyszał, co powiedziałem. – Wtedy mógł pan nie mieć o niczym zielonego pojęcia. Teraz już musi je pan mieć. Przecież od tamtej pory niejedno się zdarzyło, nieprawdaż?

–To znaczy, niby co? – Gwałtownie zyskał w moich oczach. Był przekonany, że po pokładzie hulały złe moce, ale skąd brał tę pewność? Czy sporządził sobie wykaz podejrzanych, próbował zgadnąć, kto tak zręcznie posługuje się tojadem (oczywiście tego, że to akurat tojad, nie mógł wiedzieć), skąd go wziął, gdzie przechowywał, jak doszedł do takiej wprawy w jego stosowaniu, że potrafił domieszać go do pożywienia w nie dający się wykryć sposób? Czy próbował odgadnąć, kto był mordercą i dlaczego mordował? I dlaczego na oślep? Czy też może opierał swoje przypuszczenia wyłącznie na moim podejrzeniu skrytym zachowaniu?

–Całe mnóstwo rzeczy, co nie znaczy, że wszystkie zdarzyły się rzeczywiście ostatnio. Niektóre dopiero teraz wypłynęły na światło dzienne, a inne dopiero w świetle, że tak powiem, najświeższego rozwoju wydarzeń, zaczęły wydawać się nieco dziwne. Na przykład: dlaczego do tej roboty wybrano kapitana Imrie i pana Stokesa, a nie któregoś z młodych, prężnych kapitanów i głównych mechaników? O tej porze roku nie cierpią na nadmiar zajęć i każdy z ochotą wyczarterowałby swój jacht. Otóż dlatego, że są już tak stetryczali i przesiąknięci szkocką i rumem, że przez dwadzieścia godzin na dobę nie bardzo wiedzą, czy to dzień, czy noc. Po prostu nie widzą, co się dzieje, a nawet gdyby widzieli, to pewnie nie przywiązywaliby do tego żadnej wagi.

Nie odstawiłem swojej szklaneczki, nie spojrzałem bystro na Smithy'ego, ani w żaden inny sposób nie zdradziłem, że cały zamieniam się w słuch. Ale tak właśnie zrobiłem. To mi nigdy nie przyszło do głowy.

–Ubiegłej nocy – Smithy ciągnął dalej – powiedziałem, że obecność pana Gerrana i

jego ekipy filmowej tu, o tej porze roku, wydaje mi się nieco zastanawiająca. Otóż, już tak nie uważam. Uważam, że jest piekielnie zagadkowa i wymaga od pańskiego przyjaciela Ottona jakichś racjonalnych wyjaśnień, których chyba nie kwapi się udzielić.

–Otto nie jest moim przyjacielem.

–A to? – Wyciągnął egzemplarz prospektu Olympus Productions. – Kupa bezsensownego bełkotu, którą ten stary miodousty Goin wpycha każdemu, kto mu wpadnie w ręce. Czytał pan...

–Goin? Miodousty?

–Miodousty krętacz, chciwy szmalu, oślizły lawirant, którego lewa ręka nie może dojść do ładu z prawą, a powiedziałbym to, nawet gdyby nie był zawodowym księgowym.

–Chyba lepiej od razu się zastrzegę, że on także nie jest moim przyjacielem – mruknąłem.

–I cały ten idiotyzm z potrzebą zachowania całkowitej tajemnicy, o czym w kółko tu bredzą. Niby dla ochrony tego cholernego scenariusza. Stawiam sto do jednego, że to kamuflaż dla czegoś o wiele, wiele ważniejszego niż ten ich scenariusz. I jeszcze raz sto do jednego, że ten scenariusz nie spoczywa w skarbcu banku, o którym tu mówią, a to z tej racji, że go w ogóle nie ma. A plan zdjęć na Wyspie Niedźwiedziej – czytał go pan? To nawet nie jest śmieszne. Kupa nie powiązanych ze sobą scen w jaskiniach, na tajemniczych motorówkach i fałszywej łodzi podwodnej, kupa wspinania się na urwiska, spadania do morza i konania w śniegach Arktyki. Mogłoby to wymyślić pierwsze lepsze pięcioletnie dziecko.

–Straszny podejrzliwusek z pana, Smithy.

–Prawda? A ta polska aktorka, ta blondynka...

–Łotyszka. Mary Stuart. Co z nią?

–Jakaś dziwna. Zawsze sama, zawsze na uboczu. Do każdego z rezerwą. Ale kiedy się kto rozchoruje, czy to na mostku, czy u Ottona, czy w kajucie tego młodego chłopaka, którego nazywają Księciem, kto tam się natychmiast zjawia? Któż by inny, jak nie nasza przyjaciółeczka Mary Stuart.

–Ona ma duszę samarytanki. Czy zjawiałby się pan w takich chwilach i w takich miejscach, gdyby wolał pan nie zwracać na siebie uwagi?

–Może w ten właśnie sposób najłatwiej to osiągnąć. A jeśli nie o to jej chodzi, to po

co ta cholerna konspiracja przy spotkaniu z Heissmanem? Po co spotykają się cichcem, w śnieżycy, na pokładzie rufowym?

Pomyślałem, że wiele bym dał, żeby mieć w Smithym sprzymierzeńca, a nie wroga.

–Może romantyczna schadzka? – poddałem.

–Z Heissmanem?!

–Pan nie jest dziewczyną, Smithy.

–Fakt. – Wyszczrzył na chwilę zęby w uśmiechu. – Ale kilka znałem. Dlaczego wszystkie szychy z dyrekcji pozostają oficjalnie w zażyłości z Ottonem, a po cichu nie przestają wieszać na nim psów? Dlaczego kamerzysta jest członkiem rady nadzorczej? Dlaczego...

–Skąd pan to wie?

–No proszę, a więc pan wie to także. Stąd, że kapitan Imrie pokazał mi gwarancję podpisaną przez pana i radę nadzorczą Olympus Productions, na której był także podpis Hrabiego. Dlaczego reżyser, ten Divine, facet podobno dobry w swoim fachu, tak strasznie trzęsie portkami przed Ottonem, gdy tymczasem Lonnie, który jest nie tylko zwykłym łachmytą i nałogowym alkoholikiem, ale w dodatku bezkarnie podciąga whisky z prywatnych zapasów Ottona, najzwyczajniej w świecie go olewa?

–Niech pan mi powie, Smithy – przerwałem mu – ile czasu poświęcał pan ostatnio na sterowanie tym statkiem?

–Trudno powiedzieć. Pewnie mniej więcej tyle, ile pan na praktykowanie medycyny.

Nie powiedziałem „poddaję się” ani nic w tym rodzaju, po prostu podstawilem Smithy’emu szklaneczkę, żeby dolał mi bezakontynowego trunku, i wyjrzałem przez okno na wirujący za szybą szary lodowy świat. Tyle pytań, Smithy, tyle pytań. Dlaczego Mary Stuart spotykała się potajemnie z Heissmanem, który zeszłej nocy czuł się tak źle, że nie byłby w stanie wziąć udziału w żadnej brudnej robocie – choć nie wykluczało to, rzecz jasna, możliwości, że z powodzeniem mógł być współnikiem tego czy tych, którzy w tak niskiej cenie mieli ludzkie życie, ich szefem lub łącznikiem. Dlaczego Otto, choć sam padł ofiarą otrucia, zareagował tak gwałtownie – włącznie z atakiem torsji – na wiadomość o zatruciu Antonia? Czy aprowizacyjna wyprawa Cecila była rzeczywiście tak niewinna, jak twierdził? A Sandy’ego? Kto odkrył, że czytałem rozdział o akonitynie, kto usunął z kuchni obiadowe resztki, kto zakradł się do mojej kajuty i przetrząsnął mi bagaż? I po co w ogóle go przetrząsał – ten niezwykle aktywny truciciel, być może ten sam człowiek, który zaprawił czym trzeba whisky w butelce kapitana Imrie, przyłożył mi w głowę i miał na sumieniu śmierć Hallidaya? I znowu – może jest ich więcej? I jeśli Halliday zginął przez

przypadek, czego byłem pewien, to po co zjawił się w jadalni, w której jego odwiedziny – tego również byłem pewien – przypadkowe wcale nie były?

W tym wszystkim było tyle przeróżnych „dlaczego”, „jeśli”, „po co”, że zamiast przedzierać się przez ich niezgłębioną toń, zaczynałem się raczej chwytać najbardziej absurdalnych pomysłów, niczym tonący brzytwy. Co było powodem diatryby Lonniego – bo tak to należało odczytać – przeciwko Judith Haynes, sprowadzającej się do stwierdzenia, że nienawidzi ona ludzkości w ogóle, a jej żeńskiej połowy w szczególności? Panna Haynes z pewnością potrafiła być zjadliwa i zazdrosna jak wiele innych, skądinąd sympatycznych kobiet, ale wydawałoby się, że posiada zbyt wiele atutów, takich jak bogactwo, sława, pozycja i uroda, by zaprzętać sobie głowę niszczeniem każdej kobiety, na którą się natknie. A jeśli tak, to dlaczego tak ozięble potraktowała Mary kochanie?

Tylko co to wszystko mogło mieć wspólnego z morderstwami? Pewnie nic, pomyślałem ponuro, ale nawet najmniejszy drobiazg, jeśli zawiera coś dziwnego, może mieć związek z tajemniczymi wydarzeniami na „Róży Poranka”. Czy, na przykład, Jungbecka i Heytera należało zaliczyć do kręgu podejrzanych, ponieważ jeden z nich wyszedł przed chwilą za mną z jadalni – zwłaszcza że Conrad rzucił już na nich cień podejrzenia, odżegnując się od posiadania o nich jakichkolwiek informacji jako o aktorach? Czy też może ta próba zdyskredytowania Jungbecka i Heytera stawiała samego Conrada w niewyraźnym świetle? Szlag by to trafił, pomyślałem ze znużeniem. Jak tak dalej pójdzie, obsadzę Allena w roli naczelnego truciciela tylko dlatego, że jak sam mi to wyznał, studiował kiedyś krótko chemię.

–Pensa za pańskie myśli, doktorze Marlowe. – Smithy nie należał do ludzi, którzy by pozwolili swojej twarzy występować w roli rzecznika ich przekonań.

–Niech pan nie wyrzuca pieniędzy w błoto. Za jakie myśli?

–Za dwie. Dwa rodzaje. Za to, co pan myśli, a czego mi pan nie mówi, i za myśli przepojone poczuciem winy, jaką pan z tego powodu odczuwa.

–Wie pan, jest takie prawo natury – odparłem – że niektórzy ludzie częściej czują się pokrzywdzeni niż inni.

–Czy to ma znaczyć, że podzielił się pan ze mną wszystkimi swoimi myślami?

–Nie. Ale te, którymi się z panem nie podzieliłem, nie są tego warte. Gdybym miał jakieś fakty, o, to zupełnie co innego...

–Więc przyznaje pan, że coś tu mocno nie gra?

–Oczywiście.

–I powiedział mi pan wszystko, co pan wie, choć nie wszystko, co pan na ten temat myśli?

–Oczywiście.

–I tak straciłem ostatnie złudzenia co do ludzi pańskiej profesji – powiedział Smithy. Sięgnął mi pod kaptur kurtki, odchylił brzeg szalika i utkwiał spojrzenie w mieniającej się już kolorami, podbiegłej krwią prędze na mojej szyi. – No, no, no! Cóż to się panu przytrafiło?

–Przewróciłem się.

–Doktorzy, Marlowe, nie przewracają się. Bywają przewracani. Gdzie się pan przewrócił? – O nacisku, jaki położył na słowo „przewrócił”, można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był nieuchwytny.

–Na górnym pokładzie. Po zawietrznej. Rąbnąłem szyją w sztormową framugę drzwi do jadalni.

–Co pan powie? Według mnie przyczyną tego uszkodzenia ciała było coś, co kryminolodzy nazywają twardym przedmiotem. Bardzo twardy przedmiot, szerokości około pół cala, o ostrym brzegu. Framuga drzwi do jadalni ma trzy cale szerokości i, tak jak wszystkie sztormowe drzwi na „Róży Poranka”, zrobiona jest z piankowej gumy. To czyni je całkowicie wiatro- i wodoszczelnymi. Czy też może pan tego nie zauważył? Tak jak, być może, nie zauważył pan, że John Halliday, fotosista ekipy, zaginął?

–Skąd pan o tym wie? – Tym razem przyprawił mnie o wstrząs i to nie taki mały, bo musiałbym się zdradzić miną, a tymczasem poczułem, że twarz tężeje mi sztywno w poprzednim wyrazie.

–Więc pan nie zaprzecza?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Skąd pan to wie?

–Zszedłem na dół odwiedzić rekwizytora, tego podstarzałego faceta, co to go nazywają Sandy. Słyszałem, że był chory i...

–Po co pan do niego poszedł?

–Skoro to pana interesuje, odpowiem: bo nie należy do ludzi, których by często odwiedzano. Chyba nie jest zbyt lubiany. A ciężko być nielubianym i na dokładkę chorym. – Skinąłem głową, to mi pasowało do Smithy’ego. – Ponieważ nie widziałem Hallidaya przy śniadaniu, spytałem Sandy’ego, gdzie jest. Na co Sandy odparł, że poszedł na śniadanie. Nic nie powiedziałem, ale trochę mnie to zaciekało, więc

zajrzałem do świetlicy. Tam też go nie było, co zaciekało mnie jeszcze bardziej, do tego stopnia, że dwukrotnie przeszukałem całą „Różę Poranka” od dziobu po rufę. Zajrzałem chyba do każdego zakątka, w którym mogłoby się ukryć coś większego od mewy, i może mi pan wierzyć na słowo: Hallidaya nie ma na statku.

–Zgłosił pan to kapitanowi?

–No, no, ale nas wzięło. Nie, nie zgłosiłem kapitanowi.

–Dlaczego?

–Z tego samego powodu, dla którego pan tego nie zrobił. Jeśli znam swego kapitana Imrie, oświadczyłby natychmiast, że gwarancja, którą podpisaliście, nie zawiera klauzuli odnoszącej się do takiej sytuacji, że składanie także tego zaginięcia na karb czystego przypadku to już lekka przesada i skierowałyby „Różę Poranka” prosto do Hammerfest. – Smithy spojrział na mnie z kamienną twarzą sponad swojej szklaneczki. – A ja jestem bardzo ciekaw, co się wydarzy, kiedy dotrzemy do Wyspy Niedźwiedziej.

–To może być interesujące.

–Cóż za dyplomatyczne stwierdzenie. „To może być interesujące”, powiada z głębokim namysłem doktor Marlowe. Równie interesujące mogłoby być sprowokowanie naszego doktora do okazania jakiejś reakcji. Choć raz, tak do protokołu, mojego własnego protokołu. Czy przypomina pan sobie, co powiedziałem dziś nad ranem na mostku? Że możemy być zmuszeni do wezwania pomocy i że jeśli zaistnieje tego potrzeba, to mamy tu nadajnik obejmujący swym zasięgiem niemal całą północną półkulę? Może nie powtarzam dokładnie słowo w słowo, ale do tego się to sprowadzało.

–Do tego się to sprowadzało. – Nawet mnie samemu powtórzenie tych słów wydało się machinalne. Całym wysiłkiem woli musiałem się powstrzymać, żeby nie zadrzeć, gdyż w tej samej chwili poczułem, jak na plecach, między łopatkami, stado stonóg w buciorach z lodu zaczyna mi wytupywać fandango.

–No więc, możemy sobie wzywać pomocy do ochrypnięcia, bo ten nadajnik nie obejmuje już swym zasięgiem nawet naszego kambuza. – Po raz pierwszy, co wydawało się wręcz niewiarygodne, mina Smithy’ego wyrażała coś innego niż rozbawienie. Z grymasem wściekłości na twarzy wyjął z kieszeni śrubokręt i odwrócił się do umieszczonego na wewnętrznej ścianie wielkiego stalowoblękitnego nadajnika.

–Zawsze nosi pan przy sobie śrubokręt? – Nieskalana banalność tego pytania czyniła je stosownym w tej sytuacji.

–Tylko wówczas, gdy wywołuję Tunheim na północnym wschodzie Wyspy Niedźwiedziej i nie mam odpowiedzi. A nie jest to jakaś tam pierwsza lepsza stacja radiowa. To oficjalna norweska placówka rządowa. – Smithy zabrał się do odkręcania śrub płyty czołowej. – Zdjąłem już to cholerstwo jakąś godzinę temu. Za momencik zobaczy pan, dlaczego założyłem je z powrotem.

Czekając, aż ten momencik upłynie, przypomniałem sobie naszą rozmowę bladym świtem na mostku, kiedy Smithy wspomniał o nadajniku i stosunkowej bliskości – a w konkluzji, możliwości wezwania – atlantyckich sił NATO. Zaraz potem spojrzałem przez szybę w drzwiach i zobaczyłem na śniegu świeże ślady stóp. W pierwszym odruchu uznałem, że musiał je zostawić jakiś podsłuchiwacz, lecz kiedy dotarło do mnie, że są to ślady tylko jednej pary nóg, mojej własnej, natychmiast odrzuciłem tę myśl jako zupełnie niedorzeczną. Z jakichś zupełnie niepojętych przyczyn nie przyszło mi w ogóle do głowy, że każdy, komu starczyło inteligencji do popelnienia na „Róży Poranka” serii nie wyjaśnionych przestępstw, musiał mieć dość sprytu, aby nie przeoczyć możliwości wykorzystania śladów, które zostawił już ktoś inny. Nawet ślepy by tego nie przegapił. Te ślady były jednak rzeczywiście świeże, nasz wszędobylski przyjaciel zapuścił się i tam.

Smithy usunął ostatnią śrubę i nie bez wysiłku zdjął płytę nadajnika. Przed długie dziesięć sekund wpatrywałem się w to, co ukazało się moim oczom, po czym powiedziałem:

–Teraz już widzę, dlaczego założył pan to cholerstwo z powrotem.

Jedyne, co mnie zdumiewa, to to, jak w tym ciasnym pomieszczeniu można wziąć zamach czternastofuntowym młotem.

–Tak to właśnie wygląda, prawda? – Zniszczenia, jakie poczyniono w obudowie nadajnika, były dosłownie nie do opisania. Wandal, którego były dziełem, wolał nie ryzykować. Bez względu na liczbę części zamiennych znajdujących się na statku, nie było mowy, żeby ten nadajnik dało się naprawić. – Już się pan napatrzył?

–Chyba tak. – Zaczął mocować płytę z powrotem. – Macie radiostacje na łodziach ratunkowych? – spytałem.

–Owszem, na korbkę. Mają zasięg większy niż stąd do kambuza, ale z równym skutkiem można krzyczeć przez tubę.

–O tym oczywiście będzie pan musiał zgłosić kapitanowi.

–Oczywiście.

–A wtedy płyn, barko moja, do Hammerfest?

**–Za dwadzieścia cztery godziny od teraz może sobie kazać płynąć nawet na Tahiti.
– Dokręcił ostatnią śrubę. – Wtedy właśnie mu o tym powiem. Za dwadzieścia cztery godziny. Może za dwadzieścia sześć.**

–Pański ostateczny termin rzucenia kotwicy w Sorhamma?

–Zacumowania. Zgadza się.

–Jest pan człowiekiem podstępny, Smithy.

–To wszystko przez towarzystwo, w którym się obracam. I życie, jakie prowadzę.

–Nie może pan mieć o to do siebie pretensji, Smithy – pocieszyłem go uprzejmie. – Żyjemy w trudnych i niespokojnych czasach.

Rozdział 7

Stwierdzenie autorów norweskiego raportu o Wyspie Niedźwiedziej, iż ma ona jedno z najbardziej niegościnnych i niedostępnych wybrzeży na świecie, było wyważonym niedomówieniem zawodowych geografów. Kiedy zbliżyliśmy się do niej o pierwszym brzasku – który na tej szerokości geograficznej, o tej porze roku i przy niezwykle niskim pułapie ołowianych chmur, nie tylko spęczniałych od śniegu, ale i pozbywających się go jedna przez drugą, nastawał mniej więcej w połowie przedpołudnia – naszym oczom ukazał się najkoszmarniejszy, w prawdziwym znaczeniu tego słowa, teatr przyrody, jaki miałem nieszczęście oglądać w swoim życiu. Przyprawiające o lęk pustkowia, ohydnie odpychające i zarazem w przedziwny sposób mimowolnie fascynujące, straszne i złowieszcze uroczysko, miejsce przerażających napomnień o śmiertelności, ucieleśnienie wszystkich trwóg naszych nordyckich praprzodków, dla których piekło było krainą wiecznego mrozu i którzy tu znaleźliby swój lodowy czyściec, odwiedzany tylko w upiornych wizjach agonii.

Wyspa Niedźwiedzia była czarna. To właśnie najbardziej szokowało, najbardziej w niej przerażało. Wyspa Niedźwiedzia była czarna, czarna jak wdowi welon. Tu, na obszarze wiecznych śniegów i lodów, gdzie zimą nawet wody Morza Barentsa stawały się mlecznobiałe, natrafienie na tę hebanową bryłę, bijącą pionowo tysiąc pięćset stóp w górę, prosto w siny nawis chmur, wywoływało to samo uczucie absolutnego niedowierzania, odejmującego mowę porażenia – choć tu ze stukrotnie większą mocą – co widok czarnych urwisk północnej ściany Eigeru dźwigających się w posępnym majestacie spomiędzy śniegów Alp Berneńskich. To odrętwienie zmysłów płynęło z rozdwojenia zmagania o danie wiary świadectwu własnych oczu, bo choć mówił, że tak być musi, ta pierwotna cząstka umysłu, która istniała długo przed tym, nim człowiek pojął, co to rozum, stanowczo je odrzucała.

Znajdowaliśmy się nieco na południowy zachód od najbardziej na południe wysuniętego cypla Wyspy Niedźwiedziej i kursem na wschód przez morze najspokojniejsze od chwili wypłynięcia z Wiek, nawet to określenie jest względne; żeby zachować pion, nadal było mocno się czegoś trzymać. Najogólniej mówiąc, pogoda wcale się nie polepszyła, a stosunkowo łagodne kołysanie zawdzięczaliśmy wyłącznie temu, że wiatr wiał teraz dokładnie z północy i gigantyczne urwiska dawały nam przed nim odrobinę osłony. Podchodziliśmy do punktu docelowego naszej podróży z tej właśnie strony na życzenie Ottona, któremu ze zrozumiałych względów spieszno było założyć biblioteczkę ujęć plenerowych, do tej pory nie zawierającą jeszcze ani jednej pozycji, a te odpychające urwiska musiały być marzeniem każdego operatora i reżysera. Ale gęsty śnieg niesiony podmuchami wiatru nie tylko wpadałby prosto w obiektyw kamery i kompletnie go zalepiał, przesłaniał także nieustannie same urwiska. Przy szczęściu Ottona można się było tego spodziewać.

Dalej na pomoc wznosiły się najwyższe klify wyspy, dolomitowe blanki

Hambergfjellu, spadające jak kamień w chłuszczące jego podnóże spienione fale, z wysuniętą w morze okazałą skalną iglicą, strzelającą w niebo na co najmniej dwieście pięćdziesiąt stóp; na pomocnym wschodzie, w odległości niecałej mili, majaczyły groźnie równie wspaniałe urwiska Ptasiego Szczytu ze zbitą ciasno u jego podnóży grupą niewiarygodnych wieżyc, pinakli i arkad, które mogły być tylko dziełem jakiegoś herkulesowego rzeźbiarza, zarazem ślepego i szalonego.

Wszystko to mogliśmy widzieć – ja i około dziesięciu innych osób – wyłącznie dzięki temu, że znajdowaliśmy się na mostku, gdzie czołowe panoramiczne okno, dokładnie na wprost stanowiska sternika – w owym konkretnym momencie był nim Smithy – zaopatrzone w szybko wirującą szybę, natomiast okna boczne miały dwie bardzo duże wycieraczki, znacznie jednak gorzej radzące sobie z tumanami śniegu.

Stałem z Conradem, Lonniem i Mary Stuart przed wycieraczką lewego okna. Conrad, który prywatnie niczym nie przypominał zabójczego amanta, w którego wcielał się na ekranie, nawiązał z Mary Stuart coś w rodzaju nieśmiałej przyjaźni. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że chyba dobrze to wpłynęło na jej życie towarzyskie, bo po poprzedniego ranka prawie ze mną nie rozmawiała, co można by poczytać za pewną niewdzięczność, wzięwszy pod uwagę całą gamę strzykań, kurczy i ścierpień, jakich doznałem chroniąc ją przez większą część nocy przed spadnięciem na podłogę. Nie mogłem powiedzieć, by w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wyraźnie unikała mego towarzystwa, ale też go nie szukała – może męczyły ją wyrzuty sumienia za niewybaczalny sposób, w jaki mnie potraktowała. Zresztą ja także raczej nie szukałem jej towarzystwa, bo i mnie męczyło kilka problemów, z których pierwszy stanowiła ona sama.

Moje nastawienie do niej było wyraźnie ambiwalentne: choć z jednej strony musiałem jej być wdzięczny za uratowanie mi – choćby nieświadomie – życia, gdyż to jej awersja do whisky uchroniła mnie przed golnięciem sobie ostatniego drinka, jaki wypiłbym na tym świecie, to jednocześnie skutecznie uniemożliwiła mi swobodne poruszanie się po statku, a co za tym idzie – odebrała szansę dopadnięcia faceta, który buszował podczas nocnej wachty z niegodziwymi zamiarami w sercu i kilkufuntowym młotem w ręku. Co do tego, że i ona, i ten, dla kogo pracowała – ktokolwiek to był – doskonale wiedzieli, że jestem osobą, która może mieć powody do kręcenia się po statku w najmniej dogodnych dla nich godzinach, nie miałem już żadnych wątpliwości. Drugi mój problem stanowił ów „ktokolwiek”. Byłem już pewien, że jest nim Heissman i że może nawet wcale nie potrzebował dodatkowego współnika. Lekarze z racji swego zawodu są jeszcze bardziej omylni i skłonni do pomyłek niż zwykły, przeciętny człowiek, i właśnie jedną z takich pomyłek mogłem i ja zrobić, kiedy ujrzawszy go na łożu boleści uznałem, że nie byłby w stanie się z niego podnieść. Co więcej, poza Goinem tylko on jeden miał osobną kajutę, a zatem mógł swobodnie wymykać się i wracać niezauważenie. No i jeszcze ta jego tajemnicza przeszłość, te wszystkie lata spędzone na Syberii. Tylko że to wszystko razem – z potajemnym spotkaniem z Mary Stuart włącznie – dawało mi na niego

takiego haka, że koń by się uśmieł.

Lonnie dotknął mego ramienia. Odwróciłem się. Jechało od niego na milę.

–Pamięta pan, o czym rozmawialiśmy? – spytał. – Dwie noce temu?

–Rozmawialiśmy o wielu rzeczach.

–Bary.

–Czy pan nigdy nie myśli o niczym innym, Lonnie? Bary? Jakie znowu bary?

–W życiu pozagrobowym – odparł z namaszczeniem Lonnie. – Myśli pan, że tam są? To znaczy w niebie? No bo co to za niebo, w którym nie ma barów, prawda? Chodzi mi o to, że zesłanie takiego starego człowieka jak ja do prohibicyjnego nieba trudno by uznać za akt dobroci. To naprawdę byłoby nieładnie.

–Nie wiem, Lonnie. Opierając się na dowodach biblijnych, przypuszczam, że trafi się tam trochę wina. A także mnóstwo mleka i miodu. – Lonnie wyglądał na zasmuconego. – Co każe panu sądzić, że kiedykolwiek stanie pan oko w oko z tym problemem?

–To jest hipotetyczne rozważanie – odparł staruszek z godnością. – Tak, tak, wysłać mnie tam byłoby z całą pewnością nie po chrześcijańsku... Boże, jak mi się chce pić... To znaczy nie byłoby aktem dobroci. A przecież największą cnotą chrześcijańską jest miłosierdzie. – Potrząsnął smutno głową. – Byłoby więc aktem największego niemiłosierdzia, mój drogi chłopcze, czystym zaprzeczeniem ducha dobroci. – Spojrzał przez okno na fantastycznie ukształtowane wysepki Keilhous Oy, Hosteinen i Stappen, przesuujące się właśnie dokładnie na wprost naszej burty, niecałe pół mili od nas. Jego twarz przybrała wyraz cichej rezygnacji i poświęcenia. Był zalany w pestkę.

–Pan naprawdę wierzy, że trzeba być dobrym, Lonnie? – spytałem zaintrygowany. Jak ktoś, kto całe życie obracał się w świecie filmu, mógł jeszcze wierzyć w coś takiego? Wydawało mi się to zupełnie niemożliwe.

–A w co innego można wierzyć, drogi chłopcze?

–Nawet w stosunku do tych, którzy na to nie zasługują?

–O, właśnie! W tym cała rzecz. Właśnie ci, którzy na to nie zasługują, zasługują na to najbardziej.

–Nawet Judith Haynes?

Spojrzał na mnie tak, jakbym go spoliczkował, a kiedy ujrzałem wyraz jego twarzy, sam się tak właśnie poczułem, choć w jakiś niejasny sposób wydawało mi się, że ta reakcja jest przesadzona. Wyciągnąłem do niego rękę i chciałem go przeproszać, sam nie wiedząc za co, ale Lonnie odwrócił się i z wyrazem dziwnego smutku na twarzy wyszedł ze sterówki.

–A więc ujrzałem rzecz zgoła niemożliwą – odezwał się Conrad. Nie uśmiechał się, ale nagany w jego głosie nie było słyhać. – Komuś w końcu udało się obrazić Lonniego Gilberta.

–Trzeba się nad tym napracować – odparłem. – Pogwałciłem pierwsze przykazanie Lonniego. Uważa, że jestem niedobry.

–Niedobry? – Mary Stuart dotknęła mojej ręki, którą pomagałem sobie zachować równowagę. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin orzechowe oczy okoliły się ciemnymi podkówkami, zaczynały być podpuchnięte, a ich białka zmatowiały i podbiegły krwią. Zawahała się, jakby miała zamiar coś powiedzieć, po czym przeniosła spojrzenie ponad moje lewe ramię. Obejrzałem się.

Kapitan Imrie zamknął za sobą prawe drzwi sterówki. Na tyle, na ile wspaniałe wąsy i broda pozwalały odczytać układ i grę rysów jego twarzy, wydawał się poruszony, a nawet wzburzony. Podeszedł prosto do Smithy'ego i przyciszonym głosem zadał mu jakieś pytanie. Smithy zrobił zdziwioną minę, po czym potrząsnął przecząco głową. Kapitan dorzucił coś jeszcze. Smithy wzruszył ramionami i powiedział coś zwięzłe. Kiedy obaj spojrzeli na mnie, zrozumiałem, że zanoszą się na dalsze kłopoty, a raczej już się zaniosło. Domysł ten nie był taki trudny, choćby z tego względu, że pośrednio lub bezpośrednio otarłem się o wszystkie nieszczęśliwe wydarzenia ostatnich dni. Kapitan Imrie przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem swych niebieskich oczu, szorstkim ruchem głowy wskazał mi kabinę nawigacyjną i z niezwykłą u niego stanowczością wszedł do niej pierwszy. Wzruszyłem ramionami, tłumacząc się tym gestem przed Mary i Conradem, i ruszyłem za nim. Kapitan Imrie zamknął drzwi.

–Kolejne kłopoty, drogi panie. – Postanowiłem nie zwracać uwagi na sposób, w jaki powiedział to „drogi panie”. – Jeden z członków ekipy, John Halliday, zniknął.

–Zniknął? Jak to zniknął? Gdzie? – Nie było to zbyt inteligentne pytanie i wcale nie miało takie być.

–To właśnie chciałbym wiedzieć. – Na sposób, w jaki mierzył mnie wzrokiem, też postanowiłem nie zwracać uwagi.

–Nie mógł przecież tak po prostu zniknąć. Przeszukaliście statek?

–A i owszem, przeszukaliśmy. – Głos mu się łamał z napięcia. – Od kluzy kotwicznej po stewę rufową. Na pokładzie „Róży Poranka” go nie ma.

–Wielki Boże, to straszne. – Spojrzałem naniego z miną, która, miałem nadzieję, wyrażała pełne zaskoczenie. – Ale dlaczego mówi pan o tym właśnie mnie?

–Bo myślę, że może nam pan pomóc.

–Pomóc? Chętnie, ale jak? Wnioskuje, że zwraca się pan do mnie z uwagi na moją profesję, ale zapewniam pana, że ani z tego, co widziałem, ani z tego, co przeczytałem w jego...

–Pańska cholerna profesja nie ma tu nic do rzeczy! – Kapitan Imrie zaczął ciężko dyszeć. – Pomyślałem, że może nam pan pomóc w inny sposób. Tak się składa, że jeśli gdzieś się coś dzieje, to akurat wtedy zawsze pan się tam pojawia. To cholernie dziwne, nieprawdaż? – Nie miałem na to odpowiedzi, sam się właśnie nad tym zastanawiałem. – Dziwnym trafem to pan znalazł martwego Antonia. Dziwnym trafem to pan zjawił się na mostku, kiedy pochorował się Smith i Oakley. Dziwnym trafem to pan poszedł prosto do kajuty stewardów w kubryku. Zaraz potem poszedłby pan pewnie do kabiny pana Gerrana i jego także znalazł martwego, tyle że na szczęście pan Goin zajrzał tam przed panem. I czy to nie cholernie dziwnie się składa, drogi panie, że lekarz, jedyna osoba, która potrafiłaby pomóc tym ludziom i rzekomo nie mogła, jest zarazem jedyną osobą na pokładzie posiadającą dostateczny zasób wiedzy medycznej, żeby ich o tę chorobę przyprawić?

Tok rozumowania kapitana wydawał się zupełnie rozsądny, bez dwóch zdań. Poczulem się bardziej niż trochę zaskoczony, że w ogóle stać go na jakikolwiek tok rozumowania. Najwyraźniej go nie doceniałem; a jak bardzo, miałem się przekonać już w następnej chwili.

–I w jakim celu spędził pan tyle czasu w kambuzie, przedostatniej nocy, kiedy ja byłem w łóżku? No? Tam, skąd pochodziła cała trucizna? Wiem wszystko od Haggerty'ego. Powiedział mi, że szperał pan po kuchni i że na chwilę go pan stamtąd wyprawił. Nie znalazł pan tego, o co panu chodziło. Ale jeszcze pan tam wrócił, prawda? Chciał się pan dowiedzieć, gdzie są resztki z obiadu, zgadza się? Udawał pan zaskoczonego, że zniknęły. To powinno wystarczyć w sądzie.

–Och, na miłość boską! Stary, głupi...

–Tamtej nocy kręcił się pan po pokładzie do późna, bardzo późna, prawda? A tak, owszem, przeprowadziłem w tej sprawie małe dochodzenie. Od pana Goina wiem, że był pan w jadalni; od Oakleya, że był pan na mostku; od Gilberta, że w saloniku; a także... – zawiesił teatralnie głos – a także w kajucie Hallidaya, co wiem od jego współlokatora. A przede wszystkim, kto powstrzymał mnie przed skierowaniem statku do Hammerfest, kiedy chciałem to zrobić, i namówił pozostałych do podpisania tej bezwartościowej gwarancji uwalniającej mnie jakoby od wszelkiej odpowiedzialności? No kto, drogi panie?

Rzuciwszy na stół kartę atutową, kapitan Imrie przerwał rozgrywkę. Musiałem natychmiast powstrzymać starego bałwana. Jeszcze trochę tego podbijania sobie bębenka i gotów kazać zakuć mnie w kajdany. Było mi go żal, z przykrością pomyślałem o tym, co zaraz usłyszy, ale widać tego ranka nie było mi pisane zdobywać sobie przyjaciół. Przez jakieś dziesięć sekund z kamiennym wyrazem twarzy mierzyłem go chłodnym wzrokiem, po czym powiedziałem:

–Nie życzę sobie, żeby zwracał się pan do mnie tym tonem. Nie jestem jednym z pańskich majtków.

–Co... co to ma znaczyć?

Otworzyłem drzwi do sterówki i zaprosiłem go gestem, żeby do niej przeszedł.

–Użył pan przed chwilą słowa „sąd”. Proszę przejść i powtórzyć te oszczerstwa w obecności świadków, a usiądzie pan w tym sądzie na zupełnie innej ławie, niż pan przypuszcza. Czy jest pan w stanie wyobrazić sobie rozmiar szkód, jakie to panu przyniesie?

Sądząc po wyrazie twarzy i wyraźnym przykuleniu potężnych barów, już je sobie wyobraził. Nie byłem z siebie dumny, daleko mi do tego było; ten wystraszony starzec mówił szczerze to, co jego zdaniem należało powiedzieć, ale nie zostawił mi innego wyjścia. Zamknąłem drzwi, zastanawiając się, jak najlepiej zacząć.

Nie zdążyłem jednak nawet otworzyć ust. Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś bez zwłoki je otworzył. Mina Oakleya zdradzała zdenerwowanie i wyraźne zaniepokojenie.

–Chyba powinien pan natychmiast zejść do jadalni, sir – powiedział do kapitana Imrie, po czym spojrział na mnie i dodał: – Obawiam się, że pan też, doktorze Marlowe. Doszło do bójki, dość poważnej.

–Boże wszechmogący! – Jeśli kapitan Imrie żywił jeszcze jakieś resztki zakorzenionych złudzeń, że na pokładzie statku, którym dowodzi, panuje pełnia szczęścia, to teraz ostatecznie ich się pozbył. Wyszedł w tempie zupełnie niezwykłym u człowieka jego wieku i postury. Podążyłem za nim znacznie stateczniej.

Oakley w niczym nie przesadził. Doszło do bójki, która rzeczywiście musiała być bardzo nieprzyjemna, choć bez wątpienia trwała bardzo krótko. W jadalni było wszystkich razem ledwie sześć osób. Dwóm czy trzem pasażerom Morze Barentsa nadal jeszcze dawało się we znaki na tyle, by woleli pozostać w zaciszu swoich kajut niż podziwiać odstręczające piękno Wyspy Niedźwiedziej, a Trzej Apostołowie tkwili jak zwykle w świetlicy, w kakofonicznym jazgocie poszukując pierwszego szczebla drabiny wiodącej do muzycznej nieśmiertelności. Trzy z tych sześciu osób stały, jedna siedziała, jedna klęczała, a ostatnia leżała rozciągnięta na podłodze. Stojącymi byli Lonnie, Eddie i Hendriks; wszyscy trzej mieli miny zdradzające zatroskanie,

niepewność i bezradność, jakie zawsze w takich sytuacjach malują się na twarzach przygodnych widzów. Michael Stryker siedział na krześle przy stole kapitańskim, z mocno zakrwawioną chusteczką przyciśniętą do głębokiego rozcięcia na prawym policzku; łatwo było zauważyć, że kostki dłoni trzymającej chusteczkę są silnie otarte z naskórka. Klęczącą była Mary kochanie. Widziałem tylko jej plecy, długie jasne włosy zmiatające końcami podłogę i leżące w pobliżu wielkie okulary w rogowej oprawie. Płakała bezgłośnie, jej szczupłe ramiona drżały konwulsyjnie w początkowym stadium hysterii. Przykląknęłam obok niej i nie podnosząc z kolan oderwałam łagodnie od podłogi. Wyprostowała się i ze spopielałą twarzą spojrzała na mnie oczami, w których nie było łez. Nie poznała mnie; bez okularów była praktycznie ślepa.

–Już dobrze, Mary – powiedziałem. – To tylko ja. Doktor Marlowe. – Spojrzałam na leżącego na podłodze i nie bez trudu rozpoznałam w nim Allena. – No, już dobrze. Bądź grzeczną dziewczynką i daj mi go obejrzeć.

–On jest strasznie ranny, doktorze, strasznie! – Szlochała bezgłośnie, chwytając konwulsyjnie powietrze i z trudem dobywając z siebie słowa. – Och, niech pan na niego spojrz, niech pan tylko spojrz! To straszne! – I rozplakała się na dobre, tym razem już nie bezgłośnie. Drżała na całym ciele. Podniosłam głowę.

–Panie Hendriks, czy mógłby pan pójść do kuchni i poprosić pana Haggerty'ego o trochę koniaku? Proszę powiedzieć, że to ja pana przysyłam. Gdyby go nie było, niech pan weźmie ten koniak bez pytania. – Hendriks skinął głową i natychmiast wyszedł. – Przepraszam – powiedziałem, zwracając się do kapitana Imrie – powinienem był spytać pana o pozwolenie.

–Nie ma o czym mówić, doktorze. – Znów rozmawialiśmy ze sobą normalnym tonem, choć chyba przejściowo. Odpowiedział czysto machinalnie, gdyż całą jego uwagę, zabarwioną wyraźną wrogością, skupiał teraz na sobie Michael Stryker. Zająłem się z powrotem Mary.

–Proszę wstać i usiąść na tamtej kanapie. I wypić trochę tego koniaku. Słyszysz pani?

–Nie, nie! Ja...

–Zalecenie lekarza. – Spojrzałam na Eddiego i Lonniego, którzy bez słowa z mojej strony zaprowadzili ją na najbliższą kanapę. Nie czekałam, żeby sprawdzić, czy zastosuje się do zaleceń lekarza. Allen, który właśnie zaczynał dawać oznaki życia, znacznie pilniej wymagał mojej opieki. Stryker załatwił go jak rzeźnik: miał rozcięte czoło, rozbity policzek, podbite oko, które do wieczora zupełnie mu zapuchnie, rozciętą wargę zalaną krwią ciekącą z obu dziurek nosa, stracił jeden ząb, a drugi tak się ruszał, że już wkrótce także miał go stracić.

–To pan mu to zrobił? – spytałem, zwracając się do Strykera.

–To chyba jasne, nie?

–Musiał go pan tak zmasakrować? Jak rany, człowieku, przecież to jeszcze dzieciak. Może następnym razem wybrałby pan sobie kogoś swojej postury?

–Na przykład pana?

–O Boże! – jęknąłem ze znużeniem. Ten facet zaczynał mnie męczyć. Pod cieniutką warstewką ogłady czaiło się w nim prawdziwe okrucieństwo. Przestałem zwracać na niego uwagę, poprosiłem Lonniego, żeby przyniósł z kuchni wody, i doprowadziłem Allena do jakiego takiego stanu. Jak zawsze w takich przypadkach, usunięcie zakrzepłej i rozmazanej krwi poprawiło mu wygląd o osiemdziesiąt procent. Plaster na czoło, dwa tamponiki do nosa, dwa szwy na zamrożoną wargę – i to było wszystko, co mogłem dla niego zrobić. Wyprostowałem się w chwili, kiedy oburzony kapitan Imrie zaczął przesłuchiwać Strykera.

–Co tu zaszło, panie Stryker?

–Kłótnia.

–Ach, kłótnia? – Kapitan Imrie z miernym skutkiem próbował ironii. – A co tę kłótnię wywołało?

–Zniewaga. Z jego strony.

–Ze strony tego... tego dzieciaka? – Kapitan wyraźnie podzielał moje własne odczucia. – A cóż to była za zniewaga, żeby tak potraktować to dziecko?

–To sprawa prywatna. – Stryker przycisnął chusteczkę do rozcięcia na policzku, a ja, zapominając na chwilę o Hipokratesie i jego przysięgach, zacząłem żałować, że nie jest ono głębsze, choć i tak wyglądało dość paskudnie. – Oberwał tak, jak obrywa każdy, kto mnie znieważy. To wszystko.

–Z najwyższym wysiłkiem staram się powstrzymać od komentarzy – odparł sucho kapitan Imrie. – Niemniej jako kapitan tego statku...

–Nie jestem członkiem pańskiej załogi. Jeśli ten głupi szczeniak nie wniesie skargi – a jej nie wniesie – to zechce pan łaskawie nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. – Stryker wstał i wyszedł z jadalni. Kapitan Imrie zrobił ruch, jakby chciał pójść za nim, rozmyślił się jednak, usiadł ciężko u szczytu swego własnego stołu i sięgnął po własną butelkę.

–Czy któryś z panów widział, co tu zaszło? – spytał trzech mężczyzn

zgromadzonych teraz wokół Mary.

–Nie, proszę pana. – To był Hendriks. – Pan Stryker stał sam przy oknie. Allen podszedł do niego, powiedział coś, nie wiem co, i w następnej chwili tarzali się po podłodze. Wszystko razem nie trwało nawet dziesięciu sekund.

Kapitan Imrie skinął ciężko głową i nalał sobie potężną porcję whisky; widocznie podejście do cumowania pozostawiał – i słusznie – Smithy’emu. Postawiłem Allena, całkiem już przytomnego, na nogi i poprowadziłem do drzwi jadalni.

–Zabiera go pan na dół? – spytał kapitan Imrie.

Skinąłem głową.

–A po powrocie powiem panu, o co poszło. – Popatrzył na mnie spode łba i wrócił do swojej szkockiej. Kątem oka dostrzegłem, że Mary pije drobnymi łyčkami koniak, wzdrygając się przy każdym łyku, a Lonnie trzyma w ręku jej okulary. Pośpieszyłem się, by usunąć Allena z jadalni, nim je zwróci właścicielce.

Ułożyłem go na koi i przykryłem kocem. Jego poharatana twarz odzyskała co prawda trochę kolorów, ale przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem.

–O co wam poszło? – spytałem.

–Przepraszam, ale wolałbym tego nie mówić – odparł po chwili wahania.

–A to niby dlaczego?

–Jeszcze raz przepraszam, ale to prywatna sprawa.

–Ktoś mógłby się poczuć dotknięty?

–Tak, ja... – powiedział niepewnie i umilkł.

–W porządku, musi pan rzeczywiście świata za nią nie widzieć. – Przyglądał mi się dłuższą chwilę, po czym skinął głową. – Mam ją tu przyprowadzić?

–Nie, nie! Nie chcę, żeby mnie oglądała... nie z taką twarzą! Nie, bardzo pana proszę!

–Jeszcze pięć minut temu pańska twarz wyglądała znacznie gorzej. A mimo to serce jej pękało, aż huk szedł.

–Naprawdę? – Spróbował się uśmiechnąć i wykrzywił tylko z bólu. – No to niech będzie.

Zostawiłem go i poszedłem do kabiny Strykera. Otworzył mi drzwi z miną, która nie świadczyła, by uważał mnie za miłego gościa. Spojrzałem na wciąż jeszcze krwawiące rozcięcie.

–Chciałby pan, żebym to obejrzał?

Judith Haynes – w spodniach i futrzanej kurtce z kapturem wyglądała jak rudy Eskimos – siedziała na jedynym krześle w kajucie, trzymając na kolanach oba spaniele. Jej olśniewający uśmiech miał chyba wychodne.

–Nie.

–Może zostać blizna. – Obchodziło mnie to akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg.

–Och! – Aparycja, jak nietrudno było odgadnąć, miała dla Strykera pierwszorzędne znaczenie. Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi, zbadłem rozcięcie, przemyłem je, zatamowałem krew i przykleiłem plaster.

–Proszę posłuchać – powiedziałem. – Ja nie jestem kapitanem Imrie. Musiał pan go tak zmasakrować? Przecież mógł go pan położyć jednym prztyczkiem.

–Był pan przy tym, kiedy powiedziałem kapitanowi Imrie, że to sprawa czysto prywatna. – Nie pozostało mi nic innego, jak zrewidować opinię o swoich zdolnościach psychologicznych. Ani dobrowolna oferta pomocy medycznej, ani łagodne podejście, ani zawołany komplement w żaden widoczny sposób nie udobruchały pana Strykera. – Dyplom lekarski na ścianie w niczym nie upoważnia pana do zadawania wścibskich, impertynenckich pytań. Pamiętaj pan, co jeszcze powiedziałem Imriemu?

–Mam łaskawie nie wtykać nosa w nie swoje sprawy?

–Właśnie.

–Założę się, że Allen też tak uważa.

–Ten Allen dobrze sobie na to zasłużył – odezwała się Judith Haynes. Ton jej głosu nie był wcale bardziej przyjazny, niż ton głosu Strykera. To, co powiedziała, zainteresowało mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, powszechnie sądzono, że Judith Haynes nienawidzi swego męża, a tutaj niczego takiego nie stwierdziłem. I po drugie, skierowanie dochodzenia w jej stronę mogło się okazać bardziej owocne, gdyż najwyraźniej słabiej panowała nad emocjami i językiem niż jej mąż.

–Skąd pani wie, panno Haynes? Przecież pani przy tym nie było.

–Wcale nie potrzebowałam tam być. Dobrze...

–Kochanie! – przerwał jej Stryker, ostro, ostrzegawczo.

–Ach tak, nie mamy zaufania do własnej żony? – spytałem niewinnie. – Wolimy sami wyręczać ją w mówieniu? – Wielkie dłonie Strykera zacisnęły się w pięści, ale zignorowałem go i spojrzałem ponownie na Judith Haynes. – Czy pani wie, że z powodu tego, co zrobił tam w jadalni ten twardziel, pani mąż, pewna dziewczyna omal nie wypłacze sobie oczu? Czy to dla pani nie ma żadnego znaczenia?

–Jeśli mówi pan o tej małej dziwce, sekretarce planu, to jej też od dawna się należało!

–Kochanie! – Głos Strykera zabrzmiał niezwykle natarczywie. Spojrzałem na Judith Haynes z osłupieniem, ale widać było, że powiedziała tylko to, co myśli. Czerwona szrama jej ust zacisnęła się w kreskę prostą i wąską jak brzeg linijki, jeszcze niedawno piękne, zielone oczy tryskały jadem, a twarz wykrzywiła się paskudnie w grymasie z trudem skrywanej złości, wściekłości i nienawiści. Była zapewne rzadka, niezwykle rzadka i niemal przerażająca demonstracja prawdziwego oblicza kobiety, którą plotka krążąca w świątku glinowym – tak przeze mnie w myślach krytykowanym, za co teraz gotów mu byłem choć po części zwrócić honor – miała za krzyżówkę wrzaskliwej bazarowej handlary i więdźmy z bagiennej uroczyska.

–To... bezbronne... dziecko... – spytałem z niedowierzaniem, odmierzając powoli słowa – ma... być... dziwką?

–Zdzira, mała dzzira! Wywłoka! Ladacznica...

–Dość tego! – Głos Strykera zabrzmiał jak smagnięcie biczem, ale słyhać w nim było jakąś nienaturalność. Odniosłem wrażenie, że tylko zupełna desperacja mogła go popchnąć do zwrócenia się tak do żony.

–Tak, dość tego – powtórzyłem za nim. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi, panno Haynes, ale jestem więcej niż pewien, że pani także go nie ma. Wiem tylko, że jest pani ciężko chora.

Odwróciłem się, żeby wyjść. Stryker zastąpił mi drogę. Pobladł na twarzy.

–Nikommu nie pozwolę mówić tak do mojej żony – rzucił, przez zaciśnięte zęby.

Nagle miałem go powyżej dziurek w nosie.

–Obraziłem pańską żonę? – spytałem.

–Niewybaczalnie.

–A co za tym idzie, obraziłem pana?

–Zaczyna pan chwytać, Marlowe.

–A każdy, kto pana obrazi, obrywa, jak na to zasłużył. Tak pan powiedział kapitanowi.

–Tak właśnie powiedziałem.

–Rozumiem.

–Wiedziałem, że pan zrozumie. – Nadal zastępował mi drogę.

–A jeśli ją przeproszę?

–Przepraszam? – Uśmiechnął się zimno. – Niech pan próbuje. Zobaczymy, czy to odpowiedni kaliber.

Odwróciłem się do Judith Haynes i powiedziałem:

–Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi, panno Haynes, ale jestem więcej niż pewien, że pani także go nie ma. Wiem tylko, że jest pani ciężko chora.

Wyglądała tak, jakby niewidzialne szpony wpiły jej się w oba policzki, od podbródka po skronie, i ściągnęły jej skórę z twarzy do tyłu, aż opięła się szczelnie na kościach grożąc, że lada chwila trzaśnie. Odwróciłem się do Strykera. Jego uderzająco przystojna twarz nie była już wcale przystojna. Jej mięśnie obwisły, zatarły i rozwodniły rysy, policzki, z których odpłynęła cała krew, wydawały się ziemiście szare. Odsunąłem go na bok, otworzyłem drzwi i przystanąłem w progu.

–Biedaku – powiedziałem. – Nie masz się co martwić. Lekarze milczą jak grób.

Z przyjemnością wspiałem się na górny pokład i poczułem na policzkach czysty, szczypiący mróz. Tam, na dole, zostawiłem za sobą coś odrażającego, chorego i brudnego i wcale nie potrzebowałem być lekarzem, żeby wiedzieć, co to za choroba. Śnieżyca trochę zelżała i kiedy wyjrzałem przez nawietrzną, zobaczyłem, że mijamy właśnie jakiś cypel, a od dziobu, w tej samej odległości mniej więcej pół mili, wyłania się następny. Z mapy wiedziałem, że to Kapp Kolthoffi Kapp Malmgrem, musieliśmy zatem przecinać zatokę Eyjebukta kursem na północny wschód. Wybrzeże nie było tu już tak urwiste, ale wpłynęliśmy głębiej pod jego osłonę i morze było znacznie spokojniejsze niż jeszcze dwadzieścia minut wcześniej. Do kresu podróży pozostały nam niecałe trzy mile.

Spojrzałem w górę, na mostek. Pogoda musiała się znacznie poprawić albo też bliskość celu naszej wyprawy rozbudziła ciekawość i zainteresowanie, bo po obu stronach sterówki stały już całe grupki ludzi, ale nasunięte szczelnie kaptury zupełnie uniemożliwiały ich rozpoznanie. Kilka kroków dalej zauważyłem jakąś postać

wtuloną w załom nadbudówki mostka. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy na wszystkie strony róży kompasu. Podszedłem, objąłem ją ramieniem ze swobodą zrodzoną z niedawnego intensywnego treningu i przechyliłem jej głowę. Zaczerwienione oczy, policzki lśniące od łez, drżące usta, wyraz rozpaczony na twarzy przesłoniętej w połowie ogromnymi okularami: dziwka, zdzira, ladacznica.

–Mary kochanie, co pani tutaj robi? Jest o wiele za zimno. Powinna pani schronić się do środka albo zejść pod pokład.

–Chciałam być sama. – W jej głosie nadal pobrzmiwał cichnący szloch. – A do tego pan Gilbert ciągle wmuszał we mnie koniak... no i... – Wzdrygnęła się mimowolnie.

–A więc zostawiła pani Lonniego sam na sam z koniakiem. To dla niego w pełni uzasadniony powód...

–Doktorze Marlowe! – W tym momencie uświadomiła sobie, że tkwi w objęciu mego ramienia, i podjęła próbę wyzwolenia się, choć niezbyt stanowczą. – Ludzie zobaczą!

–Nie dbam o to – odparłem. – Chcę, żeby cały świat dowiedział się o naszej miłości.

–Żeby cały świat... – Spojrzała na mnie skonsternowana, za powiększającymi szklami okularów jej naturalnie duże oczy zrobiły się wręcz ogromne, i na jej ustach pojawiła się pierwsza drżąca zapowiedź uśmiechu. – Och, doktorze Marlowe!

–Tam, na dole, pewien młody człowiek chciałby się natychmiast z panią zobaczyć.

–Och! – Uśmiech pierzchł, jakby w moich słowach dopatrzyła się nie wiedzieć jak doniosłych treści. – Czy on... będzie musiał pójść do szpitala?

–Dziś po południu będzie rześki i zdrowy.

–Naprawdę? Naprawdę, naprawdę?

–Jeśli podaje pani w wątpliwość moje kwalifikacje zawodowe...

–Och, doktorze Marlowe! No to dlaczego... po co...

–Przypuszczam, że pragnie potrzymać panią za rękę. Przypuszczenie to opieram oczywiście na tym, czego sam chciałbym na jego miejscu.

–Och, doktorze Marlowe! Ale czy to... tak w jego kajucie...

–Czy mam tam panią zawlec za włosy?

–Nie – uśmiechnęła się – to chyba nie będzie konieczne. – Zawahała się. – Doktorze Marlowe?

–Słucham.

–Pan jest cudowny. Naprawdę.

–No, już pani nie ma.

Uśmiechnęła się, niemal uszczęśliwiona, i już jej nie było. Żałowałem, że nawet w części nie mogę podzielić jej opinii o sobie, ponieważ gdyby była prawdą, nie mielibyśmy na pokładzie tylu zmarłych, chorych i skrzywdzonych. Z jednego jednak byłem zadowolony. Obawiałem się, że przyjdzie mi wyrządzić przykrość Mary kochanie, zadając jej kilka pytań, które zaświtały mi w myślach, kiedy opuszczałem kabinę Strykerów, ale okazało się to niepotrzebne. Gdyby była zdolna do choć nikłej części tych niegodziwości, o które, Bóg jeden raczy wiedzieć, w jakich obrzydliwych zamiarach, oskarżyła ją Judith Haynes, to nie miała żadnego powodu zarabiać nędznych groszy na posadzie sekretarki planu – mogłaby zdobyć sławę i majątek jako jedna z największych aktorek naszych czasów. A poza tym nie potrzebowałem już zadawać żadnych pytań dotyczących jej, Allena i Strykerów. Jeśli jeszcze czegoś nie wiedziałem, to tylko tego, co Stryker we mnie budzi: pogardę czy litość.

Pozostałem na swoim miejscu jeszcze kilka minut, obserwując, jak kilku członków załogi, którzy właśnie pojawili się na pokładzie dziobowym, zaczyna zdejmować niepotrzebne już liny mocujące ładunek, ściągać brezentowe pokrowce i zakładać obejmy z uchwyty do wyładunku, gdy tymczasem dwóch innych zabrało się do odsłaniania wielkiego przedniego dźwigu i sprawdzania windy. Po przybyciu na miejsce kapitan Imrie nie zamierzał tracić ani chwili czasu: wyraźnie chciał jak najszybciej odbić z powrotem, zresztą wydawało się to dość zrozumiałe. Zszedłem do jadalni.

Zastałem w niej tylko Lonniego, samego, choć nie samotnego. Z uszczęśliwioną miną zaciskał w garści butelkę Hine'a. Kiedy usiadłem obok niego, odjął od ust kieliszek.

–A, to pan! Uśmierzył pan cierpienia ochoczych ofiar ogólnych okrucieństw? Wydaje się pan czymś mocno zaprzątnięty, mój drogi. – Poklepał butelkę. – Nic tak szybko nie oddala trosk szarego dnia pracy, jak...

–Ta butelka jest własnością Haggerty'ego, Lonnie.

–Dary natury są własnością całej ludzkości. Naparsteczek?

–Tylko po to, by uchronić pana przed wypiciem wszystkiego samemu. Muszę pana przeprosić, Lonnie. Chodzi o naszą czarującą gwiazdę. Dochodzę do wniosku, że na świecie jest za mało dobroci, by ją na nią marnować.

–Uważa pan, że to jałowy grunt? Wyrzucanie dobroci w błoto?

–Tak uważam.

–Odkupienie i zbawienie nie dla naszej pięknej Judith?

–Tego nie wiem. Wiem tylko, że nie chciałbym być tym, który spróbuje sprowadzić ją na właściwą drogę i że patrząc na nią mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek: na świecie jest mnóstwo zła.

–Podpisuję się pod tym obiema rękami. – Lonnie pociągnął kolejny łyk koniaku. – Nie wolno nam jednak zapominać o przypowieściach o zagubionej owcy i synu marnotrawnym. Nic i nikt nie jest nigdy bezpowrotnie stracony.

–Niech i tak będzie. No, to za pańskie powodzenie w sprowadzaniu ją na drogę cnoty... chyba nie będzie pan miał zbyt wielu konkurentów do tej misji. Jak to możliwe, żeby ta kobieta aż tak bardzo różniła się od pozostałych?

–Od Mary drogiej i Mary kochanie? To wspaniałe, wspaniałe dziewczęta. Mimo swego zgrzybienia kocham je całym sercem. Takie urocze dziatki.

–Nie potrafiłyby wyrządzić zła?

–Nigdy!

–Och, to się tak łatwo mówi. A na przykład pod przemożnym wpływem alkoholu?

–Co takiego?! – Lonnie sprawiał wrażenie szczerze zaszokowanego. – O czym pan, na Boga, mówi?! Wykluczone, mój drogi chłopcze, absolutnie wykluczone.

–Nawet gdyby któraś wypila, powiedzmy, podwójny džin?

–A cóż to znowu za bzdury? Mówimy o wpływie alkoholu, a nie aperitif dla niewinnych osesków.

–Nie widziałby pan zatem w tym nic zdrożnego, gdyby któraś z nich poprosiła o jednego drinka?

–Jasne, że nie. – Na twarzy Lonniego malował się wyraz niekłamanego zdumienia. – Uczepił się pan tego jak rzep psiego ogona.

–Rzeczywiście, to prawda. Ale widzi pan, nie mogę zrozumieć, dlaczego kiedyś, po całym dniu na planie, kiedy Mary Stuart poprosiła pana o jednego, jedyne drinka, dostał pan pełnego szau.

Jak na zwolnionym filmie Lonnie powoli odstawił butelkę i kieliszek i chwiejnie wstał od stołu. W jednej chwili postarzał się o wiele lat, jego twarz przybrała wyraz zmęczenia i pełnej bezbronności.

**–Od chwili, kiedy pan tu wszedł... – wyszeptał żałośnie. – Teraz to widzę. Od chwili, kiedy pan tu wszedł, cały czas chodziło panu tylko o zadanie tego jednego pytania...
– Potrząsnął głową, patrząc nie widzącym spojrzeniem przed siebie. – A ja miałem pana za swego przyjaciela – powiedział stłumionym głosem i wyszedł niepewnie z jadalni.**

Rozdział 8

Północno-zachodni róg zatoki Sorhamma, gdzie „Róża Poranka” przybiła w końcu na krótki postój, znajduje się niecałe trzy mile w linii prostej od najbardziej na południe wysuniętego punktu Wyspy Niedźwiedziej. Sama Sorhamma ma kształt podkowy, trochę ponad tysiąc jardów szerokości na osi wschód – zachód i prawie milę długości na osi pomoc – południe. Jej wschodnie ramię jest nieciągle, zaczyna się niewielkim półwyspem długości mniej więcej trzystu jardów, potem następuje przetykana wieloma maleńkimi wysepkami dwustujardowa luka wody i wreszcie większa wyspa Makehl, niezwykle wąska, za to długa na ponad pół mili, zakończona na południowym krańcu cyplem Kapp Roalkvam. Teren na północy i wschodzie jest płaski i nizinny, na zachodzie niska nadbrzeżna skarpa przechodzi dość stromo w masyw właściwej wyspy, który jednak nigdzie nie dorównuje wysokością niewielkiemu wzgórzcu mającemu dalej w głębi zatoki, a mierzącemu nie więcej niż czterysta stóp. Tutaj nie było już bijących w niebo urwisk Hambergfjellu, tu wszystko bielilo się od śniegu, który grubą warstwą zaścielał pomocne zbocza i ich parowy, gdzie nie sięgają ani niosące odwilż wiatry, ani nisko stojące blade słońce lata.

Sorhamma jest nie tylko najlepszym kotwicowiskiem Wyspy Niedźwiedziej, ale i jedynym, jakie w ogóle wchodzi w rachubę. Przy wietrze zachodnim daje chroniącym się w niej statkom idealną osłonę; przy północnym tylko niewiele gorszą. Jeśli wiatr wieje od wschodu, także dość przyzwoicie przed nim zabezpiecza, choć w takim wypadku wiele zależy od jego siły i kierunku: decydującym czynnikiem jest tu owa luka między Kapp Heer i Makehl. Ale nawet, jeśli wiatr wieje dokładnie z tej strony, to w najgorszym razie można podnieść kotwicę i ukryć się po zawietrznej wyspy Makehl. Tylko przy podmuchach z południa statek jest całkowicie narażony na wszystko, co Morzu Barentsa przyjdzie ochota przeciwko niemu rzucić.

I dlatego właśnie atmosfera przy rozładunku „Róży Poranka” przestała być po prostu gorączkowa, a coraz bardziej zaczynała przywodzić na myśl panikę. Już w trakcie naszego podejścia do Sorhammy wiatr, który przez ostatnie trzydzieści sześć godzin zmieniał powoli kierunek, przyspieszył nagle swój obrót wokół róży kompasowej i to tak bardzo, że nim rzuciliśmy cumy, wiał już dokładnie ze wschodu. Teraz skręcił kilka dalszych stopni na południe, przybrał na sile i zaczynał dawać się we znaki „Róży Poranka”. Wystarczyło, żeby zwiększył szybkość choćby o kilka węzłów lub skręcił jeszcze kilka stopni, a pozycja trawlera stałaby się nie do utrzymania.

„Róża Poranka” stojąca na kotwicy zniosłaby bez problemów grożący jej cios, cała rzecz polegała jednak na tym, że właśnie nie staliśmy na kotwicy. Przycumowaliśmy do rozsypującego się molo z wapiennych bloków – ani żelazo, ani drewno nie ostałoby się długo w tych lodowatych i burzliwych wodach – zbudowanego na przełomie stulecia przez Lerner a i Deutsche Seefischerei-Verein, a udoskonalonego

– jeśli można tu użyć tego określenia – przez ekspedycję Międzynarodowego Roku Geofizycznego, która spędziła tu lato. Molo, które w każdym innym punkcie północnej półkuli zostałyby z miejsca zamknięte i szczelnie ogrodzone, żeby ktoś przypadkiem na nie nie wszedł, miało pierwotnie kształt litery „T”, ale po lewym ramieniu tego „T” nie było teraz nawet śladu, a jego część główna, ta łącząca się z brzegiem, została od strony południowej poważnie nadgryziona przez morze. Pod wpływem ciągnących z południowego wschodu fal, napierających z coraz większą siłą na jej prawą burtę, „Róża Poranka” zaczęła coraz mocniej uderzać w tę niebezpiecznie zmurszałą konstrukcję, a zamortyzowany wstrząs, towarzyszący każdemu z ciężkich i następujących coraz częściej po sobie zderzeń trawlera z mołem, zбивał z nóg i zmuszał wszystkich pracujących na pokładzie do kurczowego przytrzymywania się wszystkiego, czego się dało. Trudno było powiedzieć, w jaki sposób mogło się to odbić na „Róży Poranka”, bo poza kilkoma rysami i wgnieceniami na burcie nie dostrzegłem żadnych innych uszkodzeń, ale wytrzymałość trawlerów jest wręcz legendarna i wydawało się raczej nieprawdopodobne, żeby miała doznać jakiegoś poważniejszego uszczerbku. Doznawało natomiast tego uszczerbku samo molo, i to w zastraszającym tempie. Do wody osuwały się coraz większe bryły kamienia, a ponieważ to właśnie na molo znajdowały się niemal całe nasze zapasy paliwa, żywności i sprzęt, jego nieuchronne, jak się zdawało, runięcie do morza nie było chwilą, na którą ktokolwiek czekałby z założonymi rękami.

Kiedy tuż przed południem przybiliśmy do molo, wyładunek ruszył pełną parą i postępował nad wyraz sprawnie, z wyjątkiem chwili, gdy nadeszła kolej na warczące kundle panny Haynes. Jeszcze przed rzuceniem cumy spuszczone na wodę szesnastostopową łódź roboczą, a po niecałych trzech minutach trochę mniejszą, czternastostopową szalupę motorową: obie miały pozostać z nami. Dziesięć minut później specjalnie wzmocniony żuraw dziobowy wyniósł za burtę makietę centralnej części łodzi podwodnej, dość dziwacznej kształtu – ściętą poziomo od dołu, tak by miała płaskie dno – i delikatnie ją opuścił. Unosiła się w wodzie idealnie stabilnie, bez wątplenia dzięki czterem tonom żeliwnego balastu. Kłopoty zaczęły się dopiero w chwili, kiedy za burtę wywieszono makietę wieżyczki, którą należało przymocować śrubami do części centralnej.

Wieżyczka po prostu za nic w świecie nie chciała wejść na swoje miejsce. Goin, Heissman i Stryker, jedyni trzej naoczni świadkowie fabrycznych testów, twierdzili, że nie było z tym najmniejszych problemów – teraz jednak były, i to niemałe. Wieżyczkę zaprojektowano tak, by jej podstawa o przekroju elipsy nasuwała się dokładnie na pionowy kołnierz wysokości czterech cali znajdujący się pośrodku centralnej części łodzi. Tyle tylko, że teraz za żadne skarby nie chciała się nasunąć. Jak się okazało, jedna z łagodnych krzywizn u podstawy wieżyczki wgięła się do środka na przynajmniej ćwierć cala, bez wątplenia w wyniku cięć, jakie sprawiło nam morze w drodze z Wiek. Któraś z lin mocujących musiała się nieznacznie

poluzować, co dało ładunkowi mikroskopijną swobodę ruchów w pionie i w zupełności wystarczyło do powstania tego niewielkiego odkształcenia.

Rozwiązanie nasuwało się samo – po prostu wyklepać zawadającą wklęsłość; każdemu średnio wykwalifikowanemu blacharzowi w stoczni zajęłoby to pewnie nie więcej niż kilka minut, ale my nie dysponowaliśmy ani odpowiednimi narzędziami, ani fachowcami i minuty zaczęły nam się przeciągać w godziny. Dziesiątki razy dziobowy dźwig ustawiał oporną wieżyczkę na kołnierzu; dziesiątki razy trzeba było z powrotem ją podnosić i pracownicy wyklepywać. Kilkakrotnie udało nam się dopasować ją idealnie w miejscu, w którym do tej pory się blokowała, lecz natychmiast stwierdzaliśmy, że wgięcie tajemniczo i złośliwie przemieściło się kilka cali dalej. Co więcej, mimo iż makieta łodzi znajdowała się pod osłoną zarówno samego statku, jak i molo, pierwsze niewielkie fale zaczynały się już przekradać wokół dziobu „Róży Poranka”, w żaden sposób nie ułatwiając nam sprawy. Wprawiały makietę w kołysanie, z początku nieznaczne, lecz tak szybko przybierające na sile, że w końcu powodzenie całego przedsięwzięcia zaczęło w równej mierze zależeć od siły perswazji młotów, co od zwykłego szczęścia w trafieniu wieżyczką na kołnierz otworu.

Kapitan Imrie nie odchodził od zmysłów ze zdenerwowania z tej prostej przyczyny, iż odchodzenie od zmysłów z jakiegokolwiek powodu nie leżało w jego naturze, ale o miotającym nim niepokoju wystarczająco dobitnie świadczył fakt, że nie tylko opuścił lunch, ale od momentu wypłynięcia do Sorhammy nie pokrzepił się niczym solidniejszym niż mocna kawa. Głównym przedmiotem jego troski, poza stanem „Róży poranka” – stan pasażerów najwyraźniej nic go nie obchodził – była reszta pak na pokładzie dziobowym, bo, jak to niepotrzebnie i dość niesympatycznie przypomniał mu Otto, kontrakt przewidywał, że przed odpłynięciem do Hammerfest musi wysadzić na ląd wszystkich pasażerów i wyładować cały bagaż ekipy. Problem, który przysparzał kapitanowi tylu zgryzot, polegał oczywiście na tym, że przedni pokład nie został i nie mógł zostać rozładowany, póki dziobowy dźwig zajęty był wyłącznie i bez reszty utrzymywaniem wieżyczki w zawieszeniu nad makietą łodzi. A wiatr przybierał na sile i zaczynało się ściemniać.

Jedynym plusem zaabsorbowania kapitana Imrie było to, że pozostawiało mu ono niewiele czasu na martwienie się zniknięciem Hallidaya, a precyzyjniej – na próby podjęcia jakichkolwiek konstruktywnych działań w tej materii. O tym bowiem, że w dalszym ciągu nie dawało mu to spokoju, wiedziałem choćby stąd, że znalazł czas, by pofatygować się do mnie i oświadczyć, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po przybyciu do Hammerfest, będzie skontaktowanie się ze stróżami prawa. Mogłem mu na to udzielić dwóch odpowiedzi, ale tego nie uczyniłem: że zupełnie nie pojmuję, czemu by to miało służyć – myślę, że po prostu czuł gwałtowną potrzebę zrobienia czegoś, wszystko jedno czego, byle tylko coś zrobić – a przede wszystkim, że nie ma najmniejszej szansy dotrzeć do Hammerfest, choć nie był to raczej najlepszy moment na tłumaczenie mu, dlaczego tak uważam. W owej chwili nie był w nastroju do

uznawania czyichkolwiek racji. Miałem nadzieje, że to się zmieni już wkrótce po odbiciu od Wyspy Niedźwiedziej.

Zszedłem po zgrzytającym metalowym trapie – jego kółka, na stałe zablokowane przez rdzę, tarły z niemiłosiernym piskiem przy każdym ruchu „Róży Poranka” – i ruszyłem wzdłuż kamiennego molo. Mały traktor i mały ratrak – wyładowane z pokładu rufowego kutra jako pozycja numer trzy i cztery – zaopatrzone były w sanie i teraz wszyscy, od Heissmana w dół, pomagali ładować na nie sprzęt i zapasy, by przeciągnąć je do baraków leżących na niewielkiej skarpie nie więcej niż dwadzieścia jardów od miejsca, w którym molo łączyło się z brzegiem. Nie tylko pomagali, ale robili to z ochotą; kiedy temperatura wynosi piętnaście stopni poniżej zera, nikt nie jest skłonny ulec pokusie bezczynności. Towarzysząc jednej z partii zapasów, dotarłem do baraków.

W przeciwieństwie do molo baraki były stosunkowo nowoczesne, a ich stan nie budził niepokoju; pozostały tu po ostatnim Międzynarodowym Roku Geofizycznym, gdyż nie opłacało się ich demontować i przewozić z powrotem do Norwegii. Nie były to owe nowoczesne konstrukcje z aluminium, azbestu i kapoku, tak faworyzowane przez ostatnie ekspedycje arktyczne. Zbudowano je – choć w rzeczy samej z elementów prefabrykowanych – na wzór przysadzistych chat górskich, dość powszechnie spotykanych w wyższych partiach Alp. Kanciaste, przygarbione jak ktoś, kto twardo stawia czoło naporowi burzy, sprawiały wrażenie, że i za sto lat będą tam stały. Budowle wzniesione przez człowieka, jeśli nie są wystawione na działanie stałych silnych wiatrów i temperaturę balansującą nieustannie wokół punktu zamarzania wody, mogą trwać w zmarzlinie Arktyki niemal wiecznie.

Baraków było razem pięć, rozrzuconych dość daleko od siebie w odległości wyznaczonej ramieniem wzgórza wznoszącego się za nadbrzeżną skarpą. Choć moje wiadomości o Arktyce były dość skąpe, wystarczyło ich, żebym zrozumiał, po co zachowano tak duży dystans między budynkami. Tu, gdzie cały tryb życia determinuje ustawiczne borykanie się z mrozem, największym wrogiem człowieka jest ogień, który szerzy się błyskawicznie, dopóki nie strawi wszystkiego co palne, chyba że ma się pod ręką dostateczną ilość chemicznych środków przeciwpożarowych. Tych jednak zwykle brakuje, a ciskanie blokami lodu jest dość mało skutecznym sposobem gaszenia płomieni.

Jak powiedziałem, budynków było pięć; jeden, centralny, dość okazały, i cztery mniejsze, wzniesione na planie kwadratu i pozbawione okien. Zgodnie ze wspomniałym planem, wyrysowanym przez Heissmana w jego prospekcie, te cztery baraki miały zostać przeznaczone na magazyny środków transportu, paliwa, żywności i sprzętu, choć co rozumiano przez „sprzęt”, nie było zbyt jasne. Piąty, znacznie większy barak miał dziwaczny kształt rozgwiazdy z pięciokątną częścią środkową i pięcioma trójkątnymi przybudówkami, stanowiącymi jego integralne części. Trudno było odgadnąć, dlaczego architekt tak to właśnie zaplanował; można by pomyśleć, że

chyba w celu zmaksymalizowania strat ciepła. Część środkowa spełniała funkcje mieszkalne, jadalne i kuchenne, w przybudówkach znajdowały się po dwa maleńkie nagie pokoiki sypialne. Ogrzewanie całości zapewniały elektryczne kaloryfery olejowe na ścianach, ale do momentu uruchomienia naszego własnego przenośnego generatora musieliśmy zdać się na zwykłe piece grzewcze na ropę; oświetlenie składało się z lamp naftowych. Całe gotowanie, ograniczające się pewnie do otwierania niezliczonych puszek i odgrzewania ich zawartości, miało się odbywać na zwykłym prymusie. Nie trzeba chyba wspominać, że Otto nie zabrał ze sobą kucharza – kucharze kosztują.

Z godnym uwagi wyjątkiem Judith Haynes, wszyscy, nawet wciąż jeszcze niepewnie trzymający się na nogach Allen, pracowali z zacięciem i tak szybko, jak tylko pozwalał im dotkliwy mróz i nieznanne otoczenie. Pracowali także w niewesołym milczeniu, bo mimo iż żadnego z nich nie łączyło z Hallidayem nic, co by choć zatręcało o bliską przyjaźń, wiadomość o jego zniknięciu legła nowym, ponurym i niepokojącym cieniem na nastrojach całej ekipy, która uważała, że od samego początku nad całym przedsięwzięciem ciąży jakieś złowieszcze fatum. Stryker i Lonnie, którzy rozmawiali ze sobą tylko wtedy, gdy było to absolutnie nieodzowne, sprawdzili wszystkie zapasy: paliwa, nafty, żywności, ubrań i sprzętu arktycznego – Otto, cokolwiek by o nim powiedzieć, był człowiekiem systematycznym; Sandy, który z chwilą postawienia nogi na stałym lądzie wyraźnie przyszedł do siebie, przejrzał swoje rekwizyty, Hendriks – swoje mikrofony, Hrabia – swoje kamery, Eddie – swoje światła, a ja – ten niewielki zestaw medyczny, który zabierałem ze sobą. O trzeciej, kiedy zaczęło się ściemniać, całe nasze wyposażenie znalazło się w magazynach, przydzielono pokoiki, rozstawiono łóżka polowe i rozesłano na nich śpiwory. Na molo nie pozostała ani jedna paka z tylnego pokładu.

Zapaliliśmy piece, zostawiliśmy ponurego i zrzędzącego Eddiego – z Trzema Apostołami, na których twarzach malowały się miny cierpiętników, do pomocy – żeby uruchomił nasz generator, i wróciliśmy na „Różę Poranka”. Ja, ponieważ musiałem koniecznie porozmawiać ze Smithym, inni dlatego, że w baraku nadal było nieprzytulnie i panował w nim przejmujący mróz, natomiast oczerniana przez wszystkich „Róża Poranka” jawiła nam się teraz ciepłą i wygodną przystanią. Tuż po naszym powrocie w krótkich odstępach czasu zaszło kilka niepokojących wydarzeń.

Dziesięć po trzeciej, zupełnie niespodziewanie i wbrew wszelkim oznakom na niebie i ziemi, wieżyczka łodzi podwodnej nasunęła się gładko na metalowy kołnierz jej części centralnej. Przyłapano ją natychmiast w tej pozycji sześcioma śrubami – wszystkich razem było dwadzieścia cztery – a szalupa motorowa przystąpiła od razu do odholowania krnąbrnej makiety na północną stronę molo, w zaciszny kąt tworzony przez jego część główną i prawe ramię.

O trzeciej piętnaście rozpoczęto wyładunek pak z pokładu dziobowego, co pod okiem Smithy’ego postępowało sprawnie i błyskawicznie. Po części dlatego, że nie

chciałem mu przeszkadzać w pracy, a po części dlatego, że w tym momencie i tak nie mógłbym porozmawiać z nim na osobności, zszedłem do swojej kabiny, wyjąłem z dna swojej walizeczki lekarskiej mały prostopadłościenny przedmiot zawinięty w płótno, włożyłem go do sznurowanego woreczka z wojłoku i wróciłem na górę.

To było o trzeciej dwadzieścia. Na pokładzie dziobowym nadal znajdowało się ponad osiemdziesiąt procent przewożonych tam skrzyń, nigdzie natomiast nie było Smithy'ego. Zupełnie jakby skorzystał z mojej chwilowej nieobecności, żeby zapaść się pod ziemię. Zapytałem marynarza obsługującego dźwig, czy nie widział, dokąd poszedł Smithy, ale ten, pochłonięty całkowicie pracą, którą należało wykonać z najwyższym pośpiechem, miał dość mgliste pojęcie o miejscu jego pobytu. Pewnie zszedł pod pokład albo na brzeg, odparł, co uznałem za wielce pomocną wskazówkę. Zajrzałem do kajuty Smithy'ego, na mostek, do kabiny nawigacyjnej, do jadalni i wszędzie, gdzie można się było spodziewać go znaleźć. Ani śladu Smithy'ego. Wypytałem wszystkich pasażerów i członków załogi – z tym samym skutkiem. Nikt go nie widział, nikt nie miał pojęcia, czy był na statku, czy zszedł na brzeg, co wydawało się dość zrozumiałe, gdyż zdążyło się już zrobić zupełnie ciemno, a ostre światło łukowych lamp, rozwieszonych dla ułatwienia wyładunku, nie sięgało trupu, który pogrążył się w mroku dostatecznym, by każdy, kto chciał wejść na pokład lub zejść na molo, mógł mieć absolutną pewność, że robi to zupełnie niepostrzeżenie.

Nigdzie nie było także ani śladu kapitana Imrie. Wcale go nie szukałem, to prawda, ale spodziewałem się raczej, że będzie dobitnie manifestował swoją obecność. Wiatr skręcił już na południo-południowy wschód i ciągle przybierał na sile, „Róża Poranka” tłukła regularnie o ścianę molo z głuchym dudnieniem, któremu towarzyszył przeraźliwy zgrzyt metalu o kamień. W normalnych okolicznościach wszędzie powinno być pełno kapitana Imrie, krzątającego się jak w ukropie, żeby jak najszybciej pozbyć się tych przeklętych pasażerów i całego ich bagażu i pełną parą wyprowadzić statek na bezpieczne fale otwartego morza. A tu nigdzie go nie było, nie natknąłem się na niego w żadnym z miejsc, które odwiedziłem.

O trzeciej trzydzieści zszedłem na molo i pobiegłem do baraków. Nigdzie żywego ducha. Tylko w magazynie sprzętu Eddie przy wtórze soczystych przekleństw mozolił się nad uruchomieniem generatora. Na mój widok podniósł głowę.

–Nikt mi nie zarzuci, że lubię narzekać, doktorze Marlowe – powiedział – ale to cholera...

–Nie widział pan Smithy'ego? Naszego pierwszego oficera?

–Niecałe dziesięć minut temu. Zajrzał zobaczyć, jak nam idzie. A co? Czy coś się...

–Nic nie mówił?

–Na jaki temat?

–Dokąd się wybiera, co ma zamiar robić.

–Nie. – Eddie spojrzął na „Trzech Apostołów”, których niepewne miny zdradzały, że oni też nie są w stanie mi pomóc. – Stał kilka minut z rękami w kieszeniach, poprzyglądał się, zadał kilka pytań i poszedł.

–Widział pan, w którą stronę?

–Nie. – Znowu spojrzął na Apostołów, którzy jak jeden mąż potrząsnęli przecząco głowami. – Coś się stało?

–Nic takiego. Statek szykuje się do odplynięcia i kapitan go poszukuje. – Nie miałem wątpliwości, że nawet jeśli sprawa niedokładnie tak się przedstawiała, to lada chwila tak właśnie będzie się przedstawiać. Postanowiłem nie marnować czasu na poszukiwania Smithy’ego. Jeśli kręcił się na pozór bez celu po obozowisku zamiast pilnie nadzorować wyładunek, czego można by się po nim – i w normalnych okolicznościach słusznie – spodziewać, to znaczy, że miał po temu jakiś ważny powód: po prostu chciał na jakiś czas zniknąć wszystkim z oczu.

O trzeciej trzydzieści pięć wróciłem na „Różę Poranka”. Tym razem nie sposób było przeoczyć obecność kapitana. Do tej pory sądziłem, że nic nie jest w stanie przyprawić go o rozgorączkowanie, ale kiedy ujrzałem go w smudze światła u wejścia do jadalni, zrozumiałem, że jednak się myliłem. Może „rozgorączkowany” nie jest tu odpowiednim określeniem, ale kapitan bez wątpienia był w stanie wyraźnego podniecenia i wściekły jak wszyscy diabli. Dłonie miał zaciśnięte w pięści, tę niewielką widoczną spoza zarostu część twarzy pokrywały blade i czerwone plamy, a jego intensywnie błękitne oczy ciskały gromy. Z chwalebłą, choć nieco złowieszczą, zwięzłością powtórzył mi to, co w ciągu ostatnich kilku minut mówił pewnie każdemu, kto mu się nawinął pod rękę. Zaniepokojony pogarszaniem się pogody – niezupełnie tak to ujął – kazał Allisonowi nawiązać łączność z Tunheim i poprosić o prognozę. Nawiązanie łączności okazało się niemożliwe. Szukając przyczyny, odkryli obaj, że nadajnik został kompletnie zniszczony. A jeszcze godzinę temu czy coś koło tego działał. Tak przynajmniej twierdził Smithy, bo właśnie wtedy zanotował ostatni komunikat meteorologiczny. Albo to, co wedle jego słów było komunikatem meteo. A teraz Smithy dosłownie zapadł się pod ziemię. Gdzie on się, u diabła, podziewa?

–Zszedł na brzeg – odparłem.

–Na brzeg? Na brzeg? Skąd pan, u diabła, o tym wie? – W głosie kapitana trudno byłoby się doszukać przyjaznej nuty, ale przecież nie był w nastroju do przyjacielskich pogaduszek.

–Wracam właśnie z obozu, gdzie rozmawiałem z panem Harbottle, elektrykiem

ekipy. Pan Smith był tam kilka minut przede mną.

–W obozie? Powinien nadzorować wyładunek. Do kroćset, co on tam robił?

–Ja się z nim nie widziałem – wyjaśniłem cierpliwie. – Nie mogłem więc go o to spytać.

–A co, u diabła, pan tam robił?

–Pan się zapomina, kapitanie Imrie. Nie jestem jednym z pana podwładnych. Chciałem po prostu zamienić z nim słowo przed waszym odplynięciem. Widzi pan, zdążyłem się z nim trochę zaprzyjaźnić.

–Ach tak, zaprzyjaźnić się? – powtórzył ze znaczącym naciskiem. Nie zwróciłem na to uwagi; kapitan Imrie był po prostu w nastroju do mówienia ze znaczącym naciskiem. – Allison!

–Słucham, sir?

–Bosmana! Grupa poszukiwawcza na brzeg. Szybko, sam ją poprowadzę. – Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do głębi miotającego kapitanem niepokoju, to teraz musiał się ich ostatecznie pozbyć. Odwrócił się z powrotem, ale ponieważ tymczasem poszedł do mnie Otto Gerran z Goinem, nie wiedziałem, do którego z nas się zwraca. – Odplywamy za pół godziny, ze Smithem czy bez!

–Czy to sprawiedliwe, kapitanie? – odezwał się Otto. – Może po prostu poszedł się przejść albo trochę zabłądził... Sam pan widzi, jak jest ciemno...

–Czy według pana to nie cholernie dziwne, że pan Smith znika akurat w chwili, kiedy ja odkrywam, że nadajnik, którym on posługiwał się rzekomo jeszcze godzinę temu, jest kompletnie rozbity?

Otto zamilkł, ale do akcji gładko wkroczył Goin, urodzony dyplomata.

–Moim zdaniem pan Gerran ma rację, kapitanie. Mógłby się pan zachować nieco niesprawiedliwie. Zgadza się, że zniszczenie nadajnika to sprawa poważna i niezmiernie przykra, a w świetle ostatnich tajemniczych wydarzeń skłonny jestem przypuszczać, że także nie wróżąca nic dobrego. Sądzę jednak, że myli się pan wyciągając stąd pochopny wniosek, iż pan Smith ma z tym cokolwiek wspólnego. Przede wszystkim wydaje mi się zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby w tak oczywisty sposób ściągać na siebie podejrzenia. Po wtóre, jako pański starszy oficer doskonale musi sobie zdawać sprawę, jak ważnym instrumentem jest dla was radio, po cóż więc miałby robić coś tak bezsensownego? Po trzecie wreszcie, gdyby próbował umknąć przed konsekwencjami swego czynu, to dlaczego, na miły Bóg, wybrałby sobie w tym celu Wyspę Niedźwiedzią? Nie sugeruję niczego tak

niezwykłego jak wypadek lub chwilowa amnezja. Sugeruję jedynie, że po prostu mógł się zagubić. Mógłby pan poczekać przynajmniej do rana.

Kapitan Imrie poluznił zaciśnięte pięści, nie bardzo, tylko trochę, z czego jednak wywnioskowałem, że nawet jeśli nie dał się przekonać, to stawał się skłonny rozważyć argumenty Gerrana, które jakby odrobinę zachwiały jego postanowieniem. Ale trwało to jedynie do momentu, kiedy Gerran zaprzepaścił wszystko, co Goin miał już, już osiągnąć.

–Właśnie – powiedział. – Na pewno po prostu poszedł się rozejrzeć.

–Co?! Rozejrzeć się? W takich egipskich ciemnościach?! – Była to przesada, ale wybaczalna. – Allison! Oakley! Wszyscy do mnie! Idziemy! – Ściszył głos o kilka decybeli i dorzucił, tym razem do nas: – Odbijamy za pół godziny, ze Smithem czy bez niego. Do Hammerfest, panowie, do Hammerfest i przedstawicielei prawa. – Minął nas i szedł energicznym krokiem po trapie, a tuż za nim kilku jego ludzi.

–Chyba powinniśmy im pomóc – mruknął z westchnieniem Goin i ruszył na molo, a Otto po chwili wahania udał się jego śladem.

Ja tego nie zrobiłem, nie miałem zamiaru im pomagać. Byłem pewien, że jeśli Smithy nie chce dać się znaleźć, to i tak nikt go nie znajdzie. Zszedłem do swojej kajuty, napisałem krótki liścik, wziąłem wołokowy woreczek i udałem się na poszukiwania Haggerty'ego. Musiałem komuś zaufać. Sztuczka ze znikaniem, którą popisał się właśnie Smithy, piekielnie pokrzyżowała mi szyki i postawiła mnie w sytuacji bez wyjścia; mój wybór padł na Haggerty'ego. Był nieustępliwy i podejrzliwy, a od czasu porannego śledztwa kapitana Imrie musiał całą tę podejrzliwość skierować głównie przeciwko mnie, ale wydawał mi się niegłupi, nieprzekupny, zdyscyplinowany, a przede wszystkim miał za sobą dwadzieścia siedem lat wypełniania rozkazów.

Przez parę minut wszystko wisiało na włosku, ale w końcu, choć z wyraźnymi oporami, zgodził się zrobić to, o co go prosiłem.

–I na pewno nie robi pan ze mnie głupca, doktorze? – spytał.

–Głupcem toby pan był, gdyby pan tak myślał. Co miałbym na tym zyskać?

–No tak, no tak... – Niechętnie wziął ode mnie wołokowy woreczek. – Jak tylko zostawimy wyspę za sobą?

–Tak, to i ten list. Kapitanowi do rąk własnych. Ale nie wcześniej.

–To mi wygląda na poważną sprawę, doktorze Marlowe. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

–Czy pan myśli, że gdybym to wiedział, nawet siłą udałoby się komuś zatrzymać mnie na tej piekielnej wyspie?

–Nie, myślę, że nikomu by się to nie udało. – Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Ledwie zdążyłem wejść na pokład, kiedy na trapie pojawił się kapitan Imrie ze swą grupą poszukiwawczą. Bez Smithy’ego. Nie zaskoczyło mnie ani to, że nie udało im się go znaleźć, ani to, że szukali go tak krótko: od ich wymarszu upłynęło wszystkiego dwadzieścia minut. Na mapie Arktyki Wyspa Niedźwiedzia może się wydawać mikroskopijnym pyłkiem, ale w rzeczywistości zajmuje powierzchnię siedemdziesięciu trzech mil kwadratowych. Do kapitana Imrie już wkrótce musiało dotrzeć, że próba przeszukania choćby ułamka procentu tego górzystego, skutego lodem terenu graniczy z zupełnym szaleństwem. Jego zapal do poszukiwań stygł pewnie szybko, aż nie zostało po nim śladu; ale nieodnalezienie Smithy’ego jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, utwierdziło go w postanowieniu natychmiastowego odplynięcia. Upewniwszy się, że wyładunek z pokładu dziobowego został zakończony i że cały sprzęt i bagaż osobisty ekipy Gerrana znalazł się na brzegu, wymienił z nami krótkie uściski dłoni, uprzejmie nas tym ponaglaając do opuszczenia pokładu. Dźwigi zostały już zablokowane w pozycji podróźnej, marynarze stali przy cumach gotowi do ich zdjęcia. Kapitan Imrie miał zamiar jak najszybciej wcielić swój rozkaz odbicia w czyn.

Ostatni z pokładu schodził Otto, co wydawało się zrozumiałe. Przy wejściu na trap powiedział:

–A więc za dwadzieścia dwa dni, tak, kapitanie? Wróci pan po nas za dwadzieścia dwa dni?

–Nie każę wam tutaj zimować, panie Gerran, może się pan nie obawiać. – Mając lada chwila zostawić za sobą tę swoją zniechęconą i legendarną Wyspę Niedźwiedzią, kapitan Imrie uznał chyba, że może się odrobinę odprężyć. – Za dwadzieścia dwa dni? Najpóźniej. Jakby co, mogę obrócić do Hammerfest i z powrotem w siedemdziesiąt dwie godziny. Życzę państwu wszystkiego najlepszego.

Po tych słowach kapitan Imrie rozkazał podnieść trap i odszedł na mostek, nie wyjaśniając tej dość tajemniczej wzmianki o siedemdziesięciu dwóch godzinach. Sądząc z nastroju, w jakim nas żegnał, wcale bym się nie dziwił, gdyby w owej chwili rzeczywiście miał zamiar wrócić za siedemdziesiąt dwie godziny, i to z niewielkim, lecz uzbrojonym po zęby oddziałem norweskiej policji. Nie przejąłem się tym. Byłem pewien jak mało czego, że jeśli nawet taki pomysł naprawdę chodzi mu po głowie, to jeszcze przed upływem nocy będzie musiał dać sobie z nim spokój.

Zabłyły światła nawigacyjne i „Róża Poranka” powoli odbiła od moła na północ,

zatoczyła szerokie półkole i z pogłębiającym się w miarę nabierania szybkości dudnieniem silników skierowała się ku ujściu Sorhammy. Mijając ponownie molo kapitan kazał dwukrotnie dać sygnał buczeniem – tylko on sam mógł to nazywać syreną – którego przenikliwie, samotne zawrodoenie natychmiast porwał wiatr i stłumiła zasłona śniegu. Dosłownie w kilka sekund śnieżyca i noc pochłonięły zarówno dudnienie silnika, jak i nikłe światła pozycyjne.

Jeszcze dość długo staliśmy na molo, skuleni w obronie przed przenikliwym wiatrem i mrozem, próbując przebić wzrokiem tumany wirującego śniegu, jakby samą siłą woli można było sprawić, by te światła powróciły w zasięg wzroku, to dudnienie silnika w zasięg słucho. Panujący nastrój daleki był od radości wędrowców, którzy szczęśliwie przybyli do długo wyglądaneo celu podróży; do złudzenia przypominał nastrój rozbitków, których los rzucił na bezludną arktyczną wyspę.

Atmosfera w centralnym baraku okazała się niewiele lepsza. Piece na ropę zdawały egzamin, Eddie uruchomił dieslowski generator, więc czarne grzejniki na ścianach zaczynały się już robić ciepłe, ale skutków dziesięciu lat panowania mrozu nie da się przezwyciężyć w godzinę: temperatura wewnątrz nadal wynosiła kilka stopni poniżej zera. Nikt nie oddalał się do wyznaczoneo pokoiów z tej prosteo przyczyno, że tam było jeszcze bardziej zimno. Nikt nie miał ochoty na rozmowy. Heissman rozpoczął szczegółowy i jak się zanosilo, sążnisty wykład na temat przetrwania w warunkach polarnych, w której to dziedzinie, biorąc pod uwagę jego długi i bliski kontakt z Syberią, musiał być wybitnym ekspertem, ale nie znalazł słucho; wątpliwe, czy sam słuchoł tego, co mówi. Potem wdał się w dość chaotyczną rozmowę z Gerranem i Nealem Divinem o planach zdjęciowych na następny dzień – o ile pogoda pozwoli cokolwiek kręcić – ale widać było wyraźnie, że nawet do tego tematu nie mają serca. To w końcu Conrad nie wytrzymał i poruszył przyczynę ogólnego przygnębienia, czy też mówiąc dokładniej, wypowiedział głośno myśl nurtującą wszystkich obecnych, może poza mną samym.

–W Arktyce w zimie potrzebne są latarki, zgadza się? – spytał Heissmana.

–Zgadza.

–Mamy je?

–Jasne, całe mnóstwo. Dlaczego pan pyta?

–Bo chciałbym jedną dostać. Idę na dwór. Siedzimy tu wszyscy, nie wiem jak długo, co najmniej od dwudziestu minut, doskonale wiedząc, że tam gdzieś błąka się człowiek, może chory, może ranny, może z odmrożeniami. A może leży w jakiejś rozpadlinie ze złamaną nogą.

–Och, daj spokój, Charlesie, daj spokój, robisz z igły widły – zaoponował Otto. –

Pan Smith wydawał mi się zawsze człowiekiem, który doskonale sam potrafi dać sobie radę, i to w każdych okolicznościach. – Otto powiedziałaby pewnie to samo nawet wtedy, gdyby na jego oczach Smithy'ego włókł po śniegu niedźwiedź polarny. Z uwagi na usposobienie jak i budowę ciała Otto Gerran nie należał do ludzi, którzy bez wyraźnej konieczności angażowaliby się w cokolwiek, co wymaga choć minimalnego wysiłku fizycznego.

–Jeśli nic to pana nie obchodzi, to dlaczego nie powie pan tego wprost? – Tego oblicza Conrada jeszcze nie znałem. Nie popuścił i ciągnął dalej, tym razem mnie dobierając się do skóry. – Spodziewałbym się, że to pan pierwszy z tym wyjdzie, doktorze Marlowe. – I spodziewałby się słusznie, gdyby nie to, że wiedziałem o Smithym znacznie więcej niż on.

–Nie jestem ambitny – odparłem zgodnie. – Zadowolę się drugą lokatą.

Koniec końców wyruszyliśmy wszyscy z wyjątkiem Ottona, skarżącego się na fatalne samopoczucie, oraz Judith Haynes, powtarzającej w kółko, że to głupota, że pan Smith sam wróci, jak przyjdzie mu na to ochota, w czym zupełnie się z nią zgadzałem, choć z powodów zupełnie odmiennych niż te, które kierowały naszą gwiazdą. Zaopatrzyliśmy się wszyscy w latarki, postanowiliśmy trzymać się jak najbliżej siebie, a w przypadku, gdybyśmy się rozdzielili, wrócić do baraku najpóźniej po półgodzinie.

Cała ekipa poszukiwawcza ruszyła szeroką tyralierą na północ od zatoki, grzbietem nadbrzeżnej skarpy. To znaczy prawie cała. Ja udałem się prosto do baraku ze sprzętem, gdzie krzepiąco pomrukiwał dieslowski generator. Było zupełnie nieprawdopodobne, żeby czyjaś nieobecność została przez innych zauważona; w tej ciemności i śnieżycy dawało się co najwyżej dostrzec majaczące zarysy sylwetek bezpośrednich sąsiadów. Postanowiłem zaszyć się gdzieś i przeczekać te poszukiwania wiatru w polu, a mój wybór padł na najbardziej nadające się do tego celu miejsce, najcieplejsze i zaciszne. Ze zgaszoną latarką, żeby nie zdradzać swojej obecności, uchyliłem drzwi magazynku, wśliznąłem się do środka i zamknąłem drzwi za sobą. Zrobiłem krok do przodu, potknąłem się o coś stosunkowo miękkiego i omal nie runąłem jak długi na deski podłogi. Z ust wyrwało mi się głośnie przekleństwo. Odzyskałem równowagę, odwróciłem się i włączyłem latarkę.

Na podłodze leżał rozciągnięty jakiś człowiek, którym okazał się Smithy. Szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie zdziwiło. Drgnął, jęknął, obrócił się na plecy, podniósł z trudem rękę, żeby osłonić oczy przed rażącym światłem mojej latarki, po czym osunął się bezsilnie z powrotem na deski, ręka opadła mu bezwładnie i powieki same się zamknęły. Na jego lewym policzku czerwieniła się plama zakrzepłej krwi. Drgnął ponownie, poruszył się z boku na bok i jęknął cicho jak człowiek balansujący na granicy utraty przytomności.

–Bardzo boli? – spytałem. Pojęczał jeszcze trochę.

–Po co poranił pan sobie policzek garścią zamrożonego śniegu? – spytałem.

Znieruchomiał i przestał jęczeć.

–Ten komediowy numer zachowamy na dalszą część programu – powiedziałem chłodno. – A na razie zechce pan wstać z podłogi i wyjaśnić mi, dlaczego zachował się pan jak nieodpowiedzialny kretyn.

Położyłem latarkę na obudowie generatora, tak by świeciła na sufit. Nie dawała zbyt dużo światła, ale dość, żeby widzieć wystudiowany brak wyrazu na twarzy Smithy’ego.

–Co pan konkretnie ma na myśli? – spytał wstając.

–PQS 182131, James R. Huntingdon, Golden Green i Bejrut, znany obecnie pod nazwiskiem Josepha Ranka Smitha. Oto kogo mam na myśli.

–Chyba rzeczywiście jestem nieodpowiedzialnym kretynem – odparł Smithy. – Miło by było, gdyby zechciał pan dopełnić prezentacji.

–Doktor Marlowe – odparłem. Jego twarz zachowała wyraz wystudiowanej obojętności. – Cztery lata i cztery miesiące temu, kiedy oderwaliśmy pana od ciepłej posadki pierwszego oficera na pokładzie tego przerdzewiałego na wylot libańskiego tankowca, sądziliśmy, że czeka pana u nas przyszłość. Świetlana. Jeszcze cztery miesiące temu tak uważaliśmy. Ale dziś jestem od tego jak najdalszy.

–Nie bardzo może mnie pan wywalić z roboty na Wyspie Niedźwiedziej. – Smithy spróbował się uśmiechnąć, ale specjalnie się do tego nie przykładał.

–Jak będę chciał, to wywalę pana nawet z Timbaktu – odparłem tonem stwierdzającym fakt. – No więc?

–Mógł się pan przede mną ujawnić. – Smithy wydawał się przybity. Ja na jego miejscu też pewnie tak bym się czuł. – Zaczynałem się domyślać. Nie wiedziałem, że na pokładzie jest jeszcze ktoś oprócz mnie.

–Bo wcale nie miał pan wiedzieć. I niczego nie miał pan się domyślać. Miał pan dokładnie wykonywać rozkazy. Tylko to i nic więcej. Pamięta pan ostatnie zdanie w pańskiej instrukcji? Było podkreślone. Cytat z Milтона. To ja go podkreśliłem.

–„Jemu też służy, kto stoi i czeka”* [*J. Milton: „Sonet”, tłum. J. Pietrkiewicza.] – wyrecytował Smithy. – Uznałem go wówczas za dość banalny.

–Odebrałem dość powierzchowną edukację – odparłem. – Psiakrew, chodzi o to, czy pan stał i czekał! No, stał pan i czekał?! Akurat! Miał pan rozkaz sformułowany tak jasno i prosto, że już prościej nie można. Pozostać na pokładzie „Róży Poranka” do chwili nawiązania kontaktu. Nie ruszać się ze statku ani na krok, pod żadnym pozorem nie schodzić na brzeg. Nie – powtarzam – nie podejmować żadnych prób prowadzenia śledztwa na własną rękę, nie starać się niczego odkrywać, ani na chwilę nie wypadać z roli zwykłego, przeciętnego oficera marynarki handlowej. A pan mnie zawiódł. Chciałem mieć pana na pokładzie tego statku, Smithy. Potrzebowałem tam pana mieć – właśnie teraz. I co? Znajduję pana w jakimś zabitym dechami baraku na Wyspie Niedźwiedziej! Dlaczego, na miłość boską, nie mógł pan po prostu wykonać tak jasnych rozkazów?!

–W porządku, moja wina. Ale byłem przekonany, że jestem sam, a to trochę zmienia postać rzeczy, nie uważa pan? Czterech ludzi ginie w tajemniczych okolicznościach, czterech następnych o włos unika śmierci, a ja, do cholery, co? Mam stać z założonymi rękami i spokojnie się temu przyglądać? Nie wykazać żadnej własnej inicjatywy, nawet raz nie ruszyć własną głową?

–Tak właśnie należało zrobić, dopóki nie otrzyma pan dalszych instrukcji. Niech pan zobaczy, jak mnie pan urządził: zostałem bez jednej ręki. Tą ręką była dla mnie „Róża Poranka”, a pan mnie jej pozbawił. Chciałem ją mieć w pobliżu, dzień i noc, gotową przyplłynąć na pierwsze wezwanie. W każdej chwili może mi się okazać potrzebna, a przez pana już jej nie mam. Czy na pokładzie tego zawszonego kutra jest choć jeden człowiek, który potrafiłby go utrzymać tuż przy brzegu w takiej ciemności, że choć oko wykol, albo wprowadzić do Sorhammy wśród śnieżnej zawiei? Sam pan najlepiej wie, że nie. Kapitan Imrie nie wprowadziłby go na Tamizę w bezwietrzne lipcowe popołudnie.

–To znaczy, że ma pan nadajnik? Do nawiązania łączności z trawlerem?

–Pewnie, że mam. Wbudowany w moją walizeczkę lekarską. Zwykły sprzęt policyjny, ale ma taki zasięg, że wystarczy.

–Raczej trudno będzie się kontaktować z „Różą Poranka”, skoro jej nadajnik rozbity w drobny mak.

–Co też pan powie? A dlaczego został rozbity w drobny mak? Bo długo i swobodnie rozwodził się pan na mostku o wzywaniu na ratunek, właśnie za pomocą tego nadajnika, atlantyckich sił NATO, a w tym samym czasie jakiś spryciarz zażywał świeżego powietrza pod drzwiami sterówki, chłonąc każde słowo, które padło z pańskich ust. Wiem, na śniegu były tylko jedne ślady stóp, moich własnych, ale że tak powiem, powtórnie wykorzystane. Co więc robi nasz spryciarz? Pędzi natychmiast po wielki młot.

–Zgoda, powinienem był lepiej trzymać język na wodzy. Należą się panu ode mnie przeprosiny, tylko coś mi się zdaje, że teraz to już musztarda po obiedzie.

–Ja sam też nie bardzo zapracowałem na odznaczenie za wybitne zasługi, więc damy sobie spokój z tymi przeprosinami. Skoro już pan jest tutaj... No cóż, przynajmniej nie będę musiał tak starannie pilnować pleców.

–To znaczy, że ten ktoś czy ci ktosie chcą się do pana zabrać?

–Owszem, ten ktoś czy ci ktosie chcą się do mnie zabrać. – Podzieliłem się z nim pokrótce wszystkim, co wiedziałem, nie zagłębiając się w moje wnioski i przypuszczenia, gdyż robienie mu w głowie takiego samego mętliku, jaki ja miałem, wydawało mi się zupełnie bez sensu. – Żeby nie wchodzić sobie w paradę – ciągnąłem – umówmy się, że to ja będę dawał sygnał do rozpoczęcia każdej akcji, którą uznam – lub uznamy – za stosowne podjąć. Nie muszę chyba dodawać, że nie pozbawia to pana prawa do działania na własną rękę w sytuacji bezpośredniego fizycznego zagrożenia. Gdyby taka sytuacja zaistniała lub gdyby choćby tak się panu tylko zdawało, z góry otrzymuje pan moją zgodę na przyłożenie każdemu tak, żeby padł bez czucia.

–Dobrze to wiedzieć. – Po raz pierwszy błysnął zębami w uśmiechu. – Byłoby jeszcze lepiej, gdybym już teraz wiedział, komu to konkretnie miałbym przyłożyć. A już wręcz cudownie, gdyby zechciał mi pan zdradzić, co pan, dość wysoki – jak przypuszczam – funkcjonariusz Ministerstwa Skarbu, i ja, funkcjonariusz tego ministerstwa zupełnie szeregowy, w ogóle robimy na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie.

–Pierwszym i podstawowym przedmiotem zainteresowania Ministerstwa Skarbu są pieniądze, w tej czy w innej postaci, ale zawsze pieniądze. I dlatego właśnie tu jesteśmy. Nie chodzi o nasze pieniądze, brytyjskie, chodzi o coś, co nazywamy międzynarodowymi brudnymi pieniędzmi. W tej sprawie wszystkie banki centralne ściśle ze sobą współpracują.

–Kiedy człowiek jest taki biedny jak ja – mruknął Smithy – to żadne pieniądze nie są dla niego brudne.

–Nawet fatalnie wynagradzany urzędnik państwowy taki jak pan nie tknąłby tych pieniędzy. Pieniądze, o których mowa, to pochodzący z grabieży łup z czasów drugiej wojny światowej. Te pieniądze zdobyto przelewając morze krwi, i tę ich część, którą odzyskano – a w stosunku do całości była to część bardzo niewielka – odzyskano przelewając krew. Jeszcze wiosną 1945 roku Rzesza nadal była krajem bezcennych skarbów; latem po skarbach nie zostało praktycznie śladu. Zarówno zwycięzcy, jak i pokonani kładli chciwą łapę na każdym wartościowym przedmiocie, jaki wpadł im w oczy: złocie, klejnotach, obrazach mistrzów, papierach

wartościowych – bo nie wiem, czy pan wie, że papiery wartościowe emitowane przez niemieckie banki czterdzieści lat temu do dziś nie straciły ważności – i wywozili je we wszystkich możliwych kierunkach. Zbędnie chyba dodawać, że nikt z biorących w tym udział nie uważał za stosowne powiadomić o swych najnowszych nabytkach odpowiednie władze. – Spojrzałem na zegarek. – Pańscy zatroskani przyjaciele przetrząsają w poszukiwaniu pana całą Wyspę Niedźwiedzią... a przynajmniej jej niewielki fragment. Ma to potrwać pół godziny. Najdalej za piętnaście minut będę musiał przytaszczyć do głównego baraku pańskie nieprzytomne ciało.

–To wszystko wydaje mi się ponure i dość nudne – powiedział Smithy. – Wojna, grabieże, łupy... Dużo tego było?

–To zależy, co dla pana jest dużo. Ocenia się, że alianci – mówiąc „alianci” mam na myśli zarówno Anglików i Amerykanów, jak też posądzanych o niejedno Rosjan – zdołali odzyskać około dwóch trzecich całości. To by znaczyło, że nazistom i ich stronnikom pozostała nędzna jedna trzecia. Wstrzemięźliwe – wstrzemięźliwe, Smithy – szacunki wartości tej jednej trzeciej podają sumę trzystu pięćdziesięciu milionów. Funtów szterlingów, ma się rozumieć.

–Wszystkiego razem było miliard?!

–Sto milionów w tę lub w tamtą.

–Pamięta pan tę moją dziecinną uwagę, że to dość nudne? Odszczekuję.

–Przyjmuję. No więc ten łup trafił w najprzedziwniejsze miejsca. Część, rzecz jasna, spoczywa na sekretnych rachunkach bankowych. Część, głównie bręcząca gotówka – na dnie kilku najgłębszych jezior Alp Austriackich; ustalono to ponad wszelką wątpliwość, ale wszystkie próby odzyskania tego złota spełzyły na niczym. Wiem o dwóch Rafaelach zdobiących podziemną galerię w domu pewnego milionera w Buenos Aires, o jednym Michale Aniele w Rio de Janeiro, kilku Halsach i Rubensach w pewnej nielegalnej kolekcji w Nowym Jorku i jednym Rembrandcie w Londynie. Ich posiadacze są ludźmi, którzy albo byli, albo nadal pozostają ściśle związani z rządami lub siłami zbrojnymi swoich państw. Zainteresowane rządy nic w tej sprawie nie są w stanie zrobić, a, co więcej, wcale się do tego nie kwapią. Przecież w ostatecznym rozrachunku to właśnie one na tym zyskują. Nie dalej niż w końcu lat siedemdziesiątych pewien międzynarodowy kartel wyszedł na rynek z niemieckimi papierami wartościowymi z lat trzydziestych, w dalszym ciągu jak najbardziej ważnymi, wartości około trzydziestu milionów funtów. Próbowali na giełdach w Londynie, Nowym Jorku i Zurychu, ale Bank Niemiec odmówił ich wykupu do chwili ustalenia prawowitego właściciela. Sedno sprawy tkwi w tym, że papiery te zostały zrabowane wiosną 1945 roku ze skarbca Banku Rzeszy przez specjalnie w tym celu utworzoną jednostkę Armii Czerwonej, chyba jedyny w historii zalegalizowany oddział włamywaczy.

Ale to tylko wierzchołek góry lodowej, jeśli można użyć tego porównania. Znakomita większość tych ogromnych bogactw pozostaje nadal w ukryciu, wojna bowiem wciąż jeszcze zbyt żywo tkwi w ludzkiej pamięci i ich posiadacze – bezprawni posiadacze – boją się zamienić swe skarby na gotówkę. Przy rządzie włoskim działa specjalny urząd zajmujący się wyłącznie tą właśnie sprawą, a jego szef, profesor Silvero, ocenia, że nie udało się natrafić na ślad co najmniej siedmiuset obrazów starych mistrzów, w tym wielu bezcennych wręcz arcydzieł, a inny ekspert w tej dziedzinie, Simon Wiesenthal z Austriackiego Żydowskiego Ośrodka Dokumentacji, powiada dokładnie to samo, dodając przy tym, że wielu poszukiwanych na całym świecie zbrodniarzy, takich jak na przykład wysocy rangą oficerowie SS, żyje w luksusie czerpiąc fundusze z szyfrowanych rachunków bankowych rozsianych po całej Europie.

Silvero i Wiesenthal są światowej sławy specjalistami w dziedzinie prawnego odzyskiwania zagrabionych dzieł sztuki. Niestety oprócz nich jest jeszcze kilka innych osób – trzy, cztery, na pewno nie więcej – posiadających taki sam, jeśli nie większy, zasób informacji na ten temat, pozbawionych jednak zasad moralnych swych kolegów po fachu, jeśli wolno mi tak to ująć, działających w ramach obowiązującego prawa. Ich nazwiska nie są dla nikogo tajemnicą, ale osoby te pozostają nietykalne, gdyż nigdy nie popełniły żadnego przestępstwa, o którym by ktoś wiedział, nigdy nie próbowały sprzedawać niczego podejrzanego. Ich papiery wartościowe są zawsze nienagane, prawo własności przedstawiających je do wykupu osób niezbitcie udokumentowane. Niemniej jednak ludzie ci są kryminalistami, i to na skalę międzynarodową. A najrzęczniejszego i najlepiej prosperującego z nich gościmy właśnie na Wyspie Niedźwiedziej. Jego nazwisko brzmi Johann Heissman.

–Heissman?!

–Nikt inny. To niezwykle uzdolniony chłopak ten nasz Heissman.

–Heissman? Jak to możliwe? To się zupełnie nie trzyma kupy. Przecież dopiero dwa lata temu...

–Wiem. Dopiero dwa lata temu Heissman uciekł w pięknym stylu z Syberii i zjawił się w Londynie przy akompaniamencie wrzawy prasy i trzasku fleszów, telewizja poświęciła mu godziny programu, gazety dziesiątki szpalt, a czerwonych dywanów, które przed nim rozesłano, starczyłoby na wyłożenie drogi z Tilbury do Tomska. Od tamtej pory oddał się bez reszty swej starej pasji kręcenia filmów, więc jakże to możliwe?

Otóż okazuje się, że możliwe, a nawet pewne. Ten nasz Johann to ptaszek doprawdy niezwykle sprytny. Sprawdziliśmy, że tuż przed wybuchem wojny był faktycznie współnikiem Ottona w pewnej wytwórni filmowej w Wiedniu i że faktycznie

chodzili razem do tego samego gimnazjum w Sankt Polten, które wcale nie leży znowu tak daleko od Wiednia. Wiemy z całą pewnością, że podczas Anschlussu Otto uciekł w odpowiednim kierunku, a Heissman w zupełnie nieodpowiednim, i że z uwagi na prokomunistyczne sympatie, jakie wówczas okazywał, przyjęto go w Trzeciej Rzeszy z szeroko otwartymi ramionami. To, co nastąpiło potem, było niczym innym jak podstawieniem podwójnego czy raczej potrójnego szpiega, co tak często miało miejsce w Europie Środkowej w czasie wojny. Wygląda na to, że Heissmanowi pozwolono uciec do Rosji, gdzie był dobrze znany ze swoich komunistycznych przekonań. Niedługo potem zostaje wysłany z powrotem do Rzeszy, skąd na rozkaz swoich pierwotnych pracodawców śle do Rosji wszelkiego rodzaju wprowadzające w błąd informacje, takie jednak, by Rosjanie mogli wziąć je za dobrą monetę.

–Dlaczego? Po co to robił?

–Ponieważ razem z nim aresztowano w swoim czasie jego żonę i dzieci. Wystarczający powód? – Smithy skinął głową. – Po zakończeniu wojny, kiedy Rosjanie zajęli Berlin i przekopali archiwa niemieckiego wywiadu, odkryli, co Heissman tak naprawdę robił, i zesłali go na Syberię.

–Wydawałoby się, że powinni go z miejsca rozstrzelać.

–I pewnie tak właśnie by zrobili, gdyby nie jedno małe ale. Powiedziałem panu, że Heissman to niezwykle sprytny ptaszek i że był nie podwójnym, lecz potrójnym szpiegiem. Otóż Heissman przez całą wojnę rzeczywiście i naprawdę pracował dla Rosjan. Cztery lata wiernie wysyłał swoim mocodawcom fałszywe informacje i choć w przygotowywaniu zakodowanych raportów pomagał mu niemiecki wywiad, nikt tam się nie połapał, że Heissman przez cały czas używa własnego dodatkowego kodu. Pod koniec wojny Rosjanie pomogli mu po prostu wyparować, także dla jego własnego bezpieczeństwa, i rzekomo zesłali na Syberię. Z posiadanych przez nas informacji wynika, że nigdy tej Syberii nie oglądał. Przypuszczamy, że jego dwie zamężne córki nadal żyją dostatnio gdzieś w Moskwie.

–I od tamtej pory cały czas pracuje dla Rosjan? – Smithy sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego, a ja doskonale go rozumiałem. W mistrzowskiej dwulicowości gry Heissmana wcale nie tak łatwo było się połapać.

–Zajmując się tym, co obecnie. W ciągu ostatnich ośmiu lat jego pobytu w syberyjskim łagrze widziano go, w różnych przebraniach, w Ameryce Północnej i Południowej, w RPA, Izraelu i – może pan wierzyć lub nie – w Hotelu Savoy w Londynie. Wiemy, choć nie możemy tego udowodnić, że wszystkie te wyjazdy w ten czy inny sposób wiązały się z próbami odzyskania hitlerowskich skarbów dla jego rosyjskich mocodawców. Musi pan pamiętać, że Heissman w swoim czasie miał kontakty z najwyższymi funkcjonariuszami NSDAP, SS i niemieckiego wywiadu. Trudno wyobrazić sobie kogoś, kto byłby bardziej predestynowany do wykonania

tego zadania. Od czasu swojej „ucieczki” z Syberii nakręcił dwa filmy, oba w Europie. Jeden w Piemoncie, gdzie pewna staruszka złożyła skargę, że ze strychu nad stodołą skradziono jej kilka zniszczonych starych obrazów; drugi w Prowansji, gdzie pewien stary wiejski adwokat wezwał policję, gdyż z kancelarii skradziono mu kilka kaset ze starymi aktami własności. Nie wiemy, czy te obrazy i akty własności miały jakąkolwiek wartość. Jeszcze trudniej powiązać te kradzieże z Heissmanem.

–Strasznie tego dużo jak na jeden raz – poskarżył się Smithy.

–To prawda.

–Mogę zapalić?

–Ma pan jeszcze pięć minut. Potem wlokę pana za nogi do baraku.

–Jeśli to panu nie robi różnicy, wolałbym za ramiona. – Smithy zapalił papierosa i na chwilę pogrążył się w rozmyślaniach. – A więc naszym zadaniem jest odkryć, co Heissman robi na Wyspie Niedźwiedziej.

–Właśnie po to tu jesteśmy.

–I nic panu nie przychodzi do głowy?

–Nic. Pieniądze, musi chodzić o pieniądze. To ostatnie miejsce na Ziemi, które kojarzyłoby mi się z pieniędzmi, a w dodatku to skojarzenie wcale nie musi być słuszne. Może chodzi tylko o wskazówkę, jak do nich dotrzeć. Johann to naprawdę szczywana sztuka. Mam nadzieję, że już zdążyło to do pana dotrzeć.

–Czy ta spółka filmowa ma w tym jakiś udział? Jego stary przyjaciel, Gerran? Czy też tylko wykorzystuje ich do swoich celów?

–Nie mam pojęcia.

–A Mary Stuart? Ta dziewczyna z tajemnej schadzki na pokładzie? Jakże tu może być powiązanie?

–Ta sama odpowiedź. Wiemy o niej bardzo mało. Znamy jej prawdziwe nazwisko, którego zresztą nigdy nie próbowała ukryć, wiek i miejsce urodzenia; wiemy, że pochodzi z Łotwy, czy też tego, co było Łotwą, nim wkroczyli Rosjanie. Wiemy także – z tym jednak już się nie afiszowała – że Łotyszką była tylko jej matka. Jej ojciec był Niemcem.

–O! Wojskowy? Wywiad? SS?

–Takie powiązanie samo się narzuca. Ale niestety na ten temat nie mamy żadnych

informacji. W papierach imigracyjnych podała tylko, że oboje rodzice nie żyją.

–To znaczy, że wydział sprawdził i ją?

–Sprawdziliśmy wszystkich tu obecnych mających jakiś związek z Olympus Productions. Choć równie dobrze mogliśmy to sobie darować.

–A więc faktów brak. Jakieś domysły, przeczucia?

–Domysły i przeczucia to nie moja parafia.

–Tak podejrzewałem. – Smithy zgniótł papierosa. – Nim się stąd zabierzemy, chciałbym podzielić się dwiema bardzo nieprzyjemnymi myślami, które właśnie wpadły mi do głowy. Myśl numer jeden: Johann Heissman jest w swej dziedzinie szychą na skalę międzynarodową i zawsze działa bez wpadki, zgadza się?

–Johann Heissman jest zwykłym międzynarodowym kryminalistą.

–Jak go zwał, tak go zwał, chodzi o to, że ci faceci starają się za wszelką cenę unikać stosowania przemocy. Czy nie tak?

–Owszem. Abstrahując od innych powodów, uważają, że to poniżej ich godności.

–Czy słyszał pan, żeby nazwisko Heissmana wiązano kiedykolwiek z jakimś aktem przemocy?

–Nic mi o tym nie wiadomo.

–A tu w ciągu ostatnich dwóch dni rozwiązał się istny worek z przemocą, i to w najprzeróżniejszych formach. Skoro to nie Heissman, to kto tu odwała brudną robotę?

–Wcale nie powiedziałem, że to nie Heissman. Lisek chytrusek może pokazać wilcze kły. Być może uznał, Bóg jeden raczy wiedzieć z jakiego powodu, że sytuacja stała się dla niego zbyt groźna i nie pozostaje mu nic innego, jak uciec się do zastosowania przemocy. Może być i tak, że ma jakichś współników, którzy wcale nie muszą podzielać jego awersji do stosowania ostatecznych środków. A może po prostu kryje się za tym ktoś, kto nie ma z Heissmanem zupełnie nic wspólnego.

–To właśnie lubię – odparł Smithy. – Proste, jednoznaczne odpowiedzi. Jest coś jeszcze, co być może umknęło pańskiej uwagi. Skoro pańscy przyjaciele namierzili sobie pana, to istnieje spore prawdopodobieństwo, że namierzili sobie także mnie. Ten podsłuchiwacz na mostku.

–Myślałem o tym. I wcale nie z powodu tamtej rozmowy na mostku, choć mogła ona

dać komuś nieco do myślenia, tylko dlatego, że umyślnie opuścił pan statek. To, co sądzi cała reszta, nie ma żadnego znaczenia. Ta jedna osoba, o którą nam chodzi – choć może jest ich więcej – będzie zupełnie pewna, że zrobił pan to celowo. I postawi na panu krzyżyk.

–To znaczy, że kiedy mnie pan tam zawlecze, nie wszyscy poczują szczerze współczucie dla biednego starego Smithy’ego? Ktoś może powątpiewać w autentyczność moich obrażeń?

–Oni nie będą w nią powątpiewać. Będą zupełnie pewni, że pańskie rany są sfingowane. Ale my musimy postępować tak, jakby były prawdziwe.

–Może pan także popilnowałby mi pleców? Choćby od czasu do czasu?

–Jestem człowiekiem niezwykle zajęтым, Smithy, ale zrobię, co będę mógł.

Chwyciłem go pod pachy i zacząłem wlec do głównego baraku. Nogi i ręce ciągnęły mu się po śniegu, głowa huśtała bezwładnie na wszystkie strony. Niecałe pięć jardów przed drzwiami wejściowymi padło na nas światło dwóch latarek.

–Znalazł go pan? – To był Goin. Tuż obok niego stał Harbottle. – Brawo! – Nawet moim wyczulonym uszom reakcja Goina wydawała się jak najbardziej szczerą.

–Owszem. Jakieś ćwierć mili stąd. – Dyszałem ciężko, żeby nabrali pojęcia, co to znaczy przyciągnąć takie dwieście funtów lecącego przez ręce Smithy’ego po nierównym, zasypanym śniegiem terenie. – Znalazłem go na dnie jakiejś rozpadliny. Nie moglibyście mi pomóc?

Mogli i pomogli. Wtaszczyliśmy go do środka, przynieśliśmy łóżko polowe i ułożyliśmy na nim Smithy’ego.

–Wielki Boże, wielki Boże, wielki Boże! – Otto załamał ręce, a na jego twarzy pojawił się wyraz udręki, świadczącej dobitnie, że do przytłaczającego ciężaru krzyża, który przyszło mu dźwigać, przybyło właśnie nowe brzemie. – Co się temu biedakowi stało?

Judith Haynes ani drgnęła od pieca, którym niepodzielnie zawładnęła. Wnoszenie w jej obecności nieprzytomnych ludzi musiało być dla niej chlebem tak powszednim, że nie zasługiwało nawet na drgnienie powieki.

–Nie wiem – odparłem między jednym ciężkim oddechem a drugim. – Chyba fatalnie upadł i uderzył głową o jakiś kamień. Tak mi to przynajmniej wygląda.

–Wstrząs mózgu?

–Możliwe. – Obmacałem Smithy’emu skórę na głowie, trafiłem we włosach na jakiś punkt, który niczym się nie wyróżniał spośród innych, i powiedziałem: – No tak!

Spojrzeli na mnie z niemym niepokojem.

–Koniak – powiedziałem do Ottona. Przyniosłem swój stetoskop, odegrałem nieodzowną farsę i jednym czy dwoma łykami koniaku zdołałem przywrócić do życia krztuszącego się i pojękującego Smithy’ego. Jak na kogoś, kto nie miał scenicznego przygotowania, odegrał znakomite przedstawienie, uwieńczone serią stłumionych przekleństw i prawdziwym popisem mimicznym wyrażającym mieszaninę niedowierzania i przygnębienia, kiedy poinformowałem go delikatnie, że „Róża Poranka” odpłynęła bez niego.

Podczas tej błazenady do baraku wróciła dwójkami i trójkami większość grupy poszukiwawczej. Obserwowałem ich niezwykle bacznie w poszukiwaniu oznak jakiegś innej reakcji niż zaskoczenie lub odetchnięcie z ulgą, ale mogłem być to sobie darować. Jeśli ktoś z nich nie poczuł się zaskoczony lub uspokojony widokiem Smithy’ego, to zbyt dobrze panował nad mięśniami twarzy, by się z czymkolwiek zdradzić. I prawdę mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Mniej więcej po piętnastu minutach wyraźnie przychodzący do siebie Smithy przestał monopolizować naszą uwagę i wówczas stwierdziliśmy z niepokojem, że nadal brakuje jeszcze dwóch członków grupy poszukiwawczej, a mianowicie Strykera i Allena. W świetle zajścia, które miało miejsce rankiem tego dnia, nieobecność akurat tych dwóch wydała mi się dziwnym zbiegiem okoliczności; po upływie następnych piętnastu minut uznałem ją za zastanawiającą, a jeszcze dwadzieścia minut później nabrałem przekonania, że należy się spodziewać wszystkiego najgorszego. Nie byłem w tym przekonaniu odosobniony. Judith Haynes porzuciła zdobyte przez zasiedzenie miejsce przy piecu i zaczęła chodzić w tę i z powrotem drobnym, nerwowym krokiem, nieustannie splatając i rozplatając dłonie. W końcu stanęła na wprost mnie.

–To mi się nie podoba, to mi się zupełnie nie podoba! – W jej głosie słychać było napięcie i niepokój, być może udawane, ale wcale mi na to nie wyglądało. – Co go tam mogło zatrzymać? Dlaczego tak długo nie wraca? Jest tam na dworze z tym Allenem. Coś się musiało stać. Czuję to. Ja to wiem! – Kiedy nic nie odpowiedziałem, spytała: – No co, idzie go pan szukać czy nie?

–Tak jak pani poszła szukać pana Smitha – odparłem. Nie było to miłe, ale ja, w przeciwieństwie do Lonniego, nie zawsze czułem się najprzychylniej ustosunkowany do ludzi. – Może pani mąż wróci, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

Spojrzała na mnie bez słowa, właściwie nawet bez wrogości, poruszyła wargami, ale nic nie powiedziała. Po raz drugi tego dnia uświadomiłem sobie, że jej rzekoma

–nienawiść do męża była w rzeczy samej jedynie rzekoma, i że choć znakomicie się z tym kryła, Michael Stryker wcale nie był jej tak bardzo obojętny. Odwróciła się na pięcie, a ja sięgnąłem po latarkę.

–Jeszcze raz do szeregu – powiedziałem. – Są ochotnicy? Zabrałem ze sobą Conrada, Jungbecka, Heytera i Hendriksa.

Chętnych było znacznie więcej, doszedłem jednak do wniosku, że przy zbyt dużej grupie nie tylko będziemy plątać się sobie pod nogami, ale także poważnie wzrośnie ryzyko, że znów ktoś nam się zgubi. Natychmiast po wyjściu rozstawiliśmy się w odstępach nie większych niż piętnaście stóp i ruszyliśmy wachlarzem na północ.

Allena znaleźliśmy w niecałe trzydzieści sekund, a dokładniej rzecz biorąc, to on znalazł nas. Zobaczył światła naszych latarek – swoją zgubił – i wynurzył się chwiejnie z ciemności i śnieżycy. Chwiejnie to niezbyt precyzyjne określenie: zataczał się jak ktoś, kto potężnie nadużył alkoholu albo goni absolutnymi resztkami sił, a kiedy próbował się odezwać, jego głos zabrzmiał ochryple i bełkotliwie. Dygotał niczym w ataku febry. Wypytywanie go w tym stanie wydawało się nie tylko bezcelowe, ale zakrawałoby wręcz na okrucieństwo, toteż bez zbędnych słów wnieśliśmy go szybko do baraku.

Kiedy usadziliśmy go na stołku koło pieca, rzuciłem na niego okiem i nie musiałem tego powtarzać ani przyglądać się zbyt uważnie, by zauważyć, że nie był to jego dzień. Znów oberwał, a obrażenia, jakie odniósł tym razem, co najmniej dorównywały ranom z porannej potyczki. Miał dwa paskudne rozcięcia nad okiem – tym, które do tej pory zachował nietknięte – posiniaczony i zadrapany prawy policzek, nos i wargi zalane krwią, skrzeplą już na mrozie, ale najpoważniej wyglądała bardzo głęboka rana na potylicy, gdzie zdarta skóra odsłaniała białą kość. Ktoś poddał go bardzo gruntownej obróbce.

–A co tym razem się stało? – spytałem zabierając się do przemywania mu twarzy. Skrzywił się z bólu. – Czy pan w ogóle wie, co to było?

–Nie wiem – wystękał z wysiłkiem. Potrząsnął głową i natychmiast zachłysnął się powietrzem, jakby głowę czy szyję przeszył mu przy tym ostry ból. – Nie pamiętam... nic nie pamiętam...

–Wdałeś się w jakąś bijatykę, drogi chłopcze – powiedziałem. – Znowu. Ktoś ci dołożył, i to potężnie.

–Wiem, czuję to, ale nic nie pamiętam. Słowo honoru, nie pamiętam. Zupełnie... zupełnie nie wiem, jak to się stało.

–Ale przecież musiał go pan widzieć – zauważył rozsądnie Goin. – Ktokolwiek to był, musiał pan z nim stanąć twarzą w twarz. Na miłość boską, chłopcze, ma pan zupełnie

podartą koszulę, a przy kurtce brakuje przynajmniej kilku guzików. Ten ktoś musiał stać na wprost pana, kiedy tak pana urządził. To niemożliwe, by nie dostrzegł go pan choćby kątem oka.

–Było zupełnie ciemno – wymamrotał Allen. – Nic nie widziałem. Nic nie poczułem. Wiem tylko, że nagle ocknąłem się w śniegu, jakby kompletnie pijany, ze straszliwym bólem z tyłu głowy. Wiedziałem, że krwawię i... Ja naprawdę nie wiem, jak to się stało!

–Już ty to wiesz, już ty to dobrze wiesz! – Judith Haynes przepchnęła się przed nas. Zmiana, jaka nastąpiła na jej twarzy, była zaskakująca i choć poranny występ naszej gwiazdy nieco mnie przygotował na coś takiego, a obecny grymas różnił się od tego, który wykrzywił jej twarz tamtym razem, wyglądała niemal przerażająco szpetnie. Krwistoczerwona szrama ust zniknęła, ściągnięte wargi odsłoniły nagie zęby, zielone oczy zmieniły się w wąskie szparki, a skóra na policzkach, podobnie jak tego ranka, ściągnęła jej się tak, jakby lada chwila miała pęknąć. Jej głos przeszedł w histeryczny wrzask. – Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz! Chciałeś się zemścić, co? Ty bydlaku, coś zrobił z moim mężem?! Pytam cię, słyszysz?! Pytam cię, coś zrobił z moim mężem?! Ty draniu! Gdzie on jest? Gdzie go porzuciłeś?!

Allen spojrzał na nią przerażony i oszołomiony, po czym potrząsnął z wysiłkiem głową.

–Bardzo mi przykro, panno Haynes, ale nie wiem, o czym... Judith Haynes rozczapierzyła palce jak szpony i rzuciła mu się do twarzy z długimi paznokciami, ale ja byłem szybszy. A także Goin i Conrad. Najpierw wrywała się niczym schwytyany w sidła żbik, zasypując Allena stekiem wyzwisk, potem nagle zwiotczała nam w rękach, dysząc spazmatycznie, ze świstem i chrapliwie.

–No już, no już, Judith... – uspokajał ją Otto. – Nie ma...

–Nie wyjeżdżaj do mnie z żadnym „no już”, ty głupi, stary bydlaku! – Szacunek dla rodziców widocznie nie stał w cenie u naszej Judith, ale Otto, choć wyraźnie zdenerwowany, przełknął zniewagę córki, jakby był to dla niego chleb powszedni. – Może byś tak lepiej sprawdził, co ta świnka zrobiła mojemu mężowi! No, czego stoisz? Czego jeszcze stoisz?! – Znów zaczęła się z nami szarpać, by wyswobodzić ręce, a ponieważ wrywała się do tyłu, puściliśmy ją. Złapała latarkę i podbiegła do drzwi.

–Zatrzymajcie ją – powiedziałem.

Heyter i Jungbeck, dwa duże chłopcy, zastąpili jej drogę.

–Puśćcie mnie, puśćcie! – krzyknęła przeraźliwie. Heyter i Jungbeck nie ruszyli się z miejsca, więc rzuciła się do mnie. – Za kogo się pan... Chcę wyjść na dwór szukać

Michaela!

–Bardzo mi przykro, panno Haynes – odparłem. – W tym stanie nie będzie pani nikogo szukać. Biegałaby pani bez celu, nikt nie wiedziałby gdzie, i w ciągu pięciu minut pani także by się zgubiła, a być może nawet zaginęła na dobre. Zaraz wychodzimy.

Zrobiła szybko trzy kroki w kierunku Ottona, ponownie zacisnęła pięści i obnażyła zęby.

–I ty pozwalasz mu tak mną pomiatać? – spytała, rzucając mi przy tym spojrzenie, od którego powinienem paść trupem na miejscu. – Ty mięczaku! Ty cholerny mięczaku! Każdy, kto chce, może ci narobić na głowę! – Otto zamrugał nerwowo, ale nic nie powiedział. – Do diabła, przecież podobno jestem twoją córką! A ty podobno jesteś tutaj szefem! Na miłość boską, kto tu rządzi? Ty czy Marlowe?

–Naturalnie pani ojciec – odezwał się Goin. – Ale, nie uwłaczając w niczym doktorowi Marlowe, nie po to się kupuje psa, żeby samemu szczekać. Doktor Marlowe jest lekarzem i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie brali pod uwagę jego lekarskich opinii.

–Czy to ma sugerować, że ja się nadaję do leczenia?! – Cała krew odpłynęła jej z twarzy, czyniąc ją jeszcze brzydszą niż przedtem. – Tak? To właśnie ma to znaczyć? Może psychiatrycznego?!

Bóg mi świadkiem, że wcale nie miałbym Goinowi za złe, gdyby prosto z mostu odpowiedział „tak” i uciął tym sprawę, ale Goin był na to człowiekiem zbyt zrównoważonym, miał w sobie za dużo z dyplomaty, a poza tym bez wątplenia radził sobie już z niejednym takim kryzysem. Spokojnie, lecz bez zbytniej pobłażliwości odparł:

–Niczego takiego nie sugeruję. To oczywiste, że jest pani zrozpaczona, oczywiste, że jest pani zdenerwowana, w końcu to pani mąż zaginął. Ale zgadzam się z doktorem Marlowe, że nie pani powinna go szukać. Jeśli zgodzi się pani z nami współdziałać, sprowadzimy go tu znacznie szybciej.

Zawahała się, nadal balansując między wybuchem hysterii i atakiem szału, po czym nagle okręciła się na pięcie i odeszła pod ścianę. Zakleiałem Allenowi ranę na głowie i powiedziałem:

–To musi starczyć, dopóki nie wrócę. Potem trzeba będzie zgolić parę loków i założyć szwy. – W drodze do drzwi przystanąłem i szepnąłem Goinowi na ucho: – Trzymajcie ją z dala od Allena, dobrze?

Goin skinął głową.

–I, na miłość boską, trzymajcie ją z dala od Mary kochanie! Spojrzał na mnie z miną, którą przy jego kamiennym opanowaniu należało chyba wziąć za wyraz osłupienia.

–Od tego dziecka?

–Od tego dziecka. Ona jest następna na liście panny Haynes. To znaczy będzie, kiedy panna Haynes choć chwilę się nad tym zastanowi.

Opuściłem barak w towarzystwie tej samej czwórki co przedtem. Conrad, wychodzący jako ostatni, zamknął za sobą drzwi i jęknął:

–Rany boskie! Moja czarująca partnerka. Ten babsztyl to istny tajfun!

–Panna Haynes jest nieco zdenerwowana – odparłem słodko.

–Nieco zdenerwowana?! Boże wszechmogący, zrządź, abym był na innym kontynencie, kiedy ona wpadnie w prawdziwy szal! Jak pan myśli, co się mogło stać z tym Strykerem?

–Nie mam pojęcia – odparłem, a ponieważ panowała zupełna ciemność, nie musiałem robić miny stosownej do treści tych słów. Przysunąłem się bliżej do niego, żeby pozostali, rozstawieni już tyralierą do poszukiwań, nie mogli mnie usłyszeć. – Stanowimy zbiorowisko takich dziwaków, że nie weźmie pan chyba za złe jeszcze jednemu dziwakowi dość dziwacznej prośby.

–Pańskie słowa, doktorze, są dla mnie przykrym rozczarowaniem. Do tej pory byłem pewien, że pan i ja należymy do grona bardzo tu nielicznych na wpół normalnych.

–Przy zastosowaniu kryterium przeciętnej grupowej każdy umiarkowany dziwak jest tu człowiekiem zupełnie normalnym. Czy wie pan coś na temat przeszłości Lonniego?

–To on ma jakąś przeszłość? – spytał po chwili milczenia.

–Wszyscy mamy jakąś przeszłość. Jeśli chodzi panu o przeszłość kryminalną, to nie, takiej przeszłości Lonnie nie ma. Chciałbym się po prostu dowiedzieć, czy był żonaty i czy ma jakąś rodzinę. To wszystko.

–Dlaczego sam pan go o to nie zapyta?

–Czy gdybym uważał, że mogę to zrobić, prosiłbym o to pana? Znowu chwila milczenia.

–Pan się naprawdę nazywa Marlowe, doktorze?

–Naprawdę i nigdy nie nazywałem się inaczej. Christopher Marlowe. Paszport,

metryka, prawo jazdy – wszystkie te dokumenty są co do tego zgodne.

–Christopher Marlowe? Tak jak ten dramaturg?

–Moi rodzice mieli literackie ciągoty.

–Ach tak... – Kolejne milczenie. – Przypomina pan sobie, jaki los spotkał pańskiego imiennika? Został zadźgany przez przyjaciela ciosem w plecy, nim dobił trzydziestki.

–Spokojnie, dni, kiedy ja dobieżałem trzydziestki, dawno już odeszły w pomrokę dziejów.

–I naprawdę jest pan lekarzem?

–Naprawdę.

–A oprócz tego czymś tam jeszcze?

–Owszem.

–Lonnie. Stan cywilny. Dzieci lub ich brak. Może pan liczyć na moją dyskrecję.

–Dzięki.

Rozłączyliśmy się i ruszyliśmy za pozostałymi. Posuwaliśmy się na północ, a to z dwóch powodów: przy tym kierunku wiatr – a co za tym idzie, śnieg – zacinał nam w plecy, więc łatwiej było prowadzić poszukiwania; z tego też kierunku wytoczył się przedtem na nas Allen. Wbrew wszelkim zapewnieniom Allena, że kompletnie nie pamięta, co się stało, wydawało mi się dość prawdopodobne, że Strykera znajdziemy gdzieś w tej właśnie stronie. Okazało się, że miałem rację.

–Tutaj! Tutaj! – Pomimo tłumiącego działania śniegu krzyk Hendriksa zabrzmiał ostro i przenikliwie. – Znalazłem go, znalazłem!

Znalazł go rzeczywiście. Michael Stryker leżał twarzą w śniegu, z rękami i nogami niemal idealnie symetrycznie rozrzuconymi na boki. Obie dłonie miał zaciśnięte w pięści. Na śniegu obok jego lewego ramienia leżał gładki podłużny kamień, który z uwagi na wielkość – musiał ważyć co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt funtów – kwalifikował się chyba lepiej do miana niewielkiego głazu. Pochyliłem się nad tym kamieniem, przyświeciłem sobie z bliska latarką i natychmiast dostrzegłem kilka ciemnych włosów sterczących z ciemnej zaskorupiałej plamy. Dowód, gdyby potrzebne były dowody, ale i bez tego byłem zupełnie pewien, że tym właśnie narzędziem rozbito czaszkę Strykera. Śmierć musiała nastąpić natychmiast.

–On nie żyje! – zawołał z niedowierzaniem Jungbeck.

–Zgadza się – odparłem.

–Zamordowany!

–To też się zgadza. – Spróbowałem odwrócić Strykera na plecy, ale musiał mnie wesprzeć zarówno Conrad, jak i Jungbeck, a żaden nie należał do cherlaków. Miał paskudnie rozdartą aż do nosa wargę, wybity ząb oraz dziwnie czerwoną, otwartą ranę na prawej skroni.

–Wielki Boże, musieli stoczyć prawdziwą walkę – powiedział ochrypłym głosem Jungbeck. – Nigdy bym nie pomyślał, że ten dzieciak Allen może być zdolny do czegoś takiego.

–Ja też – odparłem.

–Allen? – spytał Conrad. – Dałbym głowę, że on mówił prawdę. Czy możliwe... czy to możliwe, żeby kiedy to robił, cierpiał na chwilową amnezję?

–Kiedy się oberwie porządnie w głowę, można robić różne dziwne rzeczy – mruknąłem. Obejrzałem ziemię wokół martwego Strykera: kilka śladów stóp, niezbyt dużo, przysypanych już śniegiem i niewyraźnych; nie na wiele mogły mi się przydać. – Trzeba go stąd zabrać.

Zanieśliśmy martwego mężczyznę do obozu i pomimo nierównego terenu i zacinającej nam w twarze śnieżycy nie okazało się to wcale tak trudne, jak przypuszczaliśmy, a to z tego samego powodu, dla którego tak trudno było mi go przewrócić na plecy: ciało zaczynało już sztywnieć, jednak nie na skutek stężenia pośmiertnego, na to było jeszcze za wcześnie, lecz na skutek przenikliwego mrozu. Położyliśmy go na śniegu przed głównym barakiem.

–Niech pan wejdzie do środka i poprosi Goina o butelkę brandy – poleciłem Hendriksowi. – Niech pan powie, że to ja pana przysyłam, bo bez tego zamarzlibyśmy na kość. – Był to ostatni sposób na rozgrzanie się na silnym mrozie, jaki bym komukolwiek zalecał, ale w owej chwili nic innego nie przyszło mi do głowy. – I niech pan go dyskretnie tu wyciągnie.

Goin musiał się chyba zorientować, że coś jest nie tak, bo wyszedł od razu, choć powoli, jakby od niechcenia, i spokojnie zamknął za sobą drzwi. Ale na widok Strykera, jego zmasakrowanej, sinobladej twarzy, bielejącej w mroku w ostrym świetle kilku latarek niczym trupia czaszka, cały jego spokój prysł jak mydlana bańka. W odbitym – od śniegu blasku latarek także jego twarz widać było zupełnie wyraźnie, pojawił się na niej wyraz absolutnego szoku, ale mogła to być gra, i odpłynęła mu z niej cała krew, czyniąc go niemal równie upiornie bladym jak Stryker – tego już zagrać nie mógł.

–Jezus Maria! – szepnął. – Nie żyje?

Zamiast odpowiedzi odwróciłem zmarłego na brzuch, znów przy pomocy Conrada i Jungbecka. Tym razem okazało się to jeszcze trudniejsze. Goin wydał jakiś dziwny gardłowy odgłos, ale poza tym nie dostrzegłem żadnej innej reakcji; przypuszczam, że nie był już w stanie w żaden sposób reagować. Po prostu stał i patrzył nieruchomym spojrzeniem, jak gnany wiatrem śnieg zasklepia litościwie potworną ranę na potylicy zabitego i zasypuje mu kurtkę. Staliśmy tak w milczeniu, wpatrując się w martwego Strykera, aż zaczęło mi się wydawać, że trwa to całą wieczność. Czuję niemal podświadomie, że wiatr, zmieniający się już na południo-południowo-zachodni, przybiera na sile, bo gęstniejący śnieg siekł teraz już prawie zupełnie poziomo; nie wiem, jaka była temperatura, ale musiała dochodzić do trzydziestu stopni poniżej zera. Równie niejasno czuję, że trzęsę się z zimna. Rozejrzawszy się wokół stwierdziłem, że nie ja jeden. Oddech zamarzał nam w zetknięciu z lodowatym powietrzem, a wiatr wyrywał go z ust, nim para zdążyła się uformować w obłok.

–Wypadek? – spytał przez zaciśnięte zęby Goin. – Czy to mógł być wypadek?

–Nie – odparłem. – Widziałem kamień, którym rozbito mu czaszkę. – Z gardła Goina dobył się ten sam dziwny odgłos, a ja ciągnąłem dalej: – Nie możemy zostawić go tutaj i nie możemy go wnieść do środka. Proponuję położyć go w baraku, w którym stoi traktor.

–Oczywiście, oczywiście – odparł machinalnie Goin. Chyba wcale nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle coś mówi.

–A kto powiadomi pannę Haynes? – spytałem. Bóg jeden wiedział, jak bardzo się do tego nie kwapiłem.

–Słucham? – Wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku. – Co pan powiedział?

–Jego żona. Ktoś musi ją o tym zawiadomić. – Przypuszczam, że jako lekarz to właśnie ja powinienem był to zrobić, ale wszystko rozstrzygnęło się bez mojego udziału. Drzwi baraku otworzyły się z impetem i w smudze światła stanęła w nich Judith Haynes ze swymi dwoma spanielami, a tuż za jej plecami zamajaczyły sylwetki Ottona i Hrabiego. Zastygła w bezruchu, oparta rozpostartymi rękami o framugę drzwi, po czym zaczęła iść przed siebie, jakby we śnie, i pochyliła się nad swym mężem. Po chwili wyprostowała się, rozejrzała wokół z czymś na kształt zdumienia, odnalazła mnie i rzuciła mi pytające spojrzenie, ale trwało to ledwie moment – oczy umknęły jej do góry, okręciła się wokół własnej osi i, nim ktokolwiek zdążył ją złapać, osunęła się bezwładnie na zwłoki Strykera.

We dwóch z Conradem wnieśliśmy ją do środka i położyliśmy na łóżku polowym, jeszcze tak niedawno zajmowanym przez Smithy'ego. Goin szedł za nami, siłą

powstrzymując wyrywające się do swej pani cocker – spaniele. Twarz miała alabastrowobiałą, oddech płytki i nierówny. Uniosłem jej prawą powiekę i nie wyczułem kciukiem oporu. Był to z mojej strony zwykły odruch, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby to omdlenie pozorować. W tym momencie uświadomiłem sobie, że tuż obok stoi Otto: z otwartymi szeroko oczami, na wpół rozdziawionymi ustami, dłońmi splecionymi z taką siłą, że spod skóry przeświecały kremowobiałe kłykcie.

–Co jej się stało? – spytał z drzeniem w głosie. – Czy ona...

–Zemdlała – odparłem. – Zaraz się ocknie.

–Sole trzeźwiące – powiedział. – Może...

–Nie, nie trzeba. – Wcale nie chciałem przyśpieszać jej powrotu do gorzkiej rzeczywistości.

–A Michael? Mój zięć? Czy on... to znaczy...

–Przecież go pan widział – odparłem niemal w irytacją. – Nie żyje, oczywiście nie żyje.

–Ale jak... jak to się...

–Został zamordowany.

Kilku osobom bezwiednie wyrwały się okrzyki, kilka zachłysnęło się raptownie wciągającym powietrzem, po czym zapadła martwa cisza, w miarę upływu sekund coraz dobitniej podkreślana sykiem naftowych lamp. Nie zawracałem sobie głowy podnoszeniem wzroku, żeby sprawdzić reakcje poszczególnych osób, zdążyłem już się bowiem przekonać, że niczego w ten sposób się nie dowiem. Patrzyłem na nieprzytomną kobietę i zupełnie nie wiedziałem, co myśleć. Stryker, bezwzględny, wytworny, cyniczny Stryker, na swój własny sposób panicznie bał się tej kobiety. Co mogło być tego powodem? Czy władza, jaką dysponowała, jako córka Ottona, i płynąca stąd świadomość, że wszystkie jego środki egzystencji całkowicie zależą od jej nieobliczalnych kaprysów – a trudno mi było wyobrazić sobie kogoś, kto ulegałby bardziej nieobliczalnym zachciankom niż Judith Haynes? Czy może jej patologiczna zazdrość, co do której istnienia nie miałem żadnych wątpliwości, prowadząca do natychmiastowych wybuchów wściekłości, wedle powszechnej opinii przybierających pełną gamę form, od jedynie irracjonalnych do wprost obłąkańczych? Czy też może trzymała mu nad głową miecz jakiegoś odrażającego szantażu, który jednym ciosem mógł go rzucić na kolana? Czy Stryker, mimo wszystko, na swój sposób kochał żonę, wierzył beznadziejnie, że odwzajemni ona mu to uczucie i gotów był znieść każde upokorzenie, każdą zniewagę licząc, że jednak uda mu się to osiągnąć, choćby w części? Nigdy nie miałem się tego dowiedzieć, ale były to i tak rozważania czysto

akademickie, bo Stryker już nic mnie nie obchodził. Skupiłem się na nich tylko dlatego, że ciekaw byłem, czy nie mogłyby one w jakiś sposób wyjaśnić zupełnie nieoczekiwanej reakcji Judith Haynes na widok martwego męża. Pogardzała nim, musiała nim pogardzać za pełną zależność od niej, za słabość, za potulne przełykanie wszelkich zniewag, za zdradzenie się przede mną ze strachu, za to, że pod tą jego imponująco męską maską kryła się tylko pustka i nicość. Ale czy go jednocześnie kochała, czy kochała go za to, czym był kiedyś lub czym mógłby być, czy też może po prostu rozpaczała po stracie ulubionego chłopca do bicia, jedyne go człowieka na tym świecie, o którym wiedziała, że może zupełnie bezkarnie wyładowywać na nim swe najbardziej nieznośne humory, i to zawsze, kiedy przyjdzie jej na to ochota? Mogła sobie zupełnie nie zdawać sprawy, że stał się integralną, nieodzowną częścią jej życia, podstępnie wplecioną skazą w osnowę jej egzystencji, zawsze pod ręką, zawsze na każde skinienie, zawsze gotów zaspokoić każdą potrzebę, gdy tego najbardziej potrzebowała, nawet jeśli potrzeba ta sprowadzała się do tego, by chłonał szary, żrący jad, drażący nieustannie zakamarki jej mózgu. Nawet najbardziej utyłany w błocie filar może podtrzymywać zmurszały gmach; wystarczy go usunąć i cały gmach legnie w gruzach. Wstrząs, jaki wywołała w niej śmierć Strykera, mógł być – paradoksalnie – ostatecznym dowodem jej bezgranicznego i nieodwracalnego egoizmu; nie uświadomionym jeszcze uświadomieniem, że jest najbardziej godnym litości ze wszystkich stworzeń – człowiekiem całkowicie samotnym.

Judith Haynes poruszyła się i zamrugła powiekami. Pamięć powróciła, przez całe jej ciało przebiegł silny dreszcz. Pomogłem jej usiąść. Rozejrzała się błędnie wokół siebie.

–Gdzie on jest? – Musiałem wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć.

–Wszystko w porządku, panno Haynes – powiedziałem i żeby jakoś zatuszować to fatalne sformułowanie, dodałem: – My się nim zajmiemy.

–Gdzie on jest? To jest mój mąż, mój mąż... Chcę go zobaczyć.

–Lepiej nie, panno Haynes. – Goin potrafił być zaskakująco delikatny. – Tak jak mówi doktor Marlowe, my się wszystkim zajmiemy. Widziała go już pani i nic dobrego...

–Przynieście go, przynieście go tutaj. – W jej głosie brak było życia, ale wola pozostała nietknięta. – Muszę go jeszcze raz zobaczyć.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Hrabia zastąpił mi drogę. Na jego rasowej, arystokratycznej twarzy malowała się mieszanka odrazy i przerażenia.

–Nie może pan tego zrobić. To by było upiorne... makabryczne...

–Myśli pan, że ja tak nie uważam? – spytałem doprowadzony do pasji, ale w moim głosie nie było tego słyhać. Jedyne, co w nim było słyhać, to ogromne zmęczenie. – Jeśli go nie przyniosę, to ona znów wyjdzie na dwór. A to nie jest noc na bieganie po dworze.

Przynieśliśmy go w tę samą trójkę: Conrad, Jungbeck i ja, i położyliśmy na plecach, żeby nie było widać tej strasznej rany na potylicy. Judith Haynes podniosła się z polowego łóżka, podeszła krokiem lunatyczki i opadła na kolana. Przyglądała się długą chwilę w zupełnym bezruchu, a potem wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała go po policzku. Nikt nie odezwał się ani słowem, nikt nie ruszył się z miejsca. Nie bez wysiłku przyciągnęła mu prawą rękę do boku i chciała to samo zrobić z lewą, gdy ujrzała, że jego dłoń jest nadal zaciśnięta w pięść, więc delikatnie ją rozwarła.

W otwartej dłoni leżał mały, brązowy, okrągły przedmiot. Wzięła go w dwa palce, położyła na swej własnej dłoni, wyprostowała się i – nadal na kolanach – odwróciła powoli w naszą stronę, by go nam pokazać. W następnej chwili tą samą wyciągniętą ręką wskazała na Allena. Wszyscy spojrzeli na jego kurtkę i wiszące przy niej jeszcze guziki.

Brązowy skórzany guzik na dłoni Judith Haynes był dokładnie taki sam.

Rozdział 9

Nie wiem, jak długo trwała ta cisza, cisza, którą syk lamp i zawodzenie wiatru tylko pogłębiały i czyniły zupełnie nie do zniesienia. Pewnie co najmniej dziesięć sekund, choć każda z tych sekund zdawała się ciągnąć niemal bez końca. Nikt się nie poruszył, nic nawet nie drgnęło. Allen utkwiał zafascynowane i nie pojmujące spojrzenie w guziku na dłoni Judith Haynes, a wszyscy pozostali nie odrywali wzroku od Allena.

Judith Haynes pierwsza się otrząsnęła. Podniosła się z kolan bardzo powoli, jakby wymagało to niesłychanego wysiłku zarówno mięśni, jak i umysłu, i stała tak przez chwilę ni to oszołomiona, ni to nie wiedząc, co ze sobą począć. Wydawała się zrezygnowana i zupełnie spokojna, a ponieważ reakcja ta absolutnie mi do niej nie pasowała, rzuciłem okiem ponad jej ramieniem i napotkałem spojrzenia Smithy'ego i Conrada. Conrad przymknął porozumiewawczo oczy, a Smithy przeniósł spojrzenie na Judith Haynes, tak że kiedy zaczęła się oddalać od ciała swego męża z wyraźnym zamiarem podejścia do Allena, obaj jak na komendę przysunęli się do siebie, zastępując jej drogę. Judith Haynes przystanęła, spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

–To zupełnie zbyteczne – zapewniła. Rzuciła guzik Allenowi, a ten odruchowo go złapał. Podniósł na otwartej dłoni, popatrzył nań z oszołomieniem, po czym przeniósł wzrok na Judith Haynes, która znowu się uśmiechnęła. – Przecież będzie panu potrzebny, prawda? – powiedziała i ruszyła w stronę swojego pokoju.

Odetchnąłem z ulgą i usłyszałem, jak pozostali powoli robią to samo. Przeniosłem spojrzenie z Judith Haynes na Allena – i to był błąd. Za szybko pozwoliłem sobie na osłabienie czujności, mimo iż przeczucie podpowiadało mi, że ten pozorny spokój i bolesna rezygnacja zupełnie do Judith nie pasują. Złożyłem to jednak na karb głębokiego szoku, jaki właśnie przeżyła.

–To ty go zabiłaś, ty go zabiłaś! – Krzyk przeszedł w obłąkańczy wrzask, równie obłąkańczy jak niepohamowana furia, z jaką Judith Haynes rzuciła się na Mary kochanie. Przerażona Mary cofnęła się o krok, potknęła się i runęła na podłogę, a Judith Haynes już siedziała na niej okrakiem, wbijając w co popadnie paznokcie rozczapierzonych rąk. – Dziwka! Kurwa! Ściera! Morderczyni! To ty go zabiłaś! To ty zabiłaś mego męża! Ty, ty, ty...! – Zanosząc się od szlochu i opętańczego wrzasku opluwała najgorszymi inwektywami przerażoną i sparaliżowaną strachem Mary kochanie. Strąciła jej wielkie okulary, jedną rękę wbiła we włosy, a drugą sięgała już do oczu, kiedy Smithy i Conrad wreszcie zdążyli jej dopaść. Obaj byli wysokimi, silnymi mężczyznami, ale Judith Haynes walczyła jak wściekła tygrysyca, w czym wiernie wspomagały ją wcale nie mniej rozhisteryzowane psy. Potrwało ładne parę sekund, nim zdołali oderwać ją od Mary, ale nawet wtedy nie puściła zaciśniętych w dłoni włosów. Wczepiła się w niej z siłą, jaką może dać tylko przyływ prawdziwego

szaleństwa. Smithy brutalnie i bez wahaniarozwarł jej pięść, gniotąc nadgarstek, aż zawyła z bólu. Oderwali ją od podłogi, a ona nadal zanosila się histerycznym krzykiem, nie próbując już nawet formułować słów. Wydawała z siebie tylko przeraźliwy, świdrujący wrzask niczym jakieś konające w męczarniach zwierzę. Nagle wrzask ten umilkł, nogi się pod nią ugięły i Smithy z Conradem położyli ją na podłodze.

–Akt drugi? – Conrad spojrzal na mnie. Dyszał ciężko, był bardzo blady.

–Nie, tym razem nie grała. Czy mogliby panowie przenieść ją do pokoju? – Spojrzałem na wstrząśniętą i zapłakaną Mary kochanie, ale moja pomoc nie była jej natychmiast potrzebna. Allen, zapomniawszy o swych własnych obrażeniach, klęczał już przy niej, pomógł jej usiąść i nie najczystsza chusteczką do nosa ocierał trzy głębokie i brzydkie zadrapania biegnące wzdłuż całego lewego policzka. Poszedłem do siebie, przygotowałem strzykawkę i udałem się do pokoiku Judith Haynes. Smithy i Conrad wartowali czujnie przy jej łóżku w towarzystwie Ottona, Hrabiego i Goina. Ujrawszy strzykawkę, Otto chwycił mnie za rękę.

–Czy to... czy to dla mojej córki? Co pan chce jej zrobić? Już po wszystkim... Wielki Boże, człowieku, przecież pan widzi, że straciła przytomność!

–I dołożę wszelkich starań, żeby szybko jej nie odzyskała – odparłem. – Nie wcześniej niż za wiele, wiele godzin. Tak będzie lepiej dla niej, i dla nas wszystkich. Bardzo mi żal pańskiej córki, przeżyła ogromny wstrząs, ale na to już nic się nie da poradzić. Jako lekarz mogę tylko starać się jak najskuteczniej przeciwdziałać stanowi, w jakim się obecnie znajduje, a szczerze mówiąc jest to wyraźny i silny rozstrój nerwowy, wysoce moim zdaniem niebezpieczny. Jeśli mi pan \$e wierzy, to niech pan jeszcze raz rzuci okiem na Mary kochanie. Otto nadal się wahał, ale Goin, wcielenie chłodnego rozsądku, przyszedł mi z pomocą:

–Doktor Marlowe ma absolutną rację, Otto, to dla jej własnego dobra. Po takim wstrząsie długi odpoczynek może tylko pomóc. Trudno o lepsze lekarstwo.

Wcale nie byłem tego taki pewien, wolałbym jej zaaplikować kaftan bezpieczeństwa. Ale skinieniem głowy podziękowałem Goinowi, zrobiłem zastrzyk, pomogłem ją wepchnąć do zapinanego na suwak śpiwora, dopilnowałem, żeby przyrzuciono odpowiednio wieloma kocami, i dopiero wtedy wyszedłem. Psy zabrałem ze sobą i umieściłem w swoim własnym pokoju. Kiedy podaję komuś silny środek nasenny, nie bardzo lubię zostawiać go w towarzystwie zwierząt, zwłaszcza wybitnie nerwowych.

Allen posadził już Mary kochanie na ławce, ale nadal ocierał jej policzek tą samą chusteczką. Przeszła płakać, pociągała jeszcze tylko nosem, i poza zadrapaniami wcale nie wyglądała na ofiarę niedawnego koszmarnego przejścia. Lonnie stał kilka stóp od niej i potrzasał ze smutkiem głową.

–Biedactwo, biedactwo – mrucał. – Biedna dziewczyna.

–Wszystko będzie dobrze – powiedziałem. – Jeśli nie spartaczę za bardzo roboty, po tych zadrapaniach nie zostanie nawet blizna. – Spojrzałem na ciało Strykera i uznałem, że nie ma pilniejszej sprawy niż przeniesienie go do baraku pojazdów. Poza Lonniem i Allenem nikt nie odrywał od niego wzroku i choć nie zawsze co z oczu to i z myśli, usunięcie tych zmasakrowanych zwłok powinno jednak Wpłynąć na podniesienie morale.

–Nie miałem na myśli Mary – powiedział Lonnie i znów skupiłem na nim uwagę. – Mówiłem o Judith Haynes. Biedna, Samotna dziewczyna. – Przyjrzałem mu się uważniej, ale powinienem był go już poznać na tyle, żeby wiedzieć, że nie potrafił ani grać, ani zdobyć się na żadną dwulicowość. Na jego twarzy malował się dokładnie ten sam smutek, który słychać było w jego głosie.

–Pan mnie nie przestaje zaskakiwać, Lonnie – powiedziałem. Zapaliłem prymus, nastawiłem wodę i dopiero wtedy podszedłem do Strykera. Smithy z Conradem już czekali, wszelkie słowa okazały się zbędne. Lonnie uparł się, że pójdzie z nami otwierać drzwi i trzymać latarkę. Zostawiliśmy Strykera w szopie obok traktora i wróciliśmy do głównego baraku. Smithy i Conrad weszli do środka, ale Lonnie nie zdradzał zamiaru pójścia w ich ślady. Przystanął przed budynkiem jakby w głębokim zamyśleniu, nie zwracając żadnej uwagi na wiatr tak już porywisty, że trzeba było się mocno pochylać, na gęstniejącą śnieżną zadymkę, coraz bardziej przypominającą śnieżną burzę, na siarczysty i wciąż wzmagający się mróz.

–Chyba zostanę tu chwilę – powiedział. – Nic tak nie rozjaśnia w głowie jak odrobina świeżego powietrza.

–Fakt. – Wziąłem od niego latarkę i snopem światła wskazałem najbliższą szopę. – Tam, po lewej od wejścia. Jeśli intendentura Olympus Productions poczyniła jakieś oszczędności na naszych zapasach, to na pewno nie na napojach alkoholowych.

–Drogi chłopcze, sam osobiście nadzorowałem magazynowanie. – Odebrał mi latarkę i zacisnął ją pewnie w dłoni.

–I żadnego zamka, o którym by warto mówić – dodałem.

–A cóż, gdyby i był? Otto dałby mi klucz.

–Otto dałby panu klucz? – powtórzyłem ostrożnie.

–Ależ oczywiście. Czy ma pan mnie za zawodowego kasjarza, który chodzi obwieszony pękami wytrychów? Kto, pana zdaniem, dał mi klucz do barku w saloniku „Róży Poranka”?

–Otto go panu dał? – spytałem nad wyraz inteligentnie.

–Pewnie.

–A czym to go pan szantażuje, Lonnie?

–Otto to bardzo, bardzo dobry człowiek – powiedział najpoważniej w świecie. – Chyba już to panu mówiłem, prawda?

–Musiałem zapomnieć.

Popatrzyłem za nim w zamyśleniu, jak brnie z determinacją przez głęboki śnieg w stronę magazynku żywności, po czym wszedłem do głównego baraku. Teraz, kiedy ciało Strykera zostało usunięte, uwaga większości zgromadzonych w nim osób przeniosła się na Allena, który musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo nie obejmował już Mary ramieniem, choć nadal przecierał jej policzek chusteczką. Conrad, chyba już nieco bardziej niż trochę zadurzony w Mary Stuart, gdyż przez ostatnie dwa dni polował na jej towarzystwo gdzie i jak się dało, siedział obok niej i rozcierał jej rękę – pewnie skarżyła się na temperaturę, która w dalszym ciągu wynosiła niewiele stopni powyżej zera. Choć do niczego go nie zachęcała i uśmiechała się z zawstydzeniem, to jednak nie było jej to niemiłe w tym stopniu, żeby urządzić z tego powodu brewerie. Otto, Goin, Hrabia i Divine stali przy jednym z pieców, pogrążeni w cichej naradzie. Divine, co mnie wcale nie zdziwiło, nie brał w niej udziału w charakterze rozmówcy, ale barmana opiekującego się kieliszkami i butelkami pod czujnym okiem Gerrana. Otto przywołał mnie skinieniem ręki.

–Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy – powiedział – bardzo nam się przyda coś na wzmocnienie. – Już samo to, że Otto tak hojnie szafował trunkami z prywatnych zapasów, dostatecznie jasno wskazywało, jak bardzo jest wstrząśnięty. – To da nam chwilę na zastanowienie, co z nim zrobić.

–Z kim?

–Jak to z kim? Z Allenem, oczywiście.

–Aaa... No cóż, bardzo mi przykro, panowie, ale musicie mnie zwolnić zarówno z drinka, jak i udziału w naradzie. – Ruchem głowy wskazałem Allena i Mary kochanie, którzy obserwowali nas z wyraźnym niepokojem. – Muszę wziąć się do nożyc i plastra. Przepraszam na chwilę.

Zdjąłem z prymusa wrzącą już teraz wodę, zaniósłem ją do swego pokoju, przykryłem rozchwiany podręczny stolik kawałkiem białego płótna, rozłożyłem na nim narzędzia, miseczkę i wszystkie medykamenty, których mogłem potrzebować, po czym wróciłem do głównej sali baraku i podszedłem do Conrada i Mary Stuart. Jak wszyscy pozostali, rozsypani teraz maleńkimi grupkami po całej sali, rozmawiali tak

cicho, że był to już właściwie szept. Może mieli sobie do powiedzenia coś nie przeznaczonego dla obcych uszu, a może ciążyła im obecność śmierci – trudno było rozstrzygnąć. Conrad masował teraz pracowicie drugą rękę Mary Stuart, a że była to jej ręka lewa, czyli odleglejsza, wywnioskowałem, że nie musiał o to toczyć boju. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie zaskoczyło.

–Przepraszam, że przeszkadzam w udzielaniu pierwszej pomocy – powiedziałem – ale muszę trochę oporządzić Allena. Pomyślałem, że może Mary droga mogłaby w tym czasie zająć się Mary kochanie.

–Mary droga? – zdziwił się Conrad.

–Dla odróżnienia od Mary kochanie – wyjaśniłem. – Tak właśnie ją nazywam w czasie długich samotnych godzin naszego Wspólnego nocnego czuwania. – Uśmiechnęła się nieznacznie, ale nic»e powiedziała.

–Mary droga – powtórzył z uznaniem Conrad. – Podoba mi się. Czy mogę tak panią nazywać?

–Nie wiem – odparła z poważną miną. – Może podlega to ochronie prawa autorskiego.

–Dam panu zgodę na korzystanie z patentu – powiedziałem. – . Tylko niech pan uważa, bo zawsze ją mogę cofnąć. O czym tu radzicie takim konspiracyjnym szeptem?

–Ano właśnie – odparł Conrad. – Ciekaw jestem pańskiego zdania, doktorze. Ten kamień, a właściwie głaz, którym zabito Strykera... Według mnie musiał ważyć koło siedemdziesięciu funtów, prawda?

–Też tak sądzę.

–Spytałem Mary, czy mogłaby podnieść taki kamień nad głowę, a ona odparła, żebym nie był śmieszny.

–Jeśli Mary nie jest ciężarowcem wagi ciężkiej w przebraniu, to rzeczywiście był pan nieco śmieszny. Oczywiście nie mogłaby tego zrobić. A o co chodzi?

–No, niech pan sam na nią spojrzysz... – Wskazał ruchem głowy drugą Mary. – Sama skóra i kości, skóra i kości. Jak...

–Dobrze, że Allen tego nie słyszy.

–Wie pan, co mam na myśli. Taki kawał skały. Judith Haynes nazwała ją morderczynią. No dobra, zgoda, była na dworze, szukała go razem ze wszystkimi, ale

jak, na miłość boską...

–Moim zdaniem panna Haynes mówiła w przenośni – powiedziałem i zostawiłem ich samych. Skinąłem na Allena, po czym zwróciłem się do siedzącego opodal Smithy’ego: – Potrzebny mi instrumentariusz. Da pan sobie radę?

–Jasne. – Wstał. – Wszystko lepsze od rozmyślania o kapitanie Imrie i raporcie, który pewnie właśnie w tej chwili na mnie gryzmoli.

Z twarzą Allena nie mogłem zrobić nic, z czym Matka Natura nie poradziłaby sobie lepiej, więc skupiłem się na głębokim rozcięciu na głowie. Zamroziłem je, wygoliłem dookoła włosy i kiwnąłem na Smithy’ego, żeby się nachylił zobaczyć. Nachylił się i otworzył szeroko oczy, ale nic nie powiedział. Założyłem na ranę osiem szwów i przykryłem ją opatrunkiem. Przez cały ten czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Allen musiał zwrócić na to uwagę.

–Nie ma pan mi zbyt wiele do powiedzenia, doktorze – odezwał się w pewnej chwili.

–Dobry rzemieślnik nie gada przy robocie.

–Myśli pan tak samo jak cała reszta, prawda?

–Nie wiem. Nie wiem, co myśli cała reszta. No, starczy. Jeśli zaczesze pan włosy do tyłu, nikt się nie dowie, że pan przedwcześnie wyłysiał.

–Dziękuję. – Odwrócił się, spojrzał mi w oczy, zawahał się i spytał: – Wszystko świadczy przeciwko mnie, prawda?

–Lekarz ma w tej kwestii nieco odmienne zdanie.

–Chce... chce pan powiedzieć, że pan tak nie myśli?!

–Tu nie ma co myśleć, ja to wiem. Niech pan posłucha, miał pan w sumie, co tu ukrywać, dość paskudny dzień, dostało się panu bardziej, niż pan sobie z tego zdaje sprawę, i kiedy znieczulenie puści, nieźle pana poboli. Pański pokój jest przez ścianę, prawda?

–Tak, ale...

–Niech pan się położy na kilka godzin.

–Dobrze, ale...

–I przyślę panu Mary, jak tylko ją opatrzę.

Miał zamiar dodać coś jeszcze, ale rozmyślił się, skinął ciężko głową i wyszedł.

–To było paskudne – powiedział Smithy. – To znaczy, ta jego rana. Oberwał, jak się patrzy.

–Może mówić o szczęściu, że ma całą czaszkę. A o jeszcze większym, że nawet nie doznał wstrząsu mózgu.

–Ano, ano... – Smithy zamyślił się na chwilę. – Wie pan, nie jestem lekarzem i brak mi tej elokwencji, ale czy nie zmienia to niejako zasadniczo postaci rzeczy?

–Ja jestem lekarzem. Zmienia.

Pomyślał jeszcze trochę.

–Zwłaszcza po bliższym przyjrzeniu się Strykerowi?

–Zwłaszcza.

Przyprowadziłem Mary kochanie. Była blada, nadal wystraszona i sprawiała wrażenie małej zagubionej dziewczynki, ale wzięła się już w garść. Spojrzała na Smithy’ego, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zawahała się, rozmyśliła i bez słowa poddała moim zabiegom. Oczyszcziłem i zdezynfekowałem zadrapania, nałożyłem starannie opatrunek i powiedziałem:

–Przez jakiś czas będzie swędziało jak diabli, ale jeśli oprze się pani pokusie, żeby zerwać plaster, to zagoi się bez śladu.

–Dziękuję, panie doktorze, postaram się. – Wyglądała bardzo mizernie. – Czy mogę z panem zamienić kilka słów?

–Jasne. – Zerknęła na Smithy’ego, więc dodałem: – Może pani mówić swobodnie, daję słowo, że zostanie to między nami.

–Tak, tak, wiem, ale...

–Pan Gerran z własnej nieprzymuszonej woli częstuje whisky – powiedział Smithy i ruszył do drzwi. – Nigdy bym sobie nie wybaczył przegapienia okazji, która może się zdarzyć tylko raz w życiu.

Trzymała mnie za klapy marynarki, jeszcze nim zdążył zamknąć drzwi. Jej twarz zdradzała gorączkowy niepokój, w oczach czaiła się żalosna udręka. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, ile musiało ją kosztować to udawanie spokoju w obecności Smithy’ego.

–Allen tego nie zrobił! Nie zrobił tego! Jestem tego pewna, mogę na to przysiąc! Wiem, że wszystko świadczy przeciwko niemu, ta bijatyka dziś rano i teraz znowu... I

ten guzik w... w ręce pana Strykera, no i w ogóle. Ale on tego nie zrobił, sam mi to powiedział! Allen nigdy by mnie nie okłamał, on po prostu nie umie kłamać! On nie skrzywdziłby nawet muchy, a co dopiero, żeby miał kogoś zabić! Nawet muchy! I ja też tego nie zrobiłam! – Zacisnąwszy pięści z taką siłą, że skóra zbieleła jej na palcach, próbowała teraz, nie wiadomo z jakiego powodu, urwać mi klapy od marynarki, a po policzkach płynęły jej strugi łez; doświadczenia krótkiego życia wyraźnie nie przygotowały jej na takie sytuacje. Potrząsnęła z rozpaczą głową. – Nie zrobiłam tego, nie zrobiłam! A ona nazwała mnie morderczynią! Przy wszystkich ludziach! Ja nikogo nie mogłabym zabić, doktorze, ja...

–Mary... – Przerwałem ten histeryczny wybuch kładąc jej po prostu palec na ustach. – Poważnie wątpię, czy i pani mogłaby utłuc muchę i nie zamartwić się potem na śmierć. No, może gdyby to była wyjątkowo natrętna mucha, jakoś by wam się to udało. Ale głowy za to nie dam.

–Doktorze Marlowe, czy pan chce powiedzieć... – Odsunęła moją rękę i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

–Chcę powiedzieć, że jest pani głupiutką gąską. I że razem z Allenem tworzycie parę uroczych głupiutkich gęsi. Tu nie chodzi o to, że nie wierzę, by któreś z was miało cokolwiek wspólnego ze śmiercią Strykera. Ja to po prostu wiem.

–Pan jest bardzo dobrym człowiekiem, doktorze, wiem, że chce pan nam pomóc, ale... – powiedziała i pociągnęła kilka razy nosem.

–Och, niech pani nie gędzi. Ja to mogę udowodnić.

–Udowodnić? Może pan to udowodnić? – W oczach zbitego psa błysnęła iskierka nadziei. Przez sekundę nie wiedziała, czy mi wierzyć czy nie, po czym uznała chyba, że raczej nie, bo znów potrząsnęła głową i mruknęła tępo: – Ona powiedziała, że to ja go zabiłam.

–Panna Haynes mówiła w przenośni – wyjaśniłem – a to zupełnie co innego, tym bardziej że i z tą przenośnią coś jej się pomyliło. Chciała powiedzieć, że była pani katalizatorem śmierci jej męża, co oczywiście mija się z prawdą.

–Katalizatorem?

–Owszem. – Zdjąłem jej rękę z fatalnie już pomiętych klap mojej marynarki, przytrzymałem je i przywołałem na twarz minę dobrotliwego wujaszka. – Niech no mi pani powie, Mary kochanie, flirtowała pani kiedy przy księżycu z Michaeliem Strykerem?

–Ja? Czy ja...

–Mary!

–Tak. – szepnęła żałośnie. – To znaczy nie, nie!

–Oto jasna odpowiedź. Ujmijmy to w ten sposób: czy panna Haynes mogła mieć powody do podejrzeń, że tak właśnie było? To znaczy, że pani z nim flirtowała.

–Tak. – Znów pociągnęła nosem. – To znaczy nie. To on. – poczułem się nieco zbity z tropu, ale uznałem, że zdradzać się z tym nie należy, więc tylko spojrzałem na nią zachęcająco. – Zaprosił mnie do swojej kajuty zaraz pierwszego dnia po wypłynięciu z Wick. Byliśmy sami. Powiedział, że chce ze mną przedyskutować kilka spraw związanych z filmem.

–Lepsza akwarela od rylca grawera – mruknąłem.

Spojrzała na mnie nie pojmując i ciągnęła dalej:

–Ale okazało się, że wcale nie o filmie chce ze mną rozmawiać. Musi mi pan uwierzyć, doktorze! Musi pan!

–Wierzę pani.

–Zamknął drzwi, chwycił mnie i...

–Niech pani oszczędzi niewinnemu starcowi przerażających szczegółów. Kiedy ten łajdak narzucił pani swe względy, z korytarza dobiegł odgłos lekkich kobiecych kroków, na co łajdak natychmiast przybrał taką pozę, jakby to pani siłą narzucała mu swe względy. Kiedy drzwi stanęły otworem, a w nich nikt inny, tylko oczywiście jego połowica, jakież to widok przedstawił się jej oczom? Oto jej cnotliwy małżonek ogania się jak może przed zakusami rozwiązałej sekretarki planu wołając: „Nie, nie, Nanette, opanuj się, to być nie może” albo coś w tym rodzaju.

–Mniej więcej. – Wyglądała jeszcze żałośniej niż przedtem, lecz nagle zrobiła wielkie oczy. – Skąd pan wie?

–Świat roi się od panów Strykerów. Scena, która potem nastąpiła, musiała być rozdzierająca.

–Były dwie sceny – odparła drewnianym głosem. – Coś w tym rodzaju odbyło się wieczorem na pokładzie. Zagroziła mi, że powie o wszystkim ojcu, to znaczy panu Gerranowi. A on, Stryker – oczywiście nie przy niej – że jeśli będę próbowała robić kłopoty, to załatwi, żeby mnie wyrzucili z pracy. A wie pan, on był dyrektorem. Później, kiedy... hm... zaprzyjaźniłam się z Allenem, powiedział, że wyrzuci nas oboje i dopilnuje, żebyśmy już nigdy nie dostali pracy w filmie. Allen nie mógł się z tym pogodzić, mówił, że nie powinniśmy tego tolerować, skoro żadne z nas nic nie

zrobiło, więc...

–Więc próbował wytłumaczyć Strykerowi niesłuszność takiego postępowania i w nagrodę za swe trudy dostał po głowie. No, broda do góry, nie ma powodu do zmartwień. Znajdzie pani swego rannego błędnego rycerza w pokoju obok. – Uśmiechnąłem się do niej i pogłaskałem ją delikatnie po opuchniętym policzku. – Ależ go czeka widok. Ta wyśniona, wymarzona i cała w przylepcu. Kocha go pani, prawda?

–Oczywiście. – Spojrzała na mnie z namaszczeniem. – Doktorze Marlowe...

–Jestem cudowny?

Uśmiechnęła się, niemal szczęśliwa, i wybiegła z pokoju. Smithy musiał wyglądać jej wyjścia, bo zjawił się prawie natychmiast. Powtórzyłem mu pokrótce treść rozmowy z Mary.

–Jasne, tak właśnie musiało być – skomentował. – Prawda zawsze wydaje się oczywista, kiedy powiesz ją człowiekowi przed samym nosem i jeszcze dadzą w łeb czymś ciężkim, żeby dobrze patrzył. I co teraz?

–Teraz chyba trzy rzeczy. Po pierwsze, trzeba oczyścić z podejrzeń te zakochane gołąbki. Nie jest to może najpilniejsze, ale bardzo wrażliwe z nich stworzenia i pewnie ciężko by odchorowali, gdyby reszta towarzystwa się do nich nie odzywała. Po drugie, nie mam zamiaru być tu uziemiony przez następne dwadzieścia dwa dni. Dwa o wiele bardziej by mi odpowiadały. Kto wie, może uda mi się sprowokować tego osobnika czy tych osobników do podjęcia jakichś pochopnych a nie przemyślanych działań.

–Wydawało mi się, takich działań mieliśmy ostatnio aż nadto – mruknął Smithy.

–Tu może pan mieć rację. Po trzecie, gdyby wszyscy nieustannie pilnowali jeden drugiego, nam dwóm żyłoby się znacznie łatwiej i bezpieczniej. Ogromnie utrudniłoby to także osobom źle nam życzącym zaskoczenie nas gdzieś zniecka.

–Dotknął pan mojego bardzo czułego miejsca – odparł Smithy. – Wprowadzamy pański plan w życie, i to natychmiast. Pogawędka z całym towarzystwem?

–Pogawędka z całym towarzystwem. Zaleciłem Allenowi kilka godzin w łóżku, ale wydaje mi się, że on i Mary powinni być przy tym obecni. Zechce pan ich zawiadomić?

Smithy wyszedł, a ja udałem się do głównej sali baraku. Goin, Otto i Hrabia, uzbrojeni w szklaneczki, podobnie zresztą jak niemal wszyscy pozostali, prowadzili nadal przyciszonymi głosami poważną naradę. Otto przywołał mnie skinieniem ręki.

–Za chwilę – powiedziałem i wyszedłem na dwór. Zakrztusiłem mroźnym powietrzem, które wdarło mi się do płuc, odzyskałem oddech i szarpany porywami śnieżycy zacząłem mozolnie brnąć do magazynku żywności. Lonnie siedział na jakiejś skrzyni, badając pod światło latarki bursztynową zawartość swojej szklaneczki. W jego oku malowała się miłosna ekstaza.

–No, proszę! – zawołał. – Nasz uzdrowiciel wędrowniczek. Wie pan, przy spożywaniu tak szlachetnego wina...

–Wino?

–Mówię metaforycznie. Przy spożywaniu tak szlachetnej szkockiej połowę przyjemności dostarczają receptory wzrokowe. Próbował pan kiedyś pić po ciemku? Nędzne, zatęchłe, dziwnie pozbawione bukietu. Jestem pewien, że warto by poświęcić temu małą monografię. – Machnął szklaneczką w stronę skrzyń z butelkami pod ścianą. – Słuchając moich wcześniejszych napomknien o życiu pozagrobowym, gdy snulem rozważania, czy na Wyspie Niedźwiedziej mogą istnieć bary, na pewno...

–Lonnie – przerwałem mu łagodnie – traci pan okazję do skorzystania z niepojętej rozrzutności pana Gerrana. W tej właśnie chwili Otto częstuje bardzo szlachetnym winem. I leje je w bardzo pojemne szklanice.

–Właśnie wychodziłem. – Przechylił głowę i kilkoma łykami opróżnił swoją szklaneczkę. – Nęka mnie niepokój, by nie uznano mnie za mizantropa.

Zabrałem tego przyjaciela całego rodzaju ludzkiego do głównego baraku i policzyłem obecnych. Razem ze mną było dwadzieścia jeden osób, tyle, ile powinno. Dwudziesta druga i ostatnia, Judith Haynes, spała głębokim snem, z którego miała się zbudzić dopiero za wiele, wiele godzin. Otto przywołał mnie po raz drugi i tym razem podszedłem.

–Odbywaliśmy właśnie coś w rodzaju narady wojennej – powiedział poważnym tonem. – Poczyniliśmy pewne uzgodnienia i radzi byśmy zapoznać się z pańską opinią.

–Dlaczego akurat moją? Jestem zwykłym pracownikiem jak cała reszta tu obecnych, poza oczywiście panami trzema i panną Haynes.

–Może się pan uważać za dokooptowanego do składu dyrekcji – odparł Hrabia. – Przejściowo, oczywiście, i bez wynagrodzenia.

–Pańska opinia zostanie odpowiednio wyceniona – dorzucił konkretnie Goin.

–Opinia o czym?

–O środkach, jakie naszym zdaniem należy zastosować wobec Allena – odparł Otto.
– Wiem, że zgodnie z prawem każdego człowieka należy uważać za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy. W żadnym wypadku nie chcielibyśmy także postąpić nieludzko. Ale już choćby wymogi naszego własnego bezpieczeństwa...

–Właśnie o tym chciałem porozmawiać – przerwałem mu dość bezceremonialnie. – O ochronie naszego bezpieczeństwa. Ze wszystkimi tu obecnymi. Co więcej, chciałbym to zrobić zaraz.

–To znaczy, co konkretnie? – Otto potrafił niezwykle groźnie marszczyć brwi, kiedy mu na tym zależało.

–Wygłosić kilka słów – odparłem. – Zajmę państwu dosłownie chwilę.

–Absolutnie nie mogę na to pozwolić – powiedział wyniośle. – W każdym razie, dopóki nie zdradzi nam pan choćby w zarysie, o co panu chodzi. Wówczas być może wyrazimy zgodę, choć wcale nie jest to powiedziane.

–To, czy pan wyrazi swoją zgodę czy nie, jest zupełnie bez znaczenia – odparłem obojętnym tonem. – Nie potrzebuję niczych pozwoleń, żeby powiedzieć o czymś, co może mieć wpływ na ludzkie życie... Wie pan, żeby trwało, a nie przestało trwać...

–Zabraniam, stanowczo zabraniam. Teraz ja chciałbym przypomnieć panu o tym, o czym ledwie przed chwilą pan przypomniał mnie. – Otto zapomniał, że rozmowy na delikatne tematy należy prowadzić konspiracyjnym szeptem, toteż znaleźliśmy się w ogólnym centrum uwagi. – Jest pan moim pracownikiem, drogi panie!

–I właśnie wypełnię ostatni obowiązek posłusznego pracownika. – Nalałem sobie szkockiej whisky Gerrana, uznałem bowiem, że skoro piją ją niemal wszyscy, niczym mi to nie grozi. – Zdrowie wszystkich i każdego z osobna – powiedziałem – a nie mówię tego ot, tak sobie, ani w charakterze tradycyjnego toastu. Nim opuścimy tę wyspę, to życzenie przyda się nam wszystkim. I każdemu radzę trzymać kciuki, żeby to nie od niego odwróciło się szczęście. Co do mojej pracy, Gerran, może pan uważać, że składam z niej wymówienie ze skutkiem natychmiastowym. Nie uśmiecha mi się pracować dla głupców, a co ważniejsze, nie uśmiecha mi się pracować dla ludzi, którzy być może są także łajdakami.

Wywarło to przynajmniej taki skutek, że zmusiło Ottona do milczenia, bo sądząc po odcieniu indygo, w jaki przyoblekła się jego twarz, musiał mieć kłopoty ze złapaniem oddechu. W oczach Hrabiego dostrzegłem błysk zaciekawienia, Goin natomiast zachował obojętną minę kogoś, kto powstrzymuje się od wyrażenia własnego sądu. Rozejrzałem się po sali.

–Wiem, że mogą to państwo uznać za odkrywanie Ameryki – zacząłem – lecz mimo to powiem, że jak do tej pory, tę naszą wyprawę prześladowuje wyjątkowy pech.

Zupełnie, jakby wszystko się przeciwko nam sprzysięgło. Byliśmy świadkami kilku tragicznych i niezwykle dziwnych zdarzeń. Najpierw zmarł Antonio. Mógł to być po prostu nieszczęśliwy wypadek, ale równie dobrze Antonio mógł paść ofiarą morderstwa z premedytacją lub fatalnym dla siebie zbiegiem okoliczności zostać przez omyłkę ofiarą próby zgładzenia kogoś zupełnie innego. To samo odnosi się do obu stewardów, Moxena i Scota, a także pana Gerrana, pana Smitha, Oakleya i Cecila: może padli ofiarą prób morderstwa, a może nie. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że gdybym szczęśliwym trafem nie znajdował się pod ręką, co najmniej trzech zapewne już by nie żyło. Mogą się państwo zastanawiać, dlaczego robię tyle zamieszania wokół czegoś, co mogło być zwykłym, choć groźnym, zbiorowym zatruciem pokarmowym. Otóż mam powody przypuszczać, nie będąc jednocześnie w stanie niczego udowodnić, że do naszego wieczornego posiłku dodano wybiórczo truciznę, występującą w korzeniu pewnej rośliny, niezwykle podobnym do korzenia chrzanu, zabójczą trucizną zwaną akonityną.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy obecni w sali słuchają mnie z należytą uwagą, ale okazało się, że nigdy w życiu nie sprawdzałem niczego równie niepotrzebnie. Osłupieli do tego stopnia, że nie byli nawet w stanie wymieniać między sobą spojrzeń. Niecodzienna w końcu trunkowa hojność Ottona poszła w zapomnienie, widzieli tylko mnie, słuchali tylko mnie – wyśniony raj każdego uniwersyteckiego wykładowcy. Prawdą wszakże jest i to, że uniwersyteccy wykładowcy rzadko miewają wątpliwe szczęście rozwodzenia się na tematy tak bardzo frapujące, jak ten, który właśnie poruszyłem.

–Potem nastąpiło niezwykle tajemnicze zniknięcie Hallidaya. Jestem zupełnie pewien, że gdyby można było przeprowadzić sekcję zwłok, przyczynę jego śmierci dałoby się ustalić ponad wszelką wątpliwość. Niestety nigdy to nie będzie możliwe, albowiem jestem równie pewien, że nieszczęsny Halliday spoczywa gdzieś na dnie Morza Barentsa. Sądzę jednak – ale znów jest to tylko przypuszczenie – że Halliday nie umarł na skutek zatrucia pokarmowego, lecz z powodu wypicia zatrutej whisky, która była przeznaczona dla mnie. – Spojrzałem na Mary Stuart: okrągłe oczy, rozdziawione usta w kredowobiałej twarzy, ale poza mną nikt tego nie dostrzegł.

Odchyliłem kołnierz swojej kurtki i zademonstrowałem im siniak aa szyi; zarówno jego wielkość, jak i gama barw, jaką się mienił, robiły spore wrażenie.

–Rzecz jasna, mogłem to sobie zrobić sam. Mogłem też po prostu pośliznąć się, upaść i w coś wyrznąć. Albo weźmy tę dziwną sprawę z rozbitym nadajnikiem. To także mogła być po prostu manifestacja czyjejś nieprzezwyciężonej awersji do nadajników, czy też może szerzej – do tego, co nazywamy postępowaniem. Albo może Arktyka dojadła komuś do tego stopnia, że musiał się na czymś wyładować. Taki odpowiednik ataku pustynnego szału.

Jak do tej pory wyłącznie same przypuszczenia. Niezwykła seria gwałtownych i

tragicznych wypadków, a co jeszcze niezwyklejsze, nie mających ze sobą absolutnie żadnego związku. Ktoś mógłby utrzymywać, że w końcu wypadki się zdarzają. Zgoda, ale nie wtedy, kiedy zdarza ich się tyle. Taki zbieg zbiegów okoliczności każdy musi uznać za zupełnie nieprawdopodobny. Przyznają państwo chyba, że gdyby choć w jednym przypadku udało się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że była to starannie zaplanowana i równie starannie zrealizowana zbrodnia, to także pozostałe gwałtowne zajścia należałoby przestać uważać za przypadkowe i uznać za to, czym były w istocie, a mianowicie za morderstwa z zimną krwią dokonane z powodów, których na obecnym etapie nie sposób się nawet domyślać, lecz które dla ich sprawcy muszą mieć niesłychane znaczenie.

Niczego nie przyznali, a nawet jeśli, to w cichości ducha i nie dali temu słownego wyrazu, podejrzewam jednak, że raczej po prostu ich umysły przestały na chwilę zupełnie funkcjonować. Ale nie wszystkich. Był wśród nich ktoś, może nawet kilka osób, czyj umysł funkcjonował nadal, i to na najwyższych obrotach.

Otóż mamy taki przypadek, przypadek niepodważalnej zbrodni – ciągnąłem dalej. – Mówię o niezdarnym zamordowaniu Michaela Strykera, połączonym z dość nieporadną próbą wrobienia w to Allena. Nie sądzę, żeby morderca żywił jakąś szczególną niechęć właśnie do Allena; w każdym razie nie większą niż ta, którą zdaje się żywić do pierwszego lepszego przedstawiciela rodzaju ludzkiego. Sądzę, że chodziło mu wyłącznie o odwrócenie podejrzeń od swojej własnej osoby. Myślę, że gdyby państwo mieli czas dobrze się nad tym zastanowić, sami doszlibyście do wniosku, że Allen nie mógł mieć z tym morderstwem absolutnie nic wspólnego. Jako że na sali był lekarz, ta sztuczka mogła mu się udać jedynie w wypadku, gdyby – jeśli wybaczą mi państwo tę przenośnię – całe kino poszło z dymem.

Allen mówi, że nie pamięta, co się stało. Całkowicie mu wierzę. Otrzymał potężny cios w potylicę – rana sięga do samej kości. W jaki sposób uniknął urazu czaszki, a tym bardziej wstrząsu mózgu, trudno mi pojąć. Po tym ciosie z całą pewnością musiał stracić przytomność, i to na dość długo. Co każe wnioskować, że po tym *coup de grace* napastnik zachował znakomitą kondycję. Czy mamy przypuszczać, że po odzyskaniu przytomności Allen, oszołomiony, ledwie trzymający się na nogach, natychmiast zdołał pokonać swego silnego i sprawnego wroga? To zupełnie nieprawdopodobne. Wydaje się natomiast prawdopodobne i jedynie logiczne, że odbyło się to w następujący sposób: nieznanemu napastnikowi podkradł się z tyłu do Allena, ogłuszył go jakimś ciężkim i twardym przedmiotem – zapewne kamieniem, jest ich tu wszędzie bez liku. Następnie pociął mu twarz, poszarpał kurtkę i oderwał kilka guzików, a wszystko po to, żeby przekonująco upozorować walkę.

Dokładnie to samo, lecz tym razem ze śmiertelnym skutkiem, spotkało Strykera. Jestem przekonany, że nie przypadkiem Allen został jedynie ogłuszony, gdy tymczasem Stryker zabity. Nasz przyjaciel, który musi być w tej dziedzinie fachowcem niezłej klasy, dokładnie wiedział, z jaką siłą zadać każdy z tych ciosów,

co wcale nie jest tak prostą sprawą, jak mogłoby się wydawać. Następnie, próbując niezdarnie stworzyć wrażenie, że to Stryker był tym drugim uczestnikiem bójki z Allenem, zmasakrował Strykerowi twarz dokładnie tak samo, jak to przedtem zrobił Allenowi. Państwu już zostawiam ocenę tego, jakim złem musi być przesiąknięty ktoś, kto z zimną krwią pastwi się nad człowiekiem, który już nie żyje.

Zostawiłem im chwilę czasu na dokonanie tej oceny, ale na większości twarzy nie dostrzegłem ani odrazy, ani potępienia. Wciąż jeszcze nie otrząsnęli się z pierwszego szoku, wciąż jeszcze nie dopuszczali do siebie tego, co rozum nakazywał im przyjąć. Nikt nie wymieniał z nikim spojrzeń, wszystkie oczy pozostały utkwione we mnie, nie widzieli niczego poza mną.

–Stryker miał rozdartą górną wargę, wybity ząb i czerwonawy ślad po uderzeniu w skroń zadany, moim zdaniem, także jakimś kamieniem. Zresztą chyba wszystkie rany morderca zadał mu w podobny sposób w obawie, by samemu nie odnieść obrażeń rąk, palców czy pięści, obrażeń, które natychmiast by go zdradziły. Gdyby Stryker odniósł te rany w trakcie bójki, wystąpiłoby silne krwawienie i rozległe wylewy podskórne. Niczego takiego nie ma, bo w chwili, kiedy mu je zadawano, Stryker już nie żył i krążenie krwi ustało. Na koniec morderca zrobił coś, co w jego mniemaniu miało dostarczyć koronnego dowodu przeciwko Allenowi, a mianowicie zacisnął w dłoni zabitego guzik urwany z kurtki Allena. Nawiasem mówiąc, nigdzie w okolicy nie było śladu zdeptanego i stratowanego śniegu, czego można by się spodziewać w miejscu zażartej walki na śmierć i życie. Do miejsca, gdzie leżał Stryker, prowadziły ślady dwóch par nóg, odchodziły stamtąd ślady jednej pary – żadnej bieżaniny, żadnej szamotaniny. Strykera wyprawiono na tamten świat szybko, sprawnie, choć może niezupełnie w białych rękawiczkach. – Pociągnąłem szkockiej Gerrana. Musiała pochodzić z jego prywatnych zapasów, bo był to znakomity trunek. – Czy mają państwo jakieś pytania? – spytałem z miną wieloletniego wykładowcy.

Jak należało się tego spodziewać, nie mieli. Aż nazbyt wyraźnie zaprzątnięci byli stawianiem pytań samym sobie, żeby mieć czas zadawać je mnie.

–Sądzę zatem, że zgodzą się państwo ze mną – podjąłem po chwili – że w świetle tej ostatniej zbrodni wydaje się niezwykle nieprawdopodobne, by w poprzednich czterech wypadkach śmierć była wynikiem czystego zbiegu okoliczności. Uważam, że tylko ktoś niezwykle łatwowierny i naiwny gotów byłby uwierzyć, że wypadki te nie pozostają ze sobą w żadnym związku i nie są dziełem tego samego sprawcy. Cóż z tego wszystkiego wynika? Otóż to, że mamy przed sobą wielokrotnego mordercę. Albo obłąkanego, albo patologicznego maniaka, albo jakiegoś potwora, który na pozór morduje kogo popadnie, lecz właśnie tylko na pozór, gdyż morderstwa te musi uważać za nieodzowny środek do realizacji swoich celów, Bóg jeden raczy wiedzieć jak obmierzłych. Może być i tak, że człowiek ten jest tym wszystkim naraz. Bez względu jednak na to, czym jest i kto nim jest, znajduje się w tej chwili w tym pomieszczeniu. Ciekawe, który to z was?

Po raz pierwszy oderwali wzrok ode mnie i obrzucili się nawzajem ukradkowymi spojrzeniami, jakby w nedorzecznej nadziei, że w ten sposób uda im się ustalić tożsamość mordercy. Żadne z nich nie przyglądało się jednak nikomu innemu tak uważnie, jak ja obserwowałem ich wszystkich znad swojej szklaneczki: gdyby choć jedna para oczu pozostała utkwiona we mnie, mogłoby to jedynie oznaczać, że jej właściciel wie, kto jest mordercą, i może sobie darować rozglądanie się wokół. Ale obserwując ich czułem jednocześnie, że nie mam żadnych sensownych podstaw, by na to liczyć. Morderca mógł wykazywać braki w fizjologii, ale był zbyt sprytny, by wpaść w pułapkę, która inteligentnemu facetowi z pięcioma ludźmi na sumieniu musiała się wydać niezwykle prymitywna. Byłem pewien, że nie napotkam ani jednej pary oczu nie rozglądającej się ukradkiem po zgromadzonych w sali. Odczekałem cierpliwie, aż znów całą swą zbiorową uwagę skupią na mnie.

–Nie mam pojęcia, kto może być tym maniakałnym mordercą. – podjąłem – ale wiem na pewno, kto nim nie jest. Wliczając w to nieobecną pannę Haynes, jest nas tu razem dwadzieścia dwoje. Z tej liczby, moim zdaniem, dziewięć osób pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami.

–Boże litościwy! – wymamrotał Goin. – Boże litościwy! To potworne, doktorze Marlowe, nie do uwierzenia. Ktoś z nas, ktoś, kogo wszyscy dobrze znamy, ktoś, z kim się przyjaźnimy, ma mieć ręce splamione krwią pięciu ludzi?! To niemożliwe! To po prostu niemożliwe!

–Niestety, jednak sam pan dobrze wie, że to prawda – osadziłem go w miejscu. Nic nie odpowiedział. – Zacznijmy od tego, że ja jestem czysty, nie dlatego, że tak twierdzę – każdy mógłby twierdzić coś podobnego – lecz dlatego, że dwukrotnie nastawano na moją osobę, z tego raz z zamiarem pozbawienia mnie życia. Co więcej, w czasie kiedy Stryker został zabity, a Allen ranny, ja niosłem tu pana Smitha. – To ostatnie było prawdą, choć nie do końca, ale wiedzieć o tym mógł tylko sam morderca, a ponieważ i tak miał już na mnie oko, jego zdanie nie miało znaczenia, gdyż żadną miarą nie mógł go wypowiedzieć. – Pan Smith jest czysty nie tylko dlatego, że w tym czasie był nieprzytomny, lecz także z tego powodu, że w wyniku działań truciciela omal nie pożegnał się z tym światem, a wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, żeby próbował otruć samego siebie.

–W takim razie i ja odpadam, doktorze! – zawołał łamiącym się od napięcia falsetem Książę. – To nie ja, ja nie mogłem...

–Zgoda, Cecilu, to nie pan. Oprócz tego, że pan także padł ofiarą zatrucia, nie wydaje mi się... Hm, nie chciałbym pana urazić, ale nie wydaje mi się, żeby zdołał pan udźwignąć kamień, którym zabito Strykera. Także pan Gerran jest poza wszelkimi podejrzeniami: nie tylko otrzymał dawkę trucizny, ale w czasie, kiedy zginął Stryker, nie ruszał się na krok z tego baraku. Allen, rzecz jasna, nie mógł mieć z tym nic wspólnego, podobnie zresztą jak pan Goin, choć w jego przypadku muszą mi

państwo uwierzyć na słowo.

–Co to ma znaczyć, doktorze Marlowe? – spytał Goin. Znakomicie panował nad swoim głosem.

–Kiedy zobaczył pan zwłoki Strykera, zbladł pan jak ściana. Ludzie potrafią robić ze swym ciałem wiele różnych rzeczy, nie potrafią jednak na zawołanie zwiększać lub zmniejszać ukrwienia skóry. Gdyby był pan przygotowany na ten widok, krew nie odpłynęłaby panu z twarzy. Tymczasem panu odpłynęła, i to praktycznie cała. A zatem nie był pan na ten widok przygotowany. Nasze dwie Mary musimy wyłączyć z kręgu podejrzanych, gdyż jest fizyczną niemożliwością, żeby któraś z nich zdołała zadać Strykerowi taki cios kamieniem. Panna Haynes także oczywiście nie wchodzi w rachubę. Według moich obliczeń redukuje to liczbę podejrzanych do trzynastu osób. – Przesunąłem spojrzeniem po zebranych i policzyłem. – Zgadza się, trzynaście. Miejmy nadzieję, że dla jednego z was ta liczba okaże się feralna.

–Doktorze Marlowe – odezwał się Goin – proszę jeszcze raz rozważyć, czy nie mógłby pan wycofać swego wymówienia.

–Rozważam i wycofuję. I tak zaczynałem się już zastanawiać, gdzie będę mieszkał i co będę jadł. – Spojrzałem na swoją pustą już szklaneczkę, a następnie na Ottona. – Skoro, że się tak wyrażę, wróciłem do szeregów, może nie złamałbym regulaminu, gdybym...

–Oczywiście, oczywiście... – Otto opadł ze zdruzgotaną miną na najbliższy stółek, zrzędzeniem opatrności bardzo solidny, i jeśli dwa cetnary słoniny mogą wyglądać jak przekłuty balon, to Otto właśnie tak wyglądał. – Wielki Boże, to potworne! Mamy wśród siebie mordercę! Jeden z nas zabił pięciu ludzi! – Wzdrygnął się gwałtownie, choć do tego czasu temperatura zdążyła już się podnieść sporo powyżej zera. – Pięciu ludzi. Zamordowanych! A sprawca jest wśród nas!

Zapaliłem papierosa i pociągnąłem łyk szkockiej oczekując, że jeszcze ktoś wniesie swój wkład w rozmowę. Na dworze wiatr wciąż przybierał na sile, aż jego świst przeszedł w przeraźliwe, samotne wycie, od którego ciarki chodziły po grzbiecie. Wycie to przemierzało regularnie całą skalę dźwięków, by w najwyższych rejestrach zmienić się w niesamowity i upiorny gwizd. Wszyscy zdawali się zasłuchani w napięciu w tę monotonną litanie za dusze zmarłych, przedziwnie współbrzmiającą z nastrojem przerażenia osaczającego powoli ich umysły, w to niezwykle stosowne requiem dla Strykera. Sekundy wlokły się jedna za drugą, aż upłynęła cała minuta, a nikt nie odezwał się ani słowem. Nie pozostało mi nic innego jak ponownie wziąć ciężar prowadzenia rozmowy na swoje barki.

–Płynące stąd wnioski nie mogą ujść państwa uwagi – powiedziałem – a już na pewno by jej nie uszły, gdyby wszyscy mieli tyleż samo czasu na ich wyciągnięcie co

ja. Stryker nie żyje, tak jak i tamci pozostali. Komu mogłoby zależeć na ich śmierci? Dlaczego musieli umrzeć?. Czy te zbrodnie mają jakiś cel, jakąś przyczynę? Czy też mamy wśród siebie psychopatycznego zabójcę? Jeśli mają cel, to czy został on już osiągnięty? Jeśli nie lub jeśli to robota maniaka, kto z nas będzie następny? Kto zginie dzisiejszej nocy? Kto z nas odważy udać się do swego pokoju, wiedząc, że w każdej chwili może tam ktoś wejść, ktoś, kto okaże się obłąkanym psychopatą? A może nawet, bo i to możliwe, jego własny współlokator czeka na odpowiedni moment, by zadźgać go nożem lub udusić poduszką. Szczerze mówiąc, to ostatnie wydaje mi się nawet o wiele bardziej prawdopodobne, bo kto przy zdrowych zmysłach poważiłby się na tak ewidentną zbrodnię jak zamordowanie swego własnego współlokatora? Czekają nas zatem, że tak to ujmę, całonocne czuwanie. Jedną noc uda nam się zapewne przetrzymać bez trudu, ale dwadzieścia dwie? Czy można czuwać bezsennie dwadzieścia dwie noce z rzędu? Czy choć jedno z nas może mieć pewność, że doczeka powrotu „Róży Poranka”?

Sądząc z ich min i grobowej ciszy, jaka zapadła po tym ostatnim pytaniu, było jasne, że nikt takiej pewności nie ma. Kiedy ja sam zacząłem się nad tym zastanawiać, zrozumiałem, że problem przeżycia jest przede wszystkim i głównie moim własnym problemem, bo jeśli zabójca nie był psychopatycznym czubkiem, który uderzał, kiedy nasza go na to ochota, ale wyrachowanym mordercą, z zimną krwią zmierzającym do bardzo konkretnego celu, to było więcej niż pewne, że właśnie ja zajmuję pierwsze miejsce na jego liście. Ani przez chwilę nie uważałem, by próba pozbycia się mnie stanowiła element jego pierwotnego planu; musiał się mnie pozbyć, ale tylko dlatego, że stałem się poważnym zagrożeniem dla realizacji tych planów.

–I jak będziemy od tej chwili postępować? – spytałem. – Czy podzielimy się na dwie grupy i dziewięcioro bezsprzecznie niewinnych obchodzić będzie z dala całą resztę, łypiąc na nią bezustannie podejrzliwym okiem, choć dwunastu z tych trzynastu potencjalnych morderców niczym nie zasłużyło sobie na takie traktowanie? Czy będziemy jak oliwa i woda i stanowczo nie damy się ze sobą wymieszać? Albo weźmy jutrzejsze plany zdjęciowe. Jak mi się zdaje, pan Gerran wybiera się w góry z Hrabią: charakter bez wątpienia biały z charakterem potencjalnie czarnym. Czy pan Gerran powinien w tej sytuacji zadbać o towarzystwo co najmniej jeszcze jednego białego, by ktoś ubezpieczał mu plecy? Pan Heissman zabiera łódź i płynie w poszukiwaniu ewentualnych plenerów ku ujściu Sorhammy, a może jeszcze nieco dalej na południe. Panowie Jungbeck i Heyter zgłosili się na ochotnika, by mu towarzyszyć. Proszę zauważyć, że niewinność całej tej trójki pozostaje nie udowodniona. Każdy z nich może stać się białą owieczką u boku czarnego wilka lub wilków, którzy po powrocie ze smutkiem wyjaśnią, że biedna owieczka wypadła za burtę i pomimo zupełnie heroiczych prób ratunku z ich strony marnie szczyła. A te wspaniałe urwiska na południu wyspy... Jedno dobrze wyliczone w czasie popchnięcia, jedno zgrabne podstawienie nogi i... No cóż, tysiąc sześćset stóp to kawał drogi, zwłaszcza gdy cały czas prowadzi ona pionowo w dół. To niezwykle kłopotliwy i zawiły problem, nie

uważacie państwo?

–To absurdalne! – zawołał Otto. – Zupełnie absurdalne.

–Co pan powie?! – odpaliłem. – Szkoda, że nie możemy zasięgnąć w tej sprawie opinii Michaela Strykera. A także Antonia, Hallidaya, Moxena i Scota. Kiedy pański poblady duch wyrzy z pozaziemskich otchłani, by patrzeć, jak jego doczesną powłokę składają w dziurę wyrąbaną w zamarzniętym śniegu, czy sądzi pan, panie Gerran, że także uzna to za absurdalne?

–Na miłość boską, co my teraz zrobimy? – Otto wzdrygnął się i sięgnął po butelkę.

–Nie mam pojęcia – odparłem. – Słyszał pan, co chwilę temu powiedziałem panu Goinowi. Jestem na powrót pańskim pracownikiem. Ponieważ to nie ja zastawiłem na realizację tego filmu swą ostatnią koszulę, tylko wy – tak przynajmniej pan Goin mówił kapitanowi Imrie – obawiam się, że jest to decyzja, którą trzeba będzie podjąć na szczeblu dyrektorskim, a w każdym razie w gronie tych trzech dyrektorów, którzy są jeszcze w stanie podejmować jakiegokolwiek decyzje.

–Czy nasz pracownik nie zechciałby nam zdradzić, co przez to rozumie? – Goin próbował się uśmiechnąć, w sposób widoczny zabrakło mu do tęga serca.

–Chcecie nakręcić wszystko, co sobie zaplanowaliście, czy nie? To już zależy wyłącznie od was. Jeśli nie będziemy ruszać się na krok z tego baraku, jeśli podzielimy się na dwie czuwające na zmianę grupy, jeśli nieustannie będziemy mieć oczy i uszy szeroko otwarte, to istnieją spore szanse, że dwudziesty trzeci dzień od dzisiaj powitamy w nie zmienionym składzie. Oznaczałoby to jednak oczywiście, że nie nakręcicie ani jednej sceny tego swego filmu i że cały zainwestowany w jego realizację kapitał trzeba spisać na straty. Jest to problem, którego nikomu nie zazdrozczę. Ma pan doprawdy znakomitą whisky, panie Gerran.

–Trudno nie zauważyć, że panu smakuje. – Otto chciał to powiedzieć uszczypliwym tonem, ale w jego głosie słyhać było tylko troskę.

–Niech mi pan nie wylicza tych kilku kropel szkockiej. – Nalałem sobie jeszcze trochę. – Wszak oto stoimy w obliczu wielkiej próby. – Właściwie nie słuchałem Ottona, prawie nie słuchałem tego, co sam mówię. Już raz od wypłynięcia z Wiek, kiedy Hrabia mówił coś o przebieraniu miary w jedzeniu chrzanu, pewne słowa podziały na mnie jak przytknięcie zapalniczki do strużki prochu, wyzwalając ciąg myśli, które tłocząc się jedna za drugą przegalopowały w takim pędzie, że umysł niemal nie nadążał ich rejestrować. Teraz zdarzyło się dokładnie to samo, tyle tylko, że tym razem ten ciąg myśli wyzwoliły słowa wypowiedziane przeze mnie samego. Nagle dotarło do mnie, że Hrabia coś mówi, zapewne do mnie. – Przepraszam – powiedziałem – ale się zamyśliłem.

–To widać. – Hrabia przyglądał mi się w ten swój badawczy sposób. – Bardzo to wygodnie wymigać się od odpowiedzialności, ale czy nie zechciałby nam pan powiedzieć, co pan by zrobił na naszym miejscu? – Uśmiechnął się. – Gdybyśmy ponownie dokooptowali pana do swego składu, oczywiście i tym razem przejściowo i bez gratyfikacji?

–Nie dałbym się ponieść panice – odparłem bez namysłu, gdyż go już nie potrzebowałem. Ostatnie trzydzieści sekund zupełnie mi wystarczyły. – Rozglądałbym się czujnie dokoła i kręcił ten piekielny film.

–Otóż to, otóż to... – przytaknął Otto i wymienił zadowolone spojrzenia z Hrabią i Goinem. – Ale w tej chwili? Co pan by zrobił teraz?

–O której mamy kolację?

–Kolację? – Otto zamrugał oczami. – Chyba o ósmej.

–A teraz jest piąta. Zostały trzy godziny. W sam raz, żeby się trochę przespać. To właśnie zrobię. I nie radzę nikomu zbliżać się do mnie, czy to po aspirynę, czy z nożem w rękawie. Stwierdziłem nagle, że jestem człowiekiem niezwykle nerwowym.

Smithy odchrząknął dyskretnie.

–A czy prośba o aspirynę już teraz też grozi śmiercią lub kalectwem? Aspirynę albo coś innego, po czym dałoby się usnąć. Czuję się tak, jakby moja głowa trafiła przypadkiem na pieńek rzeźnika.

–Mogę dać panu coś, po czym za dziesięć minut będzie pan spał jak dziecko. Upprzedzam jednak, że po przebudzeniu może się pan czuć znacznie gorzej.

–To niemożliwe. Niech pan prowadzi do tych zwałających z nóg pigułek.

Kiedy znaleźliśmy się w moim pokoju, chwyciłem klamkę małego, kwadratowego okna o podwójnych szybach i otworzyłem je z pewnym wysiłkiem. – Czy może pan zrobić to samo u siebie?

–Ależ pan ma pomysły. Niestety, u mnie nie ma żadnych dróg ewakuacyjnych przed nieproszonymi gośćmi.

–Nie szkodzi. Niech pan tutaj przyniesie sobie łóżko. Może pan je pożyczyć z pokoju Judith Haynes.

–Jasne – powiedział. – Przecież tam jest jedno wolne.

Rozdział 10

Pięć minut później, okutani po uszy przed trzaskającym mrozem, zacinającym śniegiem i wiatrem, który już nie jęczał i zawodził, ale wył szarpiąc pazurami podmuchów skutą lodem powierzchnię wyspy, wyleźliśmy ze Smithym przez okno i stanęliśmy pod osłoną ściany baraku. Wziąłem kawałek papieru, złożyłem go kilka razy, wsunąłem między ramę okna i framugę i mocno je zatrzasałem. Z zewnątrz nie było oczywiście klamki, za którą można by pociągnąć i z powrotem je otworzyć, ale miałem przy sobie wieloczynnościowy szwajcarski nóż saperski, a nim można otworzyć niemal wszystko. Spojrzeliśmy na ledwie widoczną środkową część stacji, na jaskrawy blask padający z jednego z okien – lampy Colemana płoną intensywnie białym płomieniem – i na znacznie bledsze światła w oknach pokoików w sypialnych ramionach baraku.

–To nie jest noc, w którą praworządny obywatel wypuszcza się na przechadzkę dla zaczerpnięcia świeżego oddechu – powiedział mi Smithy do ucha. – A co będzie, jeśli natkniemy się na jakiegoś mniej praworządnego?

–Jeszcze za wcześnie, żeby ruszyli się z miejsca. Płomień podejrzenia buzuje na razie tak mocno, że nikt nie odważy się nawet odchrząknąć w nieodpowiednim momencie. Później – tak, ale nie teraz.

Ruszyliśmy prosto do magazynku żywności, zamknęliśmy za sobą drzwi, a ponieważ te małe baraki pozbawione były okien, włączyliśmy latarki. Przetrzęsaliśmy wszystkie worki, skrzynie, pudła i paki z żywnością i nie natrafiliśmy na nic podejrzanego.

–A czego my właściwie szukamy? – spytał Smithy.

–Żebym to ja wiedział. Czegoś, diabli wiedzą czego, co nie powinno się tu znajdować.

–Pistoletu? Wielkiej butli z puszczelami, trupa czaszką i napisem „Śmiertelna trucizna”?

–Czegoś w tym rodzaju. – Wyjąłem z pudła butelkę Haiga i wsadziłem ją do kieszeni kurtki. – Wyłącznie do celów leczniczych – wyjaśniłem.

–Ma się rozumieć. – Na pożegnanie Smithy jeszcze raz omiół latarką ściany magazynku. Znieruchomiła mu w ręku oświetlając trzy małe, błyszczące, kartonowe pudełka na górnej półce.

–W takim opakowaniu muszą być prawdziwe delicje – mruknął Smithy. – Kawior Gerrana?

–Moja rezerwowa apteczka. Głównie narzędzia. Żadnych trucizn. Gwarantuję. – Ruszyłem do drzwi. – Idziemy.

–Nie sprawdzimy?

–Nie ma po co. Maszynowego karabinu tam się nie ukryje. – Pudełka miały mniej więcej wymiary dziesięć na osiem cali.

–Ja bym sobie jednak rzucił na nie okiem. Nie ma pan nic przeciwko temu?

–Nie mam. – Zaczynałem się już trochę niecierpliwić. – Ale proszę się pośpieszyć.

Smithy otworzył pierwsze dwa pudełka, przejrzał pobieżnie ich zawartość i zamknął je bez słowa. Otworzył trzecie i powiedział:

–Widzę, że zdążył pan już naruszyć swoją rezerwę.

–Nic podobnego.

–W takim razie ktoś ją panu naruszył. – Podał mi pudełko i pokazał dwa puste wgłębienia w niebieskiej wyściółce.

–Rzeczywiście – mruknąłem. – Strzykawka i pojemnik z igłami.

–Powiem, że nie bardzo mi się to podoba. – Smithy popatrzył na mnie w milczeniu, wyjął mi z rąk pudełko, zamknął je i odstawił z powrotem na półkę.

–Dwadzieścia dwa dni to czasami prawdziwy szmat czasu – odparłem. – Żeby tylko udało nam się znaleźć to, czym ta strzykawka ma być napełniana.

–Żeby. A nie sądzi pan, że ktoś mógł to sobie pożyczyć do własnego użytku? Ktoś, kto ostro daje sobie w żyłę, a komu zła ma się igła? Na przykład jeden z Trzech Apostołów? Wszystko by się zgadzało: jeszcze prawie nastolatki, środowisko muzyków, świat filmu...

–Nie sądzę.

–Ja też. A szkoda, bo chciałbym.

Z magazynku żywności przeszliśmy do magazynku paliw. Wystarczyły nam dwie minuty, żeby stwierdzić, że nic tu po nas. Także w baraku ze sprzętem nie mieliśmy czego szukać, choć w skrzynce z narzędziami, z której korzystał Eddie przy uruchamianiu generatora znalazłem kilka potrzebnych mi rzeczy, to znaczy śrubokręt i paczkę śrub.

–Do czego to panu? – spytał Smithy.

–Do zabicia na głucho okien – odparłem. – Przez okno można nie tylko wychodzić, ale i wchodzić. Zwłaszcza kiedy lokator smacznie śpi.

–Pan nie ufa zbyt wielu ludziom, prawda?

–Boję się nad tym bardzo, ale dawno już straciłem dziewczęcą naiwność.

Nic nas nie ciągnęło, by zbyt znacznie przedłużyć swą obecność w baraku pojazdów, a już najmniej widok leżącego tam Strykera, którego twarz bielila się upiornie w świetle naszych latarek, a oczy lśniły szkliście wpatrzone niewidzącym spojrzeniem w sufit. Przerzuciliśmy szybko zawartość skrzynek z narzędziami i metalowych pojemników do transportu ładunku, posunęliśmy się nawet do wysondowania baków na paliwo, zbiorników oleju i chłodziw – wszystko bez skutku.

Wyszliśmy na dwór i ruszyliśmy na molo. Od głównego budynku stacji dzieliło je co najwyżej dwadzieścia jardów, ale straciliśmy prawie pięć minut, nim udało nam się je znaleźć. Nie odważyliśmy się korzystać z latarek, a gęsta, zacinająca śnieżycą ograniczała widoczność dosłownie do zasięgu ramienia; czuliśmy się jak dwaj ociemniali w szczelnie zaciemnionym świetle. Niezwykle ostrożnie dotarliśmy na koniec molo – śnieg zalepił i przysypał dziury w kruszącym się wapieniu, a mimo naszych grubych ubrań szansę przeżycia kąpeli w lodowatych wodach Sorhammy wydawały się nikłe – znaleźliśmy szalupę zacumowaną we w miarę zacisznym kącie od strony północno-zachodniej i zeszliśmy do niej korzystając z pionowej żelaznej drabinki, tak starej i przerdzewiałej, że zewnętrzne końce niektórych jej szczebli miały nie więcej niż ćwierć cala średnicy.

Ciemną nocą odbłask światła latarki bywa widoczny na znaczną odległość, nawet w najgęstszym śniegu, ale teraz, znalazłszy się poniżej górnej krawędzi głównej części molo, włączyliśmy je ponownie, niemniej jednak staraliśmy się je dokładnie osłaniać. Szybka rewizja szalupy nie dała żadnych wyników. Przeleźliśmy przez burtę do zacumowanej obok drugiej łodzi, ale i tu nie mieliśmy szczęścia. Stąd przenieśliśmy się z kolei do makiety łodzi podwodnej. Wzdłuż boku i całej wieżyczki miała przyspawaną metalową drabinkę.

Mniej więcej cztery stopy od szczytu wieżyczka zamknięta była grubą poziomą płytą. Umieszczony w niej właz prowadził do półkolistej platformy znajdującej się około osiemnastu cali poniżej kołnierza, do którego cała wieżyczka była mocowana. Od tego miejsca krótka drabinka wiodła już bezpośrednio na pokład. Zeszliśmy w dół i oświetliliśmy latarkami wnętrze makiety.

–Nie ma to jak łodzie podwodne – powiedział Smithy. – Przynajmniej na nich nie pada. Ale poza tym chyba nie miałbym ochoty tu osiaść na stałe.

Wąskie i ciasne wnętrze było rzeczywiście dość nieprzytulne i posępne. Podłogę

wykonano z ułożonych poprzecznie desek przymocowanych na końcach wielkimi motylkowymi nakrętkami. Przez odstępy między deskami widać było rzędy solidnie osadzonych długich, wąskich, szarych sztab. Cztery tony żeliwa służącego za balast. Po obu stronach kadłuba rozmieszczono cztery prostopadłościennymi zbiorniki balastowe, których napełnienie powinno dać ujemny wypór hydrostatyczny. Wreszcie jeden koniec kadłuba zajmował niewielki silnik dieslowski z rurą wydechową biegnącą prosto w górę, przez sufit, aż do górnej krawędzi wieżyczki, do której była przynitowana. Obok silnika stał blok kompresorów do opróżniania zbiorników balastowych. I to właściwie było wszystko. Mówiono, że cała makieta kosztowała piętnaście tysięcy funtów, skąd mogłem wyciągnąć tylko jeden wniosek: Otto musiał się oddawać ulubionej rozrywce wszystkich producentów, a mianowicie pichceniowi ksiąg rachunkowych.

W skład wyposażenia wchodziło jeszcze kilka innych urządzeń. W małym pomieszczeniu w tylnej – jak uznałem – części łodzi natrafiliśmy na cztery niewielkie kotwice grzybkowe wraz z przenośną windą kotwiczną. Właz w suficie tego pomieszczenia prowadził na górny pokład. Kotwice te mogły służyć tylko do unieruchomienia makiety w pożądanej pozycji. Tuż obok, przymocowana dla bezpieczeństwa do grodzi, stała lekka plastikowa kopia peryskopu, która chyba zupełnie realistycznie potrafiła zastępować oryginał. Niedaleko leżały trzy inne plastikowe modele: trzycalowego działka, które miało być chyba zamontowane gdzieś na pokładzie, i dwóch karabinów maszynowych, pewnie do umieszczenia w wieżyczce. W dziobowej części makiety były jeszcze dwie skrzynie: jedna zawierała sporo korkowych kamizelek ratunkowych, a druga sześć beczulek farby i kilka pędzli. Na puszkach widniał napis: „Szara błyskawiczna”.

–Co by to miało znaczyć? – spytał Smithy.

–Pewnie jakiś gatunek farby szybko schnącej.

–Wszystko jak na prawdziwym statku z bristolskiej stoczni – łknął Smithy. – Nigdy bym się tego po Ottonie nie spodziewał. – Wzdrygnął się. – Może tu i nie pada, ale chciałbym pana zawiadomić, że zmarłem na kość. Czuję się jak w żelaznym grobowcu.

–Rzeczywiście mało tu przytulnie. Na górę i wracamy.

–Mogę więc uznać, że nasze poszukiwania okazały się bezpłodne?

–Może pan. I tak nie liczyłem na zbyt wiele.

–A dlaczego właściwie zmienił pan zdanie na temat kręcenia przez nich filmu? Najpierw nic pana nie obchodzi, czy będą go kręcić czy nie, a zaraz potem radzi im pan, żeby jednak brali się do roboty. Czy może po to, żeby podczas ich nieobecności

móc swobodniej przeszukać ich pokoje i bagaże?

–Jak coś takiego mogło panu w ogóle przyjść do głowy?

–Tutaj są tysiące zasp, w których można by ukryć niemal wszystko.

–Mnie też ta myśl jest nieobca.

Droga powrotna do głównego budynku stacji okazała się znacznie łatwiejsza, tym razem prowadził nas bowiem słaby i rozproszony blask lamp Colemana. Bez większych trudności wdrapaliśmy się do naszego pokoiku, otrzepaliśmy buty i wierzchnią odzież ze śniegu i powiesiliśmy tę ostatnią w szafie. W porównaniu z temperaturą panującą wewnątrz łodzi podwodnej w baraku było cudownie ciepło. Wyjąłem śrubokręt i śruby i zabrałem się do zabezpieczania okna, gdy tymczasem Smithy, poczyniwszy kilka uwag na temat kiepskiego stanu swego zdrowia, wydobyl butelkę, którą zabrałem z magazynku żywności, i wyszperał w moim pudle z medykamentami dwie małe zlewki. Przyglądał się temu, co robię, póki nie skończyłem.

–No dobra – powiedział – w ten sposób my jesteśmy zabezpieczeni. A co z resztą?

–Większości nie grozi, moim zdaniem, zbytne niebezpieczeństwo, bo nie są zagrożeniem dla planów naszego przyjaciela czy przyjaciół.

–Większości?

–Zaśrubuję chyba także okno Judith Haynes.

–Judith Haynes?

–Mam przecucie, że właśnie jej coś grozi. Czy to poważne niebezpieczeństwo ani czy rychłe, nie mam pojęcia. Może po prostu zacznam bzikować.

–Wcale bym się nie zdziwił – odparł nieco dwuznacznie Smithy. Pociągnął w zamyśleniu łyk szkockiej. – Tak się właśnie zastanawiałem, ale nad czymś trochę innym. Kiedy według pana naszym dyrektorom przyjdzie do głowy, że należałoby wezwać przedstawicieli prawa albo jakąś pomoc, lub przynajmniej poinformować świat, że pracownicy Olympus Productions padają jeden po drugim jak muchy, i to bynajmniej nie z przyczyn naturalnych?

–Pan by podjął taką decyzję?

–Tak – Gdybym nie był przestępcą ani nie miał jakichś niezwykle ważnych powodów, by niechętnie odnosić się do myśli o obecności porządku publicznego, to owszem, taką właśnie decyzję bym podjął.

–Ja nie jestem przestępcą, ale mam właśnie bardzo ważne powody, by z niechęcią myśleć o pojawieniu się tu stróżów porządku publicznego. W chwili wkroczenia prawa wszelkie przestępcze myśli, zamiary i ewentualne działania zostaną natychmiast zawieszane, a my zostaniemy z pięcioma nie wyjaśnionymi morderstwami na głowie i na tym się to wszystko skończy, bo jak do tej pory nie mamy najmniejszego punktu zaczepienia, żeby kogoś o nie oskarżyć. Jest tylko jedno wyjście: zluźnić linkę, by ktoś się sam złapał na haczyk.

–A jeśli popuści pan za dużo i nasz przyjaciel zamiast sam się zaczepić, powiesi na nim kogoś z nas? Co będzie, jeśli zdarzy się kolejne morderstwo?

–W takim wypadku nie pozostałoby nam nic innego, jak rzeczywiście wezwać przedstawicieli prawa. Jestem tu po to, żeby jak najlepiej wykonać swoje zadanie, ale to nie znaczy, że absolutnie wszelkimi dostępnymi środkami. Nie mogę poświęcać niewinnych ludzi jak pionki na szachownicy.

–No, to przynajmniej jakaś ulga. A jeśli jednak przyjdzie im to do głowy?

–Wtedy oczywiście będziemy musieli spróbować skontaktować się z Tunheim. Na stacji meteorologicznej mają nadajnik, za pomocą którego można by się pewnie połączyć z Księżycem. Albo zaproponować, że spróbujemy. To niecałe dziesięć mil stąd, ale przy tej pogodzie Tunheim równie dobrze mogłoby leżeć na drugim krańcu Syberii. Jeśli pogoda trochę odpuści, może się to nawet okazać możliwe. Wiatr Skręca już na zachodni i jeśli się tak utrzyma, da się popłynąć łodzią wzdłuż brzegu. Byłoby to bardzo nieprzyjemne, ale do wykonania. Jeśli się nie zatrzyma i skręci dalej na północ, taka wyprawa będzie i wykluczona. To są tylko otwarte szalupy i każda większa fala je zaleje. Łądem, jeśli przestanie padać śnieg... No cóż, po prostu nie wiem. Po pierwsze teren jest tu tak górzysty, tyle tu różnych dziur i rozpadlin, mowy nie ma, żeby wykorzystać do tego nasz mały ratrak – trzeba by iść pieszo. No i zapuścić się daleko w głąb wyspy, aby ominąć masyw Grzbietu Cierpienia, bo kończy się on urwiskami na wschodnim brzegu. W tej okolicy są setki małych jezior. Nie mam pojęcia, jak głęboko zdążyły zamarznąć, może tylko na tyle, żeby utrzymać pokrywę śniegu, ale nie ciężar człowieka – o ile pamiętam, wiele z nich ma ponad sto stóp głębokości. Może przyjść brnąć w śniegu po kostki, po kolana, po uda, po pas. Ale nawet gdyby nie wciągnęło pana żadne trzęsawisko, gdyby nie utonął pan w żadnym jeziorze, to i tak brak nam ekwipunku do zimowych wypraw. Nie mamy namiotu, w którym dałoby się przenocować – a o dotarciu do Tunheim w jeden dzień nie ma nawet co marzyć – i dam głowę, że Olympus Productions nie ma nawet zwykłego ręcznego kompasu. Gdyby śnieg znów zaczął sypać, kręciłby się pan w kółko aż do śmierci z zimna, głodu albo po prostu zwykłego wyczerpania.

–Pan, pan, pan – zaproponował Smithy. – Ciągłe ja. A może tak pan by się tam wybrał? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Oczywiście zawsze mógłbym wyruszyć w drogę, poszukać sobie jakiejś wygodnej jaskini albo innego zacisznego schronienia,

zaszyć się tam na całą noc, a następnego dnia wrócić i oświadczyć, że zadanie jest nie do wykonania.

–Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. – Dopilem drinka, wziąłem śrubokręt i śruby. – Chodźmy zobaczyć, jak się czuje panna Haynes.

Panna Haynes czuła się chyba nie najgorzej. Żadnej gorączki, puls w normie, oddech głęboki i miarowy: jak się miała czuć po przebudzeniu, to zupełnie inna sprawa. Przyśrubowałem na głucho okno do futryny, tak by nikt nie mógł dostać się z zewnątrz do jej pokoju, nie wybijając przy tym szyb. A rozbicie dwóch dużych tafli szkła powinno narobić dość hałasu, żeby wyrwać z łóżek połowę mieszkańców stacji. Następnie wróciliśmy do sali ogólnej.

Zaskoczyła mnie panująca tu pustka. Brakowało co najmniej dziesięciu osób, które spodziewałem się tu zastać, ale kiedy przebiegłem szybko w myśli listę nieobecnych, stwierdziłem, że raczej nie ma powodów do niepokoju. Otto, Hrabia, Heissman i Goin, których nieobecność wyraźnie rzucała się w oko, udali się zapewne na tajną naradę, by przedyskutować sprawę najwyższej wagi nie przeznaczone dla uszu zwykłych śmiertelników. Lonnie bez wątpienia wyprawił się ponownie na poszukiwanie świeżego powietrza i miałem tylko nadzieję, że nie zabłądzi po drodze z głównego baraku do magazynku żywności. Allen na pewno poszedł się znów położyć, a Mary kochanie, w szybkim tempie pozbywająca się swoich uprzednich zahamowań, musiała powrócić do trzymania go za rączkę. Nie miałem pojęcia, gdzie mogli się podziać Trzej Apostołowie, ale też specjalnie mnie to nie zaprzętało: jeśli z ich strony mogło komuś coś grozić, to tylko trwałe uszkodzenie słuchu.

Podszedłem do Conrada królującego przy trzypalnikowym kocherze ustawionym na jednym z pieców. W dwóch dużych rondlach i czajniku perkotały już równo gulasz, fasolka i woda na kawę, a Conrad zdawał się świetnie czuć w roli kucharza, co chyba pozostawało w związku z tym, że za pomocnika miał Mary Stuart. Gdyby to był ktoś inny, pod tą radosną skwapliwością usłużenia bliźnim doszukiwałbym się mniej altruistycznych pobudek, pozy gwiazdora zgrywającego się na demokratę, bratającego się jowialnie z oczarowaną widownią, ale Conrada zdążyłem już poznać na tyle, żeby wiedzieć, że nic takiego nie leży w jego charakterze. Był z natury człowiekiem chętnie śpieszącym z pomocą i nigdy nie przyszłoby mu do głowy wynosić się nad swych kolegów aktorów. Conrad, pomyślałem, musi być niezwykle rzadkim okazem w filmowym świecie.

–A to co znowu? – spytałem. – Ma pan do tego jakiekolwiek kwalifikacje? Zdawało mi się, że Otto wyznaczył Trzech Apostołów do zmieniania się przy garach.

–Trzem Apostołem strzeliło do głowy, żeby tu, w tym miejscu, zabrać się do szlifowania techniki gry – odparł Conrad. – W samoobronie dobiłem z nimi targu. Przenieśli się z ćwiczeniem do baraku ze sprzętem, wie pan, tam gdzie stoi

generator.

Spróbowałem sobie wyobrazić kakofonię, jaka musiała powstać ze zsumowania ich atonalnych głosów, ryku wzmacniaczy i dudnienia diesla w zamkniętym pomieszczeniu o wymiarach osiem na osiem na osiem stóp, ale przerastało to moje możliwości.

–Zasłużył pan na medal – powiedziałem. – Pani też, Mary droga.

–Ja? – uśmiechnęła się. – Dlaczego ja?

–Pamięta pani, co mówiłem o łączeniu w pary białasków z czarnuszkami? Z radością widzę, że nie spuszcza pani z oka tego tu podejrzanego. Nie widziała pani, żeby ręka zawisała mu zbyt długo nad któryms z garnków?

–Wcale nie uważam, żeby to było śmieszne, doktorze Marlowe. – Uśmiech zniknął jej z twarzy.

–Ma pani rację. Niezdarnie próbowałem rozładować panującą atmosferę. – Przeniosłem wzrok na Conrada. – Czy mogę zamienić słowo z szefem kuchni?

Conrad spojrział na mnie krótko i badawczo, po czym skinął głową odwrócił się.

–To bardzo sympatyczne – powiedziała Mary Stuart. – W stosunku do mnie. Dlaczego nie może pan z nim porozmawiać tutaj?

–Mam zamiar opowiedzieć mu kilka zabawnych historyjek, pani, zdaje się, nie przepada za moim poczuciem humoru. – Odszedłem na bok z Conradem i spytałem: – Udało się już panu porozmawiać z Lonniem?

–Nie, jakoś nie było okazji. Czy to aż takie pilne?

–Chyba tak. Nie widziałem go tam, ale dałbym sobie głowę uciąć, że w tej chwili siedzi w magazynku żywności.

–Tam gdzie Otto trzyma wszystkie swoje eliksiry życia?

–Chyba nie spodziewałby się pan zastać Lonniego w szopie z paliwami. Olej napędowy i benzyna nie należą do jego ulubionych trunków. Zastanawiam się, czy nie mógłby pan tam zajrzeć, szukając w procentach ucieczki od smutków świata tego, od Wyspy Niedźwiedziej, od Olympus Productions czy od czego pan tylko chce, i przebiegle wciągnąć go w rozmowę. Potrącić strunę tęsknoty za rodziną. Albo jakąś inną, byle tylko opowiedział panu o sobie.

–Lubię Lonniego – powiedział. – Nie podoba mi się ta robota. – Conrad wyraźnie się

wahał.

–Nic mnie już nie obchodzi, co kto myśli czy czuje. Teraz obchodzi mnie tylko wasze życie – to znaczy, żeby nikt z was go nagle nie stracił.

–No, dobra. – Skinął głową i spojrzał na mnie badawczo. – To dość ryzykowne, nie sądzi pan? Korzystać z pomocy jednego z podejrzanych.

–Pan nie figuruje na mojej liście podejrzanych i nigdy pan na niej nie figurował.

–Niech pan to powie Mary drogiej, dobrze? – poprosił i ruszył do drzwi na dwór, a ja wróciłem do kochera. Mary Stuart spojrzała na mnie z tym swoim brakiem wyrazu na twarzy, spod którego przebierała powaga i rezerwa.

–Conrad powiedział, że bym pani powiedział, że właśnie mu powiedziałem... nie pogubiła się pani?... że on nie figuruje na mojej liście podejrzanych i nigdy na niej nie figurował.

–To miło. – Uśmiechnęła się trochę, ale w tym uśmiechu wyczuwało się jakiś mroźny powiew.

–Mary – powiedziałem – chyba czymś się pani naraziłem.

–No cóż...

–No cóż co?

–Czy jest pan moim przyjacielem?

–Pewnie.

–Pewnie, pewnie... – Zupełnie niezłe sparodiowała ton mojego głosu. – Doktor Marlowe przyjaciel całej ludzkości.

–Doktor Marlowe nie trzyma całą noc w ramionach całej ludzkości.

–A Charles Conrad? – Następny uśmiech. Tym razem z powiewem wiosny.

–Lubię go. A co on o mnie myśli, tego nie wiem.

–Ja też go lubię i wiem, że on lubi mnie, więc wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. – Ugryzłem się w język, żeby znowu nie powiedzieć „pewnie”, i tylko skinąłem głową. – No to dlaczego mamy przed sobą sekrety?

–Kobiety to niezwykle ciekawe stworzenia – odparłem. – W każdym sensie tego słowa.

–Bardzo pana proszę, niech pan się nie bawi ze mną w łamigłówki.

–A czy pani nie ma sekretów? – Zmarszczyła czoło, jakby zaskoczona, a ja ciągnąłem dalej: – Zabawmy się w takim razie w taką dziecięcą grę, dobrze? Pani mi zdradzi swój sekret, a ja pani swój.

–Na miłość boską, o co panu właściwie chodzi?

–O to sekretne spotkanie wczoraj rano. Na górnym pokładzie, w wicherze i śnieżycy. Kiedy tak czule rozmawiała pani z Heissmanem.

Spodziewałem się jakiejś bardzo gwałtownej reakcji, toteż poczułem się mocno zawiedziony, gdyż nic takiego nie nastąpiło. Mary Stuart spojrzała na mnie w zamyśleniu i chwilę milczała.

–A więc pan nas szpiegował.

–Przypadkiem znalazłem się w okolicy.

–Przypadkiem nigdzie w okolicy pana nie zauważyłam. – Zagryzła wargi, ale nie był to wyraz jakiegoś szczególnego cierpienia. – Wolałabym, żeby pan tego nie widział.

–Dlaczego? – Przez chwilę miałem zamiar wysilić się na zjadliwą ironię, ale gdzieś w oddali zdążyłem usłyszeć cichutki dzwoneczek ostrzegawczy.

–Dlatego, że nie chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli.

–To jest dla mnie jasne – ciągnąłem cierpliwie. – Ale dlaczego?

–Bo nie bardzo jest się czym chwalić. Muszę się jakoś utrzymywać, doktorze Marlowe. Kiedy dwa lata temu przyjechałam do tego kraju, nie miałam kwalifikacji do żadnej pracy. Do tego, co robię w tej chwili, też ich nie mam. Jestem beznadziejną aktorką. Wiem o tym. Nie mam za grosz talentu. Ostatnie dwa filmy, w których grałam, były... no, po prostu straszne. Czy to pana dziwi, że ludzie traktują mnie oziębło, że zastanawiają się głośno, dlaczego Olympus Productions zaangażowała mnie do następnego filmu? No cóż, teraz pewnie już się pan domyśla. Odpowiedzią na to pytanie jest nazwisko Johann Heissman. – Uśmiechnęła się niewesoło, samymi kącikami ust. – Jest pan zaskoczony, doktorze Marlowe? Może zbulwersowany?

–Nie.

Niewesoły uśmiech zniknął z jej twarzy, a wraz z nim odpłynęło z niej całe życie. Kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał tępo i martwo.

–A więc tak łatwo pan w to uwierzył?

–Ani łatwo, ani wcale. Rzecz w tym, że nie wierzę w ani jedno pani słowo.

Spojrzała na mnie, jeszcze trochę smutna, ale przede wszystkim zaskoczona.

–Czy to znaczy, że pan nie wierzy... że byłabym do tego zdolna?

–Nigdy.

Na jej twarz powróciła odrobina życia i niemal z niedowierzaniem powiedziała:

–To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam w całym swoim życiu. – Spuściła wzrok na ręce, jakby się jeszcze wahała, po czym nie patrząc na mnie wyjaśniła: – Johann Heissman jest moim wujkiem. Bratem mojej matki.

–Pani wujkiem? – Przerzuciałem w myślach najbardziej nieprawdopodobne możliwości, ale na tę nigdy nie wpadłem.

–Tak, Heissman to mój wujek Johann. – Znow ten nieznaczny, niemal tajemniczy uśmiech, tym razem jakby odrobinę filuterny, choć mogła to być tylko gra mojej wyobraźni. Zaciekawilem się, jak wygląda jej uśmiech, kiedy uśmiecha się z pełnego zachwytu albo szczęścia. – Nie musi mi pan wierzyć na słowo. Może pan o to spytać samego Heissmana. Tylko bardzo proszę – na osobności.

Kolacja okazała się towarzyskim niewypałem. Wyraźnie zabrakło nastroju bez troski i pogodnego koleżeństwa koniecznego do rozkręcenia tego typu zgromadzeń. Po części mogło to wynikać z faktu, że większość osób jadła zupełnie samotnie, na siedząco lub stojąco, albo w maleńkich grupkach rozsypanych po całej sali, lecz i wówczas całą uwagę skupiali na miskach pełnych nieapetycznej brei. Główna przyczyna tkwiła jednak w czym innym: wszyscy jasno i boleśnie zdawali sobie sprawę, że bierzemy udział w pewnym rodzaju naszej własnej ostatecznej wieczerzy. Zainteresowanie jedzeniem nie pochłaniało nas bowiem bez reszty. Co jakiś czas para oczu odrywała się na krótką chwilę od spożywanych w skupieniu gulaszu i fasolki i w samoobronnym odruchu omiatała niespokojnie całą salę, jakby właściciel tych oczu miał nadzieję tym błyskawicznym wzrokiem rekonesansem odkryć nieomyślne oznaki identyfikujące znajdującą się między nami parszywą owcę, po czym z przedziwnym poczuciem winy powracała – do pożywienia. Zbyteczne chyba dodawać, że nic nie wskazywało, by owa parszywa owca kwapiła się z manifestowaniem oznak, które i mogłyby ją zdradzić, a problem identyfikacji mocno się zagmatwał i skomplikował, gdyż większość obecnych zachowywała się na tyle nienaturalnie, że w normalnej sytuacji każdy z nich z miejsca wzbudziłby podejrzenia. Jest bowiem osobliwą cechą ludzkiej natury, że wystarczy, by człowiek dowiedział się, że jest podejrzany, a choćby był najbardziej niewinny, zaczyna gwałtownie przejawiać skłonność do przesadnych reakcji, okazywać wystudiowaną obojętność, brak zainteresowania i wymuszoną bez troskę, które tylko wzmagają pierwotne

podejrzenia.

Otto nie należał do ludzi, którzy by ulegali tej skłonności. Czy to z powodu świadomości, że zaliczony został do grupy osób poza podejrzeniem, czy też dlatego, że jako prezes wytwórni i producent filmu uważał się za kogoś, kogo problemy zwykłych szarych ludzi po prostu nie dotyczą, zachowywał budzący podziw spokój, a nawet, ku memu zdumieniu, zaczął zdradzać siłę i stanowczość. Choć do tej chwili wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, chwiejny zazwyczaj i niezdecydowany Otto mógł należeć do ludzi objawiających swe najlepsze strony w chwilach kryzysów. Kiedy pod koniec posiłku zabrał głos, nie było w nim śladu chwiejności czy niezdecydowania.

–Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą – zaczął z niezwykłą energią – co zaszło w ciągu ostatnich dwóch dni, i sądzę, że nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć interpretację tych strasznych wydarzeń, którą przedstawił nam doktor Marlowe. Co więcej, obawiam się, że musimy także uznać za niezwykle realne ostrzeżenia doktora przed tym, co może się zdarzyć w najbliższej przyszłości.

Przed tymi faktami nie ma ucieczki, a wyjaśnienia doktora wydają się niezwykle prawdopodobne, proszę zatem ani przez chwilę nie sądzić, że próbuję zbagatelizować powagę sytuacji. Wręcz przeciwnie, nie sposób byłoby ją wyolbrzymić, nie sposób byłoby tu z czymkolwiek przesadzić. Oto znaleźliśmy się w głębi Arktyki, poza zasięgiem wszelkiej pomocy, niczym rozbitkowie wyrzuceni na bezludną wyspę. Wiemy, że kilkoro z nas zmarło nagłą i gwałtowną śmiercią i że taka sama śmierć może nadal grozić każdemu z nas. – Przesunął powoli spojrzeniem po zgromadzonych, a ja uczyniłem to samo. Zauważyłem, chłodna ocena sytuacji Gerrana wywarła na wielu osobach równie złe wrażenie jak na mnie. – I właśnie dlatego, że sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest aż tak niewiarygodna i nienormalna, proponuję, byśmy postępowali jak najnormalniej i jak najbardziej racjonalnie. Pograżanie się w hysterii nie odwróci tragicznego biegu wydarzeń, a wszystkim może wyrządzić wiele szkód.

Moi koledzy i ja postanowiliśmy zatem, że, zachowując oczywiście wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa, powinniśmy w jak najbardziej naturalny sposób przystąpić do realizacji zadania, które sprowadziło nas na tę wyspę. Z pewnością zgodzą się państwo ze mną, że lepiej zająć swą uwagę realizacją jakiegoś konkretnego i konstruktywnego celu, niż siedzieć beczynnie i dręczyć się ponurymi myślami. Nie proponuję udawać, że nic się nie stało; proponuję postępować tak, jakby nic się nie stało. Według mnie będzie to z korzyścią dla nas wszystkich.

Jeśli pogoda pozwoli, jutro wyruszą w teren trzy zespoły. – Otto niczego z nikim nie konsultował; wydawał polecenia. Ja na jego miejscu zrobiłbym to samo. – Pierwszy, pod kierownictwem pana Neala Divine'a, uda się na północ Szlakiem Lenera. To droga do następnej zatoki zbudowana mniej więcej na przełomie stulecia, choć nie

sądzę, by wiele z niej pozostało. W grupie tej znajdują się oczywiście Hrabia, Allen i Cecil. Ja także zamierzam się do niej przyłączyć i chciałbym, żeby i pan się z nami zabrał, Charlesie. – To do Conrada.

–Czy ja będę panu potrzebna? – spytała Mary kochanie, podnosząc dwa palce jak uczennica.

–Hm, to będą praktycznie same plenery... – Urwał, zerknął na poobijaną twarz Allena, po czym spojrzął z powrotem na Mary kochanie z grymasem, który wziąłem za filuterny uśmiech. – Jeśli ma pani ochotę się z nami wybrać, to oczywiście bardzo proszę. Pan Hendriks, Lukę, Mark i John spróbują zarejestrować wszystkie dźwięki wyspy: świst wiatru, krzyki ptaków na urwiskach, huk fal bijących o brzeg. Pan Heissman z ręczną kamerą wyprawi się łodzią na poszukiwanie jakiegoś odpowiedniego morskiego planu. Panowie Jungbeck i Heyter, którzy nie mają jutro nic do roboty, zgłosili się na ochotnika, by mu towarzyszyć. Bardzo to miło z ich strony.

Tak zatem wyglądają nasze decyzje co do programu na jutro. Najważniejszą decyzję zostawiłem jednak na koniec. Nie ma ona żadnego związku z naszą pracą. Zdecydowaliśmy otóż niezwłocznie szukać pomocy. Przez pomoc rozumiem przedstawicieli prawa, policję lub inne tego typu organa władzy. Nie chodzi tylko o to, że tak nakazuje obowiązek. Także zwykły instynkt samozachowawczy żąda, by najszybciej, jak to w ludzkiej mocy, wszczęto drobiazgowe i fachowe śledztwo. Żeby wezwać pomoc, potrzebny jest nam nadajnik, a najbliższy znajduje się w norweskiej stacji meteorologicznej w Tunheim. – Starannie powstrzymałem się od spojrzenia na Smithy'ego, pewien, że i on nie da się ponieść impulsowi. – Panie Smith, pańska obecność tutaj może się okazać błogosławieństwem... Jest pan jedynym zawodowym marynarzem wśród tu obecnych. Jak pan ocenia szansę dotarcia do Tunheim łodzią?

Smithy pomilczał przez chwilę, by nadać swym słowom odpowiedni ciężar gatunkowy, po czym powiedział:

–W obecnych warunkach pogodowych szansę są tak nikłe, że nawet w naszej dramatycznej sytuacji nie radziłbym tego w ogóle próbować. Od pewnego czasu mamy silne wiatry, panie Gerran, i jeszcze sporo potrwa, nim morze się jako tako uspokoi. Te łodzie mają pewną wadę: kiedy człowiek natknie się w nich na jakąkolwiek porządniejszą falę, nie może zrobić tego, co normalnie w takiej sytuacji się robi, to znaczy zawrócić i uciec. Są zupełnie otwarte z tyłu i z całą pewnością wzięłyby wodę i zatonęły. Stąd też przed wyprawieniem się w podróż taką łodzią trzeba być zupełnie pewnym pogody.

–Rozumiem. Na razie zbyt niebezpieczne. A gdyby morze się uspokoiło?

–Wszystko będzie zależało od kierunku wiatru. W tej chwili skręca na zachodni i gdyby się tak utrzymał... No cóż, byłoby to chyba wykonalne. Jeśli jednak skręci dalej, na północno – zachodni lub północny, mowy nie ma. – Smithy uśmiechnął się. – Nie powiem, żeby wyprawa lądem wydawała mi się o wiele łatwiejsza, ale tam przynajmniej nie grożą sztormowe fale.

–O proszę! Więc uważa pan, że dotarcie do Tunheim lądem byłoby w ogóle możliwe?

–No cóż, nie wiem. Nie jestem ekspertem od wypraw polarnych. Pan Heissman na pewno zna się na tych sprawach znacznie lepiej niż ja. Słyszałem, że miał nawet na ten temat wykład.

–Nie, nie... – Heissman machnął lekceważąco ręką. – Podśłuchajmy, co pan na ten temat sądzi, panie Smith.

Więc Smithy dał im posłuchać, co na ten temat sądzi, powtarzając mniej lub bardziej dosłownie mój własny wywód sprzed niecałej godziny. Kiedy skończył, Heissman, który znał się na wyprawach polarnych pewnie tak samo jak ja na topografii drugiej strony księżyca, powiedział:

–Nic dodać, nic ująć. Całkowicie się z panem zgadzam, panie Smith.

Zapadła pełna zadumy cisza, przerwana w końcu przez Smithy’ego, tory zaproponował nieśmiało:

–Jestem tu nadliczbowy. Jeśli pogoda się poprawi, mogę spróbować.

–W tym nie mogę się z panem zgodzić – zaprotestował natychmiast Heissman. – To samobójstwo, drogi chłopcze, czyste samobójstwo.

–Na razie nie może być o tym w ogóle mowy – powiedział stanowczo Gerran. – Dla bezpieczeństwa, podkreślam: wzajemnego bezpieczeństwa, powinna to być kilkusobowa ekspedycja.

–Nie wydaje mi się to wskazane – odparł łagodnie Smithy. – Niewiele to pomoże, jeśli ślepy poprowadzi ślepego.

–Panie Gerran – odezwał się Jon Heyter. – Może ja mógłbym się tu na coś przydać.

–Pan? – Otto spojrzał na niego ze zdumieniem, lecz w następnej chwili twarz mu się rozjaśniła. – Ależ oczywiście, zupełnie o tym zapomniałem. Pan Heyter był kaskaderem w moim filmie „Sierra”. To był film o alpinistach. Dublował aktorów, którzy się za bardzo bali albo byli zbyt cenni, by ryzykować ich udział w scenach wspinaczki. Jest naprawdę znakomitym alpinistą. No i co pan na to, panie Smith?

Nie zdążyłem się zastanowić, jak Smithy z tego wybrnie, gdyż odpowiedział natychmiast:

–Takiej wielkości ekspedycja wydaje mi się w sam raz. Cieszę się, że będę miał do towarzystwa pana Heytera, choć nie wiem, czy i on się cieszy. Pewnie całą drogę będzie mnie musiał nieść.

–No, to załatwione – powiedział Otto. – Obu wam jestem ogromnie wdzięczny. Ale tylko, rzecz jasna, jeśli pogoda się poprawi. W ten sposób omówiliśmy już chyba wszystko. – Uśmiechnął się do mnie. – Czy jako dokooptowany członek dyrekcji zgodzi się pan ze mną?

–W zasadzie tak – odparłem. – Nie jestem tylko pewien, czy jutro rano wszyscy będą jeszcze w stanie wziąć się do zadań, które pan im wyznaczył.

–O mój Boże! – jęknął Otto.

–Chyba nie myślał pan poważnie, że wszyscy powinniśmy udać się do łóżek, prawda? Dla pewnych osób noszących się z pewnymi zamiarami nie ma to jak godziny przed świtaniem. Mówiąc „pewne osoby” nie mam na myśli nikogo spoza tej sali, a przez „pewne zamiary” rozumiem usiłowanie dokonania morderstwa.

–Prawdę mówiąc, rozważaliśmy z kolegami ten problem – powiedział Otto. – Czy proponuje pan postawić wartę?

–To mogłoby niektórym przedłużyć nieco życie – odparłem. Przeszedłem kilka kroków, aż znalazłem się dokładnie pośrodku sali. – Z tego miejsca można zajrzeć w głąb wszystkich pięciu korytarzy. Osoba stojąca w tym miejscu musiałaby zauważyć każdego, kto próbowałby wejść lub wyjść z któregokolwiek pokoju.

–Musiałaby to być jednak osoba o dość niezwykłej budowie, prawda? – zauważył Conrad. – Z głową na obrotowych zawiasach.

–Gdyby wartę pełniły dwie osoby naraz, to niekoniecznie. A że już dawno minęły czasy przywiązywania jakiegokolwiek wagi do tego, co kto sobie pomyśli, powiem także, że takie dwie osoby mogłyby nie tylko obserwować korytarze, ale i siebie nawzajem. Powiedzmy para: podejrzany i wolny od podejrzeń. Z grona osób niepodejrzanych moglibyśmy chyba szarmancko zwolnić od pełnienia warty obie Mary. A także Allena, któremu, jak sędzę, przyda się porządny, całonocny sen. W ten sposób pozostaje nas piątka: pan Gerran, pan Goin, pan Smith, Cecil i ja. Przy dwugodzinnych wartach w zupełności wystarczy to na zabezpieczenie całej nocy, powiedzmy od dziesiątej do ósmej rano.

–Znakomita propozycja – przyklasnął Otto. – No, to proszę jeszcze pięciu ochotników.

Było trzynastu potencjalnych ochotników i trzynastu natychmiast zaoferowało swe usługi. W końcu ustalono, że wartę od dziesiątej do dwunastej pełnić będą Goin z Hendriksem, od północy do drugiej – Smith z Conradem, od drugiej do czwartej – ja i Lukę, od czwartej do szóstej – Otto i Jungbeck, a od szóstej do ósmej – Cecil i Eddie. Niektórzy z pozostałych, zwłaszcza Hrabia i Heissman, protestowali, choć niezbyt głośno, że są dyskryminowani. Po przypomnieniu, że czeka nas jeszcze dwadzieścia jeden nocy, ich protesty można było uznać za czysto symboliczne.

–Decyzję, żeby nie marnować czasu na pogaduszki i zamiast przesiadywać w sali ogólnej, kłaść się od razu spać, podjęto jednogłośnie, co wcale mnie nie zdziwiło. Prawdę mówiąc, tylko jeden temat do rozmów w ogóle wchodził w grę, a właśnie tego jednego tematu nikt nie chciał poruszać w obawie, że wybrał sobie na rozmówcę nie tę osobę, co trzeba. Pojedynczo i parami w ciągu zaledwie kilku minut niemal wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Prócz mnie i Smithy’ego w sali pozostał jeszcze tylko Conrad. Czułem, że chce ze mną porozmawiać. Smithy zerknął na mnie spod oka, po czym odszedł do naszego pokoju.

–Skąd pan wiedział? – spytał Conrad. – O rodzinie Lonniego?

–Nie wiedziałem. Zgadywałem. Udało się panu z nim porozmawiać?

–Chwilę, niedużo. Rzeczywiście miał rodzinę.

–Miał?

–Miał. Żonę i dwie córki. Dorosłe córki. Wypadek samochodowy. Nie wiem, czy to było zderzenie, nie wiem, kto prowadził. Lonnie zamknął się w sobie, jakby już powiedział zbyt wiele. Nie chciał nawet zdradzić, czy sam jechał tym samochodem, czy ktoś jeszcze przy tym był ani kiedy to miało miejsce.

I to było wszystko, czego dowiedział się Conrad. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tym i owym i kiedy Goin z Hendriksem zjawili się, by objąć pierwszą wachtę, udałem się do swego pokoju. Łóżko polowe było puste. Smithy, kompletnie ubrany, usuwał właśnie ostatnie śruby, którymi przymocowałem okno do framugi. Płomień małej lampy naftowej był tak skręcony, że w pokoju panowała niemal zupełna ciemność.

–Wychodzi pan? – spytałem.

–Ktoś tam jest. – Sięgnął po swoją kurtkę, a ja zrobiłem to samo. – Pomyślałem, że może nie powinniśmy wychodzić frontowymi drzwiami.

–Kto to był?

–Nie mam pojęcia. Zajrzał przez okno, ale jego twarz była tylko rozmazaną białą

plamą. Nie wie, że go zauważyłem, jestem tego pewien, bo od naszego okna przeszedł pod okno Judith Haynes i zaświecił do środka. Gdyby podejrzewał, że ktoś go obserwuje, nigdy by tego nie zrobił. – Smithy przelaźił już przez parapet. – Potem wyłączył latarkę, ale zdążyłem się zorientować, dokąd idzie. Na molo. Jestem tego pewien.

Poszedłem w ślady Smithy’ego i zatrzasnąłem okno w ten sam sposób co przedtem. Pogoda nie zmieniła się ani trochę, szalała śnieżycą, temperatura nadal spadała, w egipskich ciemnościach wiatr zmieniał kierunek i skręcił już na południowo – zachodni. Pod oknem Judith Haynes osłoniliśmy latarki, by dawały jak najwęższy promień światła, odszukaliśmy na śniegu ślady wiodące w stronę molo i już mieliśmy pójść za nimi, gdy wpadło mi do głowy, że byłoby pouczające dowiedzieć się, nie tylko dokąd, ale i skąd prowadzą. Okazało się to jednak zupełnie niemożliwe: kimkolwiek był nasz nieznajomy, obszedł przynajmniej dwa razy cały barak, trzymając się jak najbliżej ścian i tak powłócząc nogami, że zupełnie nie sposób było ustalić, przez które okno opuścił stację. To, że tak skutecznie zatarł ślady, było tylko irytujące, natomiast mocno niepokoił fakt, że w ogóle przyszło mu coś takiego do głowy: facet liczył się z tym, że ktoś może spodziewać się jego nocnych wycieczek.

Ruszyliśmy szybko, ale ostrożnie w stronę molo, posuwając się roztropnie z dala od śladów naszego nieznajomego. U wejścia na biegnącą w morze konstrukcję zaryzykowałem krótki błysk osłoniętą latarką: ślady stóp wiodły dalej i były tylko jedne.

–No więc tak – powiedział przyciszonym głosem Smithy. – Klient siedzi w którejś z szalup albo w łodzi podwodnej. Jeśli pójdziemy sprawdzić, możemy się na niego nadziać. Nawet jeśli zapuścimy się do końca molo na szybki rekonesans i na niego nie wpadniemy, to i tak w drodze powrotnej musi zauważyć nasze ślady. Czy chcemy zdradzić przed nim swoją obecność?

–Nie. Nie ma prawa, które by zakazywało człowiekowi wyjść na spacer, kiedy przyjdzie mu na to ochota, nawet w czasie śnieżnej zawiei. A jeśli się przed nim zdradzimy, to więcej niż pewne, że do końca naszego pobytu na Wyspie Niedźwiedziej facet nie zrobi jednego fałszywego kroku.

Wycofaliśmy się za grupę skał, stojących przy brzegu, ledwie kilka jardów od wejścia na molo, choć przy widoczności równej praktycznie zeru ten środek ostrożności wydawał się niemal całkowicie zbyteczny.

–Jak pan myśli, co on ma zamiar zrobić? – spytał Smithy.

–Konkretnie? Nie mam pojęcia. A ogólnie, na pewno coś pomiędzy zwykłym łajdactwem a ciężkim przestępstwem. Spróbujemy się dowiedzieć, kiedy sobie pójdzie.

Cokolwiek nasz nieznajomy robił na molo, nie zajęło mu to dużo czasu, bo dwie minuty później był już z powrotem. Śnieg sypał tak gęsto, ciemności były tak smoliste, że z powodzeniem byłby nas minął nie zauważony i nie usłyszany, gdyby nie gwałtowne podrygiwania małej latareczki, którą trzymał w ręce. Oczekaliśmy kilka sekund i przestaliśmy się kulić za skałą.

–Czy on coś niósł? – spytałem.

–Też się zastanawiam – odparł Smithy. – Może i tak, ale głowy bym nie dał.

Prześledziliśmy podwójne ślady stóp do samego końca molo, gdzie urywały się u szczytu metalowej drabinki prowadzącej do makiety łodzi podwodnej. Nie ulegało wątpliwości, że tam właśnie musiał zejść, gdyż poza tym, że nigdzie indziej nie mógł się podziać, śnieg na kadłubie łodzi był silnie zdeptany, a kiedy zajrzeliśmy do wieżyczki, ujrzeliśmy odciski butów także na jej górnej platformie. Zleźliśmy do wnętrza makiety.

Nic się tu nie zmieniło, nie brakowało niczego, co widzieliśmy podczas naszej pierwszej wizyty.

–Nabrałem naglej odrazy do tego miejsca – powiedział Smithy. – Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, nazwałem je żelaznym grobowcem. Nie chciałbym, żeby słowo ciałem się stało.

–Ma pan przeczucie, że mogłoby?

–Nasz przyjaciel na pozór niczego stąd nie zabrał. Ale przecież nie przychodziłby tu zupełnie bez powodu. Przypuszczam więc, że coś ze sobą przyniósł. Sądząc po jego dokonaniach do dnia dzisiejszego ani cel, w jakim tu przyszedł, ani to, co przyniósł, raczej nie może przypaść nam do gustu. A co by było, gdyby umieścił tu jakiś ładunek wybuchowy, żeby wysadzić tę piekielną skorupę w powietrze?

–A po cóż miałby robić coś aż tak szalonego? – Szczerze mówiąc, nie czułem nawet połowy tego niedowierzania, które zabrzmiało w moim głosie.

–A po co popełniał te wszystkie szaleństwa, które już popełnił? W tej chwili nie interesują mnie żadne powody. W tej chwili interesuje mnie wyłącznie to, czy przypadkiem, tu i teraz, nie popełnia następnego. Innymi słowy, jestem niespokojny.

Nie był w tym osamotniony.

–Przyjmijmy, że ma pan rację – powiedziałem. – Lecz przecież nie można wysadzić tego tutaj w powietrze jakimś małym kawałeczkiem plastiku. Potrzeba czegoś na tyle solidnego, żeby zrobić naprawdę porządne bum! A więc zapalnik z opóźnieniem.

–Żeby zdążyć zasnąć w swoim łóżku jak niewiniątko, nim ładunek eksploduje? Niepokoję się coraz bardziej. Jak pan myśli, ile mógł sobie zostawić na dojście do łóżka?

–Przypuszczam, że dałby radę znaleźć się w nim w niecałą minutę.

–Rany boskie, dlaczego my tu jeszcze stoimy i gadamy?! – Nerwowo omiół światłem latarki wnętrze łodzi. – Psiakrew, gdzie coś takiego się umieszcza?

–Sądzę, że przy grodzi albo na dnie.

W pierwszej kolejności sprawdziliśmy pokład, ale zarówno sztaby balastu, jak i zabezpieczające je deski wydawały się nie tknięte i solidnie umocowane. Nie było tam miejsca nawet na najmniejszy ładunek wybuchowy. Zabraliśmy się do reszty kadłuba, zajrzeliśmy pod grzybkowe kotwice, między zwoje łańcucha, pod kompresor, pod windę, za plastikowe modele peryskopu, działka i karabinów maszynowych. Nic. Rzuciliśmy nawet okiem na pokrywy włazów do czyszczenia zbiorników balastowych, żeby zobaczyć, czy ktoś ich nie odkręcał, ale na śrubach nie było żadnych śladów. Gdyby zaś ładunek taki umieszczono bezpośrednio na którejkolwiek ze ścian, musielibyśmy go już dawno zauważyć.

Smithy spojrział na mnie. Trudno powiedzieć, czy był zaskoczony, czy też podobnie jak ja coraz jaśniej uświadamiał sobie, że jeśli ładunek wybuchowy rzeczywiście istniał, to każda sekunda mogła się okazać na wagę życia. Przeniósł wzrok na przednią grodz łodzi.

–Albo po prostu wrzucił go do jednej ze skrzyń – powiedział. – Najszybciej i najłatwiej.

–Zupełnie nieprawdopodobne – odparłem, ale dopadłem ich jeszcze przed nim. Przesunąłem światłem latarki po skrzyni z farbami i zatrzymałem na drewnianej listwie przy samej podłodze. – Widzi pan to co ja? – spytałem.

–Grudka świeżego, nie stopionego śniegu. Z podeszwy. – Sięgnął do pokrywy skrzyni. – Czas ucieka. Lepiej to otworzyć.

–Lepiej nie. – Złapałem go za rękę. – Skąd pan wie, że to nie pułapka?

–Nie wiem. – Szarpnął rękę do tyłu jak człowiek, który widzi, że zatraskuje mu się na niej paszcza tygrysa. – No, to jak ją otwieramy?

–Powoli. Jest mało prawdopodobne, żeby miał czas zamontować coś tak wyszukanego jak zapalnik elektryczny, a nawet gdyby, to styczniki muszą być w pokrywie. Sądzę, że jeśli w ogóle coś zamontował, to raczej zwykły sznur do pociągania. I w jednym, i w drugim wypadku wieko musi mieć dwa cale luzu, bo

przynajmniej tyle musiał sobie zostawić na wyjęcie ręki ze środka.

Niezwykle ostrożnie uchylił przykrywą na te dwa cale, zbadaliśmy krawędź skrzyni i tę część wnętrza, którą dało się zobaczyć, i niczego nie znaleźliśmy. Jednym ruchem podniosłem wieko do końca. Nigdzie nie było śladu żadnego ładunku wybuchowego. Do skrzyni niczego nie włożono. Natomiast coś z niej wyjęto: dwie puszki farby i dwa pędzle.

Smithy spojrział na mnie i pokręcił głową. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Powód zabrania kilku puszek farby zdawał się tak niepojęty, że nie sposób było powiedzieć nic sensownego. Zamknęliśmy skrzynię i przez wieżyczkę łodzi wydostaliśmy się na molo.

–Mało prawdopodobne, żeby zabrał te puszki ze sobą do pokoju – powiedziałem. – Są prawie wielkości kubłów i w tych ciasnych pokoikach niełatwo byłoby je schować, no i zawsze któryś z przyjaciół że wpaść z wizytą.

–Wcale nie musi ich chować w pokoju. Mamy tu tysiące zasp, których można ukryć praktycznie wszystko.

Jeśli jednak nasz nieznajomy ukrył puszki z farbą w którejś z zasp, nie wybrał do tego celu żadnej między molo a głównym barakiem, bo jego ślady prowadziły prosto jak strzelił do tego ostatniego, nie zbacząc ani na krok w żadną stronę. Poszliśmy po nich aż do samej ściany stacji, gdzie wtopiły się w maskujący łańcuszek odcisków stóp wydeptanych wielokrotnie wokół całego baraku. Smithy osłonił latarkę przez kilka sekund uważnie im się przyglądał.

–Ścieżka jest chyba szersza i głębsza niż przedtem – zauważył. – Coś mi się zdaje, że ktoś, i wcale niekoniecznie ten sam ktoś, odbył następną wyprawę dookoła baraku.

–Chyba ma pan rację. – Ruszyłem przodem do okna naszego pokoju i właśnie miałem je otworzyć, kiedy jakiś instynkt – a może już po prostu podświadomie w każdej sytuacji szukałem czegoś podejrzanego – kazał mi skierować latarkę na framugę okna. Odwróciłem się do Smithy'ego. – Zauważa pan coś?

–Zauważam. Ten zwitek papieru, na który zatrzasnęliśmy okno... No cóż, po prostu wyparował. – Poświecił na ziemię koło naszych nóg, schylił się i coś podniósł. – I zmaterializował się tu. Mieliśmy gościa albo gości.

–Na to wygląda. – Wdrapaliśmy się do środka. Smithy zabrał się do przyśrubowywania okna z powrotem, a ja podkręciłem lampę i zacząłem się rozglądać po pokoju, po części za dalszymi dowodami, że ktoś się do nas włamał, ale przede wszystkim próbując odkryć powód tego włamania. W pierwszej kolejności sprawdziłem oczywiście swoją apteczkę i nie musiałem już sprawdzać niczego

więcej.

–No, no – powiedziałem półgłosem. – Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Już dawno nie widziałem pary takich matolów jak my.

–Więc jednak?

–Ten facet za oknem... Przyciskał głowę do szyby pewnie całe pięć minut, aż nie miał cienia wątpliwości, że pan go zauważył. Potem, na wszelki wypadek, chcąc mieć stuprocentową pewność, że pan się nim zainteresował, podszedł do okna Judith Haynes i poświecił do środka. Musiał liczyć, że żadne inne dwa posunięcia nie wywabią pana na dwór równie szybko.

–No i się nie przeliczył. – Spojrzał na moją otwartą walizeczkę i spytał ostrożnie: – Czy mam przez to rozumieć, że czegoś tam brakuje?

–Tak właśnie ma pan rozumieć. – Pokazałem mu puste wgłębienie w wyłożonym welurem pudełku. – Śmiertelnej dawki morfiny.

Rozdział 11

–Druga na zegarze! – zawołał przyciszonym głosem Smithy potrząsając mnie za ramię. – A poza tym wszystko w porządku. – Ani to wołanie, ani potrząsanie nie było potrzebne. Napięcie ostatnich dni do tego stopnia zaostrzyło moją czujność, nawet w trakcie snu, że obudziłem się natychmiast, gdy tylko usłyszałem, jak przekręca gałkę u drzwi. – Pora zameldować się na mostku. Zaparzyliśmy świeżą kawę. Poszedłem z nim do głównej sali, przywitałem się z Conradem pochylonym koło pieca nad kubkami i czajnikiem i wyrząłem na dwór. Ku memu zaskoczeniu wiatr, teraz już dokładnie zachodni, osłabł do nie więcej niż trzech stopni w skali Beauforta, śnieg znacznie się przerzedził. Zanosilo się nawet, że wkrótce w ogóle przestanie padać, a w jakimś prześwicie między chmurami, na południu, za ujściem Sorhammy, mrugało kilka bladych gwiazd. Ale mróz, choć dawało się to niemożliwe, ścisnął jeszcze bardziej. Zamknąłem szybko drzwi, odwróciłem się do Smithy'ego i powiedziałem cicho kilka słów.

–Krzepiące słowa z pana ust płyną – odparł Smithy. – Skąd może pan być taki pewien, że tych pięciu... – Urwał, gdyż w tej właśnie chwili do sali wszedł, przeciągając się i ziewając, Luke. Luke był chudym, wysokim, niezgrabnym młodzieńcem z szoną jasnoblonde włosów, które pilnie domagały się kielznającej ręki fryzjera lub choćby zwykłej wstążki.

–Czy on panu wygląda na płatnego zbira? – spytałem.

–Przypuszczam, że można by go wsadzić za znęcanie się nad przy użyciu gitary. Ale poza tym ma pan rację. Znikome zagrożenie dla życia i ciała. Rzecz jasna odnosi się to także do pozostałej czwórki. – Powiódł spojrzeniem za Conradem, który wszedł do jednego z korytarzy z kubkiem kawy w ręku. – O naszego głównego gwiazdora założyłbym się w każdej chwili.

–A gdzie on się, na miłość boską, wybiera?!

–Przypuszczam, że niesie pokrzepienie swojej damie serca. Panna Stuart prawie przez cały czas dotrzymywała nam towarzystwa.

Już miałem zauważyć, że ta rzekoma dama serca wykazywała intrygujące upodobanie do spędzania długich godzin nocnych poza swym pokojem, ale ugryzłem się w język. W to, że Mary Stuart zamieszana była w sprawy niejasne i mroczne, nie wątpiłem ani przez chwilę; rodzinne powiązania z Heissmanem w żaden sposób nie tłumaczyły niezwykłości jej wcześniejszego postępowania. W to natomiast, by miała mieć jakikolwiek związek z morderstwami, ani przez chwilę nie wierzyłem.

–Czy to ważne, żebym dotarł do Tunheim? – ciągnął dalej Smithy.

–To bez znaczenia. Mając Heytera u boku musi pan się kierować wyłącznie pogodą i trudnością terenu. Jeśli będziecie musieli zawrócić, to dla mnie nawet lepiej. Wolałbym mieć pana przy sobie. Jeśli uda wam się dotrzeć do Tunheim, niech pan się już stamtąd nie rusza.

–Mam się stamtąd nie ruszać? Jak to? Przecież idziemy po pomoc. I Heyter będzie piłował twarz, żeby natychmiast wracać.

–Niech pan powie, że jest pan zmęczony i potrzebuje wypocząć. Jestem pewien, że to zrozumieją. Gdyby Heyter się awanturował, to niech go pan każe zamknąć. Dam panu list do dowódcy stacji meteo.

–Ach, da mi pan list? A co będzie, jeśli dowódca po prostu odmówi?

–Mam wrażenie, że spotka pan tam kilka osób, które z największą przyjemnością zastosują się do pańskiego polecenia.

–Oczywiście pana przyjaciele? – W jego wzroku brakowało szczególnego entuzjazmu.

–W Tunheim przebywa z krótką wizytą delegacja brytyjskich meteorologów. Pięcioosobowa. Tyle tylko, że sami nie są meteorologami.

–Naturalnie. – Brak entuzjazmu przekształcił się w chłód graniczący z jawną wrogością. – Pan zawsze grywa w zakryte karty, prawda, doktorze Marlowe?

–Niech pan się na mnie nie złości. O nic nie proszę, po prostu panu mówię. Zawsze wykonuję rozkazy – to taka moja zasada... Nawet jeśli pan jej nie uznaje. Tajemnica, o której wiedzą dwie osoby, nie jest już tajemnicą. Jedno zerknięcie w moje karty i skąd można wiedzieć, kto kibicował przy rozgrywce? Dam panu ten list z samego rana.

–No dobra. – Smithy próbował nad sobą zapanować, co nie przychodziło mu wcale z łatwością. – Pewnie nie powinienem się też zdziwić, gdybym zobaczył tam „Różę Poranka”, co? – spytał markotnie.

–Lepiej tak to ujmijmy: nie sądzę, by graniczyło to z niepodobieństwem.

Skinął głową, odwrócił się i podszedł do pieca, gdzie Conrad, który tymczasem zdążył już wrócić, nalewał kawę. Posiedzieliśmy z dziesięć minut, pijąc kawę i rozmawiając na obojętne tematy, po czym Smithy fi Conrad odeszli do swoich pokoi. W czasie następnej godziny nic się nie wydarzyło poza tym, że mniej więcej w piątej minucie Lukę zapadł w twardy sen i tak już pozostał. Nie zadałem sobie trudu, żeby go obudzić, nie było to potrzebne. Ogarnęła mnie niemal nadnaturalna czujność; w przeciwieństwie do Luke'a, miałem o czym myśleć. Drzwi w jednym z korytarzy

otworzyły się i stanął w nich Lonnie. Ponieważ, wedle swych własnych słów, nie należał do miłośników snu, Ta w dodatku nie figurował na mojej liście podejrzanych, nie był to powód do alarmu. Wszedł do sali i usiadł ciężko na krześle obok mnie.

Wydawał się stary, zmęczony i szary, w jego głosie brak było owej tak mu właściwej żartobliwej nuty.

–I znów nasz uzdrowiciel dobrodziej – powiedział – czuwa nad swą małą trzódką. Przyszedłem, mój chłopcze, wspomóc pana w całonocnym czuwaniu.

–Tylko od drugiej do czwartej – odparłem.

–Taka poetycka metafora. – Westchnął ciężko. – Źle spałem. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogłem zasnąć. Ma pan przed sobą, aktorze, zmartwionego starego człowieka.

–Przykro mi to słyszeć, Lonnie.

–Nad Lonniem nie ma co lać łez. Jak większość nędznych przedstawicieli rasy ludzkiej sam sobie przysparzam swoich zmartwień. Sama starość to prawdziwy krzyż pański. Samotna starość, a ja jestem samotny już od wielu lat, jeszcze bardziej dobija. Ale być lotnym starym człowiekiem dręczonym wyrzutami sumienia... Och, już zupełnie nie do zniesienia! – Znow westchnął. – Coś powszednio się dziś nad sobą rozczuliłem.

–Co teraz robi pańskie sumienie?

–Nie daje mi zasnąć, oto co robi. Och, mój chłopcze, mój chłopcze, żeby tak odejść bez bólu pośród snu. Czegóż więcej można chcieć, kiedy już wieczór i pora się zabierać?

–Ta winiarnia na drugim brzegu?

–Nawet to nie jest mi dane. – Pokręcił posępnie głową. – Na takich jak ja nie czekają w raju z szeroko otwartymi ramionami. Nie spełnione warunki wstępu. – Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały smutne. – Jedyne, na co liczę, to maleńki pub z piwem po cztery pensy gdzieś w czyścucu.

Pogrążył się w milczeniu, powieki mu opadły i przez chwilę sądziłem, że zasnął. Po chwili drgnął, odchrząknął i powiedział na pozór zupełnie bez związku:

–Za późno, zawsze jest za późno.

–Na co jest zawsze za późno, Lonnie?

–Na współczucie, zrozumienie, wybaczenie. Obawiam się, że Lonnie Gilbert okazywał tych uczuć znacznie mniej niż powinien. Ale zawsze jest za późno. Za późno, by powiedzieć „tak mi z tobą dobrze”, „kocham cię”, „wybaczam”. Gdyby tak... Gdyby, gdyby, gdyby... Trudno jest się z kimś pojednać, gdy ten ktoś leży przed tobą martwy. Mój Boże, mój Boże... – Podniósł się z krzesła jakby z najwyższym wysiłkiem. – Ale zawsze pozostaje jakiś strzęp, który da się uratować. Lonnie Gilbert pójdzie teraz i zrobi to, co powinien był zrobić już wiele, wiele lat temu. Ale najpierw muszę się uzbroić, tchnąć nieco życia w stare kości, przetrzeć mgłę spowijającą myśli, jednym słowem – przygotować się do tego, co mnie czeka, a co, wyznam ze wstydem, nadal uważam za najcięższą próbę. Czyli krótko i węzłowato, drogi przyjacielu: gdzie jest whisky?

–Obawiam się, że Otto zabrał ją do siebie.

–Dobry człowiek ten Otto, trudno o lepszego, tylko trochę sknerowaty. Ale mniejsza z tym, główne źródło zaopatrzenia nie leży tydzień drogi stąd. – Ruszył do drzwi na dwór, ale go zatrzymałem.

–Za którymś razem, Lonnie, pójdzie pan tam, usiądzie, zaśnie i już nie wróci, bo zamarznie pan na śmierć. Poza tym to niepotrzebne. Mam trochę w swoim pokoju. Daję słowo, że z tego samego źródła. Zaraz przyniosę, a pan niech w tym czasie ma oczy otwarte, dobrze?

Nie wiem, czy miał je otwarte, czy nie, było to w zasadzie bez znaczenia, bo wróciłem w niecałe dwadzieścia sekund. Smithy musiał mieć twardszy sen niż ja, bo w czasie mojej krótkiej wizyty nawet nie drgnął.

Lonnie nalał sobie od serca, kilkoma łykami opróżnił szklaneczkę, spojrział tęsknie na butelkę, ale stanowczym ruchem odstawił ją na bok.

–Spełniwszy obowiązek wrócę kontemplować to w wolnym czasie. Na razie dostatecznie się wzmocniłem.

–Dokąd pan się wybiera? – Trudno było pojąć, co aż tak pilnego można mieć do zrobienia o tej porze.

–Jestem ogromnym dłużnikiem panny Haynes. Mam zamiar...

–Judith Haynes?! – Czułem, że wytrzeszczam na niego oczy. – Wydawało mi się, że ledwie może pan na nią patrzeć.

–Wielkim dłużnikiem – powtórzył niewzruszenie. – Mam zamiar uiścić ten dług, wyrównać rachunek, że się tak wyrażę. Rozumie pan?

–Nie rozumiem. Wiem tylko, że jest za piętnaście czwarta w nocy. Jeśli ta sprawa

ciągnie się, jak sam pan powiedział, od wielu, wielu lat, to z pewnością może pan się wstrzymać jeszcze kilka godzin. Poza tym panna Haynes przeżyła wstrząs i znajduje się pod działaniem bardzo silnych środków uspokajających. Jako jej lekarz, bo jestem jej lekarzem, czy jej się to podoba, czy nie, nie mogę na to pozwolić.

–I jako lekarz, drogi chłopcze, powinien pan rozumieć tę potrzebę pośpiechu. Zbierałem się do tego i zbierałem, aż wreszcie doprowadziłem się, że tak powiem, do punktu krytycznego. Za pańskie „kilka godzin” może być już za późno. Lonnie Gilbert, którego widzi pan przed sobą, niemal na pewno zmieni się z powrotem w podłego, tchórzliwego, samolubnego, chwiejnego Lonniego z wczoraj, tego Lonniego, którego wszyscy tak dobrze znamy. A wtedy znów będzie już za późno. – Urwał i zmienił kierunek swej argumentacji. – Powiada pan środki uspokajające. Jak długo one działają?

–Różnie w zależności od osoby. Cztery, sześć, może nawet osiem godzin.

–No właśnie, sam pan widzi. Biedactwo nie śpi już pewnie od kilku godzin i wypatruje czyjegoś towarzystwa, choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie towarzystwa Lonniego Gilberta. Czy też może umknęło pańskiej uwagi, że od czasu, kiedy podał jej pan te środki, upłynęło już prawie dwanaście godzin?

Umknęło w istocie. Nie umknęło natomiast, że stosunek Lonniego do Judith Haynes staje się coraz bardziej intrygujący. Pomyślałem, że gdyby udało mi się dowiedzieć czegoś więcej o niezwykle ważnej przyczynie, która popychała go do rozmowy z tą kobietą, mogłoby to się okazać bardzo pomocne w przeniknięciu mgły tajemniczości, w której wszyscy zdawaliśmy się brodzić.”

–Zajrzę do niej – powiedziałem. – Jeśli nie śpi i uznam, że jej stan pozwala na prowadzenie rozmów – zgoda.

Skinął głową. Udałem się do pokoju Judith Haynes i wszedłem bez pukania. Lampa naftowa płonęła dość jasno, a Judith Haynes nie spała. Leżała na łóżku ze wszystkimi kocami podciągniętymi pod samą brodę, rude włosy silnie podkreślały głęboką bladość twarzy. Wyglądała upiornie, czego zresztą się spodziewałem. Piękne zazwyczaj zielone oczy zmatowiały i zaszły mgłą, a policzki lśniły od rozmazanych łez. Kiedy przysunąłem sobie stółek, spojrzała na mnie obojętnie, po czym równie obojętnie odwróciła wzrok.

–Mam nadzieję, że dobrze pani spała, panno Haynes – powiedziałem. – Jak się pani czuje?

–Czy zawsze odwiedza pan swoich pacjentów głuchą nocą? – Jej głos był równie matowy jak jej oczy.

–Nie czynię z tego reguły. Ale pełnimy dziś na zmianę straż i tak się składa, że

właśnie jest moja kolej. Czy życzy sobie pani czegoś?

–Nie. Czy wiecie już, kto zabił mojego męża? – Okazywała tak kamienny spokój, wydawała się tak nienaturalnie opanowana, że zacząłem się w tym dopatrywać początku kolejnego ataku histerii.

–Nie. Czy mam przez to rozumieć, że nie podejrzewa już pani młodego Allena?

–Nie sądzę, żeby on to zrobił. Już od godzin leżę tak i rozmyślam i dochodzę do wniosku, że to nie mógł być on. – Sądząc po pozbawionej życia twarzy i pozbawionym życia głosie, musiała nadal znajdować się pod działaniem środków uspokajających. – Znajdziecie go, prawda? Tego, kto zabił Michaela. Michael nie był taki zły, jak ludzie myśleli, doktorze Marlowe, naprawdę nie był. – Po raz pierwszy jakieś drgnienie twarzy, nikły cień uśmiechu. – Nie mówię, że był dobrym, miłym czy uprzejmym mężczyzną, bo nie był. Ale był moim mężczyzną, tym jednym jedynym.

–Wiem – odparłem, jakbym ją rozumiał, choć było to prawdą tylko częściową. – Mam nadzieję, że go znajdziemy. Myślę, że nam się to uda. Czy nie ma pani jakiegoś pomysłu, jak nam w tym pomóc?

–Moje pomysły są niewiele warte, doktorze. Myśli mam jakieś dziwnie ociężałe.

–Czy dałaby pani radę trochę porozmawiać, panno Haynes? Nie byłoby to dla pani zbyt męczące?

–Przecież rozmawiam.

–Ale nie ze mną. Z Lonniem Gilbertem. Wydaje się, że niezwykle mu na tym zależy.

–Na rozmowie ze mną? – Była chyba zdziwiona, ale nie odrzuciła z miejsca tej propozycji. – Dlaczego Lonnie Gilbert miałby chcieć ze mną rozmawiać?

–Nie wiem. Lonnie nie ma zbyt dużego zaufania do lekarzy. Zrozumiałem tylko tyle, że jego zdaniem wyrządził pani jakąś wielką krzywdę i chce powiedzieć „przepraszam”. Chyba.

–Lonnie chce przeproszać?! – Bezbarwną bezsilność w jej głosie zastąpiło wyraźne osłupienie. – Mnie?! Nie, nie mnie. – Zamilkła na chwilę, po czym powiedziała: – Owszem, bardzo chciałabym z nim porozmawiać.

Zrobiłem, co mogłem, żeby ukryć własne osłupienie, wróciłem do sali ogólnej, powiedziałem niemal równie osłupiałemu Lonniemu, że Judith Haynes nie tylko jest gotowa z nim rozmawiać, ale nawet tego pragnie, po czym patrzyłem za nim, jak idzie korytarzem, wchodzi do jej pokoju i zamyka za sobą drzwi. Rzuciłem okiem na Luke'a. Spał chyba jeszcze mocniej niż przedtem. Jak na sytuację, w której się

znalazł, wydawał się absurdalnie młody, na jego twarzy igrał uśmiezek zadowolenia. Pewnie śniły mu się złote płyty. Podszedłem na palcach do drzwi pokoju Judith Haynes. W przysiędze Hipokratesa nie ma ani słowa o niepodstuchiwaniu pod drzwiami.

Okazało się, że muszę dobrze nastawiać uszu, bo choć drzwi zrobione były z samej sklejki, w pokoju mówiono przyciszonymi głosami i z trudem dawało się wyłowić poszczególne słowa. Ukląkłem i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza. Słyszalność uległa wyraźnej poprawie.

–Ty?! – To mówiła Judith Haynes. W jej głosie słychać było coś dziwnego, nigdy bym nie uwierzył, że może być zdolna do któregoś z bardziej sympatycznych uczuć.
– Ty chcesz mnie przeprosić?! Ty?

–Ja, moja droga, ja. Tyle lat, tyle lat... – Głos mu się załamał i nie zdołałem pochwycić kilku następnych słów. – Nikczemne, nikczemne. Żeby przeżyć życie hoduując urazę, nie, moja droga, nienawiść... – Urwał, na kilka chwil zapadło milczenie, po czym ciągnął dalej: – Niewybaczalne, niewybaczalne... Wiem, że on nie mógł... nie mógł być zły do szpiku kości... że w ogóle nie mógł być aż tak zły... Przecież go kochałaś, a nikt nie może kochać kogoś, kto jest zupełnie zły... nawet, jeśli jego grzechy były czarne jak nocne zjawy...

–Lonnie! – przerwała mu ostro, wręcz kategorycznie. – Ja wiem, że nie byłam żoną anioła, ale nie byłam także żoną wcielonego diabła.

–Wiem, moja droga, wiem, chcę tylko powiedzieć...

–Czy ty mnie wreszcie wysłuchasz?! Lonnie, Michaela nie było wtedy w tym samochodzie. Nie było go nawet nigdzie w pobliżu.

Wytężyłem słuch, ale Lonnie nic nie odpowiedział. Po chwili Judith Haynes dodała:

–Mnie także tam nie było.

Znów zapadła cisza, tym razem znacznie dłuższa, aż w końcu rozległ się szept Lonniego, tak cichy, że ledwie słyszalny:

–Mówiono mi co innego.

–Możliwe, Lonnie, ale to nieprawda. Samochód był mój, zgadza się. Ale ja nim nie jechałam. Ani Michael.

–Ale... ale nie zaprzeczasz, że moje córki... hm, nie były w stanie tamtej nocy prowadzić? Ty też. I że to twoja zasługa?

–Niczemu nie zaprzeczam. Tamtej nocy wszyscy wypiliśmy o wiele za dużo... Dlatego właśnie od tamtej pory nie biorę alkoholu do ust, Lonnie. Nie wiem, kto był winien. Wiem tylko, że ani Michael, ani ja nie ruszaliśmy się z domu. Na miłość boską, po cóż miałabym kłamać teraz, kiedy Michael nie żyje?

–No tak, to prawda. Kto w takim razie prowadził twój samochód?

–Dwóch innych ludzi, dwóch mężczyzn.

–Dwóch mężczyzn. I ty przez te wszystkie lata ich chroniłaś?

–Chroniłam? Nie, to nie jest dobre określenie. Jeśli nawet, to tylko mimowolnie. Nie, źle to powiedziałam... Jeśli kogoś chroniliśmy, to był to tylko uboczny efekt tego, na czym nam naprawdę zależało. Chyba można by to określić mianem realizacji naszych egoistycznych celów. Wszyscy doskonale wiedzą, że Michael i ja... No cóż, byliśmy przestępcami, ale zawsze umieliśmy chodzić wokół swego.

–Dwóch mężczyzn. – Wydawało się, że Lonnie nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła. – Dwóch mężczyzn. Więc musisz ich znać.

Kolejna chwila milczenia, po której Judith Haynes odparła cicho:

–Oczywiście.

Następna doprowadzająca do szału cisza, przestałem nawet oddychać, żeby nie uronić kolejnych kilku słów. Ale nie było mi dane ani ich uronić, ani usłyszeć, gdyż w tej samej chwili z tyłu dobiegło mnie szorstkie i zaprawione wyraźną wrogością pytanie:

–A to co, u diabła, ma znaczyć?! Co pan tu robi, drogi panie?! Powstrzymałem się od zrobienia tego, na co miałem ochotę, to znaczy puszczenia wiązki wyszukanych i mocno niecenzuralnych epitetów, odwróciłem się powoli i ujrzałem górujące nade mną zwaliste, gruszkowate cielsko Gerrana. Stał z zaciśniętymi pięściami, twarz okryła mu się groźnym fioletem, oczy pałały wściekłością, a usta zmieniły się w wąską kreskę, grożącą lada chwila całkowitym zanikiem.

–Wygląda pan na zdenerwowanego, panie Gerran – powiedziałem spokojnie. – Nie ma co ukrywać, podsłuchiwałem. – Podniosłem się z kolan, otrzepałem spodnie, wyprostowałem się i otrzepałem ręce. – Potrafię wszystko wyjaśnić.

–A więc czekam na pańskie wyjaśnienia! – Takiego sinego jeszcze go nie widziałem. – To powinno być niezwykle interesujące, doktorze Marlowe.

–Powiedziałem tylko, że potrafię wszystko wyjaśnić. Potrafię, panie Gerran. Co wcale nie znaczy, że mam zamiar to zrobić. A skoro jesteśmy przy wyjaśnieniach, co

pan właściwie tutaj robi?

–Co ja... co ja...?! – Z oburzenia odebrało mu mowę. Kandydat roku do natychmiastowego zawału. – Ależ pan ma czelność! Idę objąć wartę! A co pan robi pod drzwiami mojej córki?! Jestem zdumiony, że pan przez tę dziurkę podsłuchuje, a nie podgląda!

–Ja nie muszę podglądać przez dziurki od klucza – odparłem trzeźwo. – Jestem lekarzem, a panna Haynes moją pacjentką. Kiedy chcę ją zobaczyć, po prostu otwieram drzwi i wchodzę. No, skoro pan już objął wartę, nic tu po mnie. Do łóżka. Jestem piekielnie zmęczony.

–Do łóżka? Jak to do łóżka? Jak mi Bóg miły, Marlowe, jeszcze pan tego pożałuje... Kto tam z nią jest?

–Lonnie Gilbert.

–Lonnie Gilbert?! Diabli nadali... Na bok, mój panie! Proszę się odsunąć!

Zagroziłem mu drogę własnym ciałem. Było to mniej więcej tak, jakbym chciał zatrzymać mały czołg wbity w garnitur z krepy, ale na moją korzyść działała ściana za plecami. Udało mi się go osadzić w miejscu.

–Na pańskim miejscu nie robiłbym tego. Są w tej chwili w dość trudnym dla siebie momencie. Pograżeni, nazwijmy to, w nie najczarowniejszych wspomnieniach z przeszłości.

–Co to, u diabła, ma znaczyć? Co pan mi próbuje przez to powiedzieć?

–Nic, kompletnie nic. Może za to pan by mi coś powiedział? Może zechciałby mi pan opowiedzieć o pewnym wypadku samochodowym... przypuszczam, że miał on miejsce w Kalifornii... w którym dawno, dawno temu zginęła żona Lonniego Gilberta i jego dwie córki?

Utracił nagle koloryt indygo. Jego cera nie zachowała nawet swej normalnej ceglastej siności. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, pozostawiając ją brzydką, w szarych plamach, porysowaną siecią żyłek.

–O wypadku samochodowym? – Nad głosem panował znacznie lepiej niż nad krążeniem. – O jakim znowu wypadku samochodowym pan mówi, drogi panie?

–Gdybym wiedział, tobym pana o to nie pytał. Zdołałem usłyszeć urywki słów Lonniego o wypadku samochodowym, w którym zginęła cała jego rodzina, a ponieważ pańska córka zdaje się coś na ten temat wiedzieć, wnioskuję, że i pan coś o tym wie.

–Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Tak jak i pan. – Utracił nagle swe zapędy śledcze, odwrócił się na pięcie i odmaszerował korytarzem do sali ogólnej. Ruszyłem za nim i podszedłem do drzwi na dwór. Smithy nie wywinie się od tej wyprawy, pomyślałem, teraz to już pewne. Mróz ani trochę nie zelżał, śnieg jednak przestał sypać, a wiatr przycichł tak bardzo, że ledwie czuło się jego lodowate podmuchy – być może dlatego, że zasłaniał nas teraz przed nim masyw Antarticjellu – i nad głową widać było już całe połączenie wygwieżdżonego nieba. W powietrzu unosiła się dziwna poświata, zbyt jasna, by złożyć ją na karb samych gwiazd. Odszedłem kilka kroków od baraku i tuż nad południowym horyzontem ujrzałem wspinający się na czyste niebo księżyc w trzeciej kwadrze.

Wróciłem do środka. Zamykając za sobą drzwi zobaczyłem, że Lonnie przecina salę ogólną kierując się chyba do swego pokoju. Szedł niepewnie jak ktoś, kto ma kłopoty ze wzrokiem, a kiedy mijał mnie w odległości zaledwie kilku kroków, stwierdziłem, że w oczach szklą mu się łzy. Dałbym wiele, by poznać ich przyczynę. O jego wzburzeniu najdobitniej świadczyło chyba to, że nawet nie rzucił okiem na niemal pełną butelkę szkockiej stojącą na małym stoliku, przy którym siedział Otto. Nie spojrzał nawet na samego Ottona. A co jeszcze dziwniejsze, Otto nie spojrzał także na przechodzącego Lonniego. Z nastroju, w jaki wpadł nakrywszy mnie pod drzwiami swojej córki, można było się spodziewać, że chwyci Lonniego w krzyżowy ogień pytań, a być może nawet rękami za gardło. Tymczasem jednak jego usposobienie uległo najwyraźniej ogromnej zmianie.

Podszedłem właśnie do naszego czujnego wartownika, Luke’a, z zamiarem wyrwania go z objęć słodkiego snu, gdy nagle Otto dźwignął się na nogi i ruszył energicznym krokiem do drzwi pokoju swojej córki. Nie wahałem się ani chwili: jak spadać, to z wysokiego konia. Poszedłem za nim i zająłem znane mi już stanowisko, ale tym razem nie musiałem się uciekać do korzystania z dziurki od klucza, bo Otto, zapewne w podnieceniu, zostawił drzwi nie domknięte. Zwracał się do swej córki stłumionym, szorstkim głosem, w którym zupełnie nie było słyhać tonów rodzicielskiej miłości.

–O czym rozgadywałaś, ty diablico? O czym ty znowu rozgadywałaś? Wypadek samochodowy? Jaki wypadek samochodowy? Coś ty znowu nakłamała Gilbertowi, ty podła szantażystko?

–Wynoś mi się stąd! – Judith Haynes chyba zupełnie bezwiednie zaprzestała mówienia matowo i bez wyrazu. – Zostaw mnie w spokoju, ty zły, upiorny staruchu! Wynoś się stąd, wynoś się, wynoś!

Przysunąłem ucho do szpary w drzwiach. Nie co dzień trafia się okazja do słuchania takich rodzinnych czułości.

–Jak mi Bóg miły, nie dopuszczę, żeby moja własna córka mnie zdradzała! – Otto

zapomniał o potrzebie ściszenia głosu. – Zniosłem już dość od ciebie i tego próżniaka, tego drania, tego szantażysty! To, co zrobiłaś...

–Jak śmiesz tak mówić o Michaelu? – Powiedziała to niezwykle cicho; aż wzdrygnąłem się na dźwięk jej głosu. – Jak śmiesz tak o nim mówić, kiedy on nie żyje... zamordowany... mój mąż... No więc, drogi ojczy, czy mam ci powiedzieć, czym on cię szantażował? Myślałeś, że nie wiem, co? No więc jak? Mam ci powiedzieć? A potem powtórzyć Johannowi Heissmanowi? Zapadła absolutna cisza.

–Ty jadowita żmijo! – Otto wysapał przez zęby. Odniosłem wrażenie, że za chwilę się udusi.

–Jadowita żmijo? – Roześmiała się sucho, śmiechem, od którego ciarki przechodziły po plecach. – I kto to mówi! A to pyszne! Daj spokój, drogi tatusiu, musisz jeszcze pamiętać trzydziesty ósmy... Przecież nawet ja to pamiętam. Biedny stary Johann, uciekał, uciekał, uciekał i zawsze w złym kierunku. Biedny wuj Johann. Przecież to ty kazałeś mi go tak nazywać, prawda, tatusiu? Wujem Johannem.

W tym momencie odszedłem, choć nie dlatego, bym usłyszał już wszystko, co chciałem usłyszeć. Zacząłem podejrzewać, że ta rozmowa nie potrwa już długo, a łatwo było przewidzieć całą niezręczność sytuacji, gdyby Otto nakrył mnie po raz drugi. Poza tym spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że Jungbeck, który miał pełnić straż z Gerranem, powinien się właśnie lada chwila pojawić, a bynajmniej nie miałem ochoty, żeby zastał mnie tam, gdzie byłem, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa natychmiast doniósł o tym swojemu szefowi. Toteż wróciłem do Luke'a, uznałem, że nie ma sensu budzić go tylko po to, żeby kazać mu iść spać, nalałem sobie porannego drinka na dobranoc i miałem go właśnie wychylić, kiedy usłyszałem kobiecy krzyk: „Wynoś się, precz, precz!” i zobaczyłem Ottona, opuszczającego pośpiesznie pokój córki i równie pośpiesznie zamykającego za sobą drzwi. Wtoczył się do głównej sali, porwał bez pytania butelkę whisky – to prawda, że pochodziła z jego własnych zapasów, ale przecież o tym nie wiedział – nalał sobie po wrąbek i jednym haustem opróżnił pół szklaneczki, rozlewając w drodze do ust sporą część jej zawartości.

–To bardzo nierozważnie z pana strony, panie Gerran – powiedziałem tonem nagany – tak denerwować swoją córkę. Ona jest naprawdę poważnie chora, potrzebuje troskliwej opieki, dużo serca i czułości.

–Czułości?! – Zakrztusił się drugą połową swego drinka i większość whisky wylądowała na gorsie jego koszuli. – Serca i czułości?! Jezu Chryste! – Z rozmachem napełnił sobie znów szklaneczkę i powoli zaczął się uspokajać. Chwilę później był już zupełnie opanowany, wyglądał na wręcz pogrążonego w zadumie. Kiedy się ponownie odezwał, nikt by nie pomyślał, że ledwie kilka minut temu o niczym innym tak nie marzył, jak o wypruciu ze mnie wszystkich bebeczków.

–Może rzeczywiście powinienem był wykazać więcej rozwagi. Ale ta jej skłonność do hysterii... Wie pan, temperament aktorki. Pańskie środki uspokajające nie są chyba zbyt skuteczne, doktorze.

–Reakcje poszczególnych osób na środki uspokajające są ogromnie zróżnicowane, panie Gerran. I trudno je z góry przewidzieć.

–Przecież wcale pana o to nie winię – odparł z rozdrażnieniem. – Troskliwa opieka i czułość. Tak, tak, to też. Ale moim zdaniem najważniejszy jest dobry, krzepiący sen. Co pan by powiedział na jeszcze jakiś specyfik, tym razem skuteczniejszy? To chyba niczym nie grozi, prawda?

–Nie, raczej nie. W jej głosie rzeczywiście słyhać było... jakby to powiedzieć... silne napięcie. Ale panna Haynes jest osobą nieco upartą. Jeśli odmówi...

–Nieco upartą?! Dobre sobie! Niech pan jednak spróbuje. – Wydawało się, że nagle stracił całe zainteresowanie tym tematem i wpatrzył się posępnie w podłogę. Kiedy pojawił się zaspany Jungbeck, spojrzął na niego bez entuzjazmu, odwrócił się i potrząsnął szorstko Luke'em.

–Obudź się pan! – Lukę poruszył się i otworzył nieprzytomne oczy. – Świetny z pana strażnik, nie ma co! Koniec warty. Niech pan idzie do łóżka. – Lukę wymamrotał jakieś przeprosiny, podniósł się zeszywniały z krzesła i odszedł do swego pokoju.

–Mógł mu pan dać spokój – powiedziałem. – I tak za kilka godzin będzie musiał wstać.

–Teraz i tak już za późno – odparł Otto. – A zresztą – dodał z niejakim brakiem konsekwencji – za dwie godziny postawię wszystkich na nogi. Rozpogodziło się, mamy księżyc i jest dość widno, żeby dotrzeć na wyznaczone miejsca. W ten sposób będziemy gotowi rozpocząć zdjęcia natychmiast po wschodzie słońca. – Rzucił okiem w głąb korytarza, w którym znajdował się pokój jego córki. – No więc jak, nie ma pan zamiaru nawet spróbować?

Skinąłem głową i wstałem z krzesła. W odpowiednich okolicznościach – te jednak trudno byłoby za takie uznać – w ciągu dziesięciu minut w twarzy człowieka mogą zajść tak wielkie zmiany, że czasami wydaje się to wręcz nieprawdopodobne. Ta twarz, ledwie przed chwilą jedynie mizerna i blada, teraz była zupełnie wynędzniała. Judith Haynes wyglądała na swoje lata i jeszcze dziesięć trudnych lat więcej. Płakała w bolesnym i przytłaczającym milczeniu, łzy ściekały jej po skroniach i płatkach uszu, rozlewając się wilgotnymi plamami na szarej, zgrzebnej poszewce poduszki. Nigdy bym nie pomyślał, że ta kobieta może wzbudzić we mnie taką litość, taką chęć przyniesienia jej jakiegś pociechy – ale tak właśnie było.

–Chyba powinna pani zasnąć – powiedziałem.

–Po co? – Zaciskała pięści tak mocno, że przez skórę przeświecały kremowo kostki palców. – Co by to dało? Przecież i tak kiedyś będę się musiała obudzić.

–Wiem. – Była to jedna z tych sytuacji, w których cokolwiek się powie, zawsze brzmi to banalnie. – Ale sen dobrze pani robi, panno Haynes.

–Może i tak... – Trudno jej było mówić poprzez ten bezgłośny płacz. – Dobrze. Tylko niech się pan postara, żeby ten sen trwał jak najdłużej.

A ja, jak ten głupi, dałem jej środki na bardzo długi sen. I jak jeszcze większy głupiec wróciłem do swego pokoju. I poszedłem spać – głupiec skończony.

Spałem ponad cztery godziny i po przebudzeniu zastałem stację niemal zupełnie wyludnioną. Otto okazał się człowiekiem słownym, postawił wszystkich na nogi i zagonił do pracy o godzinie, którą musieli uznać za nieprzyzwoicie blady świt. Rzecz jasna ani Gerranowi, ani nikomu innemu nie przyszło do głowy obudzić i mnie. Byłem jedną z tych nielicznych osób, które tego dnia nie miały właściwie nic do roboty.

W sali ogólnej stacji zastałem tylko Ottona i Conrada. Pili kawę, ale ponieważ byli okutani po dziurki w nosie, wywnioskowałem, że zbierają się do wyjścia. Conrad przywitał się ze mną uprzejmie, Otto nie zadał sobie tego trudu. Bez zbędnych wstępów poinformował mnie, że Hrabia, Neal Divine, Allen, Cecil i Mary kochanie pojechali z kamerami ratrakiem Drogą Lenera, a on i Conrad niezwłocznie udają się ich śladem. Hendriks i „Trzej Apostołowie” nagrywają w okolicach stacji odgłosy wyspy. Smithy i Heyter wyruszyli przed godziną do Tunheim. W pierwszej chwili nieco mnie to zaniepokoiło, wydało mi się bowiem, że Smithy powinien był przynajmniej mnie obudzić i pożegnać się przed wymarszem, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że nie ma powodu do obaw. To, że nie uważał za potrzebne już w niczym się mnie radzić ani szukać ostatnich słów otuchy przed wyprawą, mogło świadczyć tylko o wierze we własne siły, a co za tym idzie, potwierdzało moją milczącą wiarę w niego. Na koniec dowiedziałem się, że Heissman z Jungbeckiem i ręczną kamerą wypłynęli na poszukiwanie odpowiednich morskich planów zdjęciowych. Zabrali ze sobą szesnastostopową łódź i Goina, który zaofiarował się zastąpić Heytera.

–Pozostała kwestia mojej córki, doktorze Marlowe – powiedział Otto, dopił kawy i wstał.

–Otrząśnię się z tego – odparłem. Byłem pewien, że już nigdy się z tego nie otrząśnię.

–Przed wyjściem chciałbym zamienić z nią kilka słów. – Za skarby świata nie byłbym w stanie wymyślić powodu, dla którego on mógłby chcieć rozmawiać z nią albo ona z nim, ale powstrzymałem się od komentarza. – Nie ma pan żadnych obiekcji? – spytał.

– To znaczy jako lekarz?

–Tylko takie, które podpowiada mi zdrowy rozsądek. Panna Haynes znajduje się pod działaniem silnych środków nasennych. Nawet potrząśnięciem jej pan nie obudzi.

–Ale przecież...

–W najlepszym razie za dwie, trzy godziny. Jeśli nie ma pan zamiaru słuchać moich rad, to po co się pan do mnie o nie zwraca?

–Ma pan rację, ma pan rację... Trudno, niech śpi. – Ruszył do drzwi wyjściowych. – Ma pan jakieś plany na dzisiaj, doktorze?

–Kto zostaje w stacji? – spytałem. – Poza mną i panną Haynes? Spojrzał na mnie, zmarszczył w skupieniu brwi, po czym odparł:

–Mary Stuart, Lonnie, Eddie i Sandy. Dlaczego pan pyta?

–Śpią?

–O ile wiem, tak. A co?

–Ktoś musi pochować Strykera.

–Ano tak, jasne, oczywiście... Widzi pan, nie zapomniałem o tym, tylko... Oczywiście, jasne... Pan...?

–Owszem.

–Pozostanę pańskim dłużnikiem. Okropne zajęcie, okropne, okropne. Jeszcze raz dziękuję, doktorze Marlowe. – Potoczył się energicznie do drzwi. – Chodź, Charles, jesteśmy spóźnieni.

Wyszli. Nalałem sobie kawy, ale nic do niej nie zjadłem, bo to nie był dzień na sute śniadania. Wyszedłem na dwór, zajrzałem do baraku ze sprzętem i znalazłem sobie łopatę. Zamarznięty śnieg nie był zbyt głęboki, nie głębszy niż na stopę, ale mróz skuł już ziemię, toteż straciłem dobre półtorej godziny i – co w tych szerokościach jest zawsze niebezpieczne – sporo potu, nim zrobiłem wszystko, co należało. Odłożyłem szpadel na miejsce i natychmiast wróciłem do pokoju się przebrać. Słońce nie pojawiło się jeszcze na bezchmurnym niebie, był piękny mroźny ranek, ale zgrzany człowiek mógłby drogo zapłacić za jego podziwianie.

Pięć minut później ponownie zamknąłem za sobą drzwi wyjściowe, tym razem z lornetką na piersi. Dochodziła już dziesiąta, ale ani Eddie, ani Sandy, ani Lonnie, ani Mary Stuart jeszcze się nie pojawili. Obecność pierwszych trzech nie nastroczałaby

żadnych powodów do obaw, bo wszyscy znani byli ze swej awersji do jakichkolwiek form wysiłku fizycznego i wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by któryś zaproponował mi swoje towarzystwo. Natomiast Mary Stuart mogła to zrobić, i to z wielu powodów: z ciekawości, z żądzy poznania, dlatego że kazano jej mieć na mnie oko, a może nawet dlatego, że przy mnie czułaby się bezpieczniej niż w stacji. Bez względu jednak na pobudki, nie mogłem dopuścić, by sprawdzała, co robię, kiedy ja będę sprawdzał, co robi Heissman.

Żeby jednak sprawdzić, co robi Heissman, należało go najpierw znaleźć, a tymczasem Heissman po prostu wyparował. O ile dobrze rozumiałem, założenie było takie, że opłynię z Jungbeckiem i Goinem Sorhammę w poszukiwaniu odpowiednich plenerów, a tu w całej zatoce nie było nawet śladu ich łodzi, choć z miejsca, gdzie stałem, w pobliżu zabudowań stacji, miałem całą zatokę jak na dłoni. Żeby wykluczyć zupełnie znikome prawdopodobieństwo, że skryli się właśnie na chwilę za którąś z maleńkich wysepek po wschodniej stronie zatoki, lustrowałem je kilka minut przez lornetkę, ale i tam nie dostrzegłem żadnego ruchu. Heissman musiał opuścić zatokę.

Mógł wypłynąć na otwarte morze na wschodzie, omijając północny cypel wyspy Makehl, ale wydało mi się to mało prawdopodobne. Ciągące z północy fale łamały się tam w groźną, spienioną kapiel, a Heissman był nie tylko najdokładniejszym przeciwnikiem nieustraszonego żeglarza, jakie można sobie wyobrazić, ale przede wszystkim na pewno nie zapomniał ostrzeg Smithy'ego przed wyruszeniem otwartą łodzią na wzburzone morze. Wydawało się znacznie prawdopodobniejsze, że popłynął na południe od Sorhammy w zaciszniejsze rejony sąsiedniej zatoki, Evjebukty.

Zatem ja także ruszyłem na południe. Z początku odbiłem nieco na zachód, by jak najszerszym kołem ominąć klify zatoki, nie z powodu lęku wysokości, lecz dlatego, że właśnie gdzieś tam Hendriks i Trzej Apostołowie nagrywali krzyk mew trzypalcowych, mew arktycznych i czarnych nurzyków, z których słynęły te tereny. Nie miałem żadnego powodu, żeby czegokolwiek się z ich strony obawiać, po prostu nie chciałem wzbudzać zbytej ciekawości.

Wspinaczka na ukos po zwodniczo łatwym zboczu była niezwykle mozolna. Zdolności alpinistyczne okazały się na szczęście niepotrzebne; na szczęście, gdyż nie tylko nie miałem doświadczenia w tej dziedzinie, ale i żadnego odpowiedniego sprzętu. Przydałby się natomiast ogromnie radar do wykrywania pod idealną gładzią bieli ukrytych szczelin i nagłych uskoków, ponieważ jednak niczym takim nie dysponowałem, w dość regularnych odstępach czasu zapadałem się raptownie w zaspy świeżo nawianego śniegu, sięgającego mi czasami nawet do ramion. Nie było to niebezpieczne, świeży śnieg niemal idealnie amortyzuje upadki, ale to nieustanne wygrzebywanie się z miniaturowych wąwozów i wyszukiwanie pod nogami kawałków twardego gruntu – a pokrywała je warstwa kopnego śniegu rzadko cieńsza niż dwanaście, piętnaście cali – było niezwykle męczące. Jeśli posuwanie się po tym

stosunkowo łatwym terenie nastęczało mi tyle trudności, to ciekaw byłem, jak Smithy i Heyter dają sobie radę w górzystych i nierównych rejonach dalej na północy.

Ponad półtorej godziny zajęło mi pokonanie niecałej mili do punktu na wysokości mniej więcej pięciuset stóp, skąd otwierał się już widok na następną zatokę, Eyjebuktę. Sięgała od Kapp Malmgren na północnym wschodzie po Kapp Kolthoff na południowym zachodzie, miała nieco ponad milę długości, może z pół mili szerokości i kształt rozciągniętej podkowy. Wszystkie brzegi zatoki opadały pionowymi, niedostępnymi, groźnymi klifami wprost do wody. Ani odpychająco sine wody zatoki, ani urwiste wapienne ściany nie oferowały żadnego schronienia tym, którzy znaleźliby się w niebezpieczeństwie na morzu.

Zwaliłem się z ulgą na śnieg i kiedy serce przestało mi łomotać w piersi, a oddech uspokoił się na tyle, żebym mógł bez drżenia utrzymać w rękach lornetkę, przeczesałem nią Eyjebuktę. Nigdzie śladu życia. Słońce już weszło, wisiało nisko nad horyzontem na południowym wschodzie i choć świeciło mi prosto w oczy, widoczność była wystarczająco dobra, a lornetka dość silna, by dostrzec mewy kołyszające się na falach zatoki. Na północy było kilka maleńkich wysepek, a bezpośrednio pode mną strome urwisko, kryjące przed moim wzrokiem wszystko, co znajduje się u jego podnóża. Gdyby łódź schowała się za którąś z tych wysepek albo w dole, pod moim punktem obserwacyjnym, to przecież Heissman nie mógł długo pozostawać w takim miejscu, bo nic go tam nie zatrzymywało.

Spojrzałem na południe, poza Kapp Kolthoff. Słońce lśniło tam na grzbietach spienionych fal, nie zasnutych cieniem lądowego masywu. Byłem pewien, jak tylko można być pewnym nie mając niezbitego dowodu, że nie wypuścili się poza osłonę tego przylądka. Nie tylko dlatego, że z Heissmana był taki marynarz jak ze mnie baletnica, ale i z tego powodu, że Goin wydawał mi się człowiekiem zbyt rozważnym, by niebaczenie wystawiać się na coś, co choćby tylko z lekka trąciło niebezpieczeństwem.

Nie wiem, jak długo leżałem tam, w tym śniegu, czekając, aż łódź wyłoni się zaa którejś z wysepek albo poniżej zaa zasłony mojego urwiska; nagle uzmysłowiłem sobie, że cały trzęsę się z zimna, a ręce i nogi mam kompletnie zgrabiałe. Uzmysłowiłem sobie także coś jeszcze. Od kilku minut trzymałem lornetkę nastawioną nie na północny kraniec zatoki, lecz na pewien punkt u podnóża klifów na południu, mniej więcej trzysta jardów na północny zachód od Kapp Kolthoff, gdzie wypatrzyłem dziwne wklęsnięcie w pionie skalnego brzegu. Po trosze dlatego, że odchyłało się jakby w prawo i znikało zaa załamaniem skalnej ściany strzegącej do niego wejścia, a po części z powodu niezwykle głębokiego cienia – brzeg w tym miejscu był bardzo wysoki, a słońce świeciło dokładnie z tyłu – nie byłem w stanie dostrzec, co znajduje się w głębi, poza tym wąskim wejściem. Bo że jest to wejście do jakiejś maleńkiej zatoczki, nie wątpiłem ani przez chwilę. W całym zasięgu mojej

lornetki było to jedyne miejsce, gdzie dałoby się ukryć łódź; po co ktoś miałby ją tam ukrywać, to zupełnie odrębne zagadnienie, o którego rozwiązanie nie próbowałem się nawet pokusić. Jedno było pewne: o zakradnięciu się tam łądem nie mogło być mowy. Nawet gdybym nie skręcił karku przez co najmniej dwie godziny, potrzebne na dotarcie do tego miejsca, to wyprawa i tak by nic nie dała, bo zejście po tych zwieszających się nad wodą czarnych skałach równałoby się samobójstwu. Ale nawet gdyby jakimś cudem mi się to udało, to jeden rzut oka wystarczył, żeby ostatecznie przekonać się o bezcelowości takiej eskapady: u ich podnóża nie było nawet skrawka płaskiego czy choćby stromego terenu – pionowe ściany litego wapienia pogrążały się wprost w ciemnych i lodowatych wodach zatoki.

Ścierpnięty i zgrabiąły, podniosłem się niezdarnie i ruszyłem z powrotem do stacji. Tym razem szło mi się łatwiej, bo z góry, a mając przed sobą własne ślady, zdołałem uniknąć większości niespodzianych lądowań pod zarwanym śniegiem, które tak bardzo utrudniały mi wspinaczkę. Mimo to do baraku dotarłem dopiero przed pierwszą.

Byłem już kilka kroków od drzwi, kiedy otworzyły się one raptownie i stanęła w nich Mary Stuart. Serce zamarło mi w piersi, a w dołku poczułem jakiś nieprzyjemny ucisk. Rozwiane włosy, blada, wstrząśnięta twarz, rozbiegany, przerażony wzrok. Musiałbym być ślepy, żeby nie zrozumieć, że gdzieś bardzo blisko znów przeszła śmierć.

–Dzięki Bogu! – Głos miała matowy, słycać w nim było ły. – Dzięki Bogu, że pan wrócił! Szybko, stało się coś strasznego!

Nie traciłem czasu na wypytywanie, było jasne, że i tak zaraz się tego dowiem. Po prostu wbiegłem za nią do baraku i jednym z korytarzy dotarłem do otwartych drzwi pokoju Judith Haynes. Rzeczywiście stało się coś strasznego, ale powodu do pośpiechu już nie było. Judith Haynes zsunęła się ze swego łóżka i leżała obok na podłodze, przykryta częściowo kocem, który najwyraźniej ściągnęła za sobą. Na łóżku leżała opróżniona w trzech czwartych fiołka środków nasennych, obok niej jeszcze kilka rozsypanych tabletek, a na podłodze butelka dzinu, także w trzech czwartych pusta; Judith Haynes wciąż jeszcze zaciskała w rękę jej szyjkę. Schyliłem się i dotknąłem alabastrowego czoła. Nawet biorąc pod uwagę bardzo niską temperaturę w pokoju, musiała nie żyć już od wielu godzin. „Niech się pan postara, żeby ten sen trwał jak najdłużej... Jak najdłużej...”

–Czy ona... czy ona...? – W obecności zmarłych ludzie zaczynają mówić szeptem.

–Czy widok trupa pani nie wystarczy? Ktoś musi pani potwierdzić, że to trup? – Było to bardzo brutalne z mojej strony, ale czułem, jak wzbiera we mnie chłodna wściekłość, która miała mnie już nie opuścić do końca pobytu na tej wyspie.

–Ja... jej nie dotykałam... ja...

–Kiedy ją pani znalazła?

–Przed chwilą. Minutę, dwie temu. Przygotowałam coś do jedzenia, trochę kawy i przyszłam spytać...

–Gdzie reszta? Lonnie, Sandy, Eddie?

–Gdzie reszta? Nie wiem. Wyszli jakiś czas temu. Powiedzieli, że na spacer.

Akurat! Istniał tylko jeden powód, dla którego przynajmniej dwóch z nich ruszyłoby się dalej niż do frontowych drzwi.

–Niech pani ich tu sprowadzi. Znajdzie ich pani w magazynku żywności.

–W magazynku żywności? Po co by tam mieli chodzić?

–Po whisky Ottona Gerrana.

Wybiegła z pokoju. Odsunąłem na bok fiolkę, rozsypane pastylki i butelkę dżinu, podniosłem Judith Haynes i położyłem ją na łóżku; zostawienie jej na deskach podłogi byłoby zwykłym okrucieństwem. Rozejrzałem się szybko po pokoju, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego. Okno było nadal zaśrubowane, kilka ubrań, które zdążyła rozpakować, leżało starannie złożone na małym taborecie. Mój wzrok przykuła butelka dżinu. Stryker mówił mi, a i ona sama mówiła Lonniemu, że nie bierze alkoholu do ust, że nie piła już od wielu lat. Abstynent nie wozi ze sobą butelki dżinu na zupełnie nieprawdopodobną okoliczność, że nagle a niespodziewanie najdzie go ochota.

Do pokoju weszli Lonnie, Eddie i Sandy, a z nimi aromat destylarni z gór Szkocji, ale poza tym nic nie świadczyło o tym, że przebywali w baraku z żywnością. Nie wiem, w jakim stanie zastała ich Mary Stuart, ale teraz byli absolutnie trzeźwi. Stanęli w progu i wpatrywali się w martwą Judith Haynes z wyrazem szoku na twarzach, bez jednego słowa. To chyba zrozumiałe, bo niby co sensownego można w takiej sytuacji powiedzieć.

–Trzeba zawiadomić pana Gerrana o śmierci córki – przerwałem po chwili to milczenie. – Wyprawił się na północ do następnej zatoki. Łatwo go będzie znaleźć, wystarczy iść śladami ratraka. Wydaje mi się, że powinniście pójść wszyscy trzej.

–Boże, zmiłuj się nad nami – powiedział Lonnie bolesnym, pełnym szacunku szeptem. – Biedna dziewczyna, biedactwo, biedactwo! Najpierw jej mąż, a teraz ona. Kiedy to się wreszcie skończy, doktorze?

–Nie wiem, Lonnie. Życie nie zawsze nas rozpieszcza, nie sądzi pan? Aha, nie musicie się zabijać w poszukiwaniu Gerrana. Do tego wszystkiego potrzeba nam jeszcze tylko zawaha.

–Biedna mała Judith – mruknął Lonnie. – A co mamy powiedzieć Ottonowi, jeśli zapyta o przyczynę śmierci? Alkohol i środki nasenne to dość zabójcza kombinacja, prawda?

–Najczęściej.

Spojrzeli niepewnie po sobie, po czym odwrócili się i wyszli.

–Co mam robić? – spytała Mary Stuart.

–Nie ruszać się z miejsca. – Szorstkość mego tonu zaskoczyła mnie samego. – Muszę z panią porozmawiać.

Znalazłem jakiś ręcznik i chusteczkę do nosa, w ten pierwszy zawinąłem butelkę dżinu, w tę drugą – fiolkę po barbituranach. Kątem oka spostrzegłem, że Mary obserwuje moje czynności szeroko otwartymi oczyma, w których maluje się zdumienie, a może i strach. Podeszedłem do zmarłej, żeby dokonać pobieżnych oględzin, sprawdzić, czy nie ma na sobie jakichś widocznych śladów. Niewiele było do sprawdzania. Choć spała w łóżku przykryta wszystkimi kocami, była całkowicie ubrana, nawet w kurtkę i coś w rodzaju futrzanych spodni. Nie musiałem długo szukać. Skinieniem ręki przywołałem Mary i pokazałem maleńkie nakłucie na karku, które ukazało się po podniesieniu włosów. Przesunęła koniuszkiem języka po wyschniętych wargach i spojrzała na mnie ze zgrozą.

–Tak – odpowiedziałem na jej nieme pytanie. – Została zamordowana. I jak się pani teraz czuje, Mary droga? – Słowa, którymi się do niej zwróciłem, były czułe, ale ton mego głosu nie.

–Zamordowana? – szepnęła. – Zamordowana! – Spojrzała na zawiniątka, ponownie przesunęła językiem po wargach, zaczerpnęła oddechu, żeby coś powiedzieć, ale z jej ust nie padło ani jedno słowo, zupełnie nie była w stanie dobyć z siebie głosu.

–Może rzeczywiście ma w żołądku trochę dżinu, a nawet tabletkę nasenną, choć szczerze w to wątpię. Nieprzytomnego bardzo trudno zmusić do łykania. Może na butelce i fiolce nie ma żadnych innych odcisków palców, mogły zostać starte. Ale jeśli na szyjce butelki znajdziemy tylko odcisk jej wskazującego palca i kciuka... No cóż, raczej nie sposób wypić trzy czwarte butelki dżinu, trzymając ją w dwóch palcach. – Mary nie przestawała wpatrywać się z fascynacją i grozą w różowy ślad po ukłuciu na karku Judith Haynes. Zasłoniłem go na powrót włosami. – Nie wiem tego na pewno, ale sądzę, że zabito ją wstrzyknięciem śmiertelnej dawki morfiny. I jak się pani teraz czuje, Mary droga?

Spojrzała na mnie wzrokiem zbitego psa, ale nie miałem zamiaru trwonić swego współczucia na żywych.

–Powtarza pan to już drugi raz. Dlaczego pan tak mówi?

–Bo ma pani udział w tym, że ją zabiło. Może nawet spory. Zabiło ją niezwykle sprytnie. Znakomicie mi idzie wykrywanie takich sprawek – zawsze, kiedy jest już za późno. Świetnie upozorowane samobójstwo, ale ja wiem, że ona nie piła alkoholu. No więc?

–Ja jej nie zabiłam! O Boże, ja jej nie zabiłam! Nie zabiłam jej, nie zabiłam!

–I modłę się do Boga, żeby nie była pani winna także śmierci Smithy’ego – ciągnąłem z wściekłością. – Jeśli Smithy nie wróci, pani będzie pierwsza na liście współników mordercy!

–Pana Smithy’ego?! – Była kompletnie oszołomiona i wyglądała tak żałośnie, że bardziej już nie można, ale pozostałem niewzruszony. – Przysięgam na Boga, że nie wiem, o czym pan mówi!

–Jasne, jasne! Kiedy zapytam, co tu się rozgrywa między Gerranem i Heissmanem, też oczywiście nie będzie pani wiedziała. No bo niby skąd takie słodkie i niewinne dziecko jak pani miałoby to wiedzieć? Tak jak niby skąd miałyby pani wiedzieć, co się rozgrywa między panią a pani drogim, kochanym wujem Johannem, prawda?

Patrzyła na mnie tępym wzrokiem katowanego zwierzęcia i kręciła przecząco głową. Uderzyłem ją. Zdawałem sobie sprawę, że gotująca się we mnie wściekłość jest bardziej wściekłością na siebie samego niż na nią, a mimo to nie mogłem się opanować i uderzyłem ją. Kiedy spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakim konający pies mógłby spojrzeć na swego ukochanego pana, który go właśnie śmiertelnie postrzelił, ponownie podniosłem rękę. Zamknęła oczy, odwróciła twarz w bok i nawet nie uchyliła głowy. Ręka opadła mi bezsilnie i zrobiłem to, od czego w ogóle powinienem był zacząć – objąłem ją i z całej siły przytuliłem do siebie. Nawet nie próbowała się wyrwać czy opierać. Po prostu stała bez ruchu, zupełnie bezwolna; nie miała już siły stawiać żadnego oporu.

–Biedactwo, biedna droga Mary – powiedziałem. – Nie ma już pani dokąd uciec, prawda? – Nic nie odpowiedziała, nie otworzyła nawet oczu. – Johann Heissman jest takim pani wujem jak ja. W dokumentach imigracyjnych podała pani, że pani rodzice nie żyją. Przypuszczam, że oboje żyją i że Heissman wcale nie jest bratem pani matki. Przypuszczam, że trzyma panią jako zakładniczkę, by wymusić sobie ich posłuszeństwo, a ich jako zakładników posłuszeństwa pani. Nie przypuszczam, że Heissman coś knuje, tylko wiem to na pewno, tak jak nie przypuszczam, że jest przestępcą na skalę międzynarodową, bo i to wiem z całą pewnością. Wiem, że nie

jest pani Łotyszką, lecz czystej krwi Niemką. Wiem, że pani ojciec zajmował w czasie wojny eksponowane stanowisko w berlińskich sztabach. – Wcale tego wszystkiego nie wiedziałem, ale wydawało się to na tyle prawdopodobne, że podobny strzał nie był już strzałem w ciemno. – Wiem także, że w całej tej sprawie chodzi o ogromne pieniądze, nie w gotówce, ale zbywalnych papierach wartościowych. To wszystko się zgadza, prawda?

–Skoro tyle pan wie, nie ma już co udawać. – Matowym głosem powiedziała po chwili milczenia. Odsunęła się odrobinę i spojrzała na mnie wzrokiem pokonanego. – Pan nie jest prawdziwym lekarzem?

–Najprawdziwszym, choć od wielu już lat nie praktykującym, za co wszyscy moi niedoszli pacjenci powinni dziękować czuwającej nad nami opatrności. Jestem pracownikiem jednej z agend rządu brytyjskiego. Nie, nie, żaden wywiad ani kontrwywiad, nic tak romantycznego. Proza życia, zwykle Ministerstwo Skarbu. Szwindle Heissmana interesują nas już od dłuższego czasu i dlatego właśnie tu jestem. Ale że nadzieję się na dwa wory kłopotów, tego się nie spodziewałem.

–Co pan chce przez to powiedzieć?

–Nawet gdybym mógł wszystko wytłumaczyć, za długo by to trwało. A na razie jeszcze nie mogę. I mam mnóstwo roboty.

–A pan Smith? – Zawahała się na chwilę. – On też jest z ministerstwa? – Skinąłem głową. – Tak myślałam. – Znow się zawahała. – Mój ojciec dowodził w czasie wojny grupą łodzi podwodnych. Był także wysoko w partii, chyba bardzo wysoko. A potem nagle zniknął...

–W jakim rejonie działały jego łodzie?

–Przez ostatni rok Tromsø, Trondheim, Narvik, chyba gdzieś tam, nie jestem pewna. – Poczuję nagle, że to musi być prawda. Miałem, miałem jakiś ślad.

–A potem zniknął – powiedziałem. – Zbrodnie wojenne? – Skinęła głową. – A teraz jest już starym człowiekiem. – Następne skinienie. – Amnestionowanym ze względu na wiek?

–Tak, trochę ponad dwa lata temu. I wtedy wrócił do nas. Pan Heissman zetknął nas ze sobą, nie wiem, w jaki sposób.

Mógłbym jej wytłumaczyć, jak wyjątkowe kwalifikacje do takiej roboty posiada Heissman, ale chwila była zupełnie nieodpowiednia.

–Pani ojciec jest nie tylko zbrodniarzem wojennym, ale i międzynarodowym kryminalistą – pewnie defraudantem na wielką skalę. A jednak robi to pani dla niego?

–Dla mojej matki.

–Przepraszam.

–To ja przepraszam. Przepraszam za wszystkie kłopoty, jakich panu narobiłam. Czy myśli pan, że mojej matce nic się nie stanie?

–Tak myślę – odparłem. Biorąc pod uwagę mój katastrofalny brak jakichkolwiek osiągnięć w zachowywaniu ludzi przy życiu, było to zapewnienie mocno na wyrost.

–Ale co możemy zrobić? Co, na litość boską, możemy poradzić na te wszystkie okropieństwa, które tu się dzieją?

–My? Ja wiem, co mam robić. Chodzi o to, co pani ma zamiar zrobić.

–Zrobię wszystko, wszystko, co pan każe. Obiecuję.

–W takim razie niech pani nie robi nic. Niech się pani zachowuje dokładnie tak jak do tej pory. Zwłaszcza w stosunku do wuja Johanna. I ani słowa o naszej rozmowie. Ani jemu, ani w ogóle nikomu.

–Nawet Charlesowi?

–Conradowi? Jemu przede wszystkim.

–Ale przecież pan go lubi...

–Pewnie, że go lubię, ale nawet nie w połowie tak bardzo jak on lubi panią. Zerwałby się na równe nogi i zakatrupił Heissmana na miejscu. Jak dotychczas – powiedziałem z goryczą – nie popisałem się przebiegłością i sprytem. Niech mi pani da jeszcze jedną szansę. – Zastanowiłem się nad tym sprytem i dodałem: – Coś jednak może pani zrobić. Gdyby ktoś wracał do stacji, niech mnie pani szybko uprzedzi. Mam zamiar trochę się tu porozglądać.

Otto miał prawie tyle zamków, ile ja kluczy. Jak przystało na prezesa Olympus Productions, producenta filmu i de facto szefa ekspedycji, zabrał ze sobą ogromne ilości bagażu. W większości były to rzeczy osobiste i ubrania, bo choć z uwagi na swój kulisty kształt automatycznie nie łąpał się do pierwszej dziesiątki najlepiej ubranych mężczyzn świata, to aspiracje w tej dziedzinie miał wręcz rozbuchane. Przytaszczył ze sobą ładne kilkanaście garniturów, ale gdzie miał zamiar w nich występować tu, na Wyspie Niedźwiedziej, było zupełnie nie do pojęcia. Bardziej interesujące okazały się dwie małe pękate brązowe walizki, służące jedynie do zamaskowania znajdujących się wewnątrz nich metalowych szkatuł.

Szkatuły te zamykały się na wielkie mosiężne klamry z imponujących rozmiarów

klódkami, które ślepy i sparaliżowany włamywacz otworzyłby w niecałą minutę, a ja otworzyłem w niecałe dwie. Pierwsza zawierała nieistotne szpargały, nie mające dla nikogo poza Gerranem żadnego znaczenia: setki wycinków prasowych z ostatnich dwudziestu lat, wybranych bez wątpienia z uwagi na ich pochwalne treści, wszystkie zgodnym chórem piejące peany na cześć kinematograficznego geniuszu Ottona – dokładnie ten rodzaj krzepiącej karmy dla ego Gerrana, jaki woził ze sobą pewnie zawsze i wszędzie. Druga szkatuła zawierała dokumenty natury czysto finansowej, zapis wszystkich transakcji, przychodów i rozchodów Gerrana na przestrzeni wielu, wielu lat. Stanowiłyby zapewne fascynującą lekturę dla każdego inspektora podatkowego czy szanującego prawo buchaltera, ale mnie w ogóle nie interesowały. Zainteresowała mnie natomiast, i to ogromnie, cała kolekcja unieważnionych książeczek czekowych, a ponieważ uznałem, że w pępku Arktyki nic Gerranowi po nich, wsunąłem je do własnej kieszeni, sprawdziłem, czy zostawiam wszystko dokładnie tak, jak zastałem, i opuściłem pokój.

Jak przystało na głównego księgowego firmy, Goin także miał skłonność do trzymania wszystkiego pod kluczem, ponieważ jednak całość jego bagaży nie sięgała czwartej części tego, co zabrał ze sobą Otto, ich przeszukanie zajęło mi odpowiednio mniej czasu. I znów, jak przystało na głównego księgowego, zainteresowanie Goina skupiało się na kwestiach finansowych, a jako że i mnie zaczęły one nagle interesować, pozwoliłem sobie zabrać trzy pozycje, których lektura w wolnej chwili zapowiadała się niezwykle ciekawie. Były to listy płac Olympus Productions, prywatna książeczka bankowa Goina i oprawny w marokin notatnik, pełen zapisków prowadzonych jakimś prywatnym szyfrem, bez wątpienia jednak dotyczących prawdziwych pieniędzy, bo Goin nie zawracałby sobie głowy wymyślaniem prywatnego szyfru dla kolumn jakichś tam marnych funtów i pensów. Nie było w tym nic zdrożnego. Umiejętność dochowywania sekretów, zwłaszcza sekretów innych osób, jest u każdego księgowego cechą niezwykle pożądaną.

W ciągu następnych dwóch kwadransów przeszukałem cztery pokoje. W pokoju Heissmana znalazłem to, czego się spodziewałem, czyli nic. Człowiek z jego przeszłością i doświadczeniem już dawno musiał odkryć, że jedynym miejscem, gdzie można bezpiecznie przechowywać swoje archiwa, jest własna pamięć. Mimo to miał u siebie kilka zupełnie niewinnych przedmiotów – przypuszczam, że potrzebne mu były do przygotowania prospektu najnowszego filmu – które mnie zaciekały, a mianowicie bardzo dokładne mapy Wyspy Niedźwiedziej. Jedną z nich zabrałem.

W papierach Neala Divine'a nie znalazłem nic ciekawego, poza nie popłaconymi rachunkami, nie wykupionymi wekslami i kilkoma listami z najróżniejszych banków z mniej lub bardziej zawołowanymi pogrózkami. Był to rodzaj korespondencji doskonale pasujący do załęknięcia, nerwowości i, ogólnie rzecz biorąc, kompletnej depresji Divine'a. Na dnie staroświeckiego sakwojażu Hrabiego znalazłem mały czarny rewolwer, naładowany, ale ponieważ w kopercie obok leżało aktualne londyńskie pozwolenie na broń, odkrycie to nie musiało mieć jakiegoś wyjątkowego

znaczenia. Liczba praworządnych obywateli praworządnej Anglii, którzy z różnych przyczyn uważają za stosowne posiadać broń, jest wcale nie taka mała. W pokoju zajmowanym przez Jungbecka i Heytera nie znalazłem niczego obciążającego. Zaintrygowała mnie jednak niewielka brązowa koperta, którą znalazłem w walizce Jungbecka. Była zaklejona. Zabrałem ją do sali ogólnej, gdzie wartowała Mary Stuart, biegnąc od okna do okna – było ich razem cztery.

–Nikt nie idzie? – spytałem. Potrząsnęła przecząco głową. – Niech pani nastawi czajnik.

–Tam jest trochę kawy i jakieś kanapki.

–Nie chodzi mi o kawę. Niech pani nastawi czajnik, pół cala wody wystarczy. – Podałem jej kopertę. – Będzie to pani umiała otworzyć nad parą?

–Otworzyć nad parą? Co to jest?

–Gdybym wiedział, tobym pani o to nie prosił.

Poszedłem do pokoju Lonniego, ale nie znalazłem w nim nic poza jego wspomnieniami – albumem pożółkłych fotografii. Z nielicznymi wyjątkami były to wszystko zdjęcia rodzinne, najwyraźniej przez niego robione. Na kilku pierwszych widniała atrakcyjna młoda brunetka z falującą fryzurą do ramion, tak charakterystyczną dla lat trzydziestych, i dwoma niemowlętami na rękach, bez wątpienia bliźniętami.

Dalsze fotografie ujawniały, że niemowlęta są dziewczynkami. Mimo upływu lat żona Lonniego zmieniała się zdumiewająco mało – choć fryzury zmieniała dość często – tymczasem dziewczynki rosły ze strony na stronę, aż w końcu wyrosły na piękne panny bardzo podobne do swojej matki. Na ostatniej fotografii, mniej więcej w dwóch trzecich albumu, wszystkie trzy stały w białych letnich sukienkach oparte o ciemny sportowy kabriolet. Dziewczęta mogły mieć wówczas po osiemnaście lat. Zamknąłem album. Czułem się nieswojo i męczyło mnie poczucie winy człowieka, który wdepnie z buciarami, choćby zupełnie niechcący, w najintymniejsze zakamarki duszy drugiego człowieka.

Przechodziłem korytarzem do pokoju Eddiego, kiedy zawołała mnie Mary. Otworzyła kopertę i trzymała jej zawartość przez białą chusteczkę.

–Bardzo rozsądnie – pochwaliłem ją.

–Dwa tysiące funtów – szepnęła jak urzeczona. – Wszystko w nowiutkich pięćofuntówkach.

–Kupa pieniędzy. – Banknoty były nie tylko nowe, miały kolejne numery serii.

Spisałem sobie pierwszy i ostatni numer. Ich wyśledzenie nie nastroczało żadnych trudności. Ktoś tu się okazał niezwykle głupi albo niezwykle pewny siebie. To był jedyny dowód rzeczowy, którego nie zatrzymałem. Wsunąłem pieniądze do koperty, zakleiłem ją ponownie i odłożyłem na miejsce w walizce Jungbecka. Kiedy ktoś ma przy sobie tyle pieniędzy, może lubić często sprawdzać, czy mu nie zniknęły.

Ani u Eddiego, ani u Hendriksa nie znalazłem niczego ciekawego, a pobieźny rzut oka na pokój Sandy'ego ujawnił mi tylko tyle, że Sandy miał znacznie mniej skrupułów niż Lonnie: całymi butelkami podwędzał szkocką Gerrana. Pokój „Trzech Apostołów” ominąłem; byłem pewien, że jego przeszukiwanie to strata czasu. Nawet do głowy mi nie przyszło zaglądać do Conrada.

Było kilka minut po trzeciej, powoli zaczynało się już ściemniać, kiedy wróciłem do Mary Stuart. Lonnie i jego dwaj koledzy już dawno powinni dotrzeć do Ottona i jego grupy, ich powrót poważnie się opóźniał. Mary już jadła – tak przynajmniej powiedziała – a dla mnie przygotowała stek z frytkami, jedno i drugie z mrożonek. Widziałem, że z niepokoju nie może usiedzieć na miejscu. Powodów istotnie nie brakowało, tym razem jednak, byłem tego pewien, denerwowała się czymś – czy raczej kimś – bardzo konkretnie.

–Gdzie oni się, u licha, podziewają? – Nie wytrzymała. – Coś im się musiało przydarzyć.

–Nic mu nie będzie. Pewnie zapuścili się dalej, niż mieli zamiar, i tyle.

–Mam nadzieję. Ściemnia się, zaczyna sypać śnieg... – Urwała i spojrzała na mnie ni to zmieszana, ni to z wyrzutem. – Strasznie pan sprytny, co?

–Niestety nie aż tak strasznie, a szkoda, bo bardzo bym chciał – odparłem i wstałem od niemal nietkniętego talerza. – Dziękuję. Przepraszam, że nic nie zjadłem, to nie pani wina, po prostu nie jestem głodny. Idę do siebie.

–Ściemnia się – powtórzyła ni w pięć, ni w dziewięć.

–To nie potrwa długo, zaraz wrócę.

Położyłem się na łóżku i przejrzałem łup z poszczególnych pokoi. Nie musiałem go przeglądać długo ani wykazywać się nadzwyczajnymi zdolnościami dedukcyjnymi, by pojąć jego wagę. Listy płac były pouczające, ale nawet nie w połowie tak bardzo, jak zbieżności między książeczką czekową Gerrana i książeczką bankową Goina. Ale najciekawsza ze wszystkiego była mapa, a konkretniej mała wstawka w jej rogu pokazująca w najdrobniejszych szczegółach zatokę Evjebukta. Wodziłem wzrokiem po mapie i rozmyślałem właśnie o szanownym tatusiu Mary Stuart, kiedy ona sama weszła do mojego pokoju.

–Ktoś idzie.

–Kto?

–Nie wiem. Jest już ciemno i pada śnieg.

–Z której strony?

–Stamtąd. – Pokazała na południe.

–To musi być Hendriks z Trzema Apostołami. – Zawinąłem dokumenty w mały ręcznik i podałem je Mary Stuart. – Niech pani to schowa w swoim pokoju. – Odwróciłem do góry nogami swoją walizeczkę lekarską, wyjąłem z kieszeni mały składany śrubokręt i zacząłem odkręcać cztery ozdobne ćwieki na denku służące za nóżki.

–Dobrze, oczywiście... – Zawahała się. – Nie mógłby mi pan powiedzieć...

–Jest tu kilka zupełnie bezwstydných osób, które bez żadnych skrupułów pogrzebałyby sobie w cudzych rzeczach, zwłaszcza moich. To znaczy, pod moją nieobecność. – Odłożyłem na bok dolną pokrywę i wyjąłem małe, płaskie, czarne pudełko wpasowane idealnie w dno walizeczki.

–Pan dokądś wychodzi – powiedziała machinalnie, jak ktoś, kto nie jest już w stanie niczemu się dziwić. – Dokąd?

–Na pewno nie na drinka do miejscowej knajpy. – Podałem jej czarne pudełko. – Ostrożnie, ciężkie. To też niech pani gdzieś schowa, byle dobrze.

–Ale co...

–Szybko, są już przy drzwiach.

Pobiegła do swego pokoju. Umocowałem z powrotem pokrywę denka i poszedłem do sali. Zastąpiłem tam Hendriksa i Trzech Apostołów, a ze sposobu, w jaki zabijali ręce, by przywrócić krążenie krwi, popijając jednocześnie łąpczywie gorącą kawę, którą Mary Stuart zostawiła na kuchence, wywnioskowałem, że wrócili z największą radością. Radość ta wyparowała gwałtownie, kiedy w krótkich słowach powiadomiłem ich o śmierci Judith Haynes. Tak jak cała reszta towarzystwa nie mieli powodów, by żywić do niej jakąś sympatię, ale już sam fakt, że znów zginął ktoś, kogo znali – choćby śmiercią samobójczą – i to w tak krótkim odstępie czasu po poprzednich morderstwach, wystarczył, by odebrać im mowę i przyprawić o szok, z którego nie zdążyli się jeszcze otrząsnąć, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i stanął w nich Otto. Chwytał powietrze jak ryba i chyba ledwo stał na nogach, choć w jego przypadku takie objawy fizycznego wycieńczenia nie musiały

być skutkiem jakiegoś forsownego wysiłku; Otto nawet po zawiązaniu sznurówek sapał i dyszał dość niepokojąco. Spojrzałem na niego wzrokiem, w którym, miałem nadzieję, malowało się należyte przejęcie.

–Panu nie wolno tak się denerwować, panie Gerran – powiedziałem z troską. – Wiem, że musi to być dla pana straszny wstrząs...

–Gdzie ona jest? – przerwał mi ochryplym głosem. – Gdzie jest moja córka? Na miłość boską, jak...

–W swoim pokoju. – Zrobił taki gest, jakby chciał odsunąć mnie na bok, ale nie ruszyłem się z miejsca. – Za chwilę, panie Gerran. Muszę najpierw sprawdzić, czy... No, sam pan rozumie...

Popatrzył na mnie spode łba, po czym skinął niecierpliwie głową na znak, że rozumie, czego ja o sobie nie mógłbym powiedzieć, i warknął:

–Byle szybko.

–To potrwa tylko chwilę. – Spojrzałem na Mary Stuart. – Proszę podać panu Gerranowi kieliszek koniaku.

To, co miałem do zrobienia w pokoju Judith Haynes, zajęło mi zaledwie dziesięć sekund. Nie życzyłem sobie kłopotliwych pytań Ottona o to, kto tak pieczołowicie pozawijał w ręczniki butelkę po dżinie i fiolkę po lekach i po co to zrobił, toteż ująłem je ostrożnie za końce szyjek, odwinąłem, położyłem w odpowiednio rzucających się w oczy miejscach i dopiero wtedy go zawołałem. Pokręcił się po pokoju, stosownie przybity i niepoczyszony, ale nie stawiał oporu, kiedy wziąłem go pod ramię, zasugerowałem, że pozostawanie tu niczego już nie zmieni, i wyprowadziłem na korytarz.

–Oczywiście samobójstwo? – spytał za drzwiami.

–Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

–Boże, jak ja sobie wyrzucam... – Westchnął ciężko.

–Nie ma pan sobie nic do zarzucenia. Widział pan, jak bardzo załamała ją wiadomość o śmierci męża. Zwykły, staroświecki ból po stracie ukochanego.

–W takich chwilach dobrze mieć przy sobie kogoś takiego jak pan – mruknął. Skwitowałem to skromnym milczeniem, odstawiłem go z powrotem do butelki koniaku i spytałem: – A gdzie reszta?

–Kilka minut za mną. Pobieglem przodem.

–Dlaczego Lonnie tak długo musiał was szukać?

–To był wymarzony dzień na zdjęcia. Takie plenery! Szliśmy dalej i dalej, każde następne ujęcie jeszcze lepsze od poprzedniego. A do tego ta akcja ratunkowa. Wielki Boże, nie wiem, czy realizację jakiegoś filmu prześladował kiedy taki pech...

–Akcja ratunkowa? – Miałem nadzieję, że w moim głosie słyhać tylko zdziwienie, ale po plecach przebiegł mi mróz.

–Heyter skręcił nogę. – Siorbnął odrobinę koniaku i potrząsnął ciężko głową, żeby pokazać, jaki to krzyż pański przyszło mu dźwigać. – Spadł w czasie wspinaczki ze Smithem. Zwichnął albo złamał sobie nogę w kostce, dokładnie nie wiem. Zobaczyli nas na Drodze Lenera, kiedy szliśmy mniej więcej w ich stronę, choć oni oczywiście byli znacznie wyżej. Heyter namówił chyba Smitha, żeby szedł dalej. Przekonał go, że nic mu nie będzie, że ściągnie na siebie naszą uwagę i wróci z nami na stację. – Pokręcił głową i dopił koniaku. – Głupiec jeden!

–Nie rozumiem – powiedziałem. Z dworu dobiegł warkot nadjeżdżającego ratraka.

–Zamiast leżeć spokojnie i czekać, aż znajdziemy się w zasięgu głosu, próbował zleźć na dół, bliżej drogi. Oczywiście jego noga nie wytrzymała, zwałił się w jakąś szczelinę i porządnie potłukł. Nie wiem, jak długo leżał tam nieprzytomny. Było już dobrze po południu, kiedy usłyszeliśmy jego wołanie o pomoc. Ściągnięcie go na dół to był koszmar, prawdziwy koszmar. Czy to ratrak?

Skinąłem głową. Otto dźwignął się z krzesła i razem podeszliśmy do drzwi.

–A Smithy? – spytałem. – Czy widział pan Smithy’ego?

–Smitha? – Otto spojrzał na mnie lekko zdziwiony. – Nie, nie widziałem go. Przecież mówiłem panu, że poszedł dalej.

–Ano tak – powiedziałem. – Zapomniałem.

Byliśmy już przy drzwiach, kiedy otworzono je z zewnątrz i Conrad z Hrabią na poły wnieśli Heytera kuśtykającego z trudem na jednej nodze. Był w kiepskim stanie, głowa zwisała mu na piersi, całą prawą stronę pobladłej twarzy miał silnie pokaleczoną.

Położyli go na łóżku polowym, a ja zdjąłem mu prawy but. Noga w kostce była potężnie spuchnięta, brzydko odbarwiona i w kilku miejscach, tam gdzie skóra uległa rozdarciu, krwawiła. Podczas gdy Mary Stuart podgrzewała wodę, usadziłem go wygodnie na łóżku, dałem trochę koniaku, posłałem mu kilka moich najbardziej krzepiących lekarskich uśmiechów, wyraziłem współczucie z powodu takiego pecha i w duchu przysiągłem śmierć.

Rozdział 12

Zapas płynnych delicji Ottona kurczył się w zastraszającym tempie. Medycynie znane jest zjawisko, że istnieją ludzie, którzy na stres i ogromne napięcie reagują chorobliwie wzmożonym apetytem. Wśród pracowników Olympus Productions Ltd. takich ludzi nie było. Zapotrzebowanie na żywność spadło niemal do zera, odwrotnie proporcjonalnie do zapotrzebowania na alkoholową pociechę, a atmosfera w baraku niezwykle silnie przypominała nastrój, jaki zapanowuje w pubach Glasgow, gdy jakaś szkocka drużyna piłkarska weźmie solidne lanie od swych odwiecznych wrogów z drugiej strony granicy. Szesnaścioro obecnych – poza rannym Heyterem – rozsypało się po całej sali, nie wykazując najmniejszej chęci udania się na spoczynek. Nikt tego głośno nie powiedział, ale wszyscy ulegli kompletnie irracjonalnemu przekonaniu, że skoro Judith Haynes mogła umrzeć w swoim łóżku, zatem groziło to każdemu. Usiedli więc dwójkami i trójkami pod ścianami sali, jak najdalej od siebie, pili w milczeniu lub prawie szeptem wymieniali sporadyczne uwagi, omiatając nieustannie niespokojnym spojrzeniem pozostałych. Wszystko to pogłębiało atmosferę strachu i katastroficznej rezygnacji, której bezpośrednią przyczyną była jednak nie tyle śmierć Judith Haynes, co przeczucie kolejnej tragedii. Dochodziła już siódma, zapadła ciemna noc, z północy nadciągnęła gęsta śnieżycyca, a Heissman, Jungbeck i Goin jeszcze nie wrócili.

Otto, co rzadko mu się zdarzało, siedział sam, mełł w zębach cygaro, ale nie pił; sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w rozmyślaniach nad tym, jaki to kolejny cios trzyma dla niego w zanadrzu przeznaczenie. W czasie krótkiej wcześniejszej rozmowy z posępną miną zdradził mi swe głębokie przekonanie, że wszyscy trzej utonęli. Żaden z nich, podkreślił ponuro, nie miał pojęcia o obchodzeniu się z lodzią. Nawet gdyby udało im się przeżyć dłużej niż kilka minut w tych lodowatych wodach i dopłynąć do brzegu, to co ich tam czekało? Pionowa lita skała, której mogli czepiać się palcami do utraty resztki sił, by w końcu i tak pójść na dno; a gdyby nawet zdołali wdrapać się na brzeg w jakimś bardziej dostępnym miejscu, to i tak na lodowatym wietrze przenikającym mokrą odzież musieli natychmiast zamarznąć na śmierć. Postanowił, że jeśli nie wrócą, a teraz był już tego pewien, zrezygnuje z całego przedsięwzięcia i poczeka na pomoc sprowadzoną przez Smithy'ego, a gdyby ta też się spóźniła, zaproponuje całej ekipie podjęcie próby dotarcia do Tunheim. Na chwilę zapanowała zupełna cisza. Otto spojrzał w drugi koniec sali, gdzie właśnie stałem, uśmiechnął się niewesoło i jakby w rozpaczliwej próbie rozładowania atmosfery powiedział:

–No, jak to, doktorze Marlowe, stoi pan tak z pustymi rękami? Może się pan czegoś napije?

–Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – odparłem. Otto przesunął spojrzeniem po sali. Jeśli widok znikających gwałtownie zapasów jego trunków

przyprawiał go o katusze, to znakomicie nad sobą panował.

–Tamci uważają go, zdaje się, za świetny.

–Tamci nie muszą brać pod uwagę niebezpieczeństwa, jakie stwarza wystawianie skóry o rozszerzonych porach na silnie ujemne temperatury – odparłem.

–Słucham? – Przyjrzał mi się uważniej. – Co to ma znaczyć?

–Że jeśli Heissman, Jungbeck i Goin nie wrócą za parę minut, biorę drugą łódź i płynę ich szukać.

–Co takiego?! – Ton jego głosu zmienił się nie do poznania. Dźwignął się z wysiłkiem na nogi. – Chce pan płynąć ich szukać? Czy pan oszalał? Szukać ich, dobre sobie! Noc, że choć oko wykol, człowiek nie widzi nawet własnej ręki. O nie, nie, Bóg świadkiem, że straciłem już zbyt wielu ludzi, zbyt wielu. Kategorycznie zakazuję.

–Czy rozważył pan ewentualność, że może po prostu popsuł im się silnik? Że może dryfują gdzieś w kółko i zamarzają powoli na śmierć, a my tu siedzimy i nic nie robimy?

–Rozważyłem i odrzuciłem. Przed naszym wyjazdem silniki obu łodzi zostały poddane dokładnemu przeglądowi, a do tego wiem na pewno, że Jungbeck jest znakomitym mechanikiem. Ta ewentualność w ogóle nie wchodzi w rachubę.

–Płynę i tak.

–Chciałbym panu przypomnieć, że ta łódź jest własnością wytwórni.

–Kto mi przeszkodzi ją wziąć?

Otto zapienił się z bezsilności i zaczął z innej beczki:

–Zdaje pan sobie sprawę, że...

–Zdaję sobie. – Miałem już dość naszego Ottona. – Jestem zwolniony.

–To i mnie także będzie pan musiał wyrzucić – odezwał się Conrad. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Płynę z doktorem.

Nie powiem, żeby mnie tym zaskoczył. W końcu to on zainicjował poszukiwania Smithy'ego wkrótce po naszym wylądowaniu na wyspie. Nie próbowałem mu tego perswadować. Dostrzegłem rękę Mary Stuart na jego ramieniu i przerażenie w jej oczach. Jeśli ona nie była w stanie odwieść go od tej myśli, to ja nie miałem co się nawet do tego zabierać.

–Charles! – Otto stawiał na jedną kartę cały swój autorytet. – Chciałbym panu przypomnieć, że podpisał pan kontrakt...

–Mam gdzieś pański kontrakt! – odparł Conrad.

Otto wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem, zacisnął usta, obrócił się na pięcie i odmaszerował do swego pokoju. Jego odejście podziało w ten sposób, że wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Podszedłem do Hrabiego, który markotnie sączył nieodłączny koniak. Podniósł wzrok i uśmiechnął się ponuro.

–Gdyby potrzebował pan, drogi chłopcze, trzeciego ochotnika samobójcy...

–Jak długo zna pan Ottona Gerrana?

–Słucham? – spytał, wyraźnie zbity z tropu. Pociągnął łyk koniaku. – Trzydzieści kilka lat. To żaden sekret. Znałem go już przed wojną, kiedy mieszkał w Wiedniu. Dlaczego...

–Już wtedy pracował pan w filmie?

–Tak i nie. – Uśmiechnął się dziwnie. – O tym też wszyscy dobrze wiedzą. W czasach niezmaconej szczęśliwości, drogi panie, hrabia Tadeusz Leszczyński – to ja – nie był może człowiekiem wszechmocnym, lecz w każdym razie niezwykle zamożnym. W owych czasach byłem mecenasem Ottona, jego głównym finansowym sponsorem. – Znów uśmiech, tym razem rozbawiony. – A jak pan myślał, dlaczego jestem członkiem rady nadzorczej?

–Co pan wie na temat okoliczności nagłego zniknięcia Heissmana z Wiednia w roku 1938? – Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Hrabiego. – A o czym nie wszyscy wiedzą? – Odczekałem, żeby zobaczyć, czy coś powie, a ponieważ milczał, dodałem: – Niech pan uważa na plecy, Hrabio.

–Na... na plecy?

–To taka część ciała bardzo podatna na przebicie ostrymi przedmiotami lub szybko poruszającymi się tępymi. Może nie spostrzegł pan jeszcze, że członkowie rady Olympus Productions spadają jeden po drugim ze swych podniebnych grzęd jak trafione pomorem ptactwo? Jeden leży tam, w szopie ciągników, Judith Haynes tu, pod dachem, a jeszcze dwóm grozi śmierć na morzu, o ile już ich nie spotkała. Skąd można być pewnym, że pan wyjdzie z tego obronną ręką? Niech pan się strzeże proci i strzał, Hrabio. I niech pan to samo powie Nealowi Divine'owi i Lonniemu, zwłaszcza Lonniemu. Byłoby dobrze, gdyby udało się panu dopilnować, żeby pod moją nieobecność nie wychodził w ogóle z baraku. Plecy to bardzo delikatna część ciała.

Hrabia nie odzywał się przez dłuższą chwilę, zachowując zupełnie obojętny wyraz

twarzy, po czym odparł:

–Żadną miarą nie mogę pojąć, o czym pan mówi.

–Tak właśnie myślałem. – Poklepałem go po wypchanej kieszeni kurtki. – Niech pan ją stale trzyma pod ręką, a nie wciśniętą w jakiś kąt pokoju.

–To znaczy co, na miłość boską?!

–Swoją berettę kaliber 9 milimetrów.

Po tej należycie enigmatycznej uwadze zostawiłem go samego i podszedłem do Lonniego, który nie zasypiał gruszek w popiele. Ręka trzymająca szklaneczkę praktycznie nie przestawała już drżeć, oczy mu się szklily, ale mówił jasno i przytomnie jak zawsze.

–I znów nasz medyczny Lochinvar, czy może to był Lancelot, pędzi galopem na ratunek – wyrecytował sklecony naprędce wers. – Nie umiem wypowiedzieć, drogi chłopcze, jaką dumą przepelnia moje serce...

–Niech pan się nie rusza z baraku, kiedy mnie nie będzie. Ani kroku poza te drzwi. Nawet jednego. Proszę. Niech pan to zrobi dla mnie.

–Boże miłosierny! – Czknął w znakomitym stylu. – Można by pomyśleć, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo!

–Grozi panu, grozi. Niech mi pan wierzy.

–Mnie? Mnie? – Wydawał się szczerze zdumiony. – A któż mógłby źle życzyć biednemu, staremu, nieszkodliwemu Lonniemu?

–Zdziwiłby się pan, ilu jest takich ludzi. Proszę na chwilę dać spokój wygłaszaniu tych swoich homilii o wrodzonej dobroci ludzkiej natury i obiecać mi, ale tak naprawdę, że nigdzie pan dzisiaj nie wyjdzie.

–To dla pana takie ważne, mój chłopcze?

–Bardzo.

–A zatem dobrze. Kładąc tę zgrzybiałą dłoń na antałku najprzedniejszej whisky...

Darowałem sobie dalszy ciąg tej przysięgi, gdyż zanosilo się, że rzeczywiście będzie niezwykle solenna, i podszedłem do Mary Stuart i Conrada. Rozmawiali przyciszonymi głosami, lecz odniosłem wrażenie, że ich dyskusja jest bardzo gorąca. Na mój widok umilkli, a Mary Stuart chwyciła mnie błagalnie za ramię.

–Niech pan mu nie pozwoli iść! – zawołała półgłosem. – Bardzo pana proszę. Pana on posłucha, wiem, że pana posłucha. – Zadrżała gwałtownie. – Tak jak wiem, że dziś zdarzy się coś strasznego.

–W tym może się pani nie mylić – odparłem. – Panie Conrad, pan nie jest przeznaczony na straty.

Uzmysłowiłem sobie natychmiast, że mogłem być wybrać jakieś szczęśliwsze sformułowanie. Zamiast patrzeć na Conrada, nie odrywała wzroku ode mnie, a implikacje tego, co powiedziałem, musiała uświadomić sobie znacznie wcześniej, niż zdałem sobie z nich sprawę. Chwyła mnie za ramię, popatrzyła mi w oczy, tępo, bez cienia nadziei, po czym odwróciła się i odeszła do swego pokoju.

–Niech pan ją goni – powiedziałem szybko do Conrada. – Niech pan jej powie...

–To nie ma sensu. Płynę z panem. Ona o tym wie.

–Proszę ją dogonić i powiedzieć, żeby otworzyła okno i wystawiła na zewnątrz to czarne pudełko, które jej dałem. A potem niech dobrze zamknie okno z powrotem.

Conrad spojrział na mnie badawczo, ale powstrzymał się od uwag i odszedł. Naprawdę był nie w ciemną bity. Nawet nie skinął głową, co przecież każdy obserwator musiałby wziąć za wyrażenie zgody na wykonanie jakiegoś mojego polecenia.

Wrócił po minucie. Naciągnęliśmy na siebie tyle grubej odzieży, ile się dało, i zaopatrzyliśmy się w cztery najsilniejsze latarki. Kiedy byliśmy już w drodze do drzwi, od boku nadal potężnie poobijanego Allena podniosła się Mary kochanie.

–Doktorze Marlowe...

Przysunąłem usta do miejsca, gdzie za zasłoną splątanych platynowych włosów podejrzewałem obecność jej uszka i spytałem szeptem:

–Jestem cudowny?

Potwierdziła namaszczonym skinieniem głowy i pocałowała mnie. W jej oczach za wielkimi szklami okularów malował się głęboki smutek. Nie wiem, co reszta obecnych pomyślała sobie o tej małej scenie rodzajowej, i nic mnie to nie obchodziło: pewnie uznali to za ostatnie czułe pożegnanie poczciwego doktora przed jego odejściem na zawsze w okalający mrok.

–Mnie też mogła pocałować – poskarżył się Conrad, kiedy drzwi się za nami zamknęły.

–W tej dziedzinie i tak bije mnie pan na głowę – odparłem. Okazał dość poczucia przyzwoitości, żeby zachować milczenie. Z wyłączonymi latarkami schroniliśmy się przed gęstniejącą z chwili na chwilę śnieżycą za magazynkiem żywności i odczekaliśmy kilka minut, by upewnić się, że nikomu nie wpadło do głowy nas śledzić. Potem trzymając się jak najbliżej ścian obeszliliśmy główny budynek stacji i zabraliśmy spod okna Mary Stuart czarne pudełko. Stała w pokoju i jestem pewien, że nas zobaczyła, ale ani drgnęła, nawet nie próbowała pomachać nam na pożegnanie. Wyglądało na to, że obie Mary myślały tylko o jednym.

Brnąc w ciemności i śniegu dotarliśmy na koniec moła, schowaliśmy bezpiecznie czarne pudełko na rufie łodzi, uruchomiliśmy silnik – tylko cztery i pół konia mechanicznego, ale dla czternastostopowej szalupy to w sam raz – i odbiliśmy. Kiedy opływaliśmy północne ramię moła, Conrad zawołał:

–Chryste Panie, ciemno jak w beczce sadzy! Jak ma pan zamiar się do tego zabrać?

–To znaczy do czego?

–Jak to? Do odszukania Heissmana i spółki, oczywiście.

–Nie będę płakał, jeśli już nigdy nie zobaczę ich na oczy – odparłem szczerze. – Wcale nie mam zamiaru ich szukać. Wręcz przeciwnie, dołożymy wszelkich starań, żeby przypadkiem się na nich nie natknąć. – Podczas gdy Conrad przeżuwał w milczeniu tę całkowitą zmianę frontu działania, ja zmniejszyłem przezornie obroty, poprowadziłem łódź jakieś sto jardów na północ i, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu brzegu Sorhammy, wyłączyłem silnik. Szalupa przepłynęła siłą rozpędu jeszcze kilka jardów, a gdy się zatrzymała, przeszedłem na dziób i spuściłem kotwicę.

–Według mapy mamy tu trzy sążnie głębokości – powiedziałem. – Według ekspertów przy trzech sążniach trzeba pięćdziesiąt stóp liny, żeby nas nie zniosło. Proszę, oto rzucam pięćdziesiąt stóp liny. A ponieważ za plecami mamy ciemny brzeg, musimy się zupełnie zlewać z tłem. W ten sposób jesteśmy praktycznie całkowicie niewidoczni dla każdego, kto nadpłynie z południa. Oczywiście palenie nie wchodzi w rachubę.

–Bardzo zabawne – mruknął Conrad. Po chwili spytał ostrożnie: – A kto według pana miałby z tego południa nadpłynąć?

–Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków.

–W porządku, w porządku. Więc pan nie uważa, że coś im się przytrafiło?

–Uważam, że coś im się przytrafiło na pewno, ale nie w sensie, o jaki panu chodzi.

–Ach tak... – Zapadła cisza, w której słyhać było tętent galopujących myśli

Conrada. W końcu przerwał ją i powiedział: – A skoro mowa o Królowie Śnieżce...

–Tak?

–Może dla zabicia czasu opowiedziałby mi pan jakąś bajeczkę?

Zdałem mu więc sprawozdanie ze wszystkiego, co wiedziałem albo sądziłem, że wiem, a on wysłuchał tego w skupieniu. Skończywszy czekałem na jakiś jego komentarz, ale nic nie powiedział, więc spytałem:

–Obiecuj mi pan, że nie utłucze Heissmana na miejscu?

–Obiecuję, obiecuję, ale naprawdę niechętnie. – Wzdrygnął się potężnie. – Chryste Panie, ale mróz!

–Pst...! Niech pan słucha, są!

Przez sypiący śnieg i ostry północny wiatr przedarł się odległy i chwilami zanikający terkot silnika zbliżającej się łodzi. Nim minęły dwie minuty, stał się ostry i wyraźny.

–Coś podobnego! – mruknął Conrad. – Wyobraźcie sobie państwo, że naprawili silnik.

Pozostaliśmy na swoim miejscu, kołysząc się łagodnie na kotwicy i trzęsąc w ciszy z zimna. Łódź Heissmana opłynęła północne ramię moła i silnik ucichł. Heissman, Goin i Jungbeck nie śpieszyli się z zacumowaniem i wyjściem na brzeg. Marudzili przy moła przez całe dziesięć minut. Nie sposób było zobaczyć, co robią, ciemność i śnieg uniemożliwiały wypatrzenie nawet zarysów ich sylwetek, ale kilka razy dostrześliśmy błysk światła latarki za załamaniem moła, kilka razy usłyszeliśmy jakiś metaliczny stuk i dwukrotnie wydawało mi się, że słyszę plusk, jakby coś ciężkiego wrzucano do wody. W końcu ujrześliśmy trzy igielki światła sunące na brzeg i rozplywające się w ciemności od strony stacji.

–W tym momencie powinienem pewnie mieć gotowych kilka inteligentnych pytań – odezwał się Conrad.

–A ja kilka równie inteligentnych odpowiedzi. Chyba zaraz je znajdziemy. Niech pan wyciąga kotwicę.

Zapaliłem silnik i trzymając go na najniższych obrotach poprowadziłem łódź dwieście jardów na wschód, potem skręciłem na południe i obliczywszy, że kombinacja odległości i siły spychającej północnego wiatru wyniosła nas już poza zasięg słuchu, otworzyłem przepustnicę na pełny ciąg.

Nawigacja, jeśli to odpowiednie słowo, okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałem.

Byliśmy na dworze wystarczająco długo, by oczy przywykły nam do ciemności, toteż bez kłopotów widziałem zarys brzegu po prawej ręce; nawet w znacznie ciemniejszą noc trudno byłoby nie dostrzec ostrej linii granicznej między czernią klifów i białą zasypanych śniegiem wzgórz za nimi. Także i morze okazało się o wiele mniej wzburzone, niż się tego obawiałem – tylko trochę huśtało, a wiatr nie mógł przybrać bardziej sprzyjającego nam kierunku.

Kiedy za prawą burtą pojawił się Kapp Malmgren, skierowałem łódź trochę na południowy zachód, żeby wpłynąć do Eyjebukty, ale nie za ostro, bo choć urwiska na brzegu rysowały się zupełnie wyraźnie, to jednak wszystko na wodzie zlewało się z ich tłem i było nie do wykrycia. Wolałem więc nie ryzykować wprowadzenia łodzi na jedną z tych małych wysepek w północnej części zatoki, które widziałem rano przez lornetkę.

Po raz pierwszy od podniesienia kotwicy Conrad przerwał milczenie. Wykazywał zupełnie przykładową cierpliwość. Odchrząknął i spytał:

–Czy mogę zadać pytanie?

–Może pan nawet otrzymać odpowiedź. Pamięta pan te niezwykle skały i iglice sterczące z wody u podnóża klifów, które widzieliśmy z „Róży Poranka”, gdy okrążyliśmy południowy kraniec wyspy?

–Och, słodkie wspomnienie! – odparł Conrad z tęsknotą.

–Nie ma powodu wyplakiwać sobie za nią oczu – pociesyłem go. – Jeszcze dziś znów ją pan zobaczy.

–Co takiego?!

–To takiego.

–„Różę Poranka”?

–We własnej postaci. To znaczy mam nadzieję, że ją zobaczymy, ale o tym później. Te sterczące z wody skały to skutek erozji, którą z kolei wywołują prądy pływowe, sztormy i mróz. Wyspa była niegdyś znacznie większa niż dzisiaj, jej fragmenty bez przerwy nadal osuwają się do morza. Ta sama erozja wyłobiła w ścianach klifów jaskinie i pieczary. Wyłobiła w nich jednak coś jeszcze, coś, o czym nie wiedziałem aż do dzisiejszego ranka, a co musi być unikatem na skalę światową. Dwieście czy trzysta jardów przed południowym cyplem tej zatoki zwanym Kapp Kolthoff jest maleńka przystań w kształcie podkowy. Wypatrzyłem ją dzisiaj rano przez lornetkę.

–Wypatrzył pan przez lornetkę?

–Wypuściłem się na mały spacer. W głębi tej przystani otwiera się szczelina, nie jakaś tam zwykła szczelina, ale wlot tunelu, który przebiega pod całym cyplem i kończy się po jego drugiej stronie. Musi mieć co najmniej dwieście jardów długości. Nazywa się Perleporten. Trzeba niezwykle dokładnej mapy Wyspy Niedźwiedziej, żeby go znaleźć. Właśnie taka mapa wpadła mi w ręce dzisiaj po południu.

–Taki długi tunel? Przecinający cały cypel? To niemożliwe, żeby tak sam powstał. Ktoś go musiał wykuć.

–A kto by wyrzucał fortunę na kucie w skale dwustujardowego tunelu od A do B, kiedy od tego A do tego B można przepłynąć w niecałe pięć minut? I to na Wyspie Niedźwiedziej?

–Rzeczywiście mało prawdopodobne – przyznał Conrad. – I uważa pan, że Heissman i spółka właśnie tam byli?

–Nie mam pojęcia, gdzie indziej mogliby być. Przeszukałem dziś rano za pomocą lornetki wszystkie zakątki Sorhammy i Eyjebukty i nigdzie ich nie było, nie widziałem ani śladu.

Conrad zachował milczenie, co niezwykle mi się u niego podobało. Zaczynałem coraz bardziej lubić tego człowieka. Mógł zadać dziesiątki pytań, na które nie było jeszcze odpowiedzi, ale ponieważ doskonale o tym wiedział, powstrzymał się od ich zadawania. „Ewinruda” płynęła przed siebie z krzepiącym równym terkotem silnika i po mniej więcej dziesięciu minutach z mroku nocy wyłoniły się zarysy urwisk południowej części Eyjebukty. Po lewej wyraźnie widać było cyplem Kapp Kolthoff. Wydawało mi się, że poza nim widzę nawet spienione fale otwartego morza.

–Tu nie ma nikogo, kto mógłby nas zobaczyć – powiedziałem – nie musimy już ślepić po ciemku. Wiem, że w pobliżu nie ma żadnych wysepek. Światło może nam się przydać.

Conrad przeszedł na dziób i włączył dwa silne szperacze. Dwie minuty później ujrzeliśmy niecałe sto jardów przed nami czarny nawis litej skalnej ściany. Skręciłem w prawo i poprowadziłem łódź na północny zachód, równoległe do klifów. Jeszcze minuta i trafiliśmy do celu. Przed nami otworzyło się skierowane na wschód ujście maleńkiej kolistej zatoczki. Zmniejszyłem do minimum obroty silnika, ostrożnie wprowadziłem łódź do środka i niemal natychmiast ujrzeliśmy nasz cel: mały, półokrągły wylot tunelu u podstawy południowej ściany. Wydawał się niewiarygodnie ciasny. Podpełziliśmy do niego z szybkością niecałego węzła. Conrad obejrzał się na mnie przez ramię.

–Czuję, że mam klaustrofobię.

–Ja też.

–A jeśli się zaklinujemy?

–Łódź Heissmana miała szesnaście stóp, a ta tylko czternaście.

–Tylko że wcale nie wiadomo, czy on tam wpływał! A niech to, raz kozie śmierć!

Splunąłem w myślach przez lewe ramię, żeby nie wywołać wilka z lasu, i skierowałem łódź do tunelu. Okazał się odrobinę większy niż się zdawało. Fale i prądy szlifujące skałę od niepamiętnych czasów nadały jej gładkość alabastru. Mimo iż tunel prowadził niemal prosto jak strzelił na południe, nieustanne zmiany jego szerokości i wysokości dowodziły jasno, że Perleporten nie ma nic wspólnego z dziełem rąk ludzkich. Ale kiedy nagle Conrad z okrzykiem wyciągnął przed siebie rękę, przestało to być takie oczywiste.

Nisza w ścianie, właściwie jej wklęsnięcie, niewiele się różniące od dwóch czy trzech innych, które już minęliśmy, miała co najwyżej sześć stóp głębokości, ale u spodu kończyła się dziwną płaską półką o szerokości od dwóch do pięciu stóp. Wyglądała na wykutą przez człowieka, ale w okolicy roilo się od tak przedziwnych skalnych tworów, że od biedy można by było uznać ją za dzieło przyrody. Zarazem było tu jednak coś, czego za dzieło przyrody uznać nie sposób: szare metalowe sztaby ułożone na krzyż w staranny czworościan.

Żaden z nas nic nie powiedział. Conrad włączył jeszcze dwa szperacze, obrócił je do przodu i skierował na niszę, zalewając jej małą przestrzeń jaskrawym światłem. Nie bez trudu wdrapaliśmy się na półkę i owinęliśmy cumę wokół jednej ze sztab. Nadal bez słowa wzięłem z łodzi bosak i zgruntowałem dno. Natrafiłem na nie pięć stóp pod powierzchnią wody, na nie i jeszcze na coś dziwnego. Poszturchałem bosakiem wokoło, poczułem, że hak zaczepia o coś twardego, a zarazem ustępującego pod jego naporem, i pociągnąłem do góry. Był to półcalowy łańcuch, miejscami zardzewiały, ale wciąż jeszcze zupełnie solidny. Znowu pociągnąłem trochę i z wody wyłonił się koniec sztaby, identycznej wielkości i kształtu jak te leżące już na półce, przymocowanej do łańcucha śrubą oczkową. Całą sztabę pokrywały brzydkie plamy. Opuściłem łańcuch z powrotem na dno.

Wciąż w tym samym niesamowitym milczeniu wyjąłem z kieszeni nóż i nakłułem najbliższą sztabę. Metal, prawie na pewno ołów, był miękki i dawał się łatwo kroić, ale jego warstwa stanowiła tylko cienką powłoczkę, pod którą kryło się coś twardszego. Wbiłem ostrze mocniej i zdrapałem cal ołowiu. W świetle reflektorków zamigotało coś żółtego.

–Rany boskie, bonanza! – mruknął Conrad. – Tak to się chyba nazywa.

–Coś w tym rodzaju.

–Niech pan patrzy. – Sięgnął za stertę sztab i wyciągnął puszkę farby. – „Szara

błyskawiczna”.

–Wydaje mi się, że nie przesadzili z tą nazwą – odparłem.

Dotknąłem jednej ze sztab. – Zupełnie sucha. Musi pan przyznać, że to niezwykle sprytnie pomyślane. Przepiłowuje pan śrubę oczkową, macha kilka razy pędzlem i co otrzymujemy?

–Sztaby balastowe identyczne w kształcie i kolorze ze sztabami balastowymi naszej makiety łodzi podwodnej.

–Strzał w dziesiątkę. – Podniosłem sztabę. – W sam raz do łatwego przenoszenia. Standardowa czterdziestofuntówka.

–Skąd pan wie?

–Lata harówki w Ministerstwie Skarbu. Aktualna wartość trzydzieści tysięcy dolarów. Jak pan sądzi, ile sztab jest w tej stercie?

–Jakieś sto, może więcej.

–A to dopiero początek. Pod wodą prawie na pewno jest tego znacznie więcej. Są tam pędzle?

–Owszem. – Sięgnął za stertę, ale go powstrzymałem.

–Niech pan tego nie robi. Szkoda tych wszystkich wspaniałych odcisków palców.

–Dopiero zaczynam odzyskiwać zdolność myślenia – usprawiedliwił się. Spojrzał na górę sztab. – Trzy miliony dolarów? – spytał powoli.

–Kilka centów w tę lub w tamtą.

–Chyba lepiej wracajmy – powiedział. – Czuję, jak wzbiera we mnie pazerność.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Opuszczając maleńką kolistą zatoczkę, obaj obejrzelśmy się na czarną, złowieszczą czeluść wąskiego tunelu.

–Kto go odkrył? – spytał Conrad.

–Nie mam pojęcia.

–Perleporten... Co to znaczy?

–Wrota Perły.

–Prawie się tym stały.

–Jak dla mnie to wcale nie „prawie”.

Droga powrotna okazała się znacznie nieprzyjemniejsza, mieliśmy przeciwko sobie fale, lodowaty wiatr i siekący w twarz równie lodowaty śnieg, drastycznie redukujący widoczność. Ale udało nam się ją pokonać w niecałą godzinę. Zupełnie zesztywniali od mrozu, a jednocześnie – choć wydawałoby się to niemożliwe – dygocząc nieopanowanie z zimna, zacumowaliśmy łódź. Conrad wygramolił się na molo. Podałem mu czarne pudełko, odciąłem trzydzieści stóp linki kotwicznej i ruszyłem za nim. Oplotłem pudełko misterną siatką z linki, pogmerałem zgrabiałymi palcami przy dwóch zatrzaskach i otworzyłem umocowane na zawiasach wieczko górnej części pudełka zajmującej całą jego szerokość, mniej więcej jedną trzecią długości i dwie trzecie głębokości. Przełączniki i skale ledwie majaczyły w prawie absolutnej ciemności, ale do obsługi tego przyrządu nie potrzebowałem światła – była niezwykle prosta. Wyciągnąłem na całą długość teleskopową antenę i przekręciłem dwa wyłączniki. Rozbłysło przyćmione zielone światełko i z pudełka dobiegło cichutkie brzęczenie, nie do usłyszenia już z odległości jarda.

–Zawsze to miło, kiedy się okazuje, że taka zabaweczka działa – mruknął Conrad. – Czy śnieg jej nie zaszkodzi?

–Ta zabaweczka kosztuje ponad tysiąc funtów. Można ją zanurzyć w kwasie, wsadzić do wrzątku, wyrzucić z okna czwartego piętra, a ona nadal będzie działała. Jej małą siostrzyczkę można nawet wystrzelić z działa okrętowego. Myślę więc sobie, że trochę śniegu jej nie zaszkodzi.

–No tak, pewnie nie. – Przyglądał się w milczeniu, jak spuszczałem pudełko do wody poza południowym ramieniem molo, zielonym światełkiem do ściany, po czym owijam koniec linki wokół kamiennego pachołka, zawiązuję kilka mocnych węzłów i maskuję wszystko śniegiem. – Jaki to ma zasięg?

–Czterdzieści mil. Ale dzisiaj wystarczyłoby dziesięć.

–I zaczęło nadawać?

–Zaczęło nadawać.

Wróciliśmy na główne ramię molo, zacierając za sobą rękami ślady stóp.

–Nie sądzę, by usłyszeli, że wracamy, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Niech pan ma oczy otwarte.

Zejsście do makiety łodzi i powrót do Conrada zajęły mi razem niecałe dwie minuty.

–Wszystko w porządku? – spytał.

–Wszystko. Kolory tych dwóch farb trochę się od siebie różnią, ale gdybym nie wiedział, na co patrzeć, nigdy bym nic nie zauważył.

Nie powitano nas jak powracających bohaterów. Gdybym powiedział, że nasz powrót powitano wyłącznie z rozczarowaniem, nie byłaby to prawda, ale atmosfera wyraźnie miała w sobie coś z przesilenia. Może wszystkie wyrazy współczucia roztrwonili na Heissmana, Jungbecka i Goina, którzy twierdzili, czego należało się spodziewać, że późnym popołudniem zepsuł im się silnik. Heissman wyraził nam stosowne podziękowania, ale w tych jego podziękowaniach wyczuwało się rozbawioną protekcyjną nutę, która nastawiłaby mnie do niego jeszcze bardziej wrogo, gdybym nie był już nastawiony tak wrogo, że bardziej nie można. Toteż obaj z Conradem zadowoliliśmy się odegraniem scenki wyrażającej naszą ulgę z zastania trzech podróżników przy życiu i w zdrowiu, nie kłopotząc się zbytnio o ukrycie rozdrażnienia. Conrad zrobił to wręcz genialnie; bez wątpienia jako aktor miał przed sobą ogromną przyszłość.

Nastrój panujący w świetlicy był nieznośnie grobowy. Wydawałoby się, że szczęśliwy powrót pięciu współtowarzyszy niedoli powinien wzbudzić choćby cień radości. Może jednak właśnie to, że nam udało się zachować życie, tym silniej przypomniało wszystkim o martwej kobiecie leżącej w swoim pokoju. Heissman próbował nam opowiedzieć, na jakie to wspaniałe plenery natrafili tego dnia, a ja nie mogłem się powstrzymać od myśli, że będzie mu piekielnie trudno zainstalować kamerę i ekipę dźwiękową w ciasnym tunelu Perleportenu. Kiedy stało się jasne, że nikt go nie słucha, Heissman przerwał swoje wywody. Otto bez entuzjazmu podjął próbę nawiązania ze mną jakichś roboczych kontaktów i posunął się nawet do wmuszenia mi szklaneczki whisky, którą przyjąłem bez podziękowania, lecz mimo to wypilem. Rzuciłem jakąś mało zabawną uwagę o otwartych porach skóry i tym, że nie mam najmniejszej ochoty wypuszczać się z powrotem na dwór; nie wspomniałem tylko, że pomimo braku ochoty będę musiał się jednak na ten dwór wypuścić, choć nie dalej niż na molo, i wszystkie otwarte pory świata mi w tym nie przeszkodzą.

Spojrzałem na zegarek. Jeszcze dziesięć minut, nie więcej. Potem wszyscy udamy się na mały spacer – czterech członków rady nadzorczej Olympus Productions, Lonnie i ja. Tylko w szóstkę. Dyrektorzy Olympus Productions byli na miejscu; biorąc pod uwagę czas zwykle potrzebny Lonniemu na odzyskanie kontaktu z rzeczywistością po dłuższym przebywaniu w jedynym towarzystwie świata, które niosło mu jeszcze jakąś pociechę, on także powinien już tu ściągnąć. Poszedłem po niego.

W pokoju Lonniego panował mróz prawie taki jak na dworze. Okno otwarte było na całą szerokość, a otwarte było dlatego, że tą właśnie drogą Lonnie zdecydował się opuścić główny budynek stacji. Podniosłem latarkę leżącą na skotłowanym łóżku i

wyjrzałem na zewnątrz. Śnieg nadal sypał równo, ale nie tak gęsto, żebym nie mógł dostrzec śladów prowadzących od okna. Śladów dwóch par nóg. Lonnie nie opuścił pokoju sam, ktoś go do tego namówił, i temu ktosiowi pewnie nie przyszło to z trudnością.

Zignorowałem zaciekawione spojrzenia, które towarzyszyły mi, gdy przecinałem szybkim krokiem salę ogólną, i pobiegłem do magazynku żywności. Drzwi magazynku były otwarte, ale tam także Lonniego nie zastałem. Jedyny dowód, że w ogóle tam był, stanowiła napoczęta, nie zakręcona butelka. A ja uwierzyłem solennej przysiędze Lonniego na antałek najprzedniejszej szkockiej.

Śnieg przed magazynkiem był mocno zdeptany, nosił ślady wielu różnych butów. Szansę, że uda mi się wypatrzeć wśród nich te, o które mi chodziło, były zupełnie minimalne. Wróciłem do baraku mieszkalnego, gdzie mój apel o ochotników do poszukiwań spotkał się z szerokim odzewem – Lonnie nigdy w życiu nie zrobił sobie z nikogo wroga, nawet bezwiednie.

To Hrabia go znalazł, w zaspie za barakiem generatora. Lonnie leżał twarzą do ziemi, oblepiony śniegiem na biało, musiał więc tak leżeć już od pewnego czasu. Miał na sobie tylko koszulę, pulower, spodnie i coś, co wyglądało na mocno schodzone domowe kapcie. W ręce zaciskał butelkę, której zawartość wyciekła na śnieg i rozlała się żółtą plamą obok głowy.

Odwróciliśmy go na plecy. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł wyglądać bardziej martwo niż Lonnie. Skóra pod dotykiem była lodowato zimna, miała kolor starej kości słoniowej, zaszklone, nieruchome oczy bez drgnienia przyjmowały osiadające płatki śniegu, pierś nie wznosiła się i nie opadała. Mimo to, licząc, że może w porzekadle o opatrności, która czuwa nad dziećmi i pijakami, jest choć ziarnko prawdy, przyłożyłem mu ucho do piersi i wydało mi się, że słyszę jakiś cichutki i stłumiony szmer.

Przenieśliśmy go do baraku i położyliśmy na jego własnym łóżku. Kiedy pozostali rzucili się przynosić grzejniki olejowe, szykować termofory i ciepłe koce – poza ogólną sympatią do Lonniego wszystkimi kierowała niemal wzruszająca chęć przyczynienia się w jakiś konstruktywny sposób do jego uratowania – ja wyjąłem stetoskop i stwierdziłem, że serce rzeczywiście mu bije, jeśli coś tak słabego, jak trzepot skrzydeł schwytanego rannego ptaka, można nazwać biciem. Przebiegło mi przez myśl, żeby zastosować środek pobudzający pracę serca i koniak, ale odrzuciłem jedno i drugie. W tak krytycznym stanie zamiast pomóc, mogło go to równie dobrze zabić. Skupiliśmy się więc na jak najszybszym ogrzaniu zamrożonego i pozbawionego życia ciała. Cztery osoby bez przerwy, na zmianę, masowały mu blade ręce i nogi, by choć w minimalnym stopniu przywrócić krążenie.

Piętnaście minut po odnalezieniu go na dworze Lonnie zaczął oddychać. Chwytał

powietrze krótkimi, płytkimi haustami, ale jednak chwytał. Ogrzaliśmy go już także na tyle, na ile za pomocą koców i termoforów dało się to w ogóle zrobić, więc powiedziałem wszystkim, że mogą odejść. Poprosiłem obie Mary, żeby zostały przy Lonniem w roli pielęgniarek, bo sam nie mogłem przy nim zostać. Według mojego zegarka byłem już dziesięć minut spóźniony.

Oczy Lonniego drgnęły. Żadna inna część jego ciała, tylko oczy. Po dłuższej chwili ich mętne spojrzenie skoncentrowało się na mnie. Na większą przytomność jeszcze długo nie miałem co liczyć.

–Ty głupcze, skończony głupcze! – powiedziałem. Może nie powinienem tak mówić do człowieka, który jedną nogą ciągle jeszcze był po tamtej stronie, ale nie mogłem się powstrzymać. – Dlaczego pan to zrobił?

–Och! – Jego głos zabrzmiał jak odległy szept.

–Kto pana tam wyciągnął? Kto panu dał tego drinka? – Czułem, że obie Mary spojrzały w osłupieniu najpierw na mnie, potem po sobie, ale minął już czas, kiedy to, go kto sobie myśli, miało jakiegokolwiek znaczenie.

Lonnie poruszył kilka razy bezgłośnie wargami. Potem zmrużył chytrze oczy i wydał z siebie pijacki rechot, ledwie słyszalny, chrapliwy, gardłowy bulgot.

–Dobry człowiek – wyszeptał słabo. – Bardzo dobry człowiek. Miałem ochotę złapać go za ramiona i z całej siły nim potrząsnąć, tylko że przy okazji na pewno wytrząsnąłbym z niego życie. Całą siłą woli opanowałem się i spytałem:

–Jaki dobry człowiek, Lonnie?

–Dobry człowiek – mruknął – dobry człowiek. – Uniósł odrobinę rękę i skinął na mnie. Pochyliłem się do jego ust. – Wie pan co? – spytał zamierającym szeptem.

–Co takiego, Lonnie?

–W końcowym rozrachunku... – Jego głos przeszedł w niewyraźny szmer.

–Tak, Lonnie?

Zdobył się na ogromny wysiłek.

–W końcowym rozrachunku... – Urwał na długą chwilę, a ja musiałem przyłożyć mu ucho do samych warg. – W końcowym rozrachunku liczy się tylko dobroć... – Opuścił woskowe powieki.

Zakląłem niecenzuralnie i kląłem dalej, dopóki nie uświadomiłem sobie, że obie Mary

wpatrują się we mnie osłupiałe, pewnie przekonane, że klnę na Lonniego.

–Proszę powiedzieć Conradowi – poleciłem Mary Stuart – żeby kazał Hrabiemu przyjść do mojego pokoju. Zaraz. Conrad będzie wiedział, jak to zrobić.

Wyszła natychmiast.

–Czy Lonnie będzie żył? – spytała Mary kochanie.

–Nie wiem, Mary.

–Ale... teraz jest mu już zupełnie ciepło... i...

–Jeśli coś go zabije, to nie ten pobyt na mrozie, jeśli o to pani pyta.

Spojrzała na mnie zza tych swoich wielkich okularów, przejęta i zarazem wystraszona.

–Chce pan powiedzieć, że alkohol, który wypił, mógł być zatruty?

–Mógł być, nie wiem tego.

–I nic to pana nie obchodzi, prawda? – spytała tym samym, niemal wzruszająco surowym tonem, który tak bardzo do niej nie pasował.

–Nic. – Na jej twarzy malował się wyraz szoku. Objąłem ją za wątle ramiona. – Nie obchodzi mnie to, Mary, bo jego samego nic to nie obchodzi. Lonnie od dawna już jest martwy.

Wróciłem do swego pokoju, zastałem tam Hrabiego i bez zbędnych słów przystąpiłem do rzeczy.

–Zdaje pan sobie sprawę, że Lonnie padł ofiarą próby umyślnego zabójstwa?

–Nie byłem pewien, ale tak sobie myślałem. – Hrabia zupełnie pozbył się swej zwyczajnej maski kpiny i przekory.

–Wie pan o tym, że Judith Haynes została zamordowana?

–Zamordowana?! – Ta wiadomość była dla Hrabiego prawdziwym wstrząsem i z tym także nawet nie próbował się kryć.

–Ktoś wstrzyknął jej śmiertelną dawkę morfiny. Na dobitkę mojej morfiny i moją strzykawką. – Nic nie odpowiedział. – Więc jak pan widzi, wasza zabawa w poszukiwanie ukrytych skarbów przekształciła się w coś znacznie mniej zabawnego.

–To prawda.

–Ma pan świadomość, że zadawał się pan z mordercami?

–Teraz już tak.

–Teraz już tak. I wie pan, jaka będzie tego prawna interpretacja?

–Wiem.

–Ma pan przy sobie rewolwer? – Skinął głową. – Potrafi pan się z nim obchodzić?

–Drogi panie, jestem polskim hrabią. – To był cały Tadeusz.

–Sądu to może nie wzruszyć – odparłem. – I zdaje pan sobie sprawę, że jedyną pana szansą jest zostać świadkiem Korony i zeznawać przeciwko współnikom?

–Owszem – odparł. – Z tego także zdaję sobie sprawę.

Rozdział 13

–Panie Gerran – powiedziałem. – Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan wyjść ze mną na chwilę na dwór – pan, pan Goin, pan Heissman i Hrabia.

–Wyjść z panem na dwór? – Otto spojrział na zegarek, potem na swoich trzech kolegów, na zegarek i z powrotem na mnie. W tej właśnie kolejności. – W taką noc, o tej porze? A po co, na miły Bóg?

–Bardzo pana proszę. – Przeniosłem wzrok na resztę zgromadzonych. – Będę także wdzięczny, jeśli pozostali państwo nie ruszą się stąd, z tej sali, aż do naszego powrotu. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Nie muszą państwo stosować się do mojej prośby, a ja oczywiście nie jestem w stanie niczego narzucać, ale twierdzę, że leży to w państwa własnym interesie. Wiem już, dziś od rana, kto jest mordercą. Ale nim wymienię jego nazwisko, uważam za słuszne przedstawić sprawę najpierw panu Gerranowi i jego współnikom.

To moje krótkie wystąpienie przyjęte zostało w kompletnym milczeniu. Przerwał je, jak można się było tego spodziewać, Otto. Odchrząknął i spytał ostrożnie:

–Twierdzi pan, że ustalił pan jego tożsamość?

–Tak twierdzę.

–A czy ma pan coś na poparcie tego swego twierdzenia?

–Chodzi panu o to, czy mogę to udowodnić?

–Właśnie.

–Nie, nie mogę.

–Aaa! – powiedział znacząco Otto. Potoczył wzrokiem po zebranych i spytał: – Czy nie za dużo pan bierze na swoje barki, doktorze Marlowe?

–W jakim sensie?

–Te dyktatorskie zapędy, którym coraz częściej pan folguje... Wielki Boże, człowieku, jeśli odkryłeś, kto jest mordercą, albo jeśli nawet tylko tak ci się zdaje, to, na litość Boga, mów i nie rób z tego takiego przedstawienia. Nikomu nie przystoi grać roli Pana Boga, doktorze Marlowe. Przypomnę panu, że jest pan tylko jednym z wielu, członkiem grupy, pracownikiem, jeśli pan woli, Olympus Productions, tak jak...

–Nie jestem pracownikiem Olympus Productions. Jestem urzędnikiem Brytyjskiego Ministerstwa Skarbu prowadzącym dochodzenie w sprawie niektórych aspektów

działalności wytwórni filmowej Olympus Productions Ltd. Dochodzenie to właśnie zostało zakończone.

Otto zareagował tak silnie, że aż szczęka opadła mu na piersi. Goin zapanował nad sobą, ale jego gładka i zazwyczaj beznamiętna twarz przybrała obcy jej wyraz czujności. Heissman powiedział z niedowierzaniem:

–Agent rządowy! Tajne służby...

–Myli pan kraje, panie Heissman. To amerykańskie Ministerstwo Skarbu zatrudnia tajnych agentów, nie brytyjskie. Jestem zwykłym urzędnikiem państwowym, który nigdy w życiu nie strzelał z pistoletu, a już na pewno nigdy nie był weń uzbrojony. Dysponuję mniej więcej taką samą władzą jak listonosz albo kancelista z Whitehall, nie większą. Dlatego właśnie proszę panów o współpracę. – Spojrzałem na Gerrana. – I dlatego właśnie proponuję panom, na zasadach uprzejmości, udział we wstępnych konsultacjach.

–Dochodzenie? – Otto wyraźnie został co najmniej pół minuty drogi za mną w tyle. – Jakie znowu dochodzenie? I jak to możliwe, że człowiek, którego najmuje jako lekarza... – Urwał potrząsając głową na klasyczną modłę kogoś, kto utracił nadzieję, że cokolwiek zrozumie.

–A dlaczego pana zdaniem żaden z pozostałych siedmiu kandydatów na stanowisko lekarza wyprawy nie stawiał się na rozmowę wstępną? Na medycynie nie wykładają nam co prawda dobrych manier, ale aż tak niegrzeczni nie jesteśmy. Idziemy?

–Uważam, Otto – powiedział Goin – że powinniśmy posłuchać, co on ma nam do powiedzenia.

–Ja też chciałbym tego posłuchać – odezwał się Conrad. Był jedną z nielicznych osób, które nie patrzyły na mnie jak na przybysza z jakiejś obcej planety.

–Nie wątpię. Obawiam się jednak, że będzie pan musiał pozostać tutaj. Ale chciałbym zamienić z panem słówko na osobności, jeśli wolno. – Nie czekając na odpowiedź, odwróciłem się i ruszyłem do swego pokoju. Otto zastąpił mi drogę.

–Nie ma nic takiego, co miałby pan do powiedzenia Charlesowi, a czego nie mógłby pan powiedzieć nam wszystkim.

–Skąd pan wie? – Minąłem go prawie odpychając na bok i zamknąłem drzwi za Conradem. – Z dwóch powodów wolę, żeby nie szedł pan z nami – powiedziałem. – Kiedy zjawią się nasi przyjaciele, mogą mnie nie zauważyć na molo i przyjść prosto tutaj. W takim wypadku musi im pan powiedzieć, gdzie mnie szukać. Ale to nie takie ważne. Przede wszystkim chcę, żeby nie spuszczał pan z oka Jungbecka. Gdyby chciał stąd wyjść, proszę spróbować go od tego odwieść. Gdyby nie dał się

przekonać, niech go pan puści – ale nie dalej niż na trzy kroki. Niech pan się postara jakoś tak naturalnie mieć pod ręką pełną butelkę whisky albo coś w tym rodzaju i porządnie go nią zdzieli. Nie w łeb, boby go pan zabił, tylko w ramię przy samej szyi. Pewnie złamie mu pan obojczyk, ale na pewno go pan unieszkodliwi.

Conrad nie uniósł nawet brwi.

–Teraz rozumiem, dlaczego nie zawraca pan sobie głowy noszeniem rewolweru – powiedział.

–Butelka szkockiej działa cuda nie tylko na drętwym przyjęciu.

Zabraną ze sobą latarnię sztormową powiesiłem na szczeblu pionowej drabinki prowadzącej z wieżyczki do wnętrza makiety łodzi podwodnej. Jej ostre światło rzuciło na ten lodowy, wilgotny grobowiec niesamowitą plątaninę oślepiająco białych i atramentowoczarnych geometrycznych wzorów. Podczas gdy reszta przyglądała mi się w niezbyt przyjaznym milczeniu, odkręciłem jedną z desek podłogi, wyciągnąłem sztabę balastu, położyłem ją na obudowie kompresora i zadrapałem jej powierzchnię swoim nożem.

–Zechce pan zauważyć – zwróciłem się do Ottona – że nie robię żadnego przedstawienia. Prologi mamy za sobą, dobiliśmy do sceny, w której nie ma czasu do stracenia. – Złożyłem nóż i przyjrzałem się robocie jego ostrza. – Nie wszystko złoto, co się świeci. Ale czy to wygląda panom na tabliczkę czekolady?

Spojrzałem po kolei na każdego z nich. Widać było jasno, że im nie wygląda.

–Kompletny brak jakiegokolwiek reakcji, kompletny brak zaskoczenia i zdziwienia. – Schowałem nóż do kieszeni i uśmiechnąłem się, rozbawiony zeszytnieniem trzech z tej czwórki. – Słowo harcerza, że my, urzędnicy państwowi, nie nosimy broni. Zresztą, niby dlaczego moje odkrycie miałoby panów zaskoczyć? Przecież już od pewnego czasu wszyscy czterej doskonale zdajecie sobie sprawę, że nie jestem tym, za kogo mnie uważaliście. A i sam widok tego złota też nie może budzić w was zdziwienia. W końcu po nic innego nie przyплыnęliście na Wyspę Niedźwiedzią, tylko właśnie po nie.

Nic nie odpowiedzieli. Co dziwniejsze, nawet na mnie nie patrzyli. Nie odrywali wzroku od sztaby złota, jakby była ona o niebo ważniejsza ode mnie, co z ich punktu widzenia wydawało się absolutnie zrozumiałą hierarchią preferencji.

–Mój Boże, mój Boże... – ciągnąłem. – A gdzie te odruchowe zaprzeczenia, gdzie miny urażonej niewinności, gdzie chwytanie się ze serce i oburzone „O czym pan, na miłość boską, mówi?” Bezstronny obserwator mógłby uznać ten całkowity brak reakcji za dowód równie obciążający, jak pisemne przyznanie się do winy, nie uważają panowie? – Popatrzyłem na nich z miną, którą można by odczytać jako

zachęcająca, ale nadal nie udało mi się wycisnąć z nich żadnej odpowiedzi. Tylko Heissman uznał za konieczne zwilżyć dolną wargę koniuszkiem języka. Ciągnąłem więc dalej: – Była to niezwykle sprytna i przemyślna kombinacja, co nawet wasz obrońca w sądzie będzie musiał przyznać. Czy któryś z panów nie zechciałby opisać, na czym dokładnie polegała?

–Moim zdaniem, doktorze Marlowe – powiedział władczo Otto – napięcie ostatnich kilku dni nadwerężyło pańską równowagę umysłową.

–Nieźle, nieźle – odparłem z uznaniem. – Niestety spóźnił się pan z tym o jakieś dwie minuty. A zatem nie ma ochotników do naszkicowania fabuły? Cierpimy na przerost skromności czy to po prostu brak chęci do współpracy? Może pan, panie Goin, zechciałby powiedzieć kilka słów? W końcu jest pan moim dłużnikiem. Gdyby nie ja, gdyby nie ta nasza mała dramatyczna konfrontacja, nie dożyłby pan końca tego tygodnia.

–Odnoszę wrażenie, że pan Gerran ma rację – odparł Goin wyważonym tonem, którego tak świetnie potrafił używać. – Ja? Miałbym umrzeć? – Potrząsnął głową. – To napięcie musiało być dla pana nie do zniesienia. Jako lekarz powinien pan doskonale zdawać sobie sprawę, że w takich okolicznościach ludzka wyobraźnia...

–Wyobraźnia? Czyżby ta czterdziestofuntowa sztaba złota była produktem mojej wyobraźni? – Wskazałem na balast pod deskami podłogi. – Czyżby produktem mojej wyobraźni było także te piętnaście dalszych sztab? I coś koło setki na półce skalnej w Perleporten? Czy to tylko złudzenie, że wasz kompletny brak reakcji na słowo „Perleporten” dowodzi ponad wszelką wątpliwość, iż doskonale wiecie, co to takiego, gdzie się znajduje i jakie ma znaczenie? Czy te setki pokrytych ołowiem sztab zatopionych nadal w tunelu Perleporten istnieją tylko w mojej wyobraźni? Dajmy spokój tym głupim gierkom, bo wasza gra dobiegła końca. Jak powiadam, było to niezwykle sprytne – póki trwało. Czym można lepiej zamaskować wyprawę po zatopiony skarb niż płaszczykiem ekspedycji filmowej? W końcu ludzi filmu uważa się powszechnie za ekscentryków posuwających się czasami do zupełnych szaleństw, toteż nawet ich najbardziej niedorzeczne zachowanie przyjmowane bywa za zupełnie normalne. Czy można wybrać lepszą porę na odzyskanie skarbu niż późna jesień, gdy dzień trwa ledwie kilka godzin i całą operację odzyskania złota da się prowadzić pod osłoną długich, bardzo długich nocy? Czy można wymyślić lepszy sposób wwiezienia tego złota do Anglii, niż zastępując nim balast tej makiety? Któremu celnikowi przyszłoby do głowy oglądać żeliwne sztaby, nie tak dawno przecież odprawione przy wyjeździe z Anglii? – Spojrzałem pod podłogę. – Cztery tony, wedle wspaniałego prospektu pana Heissmana. Ja bym powiedział, że raczej pięć. Czyli jakieś dziesięć milionów dolarów. Dla takiej sumy warto wypuścić się nawet do tak odległego kurortu jak Wyspa Niedźwiedzia. Nie uważają panowie?

Jeśli tak uważali, to tego nie powiedzieli.

–Za dzień czy dwa wymyślilibyście pewnie jakiś pretekst, by przeholować tę makietę do zatoczki przy wejściu do Perleporten, i w ten sposób ogromnie sobie ułatwić przeładunek złota. A potem hej-ho do wesołej Anglii korzystać z owoców swego ciężkiego mozołu. Czy się mylę?

–Nie – odparł chłodno Otto – nie myli się pan. Ale sądzę, że trudno panu będzie doszukać się w tym wszystkim przestępstwa. Bo i o cóż można by nas oskarżyć? O kradzież? Absurdalne. Jesteśmy zwykłymi znalazcami.

–Znalazcami? Kilku nędznych ton złota? A jak się panu zdaje, skąd pomimo zmyślonej dymnej zasłony, jaką postawiliście, rząd brytyjski wiedział nie tylko o tym, że wyruszacie na Wyspę Niedźwiedzią, lecz także, że w celu nie mającym wiele wspólnego z tym, co głosiliście? Nie wiecie panowie, że w pewnych sprawach rządu wszystkich krajów europejskich ściśle ze sobą współpracują? Nie wiecie, że wiele z nich z niezwykłym zainteresowaniem przygląda się działalności Johanna Heissmana? Nie wiecie? No cóż, nie wiecie więc pewnie i tego, że większość z nich posiada o wiele więcej informacji o panu Heissmanie niż wy. Panie Heissman, może chciałby pan sam nam o tym opowiedzieć, zaczynając, dajmy na to, od swojej trzydziestokilkuletniej pracy dla Rosjan?

Otto wytrzeszczył oczy na Heissmana, potężna szczęka znowu opadła mu na pierś, jakby miała się urwać. Mięśnie twarzy Goina napięły się tak silnie, że po tak charakterystycznej dla niego gładkiej uprzejmości nie pozostało nawet śladu. Wyraz twarzy Hrabiego nie uległ zmianie, skinął tylko powoli głową, jakby zaczynał rozumieć coś, co od dawna nie dawało mu spokoju. Heissman sprawiał wrażenie człowieka, który zupełnie nie wie, co ze sobą zrobić.

–No cóż – podjąłem – skoro pan Heissman nie ma ochoty niczego nikomu opowiadać... nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić to samemu. Obecny tu pan Heissman jest niezwykle uzdolnionym specjalistą w niezwykle specjalistycznej dziedzinie. Krótko i węzłowato, jest poszukiwaczem skarbów i na tym polu nikt nie dorasta mu do pięt. Ale nie jest zwykłym poszukiwaczem zwykłych skarbów. Obawiam się, że mógł tu panów wprowadzić w błąd, podobnie jak – już na pewno – wprowadził panów w błąd w pewnej zupełnie innej sprawie. Mam tu na myśli jego wstępny warunek dopuszczenia was do udziału w łupie, a mianowicie żądanie zatrudnienia w Olympus Productions jego siostrzenicy, Mary Stuart. Będąc ludźmi paskudnie podejrzliwymi, musieli panowie błyskawicznie wysnuć wnioski, że nie jest wcale jego siostrzenicą – bo i rzeczywiście nie jest – a ma we wszystkim wziąć udział z zupełnie innych powodów, co także jest zgodne z prawdą. Ale nie z powodów, o które w swych paskudnych przypuszczeniach ją podejrzewaliście. Panna Stuart była Heissmanowi nieodzowna do osiągnięcia zupełnie innego celu, o którym, pewnie przez roztargnienie, zapomniał panów powiadomić.

Muszą panowie zrozumieć, że ojciec panny Stuart był równie pozbawionym

skrupułów i zasad łajdakiem, jak każdy z was. Zajmował bardzo eksponowane stanowisko zarówno w niemieckiej marynarce wojennej, jak i NSDAP, i jak wielu innych jego kolegów piastujących tak wysokie funkcje – choćby taki Hermann Goering – korzystał z władzy, by ułożyć sobie własne gniazdko. Kiedy jednak wojna była już przegrana, wykazał więcej sprytu niż Goering i zdołał uciec przed obławą na zbrodniarzy wojennych. To złoto, choć chyba nigdy nie uda się tego dowieść, niemal na pewno pochodzi ze skarbców banków norweskich, a człowiek rozporządzający wszelkimi możliwościami, jakie do jego dyspozycji stawała niemiecka flota wojenna, nie miał najmniejszych trudności z przetransportowaniem go do tak znakomicie odosobnionego miejsca jak Perleporten na Wyspie Niedźwiedziej. Zapewne łodzią podwodną, choć to akurat jest bez znaczenia.

Ale do Perleporten przewieziono nie tylko złoto; to właśnie jest powodem, dla którego na scenie pojawiła się Mary Stuart. Tatuś był człowiekiem wybrednym, gniazdko wymoszczone samym pierzem mu nie odpowiadało, zamarzył mu się łabędzi puch. Ten puch niemal na pewno przybrał postać obligacji bankowych lub innych papierów wartościowych, w których posiadanie wszedł – bo trudno tu użyć słowa „nabył” – w końcu lat trzydziestych. Takie papiery wartościowe zachowały swą ważność do dziś. Nie tak dawno na kilku giełdach zachodnich próbowano przedstawić do wykupu pakiet obligacji wartości trzydziestu milionów funtów, ale Niemiecki Bank Federalny odbił tę piłkę, gdyż brak było rzetelnych dokumentów stwierdzających prawo własności. Tym razem nie byłoby żadnych problemów z ustaleniem prawa własności, prawda, panie Heissman?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

–I gdzież one są? – spytałem. – Zaspawane artystycznie w jednej ze sztab, stalowej, a udającej złotą? – Ponieważ wciąż nie okazywał chęci do współpracy, mówiłem dalej: – Zresztą mniejsza z tym, i tak je znajdziemy. Tak czy inaczej, nie dana panu będzie przyjemność ujrzenia, jak ojciec Mary Stuart składa na nich podpis, i porównania, czy zgodny jest z podpisem sprzed tylu, tylu lat.

–Jest pan tego pewien? – spytał Heissman. Otrząsnął się już z szoku i odzyskał swój normalny spokój, to znaczy spokój niemal niezmacony.

–Czy w świecie, w którym wszystko się tak szybko zmienia, można być w ogóle czegoś pewnym? Ale przy tym zastrzeżeniu – owszem, jestem tego pewien.

–Wydaje mi się, że coś pan przeoczył.

–Coś przeoczyłem?

–Tak. Jest jeszcze admirał Hanneman.

–Tak brzmi prawdziwe nazwisko ojca Mary Stuart?

–Nie wiedział pan tego?

–Nie, ale to nie ma żadnego znaczenia. I jeszcze raz nie, nie przeoczyłem tego. Zajmę się tą sprawą niebawem, jak tylko zakończę sprawę z pańskimi przyjaciółmi. A może to nieodpowiednie określenie? Może nie są już pańskimi przyjaciółmi? Bo coś mi się zdaje, że nie patrzą już na pana zbyt przyjaznym okiem.

–To potworne! – zawołał Otto. – Potworne! Niewybaczalne! Co za szatańska przewrotność! I to mój własny wspólnik! – Słów mu zabrakło i zapadł w pełne oburzenia milczenie.

–Podłe – zawtórował mu chłodno Goin. – Nikczemne, godne najwyższej pogardy.

–Coś takiego! – mruknąłem. – A niech mi pan powie, panie Goin, czy to pańskie święte oburzenie to skutek ujawnienia przeze mnie głębi perfidii Heissmana czy też tylko reakcja na wiadomość, że nie miał zamiaru uwzględnić was przy podziale zysków z wykupu tych papierów? Niech pan się nie trudzi z odpowiedzią, to pytanie czysto retoryczne. Tworzycie, moi panowie, bardzo zgraną bandę, dobraliście się jak w korcu maku. Mam na myśli to, że każdy z was poświęcał mnóstwo czasu i pomysłowości na staranne ukrywanie przed pozostałymi członkami rady nadzorczej Olympus Productions prawdziwych motywów swego działania. Heissman nie jest tu żadnym wyjątkiem.

Weźmy na przykład Hrabiego. W porównaniu z wami to cnotliwy anioł, ale i on taplał się w dość mętnych wodach. Od ponad trzydziestu lat jest członkiem rady i ma dożywotnio zapewniony wikt i opierunek, gdyż tak się złożyło, że przebywał w Wiedniu w czasie Anschlussu, kiedy Otto wyniósł się do Stanów, a Heissmana zabrano i zniknął bez wieści. Heissmana zabrano i zniknął bez wieści, bo przysłużył mu się w tym Otto, który w ten sposób mógł wywieźć z kraju cały kapitał firmy, a nie tylko swoją połowę. Otto nie jest człowiekiem, który by się wahał przed sypnięciem przyjaciela.

Otto nie wiedział jednak czegoś, o czym wiedział Hrabia, a mianowicie, że zniknięcie Heissmana było jak najbardziej dobrowolne. Już od pewnego czasu pracował dla Niemców i przybrana ojczyzna bardzo go potrzebowała. Lecz i przybrana ojczyzna nie o wszystkim wiedziała – otóż nim ona zdążyła go przytulić do swego łona, już znacznie wcześniej uczyniła to Rosja. Ale to tylko na marginesie. Tak więc Otto był przekonany, że sprzedał przyjaciela za brzęczącą gotówkę, i że Hrabia o tym wie. Niestety, Hrabiemu bardzo trudno byłoby cokolwiek udowodnić, a ponieważ z natury nie jest człowiekiem pazernym i nigdy nie domagał się niczego poza swoją pensją, nie ma żadnych śladów czerpania korzyści z tego szantażu. I dlatego właśnie to jemu zaproponowałem wystąpienie w sądzie w roli świadka Korony i złożenie zeznań przeciwko swym wspólnikom. Hrabia tę propozycję przyjął.

Teraz Heissman dołączył do Ottona i Goina i wszyscy trzech spojrzeli na Hrabiego w sposób, w jaki jeszcze tak niedawno tamci dwaj patrzyli na Heissmana.

–Albo weźmy Ottona – ciągnąłem. – Od lat defrauduje ogromne sumy z funduszków spółki, wykrwawiając ją tym dosłownie na śmierć. – Teraz dla odmiany Heissman i Hrabia wytrzeszczyli oczy na Gerrana. – Albo Goina. Dwa lub trzy lata temu odkrył malwersacje Ottona i od tamtej pory szantażuje go, wykrwawiając z kolei jego. *Summa summarum*, stanowicie bandę najbardziej odrażających, pozbawionych skrupułów i zdeprawowanych ludzi, jakich miałem nieszczęście spotkać w swoim życiu. A przecież to tylko wierzchnia powłoczka waszych nikczemności, prawda? Czy też raczej nikczemności jednego z was. Nie poruszyliśmy jeszcze w ogóle tematu kilku morderstw, których tu ostatnio dokonano, i tego, kto jest ich sprawcą. Oczywiście jeden z was. Człowiek zupełnie obłąkany, psychopata, który skończy w Broadmoor. Choć nie sposób nie przyznać, że jego rozumowanie i działanie odznaczały się logiką, i to wcale nie logiką szaleńca. Niemniej jednak więzienie dla psychopatów czeka go na pewno, a mnie żal trochę, że zniesiono karę śmierci. Pozostaje tylko liczyć, że nie będzie pan tam długo żył, Ottonie. Radzę panu trzymać za to kciuki, bo to najlepsze, co może tam pana spotkać. – Otto ani drgnął, nie odezwał się ani słowem, jego twarz nie zmieniła wyrazu. – Pańscy płatni mordercy, Jungbeck i Heyter, dostaną oczywiście dożywocie w więzieniu o najostrzejszym reżimie.

Temperatura w tym lodowatym metalowym grobowcu spadła wiele stopni poniżej zera, ale chyba nikt nie zdawał sobie z tego sprawy; typowy przykład górowania myśli nad materią, a niezwykle rzadko zdarzają się ludzie tak niepodzielnie i niemal obsesyjnie zaprzątnięci myślami jak ci czterej mężczyźni.

–Otto Gerran jest bardzo złym człowiekiem – mówiłem dalej – a ogrom jego zbrodni wykracza poza granice pojmowania. Trzeba jednak przyznać, że miał niezwykle gołego pecha w doborze współników i że na tych współników spada wcale nie tak mała część winy za ostatnie potworne wydarzenia, bo to ich chciwość i egoizm doprowadziły do sytuacji, z której Otto mógł wybrnąć tylko uciekając się do prawdziwie desperackich środków.

Ustaliliśmy zatem, że trzech z was od lat go szantażowało. Kolejnych dwóch współników, jego córka i Stryker, całym sercem przyłączyło się do tej, jak widać, niezwykle popularnej zabawy, opierając jednak swój szantaż na zupełnie innej podstawie. Jakiej, nie mogę jeszcze udowodnić, ale sądzę, że w odpowiednim czasie uda nam się ustalić wszystkie fakty. Fakty dotyczące pewnego wypadku samochodowego, który wydarzył się w Kalifornii ponad dwadzieścia lat temu. Wzięły w nim udział dwa samochody. Jeden z nich należał do Lonniego Gilberta, a jechały nim trzy kobiety, jego żona i dwie córki, wszystkie pod przemożnym wpływem alkoholu. Drugi należał do Strykerów, ale tylko należał – Strykerów w nim nie było. Samochodem tym jechało dwóch mężczyzn, którzy wracali z tego samego przyjęcia

co rodzina Lonniego, przyjęcia u Strykerów, i też znajdowali się pod silnym działaniem alkoholu. Mężczyznami tymi byli Otto i Neal Divine. Zgadza się, panie Gerran?

–To są bzdury, których nikt nigdy nie zdoła udowodnić!

–Zobaczymy. Samochód prowadził Otto, ale kiedy Divine otrząsnął się po wypadku, dał się przekonać, że to on siedział za kierownicą. I od tamtej pory Divine żyje w przekonaniu, że umknięcie przed oskarżeniem o zabójstwo zawdzięcza wyłącznie milczeniu Ottona. Listy płac pokazują...

–Skąd pan wziął listy płac? – przerwał mi Goin.

–Z pańskiego pokoju, gdzie oprócz tego znalazłem tę pańską wspaniałą książeczkę bankową. Listy pokazują, że Divine od lat otrzymuje nie pensję, tylko nędzne ochłapy. Czyż można nie podziwiać naszego Ottona? Nie tylko zrzuca na kogoś odpowiedzialność za śmierć, którą sam spowodował, ale przy okazji robi sobie z tego kogoś niewolnika. Szantażowany, sam szantażuje na boku na własny rachunek. Coraz ładniej to wszystko wygląda, prawda?

Ale Strykerowie wiedzieli, kto spowodował wypadek, bo widzieli, kto prowadził ich samochód, kiedy odjeżdżał on spod ich domu. Sprzedali więc swoje milczenie za stanowiska w radzie nadzorczej Olympus Productions i rozdęte pensje. Przeurocza i zgrana z was paczka. Czy wiecie, że ten tłusty potwór próbował dziś w nocy zamordować Lonniego? Dlaczego? Dlatego, że Judith Haynes na krótko przed śmiercią wyznała Lonniemu całą prawdę o tamtym wypadku. A tym samym Lonnie zaczął stanowić dla Gerrana ogromne zagrożenie.

Nie wiem, kto zaproponował, by wyprawę po skarb ukryć pod płaszczykiem rzekomego pleneru filmowego. Pewnie Heissman, ale to nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma natomiast to, że Otto dojrzał w tej wyprawie jedyną i pewnie niepowtarzalną szansę rozwiązania za jednym zamachem wszystkich swoich problemów. Rozwiązanie było proste: zlikwidować wszystkich pięciu współników, w tym także córkę, której nienawidził wcale nie mniej niż ona jego. Wynajmuje więc dwóch płatnych zbirów, Heytera i Jungbecka – co do tego nie ma wątpliwości, dziś po południu znalazłem w walizce Jungbecka dwa tysiące funtów w pięciofuntowych banknotach – rzekomych aktorów, o których nikt nigdy nie słyszał, oczywiście poza Gerranem.

Otto się nie rozdrabnia. Postanawia za jednym podejściem pozbyć się całej rady nadzorczej. Ludzi, których nienawidził i którzy nienawidzili jego. Ich śmierć powinna dać mu dość czasu na zatarcie śladów malwersacji. Otrzymałby bardzo poważne sumy z polis ubezpieczeniowych i przy pomocy usługowych księgowych, którzy wcale nie są mniej przekupni niż inne grupy zawodowe, wybrnąłby z tarapatów. Całe to

piękne złoto przypadłoby tylko jemu. A przede wszystkim, na zawsze uwolniłby się od ciągłych szantaży, które nękały go przez całe życie i przywiodły niemal do szaleństwa. Spojrzałem na Goina.

–Czy teraz pan rozumie, co miałem na myśli mówiąc, że beze mnie nie dożyłby pan końca tego tygodnia?

–Tak, chyba tak. Nie mam wyjścia, muszę uwierzyć, że ma pan rację. – Spojrzał na Gerrana z czymś w rodzaju podziwu. – Ale jeśli chodziło mu tylko o radę nadzorczą...

–...to dlaczego musieli zginąć tamci? Pech, pomyłka albo przypadkowe stanięcie na drodze. Pierwszą zamierzoną ofiarą miał być Hrabia i tu właśnie w sprawę wmieszał się pech. Nie Hrabiego – Antonia. Jeśli dokładnie pogrzebiemy w przeszłości Gerrana, okaże się bez wątpienia, że jest on człowiekiem bardzo wszechstronnym. Wśród wielu egzotycznych umiejętności nabytych w ciągu życia były i takie, które zatrącają o medycynę lub chemię. Otto jest za pan brat z truciznami. Jak wielu otyłych ludzi, potrafi także wspaniale chować w dłoniach różne przedmioty. Tamtego wieczoru, kiedy zmarł Antonio, kolację jak zwykle nakładano z bocznego stolika znajdującego się w pobliżu stołu kapitańskiego, przy którym siedział Otto. Dosypał on trochę akonityny – wystarczyła maleńka szczypta – do chrzanu na talerzu przeznaczonym dla Hrabiego. Na nieszczęście dla biednego Antonia, Hrabia nie cierpi chrzanu, toteż chętnie mu go oddał, a Antonio chętnie ten chrzan przyjął, był przecież wegetarianinem. I to go zgubiło. Godzinę później już nie żył.

–W ten sam sposób i podczas tej samej kolacji Gerran próbował otruć także Heissmana. Ale Heissman nie był tego wieczoru w najlepszej formie, prawda? Pewnie pamięta pan, że niczego pan nie tknął, a jadalnię opuścił w ogromnym pośpiechu. Oszczędny Haggerty, zamiast wyrzucić tę wyraźnie nietkniętą porcję do śmieci, włożył ją z powrotem do rondla z kolacją dla stewardów, ale nim Moxen i Scot zdążyli ją zjeść, dobrał się do niej, także ukradkiem, Książę. Na szczęście dla niego niemal natychmiast został przepłoszony. Wszyscy trzej ulegli otruciu, dwóch z nich zmarło. A wszystko przez pechowy zbieg okoliczności.

–Czy nie przeoczył pan faktu, że sam Otto także się zatrął? – spytał Hrabia.

–Oczywiście, że się zatrął, sam, własnoręcznie, by oddalić od siebie wszelkie ewentualne podejrzenia. Nie użył jednak akonityny. Wystarczył jakiś zupełnie nieszkodliwy środek wymiotny i trochę gry aktorskiej. Nawiasem mówiąc, właśnie dlatego wyprawił mnie na obchód „Róży Poranka”. Nie interesowało go wcale, kto cierpi na morską chorobę, ale kogo jeszcze przez przypadek otrął. Kiedy usłyszał o śmierci Antonia, zareagował nienaturalnie gwałtownie, ale w owym czasie nie wiedziałem jeszcze dlaczego.

Później tego samego wieczoru sprawy przybrały kolejny tragiczny obrót. Pod moją

nieobecność dwie osoby odwiedziły moją kajutę. Jedną z ich był Heyter lub Jungbeck, drugą Halliday. – Spojrzałem na Heissmana. – To był pański człowiek, prawda?

Skinął bez słowa głową.

–Heissman odnosił się do mnie mocno podejrzliwie. Chciał sprawdzić moje dokumenty i mój bagaż, oczywiście nie sam. Kazał to zrobić Hallidayowi. Otto był równie podejrzliwy, a jeden z jego ludzi odkrył, że czytałem ustęp o tojadzie. Jedna śmierć w tę czy w tamtą nie robiła już Gerranowi różnicy, toteż postanowił wyeliminować mnie z gry za pomocą swego ulubionego eliminatora, czyli trucizny. Domieszanej do butelki whisky. Pechowym dla siebie zbiegiem okoliczności Halliday przyszedł do salonu zobaczyć, czy nie udałoby mu się zajrzeć do mojej podręcznej walizeczki lekarskiej, którą miałem przy sobie, i to on wypił przeznaczonego dla mnie ostatniego drinka.

Pozostałe śmierci łatwo wyjaśnić. Kiedy wszyscy szukali Smithy’ego, Jungbeck i Heyter ogłuszyli Allena i zabili Strykera, niezdarnie próbując zrobić w to niewinnego chłopaka. A w nocy Otto rozkazał zamordować swoją własną córkę. Czuwał w parze z Jungbeckiem i tylko wtedy mogło się to stać. – Spojrzałem na Gerrana. – Powinien pan być sprawdzić okno w pokoju swojej córki. Zaśrubowałem je na głucho, więc nikt nie mógł tam się dostać z zewnątrz. Odkryłem także, że skradziono mi strzykawkę i ampułkę morfiny. Nie musi pan się do niczego przyznawać. Jungbeck i Heyter wyśpiewają wszystko jak kanarki.

–Przyznaję się. – W głosie Gerrana słyhać było kamienny spokój. – Wszystko się zgadza w najdrobniejszym szczególe. Choć oczywiście w niczym to panu nie pomoże. – Powiedziałem, że był mistrzem w ukrywaniu w dłoniach różnych przedmiotów, i teraz właśnie tego dowiódł. Zupełnie nie wiadomo skąd w jego dłoni zmaterializował się mały, czarny, paskudnie wyglądający rewolwer.

–Ja ze swej strony nie bardzo rozumiem, w jaki sposób panu miałyby to pomóc – powiedziałem. – Przecież przyznał się pan do wszystkiego, o co pana oskarżyłem. – Od chwili, kiedy zesliśmy na pokład łodzi, rozważnie i umyślnie ustawiałem się dokładnie pod wieżyczką, toteż widziałem różne rzeczy, których kto inny widzieć nie mógł. – Jak pan sądzi, gdzie w tej chwili jest „Róża Poranka”?

–Co to ma znaczyć? – Zupełnie nie podobał mi się sposób, w jaki jego mała, tłusta ręka zacisnęła się na kolbie rewolweru.

–Odplynęła tylko do Tunheim, gdzie od dawna kilka osób czeka na wiadomość ode mnie. To prawda, że nie mogłem z nimi nawiązać bezpośredniego kontaktu, bo kazał pan któremuś z tych swoich twardzieli rozbić nadajnik, zgadza się? Ale nim „Róża Poranka” nas tu zostawiła, ja zostawiłem na jej pokładzie mały odbiornik nastrojony

dokładnie na częstotliwość pewnego sygnalizatora radiowego. Ludzie ci otrzymali jasne instrukcje, co robić, kiedy sygnał radiowy go uruchomi. Uruchomił go ponad dziewięćdziesiąt minut temu. Na pokładzie „Róży Poranka” znajdują się uzbrojeni norwescy i brytyjscy policjanci i żołnierze. A raczej – znajdowali się. W tej chwili są już tutaj. Niech mi pan wierzy na słowo. Inaczej czeka nas niepotrzebny przelew krwi.

Nie uwierzył mi na słowo. Zrobił szybko krok do przodu, uniósł broń i zajrzał do wieżyczki. Na swoje nieszczęście stał w jasno oświetlonym miejscu, a tam, gdzie patrzył, panowała zupełna ciemność. Hukowi wystrzału, rozrywającemu w tej zamkniętej przestrzeni bębunki, zawtórował jego okrzyk bólu, a zaraz potem rozległ się metaliczny brzęk. Rewolwer wypadł mu z zakrwawionej dłoni i uderzył o sztabę złota.

–Bardzo mi przykro, ale nie dał mi pan dokończyć. To starannie wyselekcjonowani żołnierze.

Do wnętrza łodzi zeszło czterech mężczyzn. Dwóch ubranych po cywilnemu, dwóch w mundurach norweskiej armii. Jeden z cywilów zwrócił się do mnie:

–Doktor Marlowe? – Potwierdziłem skinieniem głowy. – Inspektor Matthewson. A to jest inspektor Nielson. Sądzę, że zdążyliśmy na czas, prawda?

–Owszem, bardzo panom dziękuję. – Nie zdążyli uratować Antonia, Hallidaya, Moxena, Scota, Judith Haynes i jej męża. Ale to już była tylko moja wina. – Zjawiliście się bardzo szybko.

–Jesteśmy tu już od ładnych kilku minut. Widzieliśmy, jak schodziliście do łodzi. Przy płynęliśmy pontonem z miejsca na północ od Makehl. Kapitan Imrie nie kwapił się wprowadzać nocą „Różę Poranka” do Sorhammy. Wydaje mi się, że słabo widzi.

–Ja za to widzę doskonale! – Szorstki głos dobiegł ze szczytu wieżyczki.

–Rzuć ten karabin! Rzucaj, bo zginiesz! – Głos Heytera zabrzmiał przekonująco. Tylko jedna osoba była uzbrojona, żołnierz, który strzelił do Ottona. Na ostrą komendę norweskiego inspektora bez wahania rzucił karabin na podłogę. Heyter zszedł na dół, omiatał czujnym spojrzeniem wszystkich zebranych, pistolet w jego ręce nieustannie zataczał lekki łuk.

–Świetna robota, Heyter, świetna robota. – Ból w strzaskanej ręce sprawiał, że Otto nie mówił, tylko jęczał.

–Świetna robota? – spytałem. – Chce pan być winny śmierci jeszcze jednego człowieka? Chce pan, żeby to była ostatnia rzecz, jaką Heyter zrobi w swoim życiu?

–Za późno na słowa. – Sina twarz Ottona poszarzała, krew ze zranionej ręki kapłała

na sztaby złota. – Za późno.

–Za późno? Ty głupcze, przecież ja wiedziałem, że Heyter może chodzić! Zapomniałeś, że jestem lekarzem, nawet jeśli nie najlepszym. Miał poranioną nogę w kostce, a był w grubych skórzanych butach. Mogłoby to nastąpić wyłącznie przy otwartym złamaniu. A złamania nie było. Przy zwichnięciu czy skręceniu nogi nie ma rozdarcia skóry. A więc te rany musiał sobie zadać sam. Zabójstwa Smitha dokonano tak samo jak zabójstwa Strykera – brutalnie i bez wyobraźni. Bo zabiłeś Smitha, prawda, Heyter?

–Tak. – Skierował rewolwer na mnie. – Lubię zabijać.

–Odłóż ten rewolwer, bo zginiesz!

Zaklął paskudnie i z pogardą, lecz nie zdążył dokończyć wulgarnego przekleństwa, gdy dokładnie pośrodku czoła rozkwitła mu czerwona róża. Hrabia opuścił swoją berettę i powiedział tonem przeprosiny:

–No cóż, byłem polskim hrabią, ale wiecie, jak to jest. Człowiek wychodzi z wprawy.

–Wiemy, jak to jest – odparłem. – Strzał partacza, ale chyba zasługuje na wybaczenie.

Kiedy znaleźliśmy się na molo, inspektorzy uparli się, by zakuć w kajdanki Goina, Heissmana i nawet rannego Ottona. Udało mi się ich przekonać, że Hrabia nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Chciałem także, by pozwolili mi zamienić słowo z Heissmanem. Kiedy reszta ruszyła do budynku stacji i zostaliśmy sami, powiedziałem:

–Z uwagi na zasolenie woda w tej zatoce ma temperaturę nieco niższą od zera. W tym grubym ubraniu i z rękami skutymi na plecach nie przeżyje pan w niej nawet trzydziestu sekund. Bycie lekarzem ma swoje zalety, takie rzeczy wie się zupełnie dokładnie. – Chwyciłem go pod ramię i popchnąłem na brzeg mola.

–Specjalnie tak to pan rozegrał, żeby Heyter zginął, prawda? – spytał ochrypłym głosem.

–Oczywiście. Widzi pan... w Anglii zniesiono karę śmierci. Tutaj można ją wymierzyć bez problemu. Żegnaj, panie Heissman!

–Przysięgam, przysięgam! – zawołał piskliwie. – Każę uwolnić rodziców Mary Stuart i pozwolić im się połączyć. Przysięgam! Przysięgam!

–Przysięga pan na swoje życie, Heissman.

–Tak. – Zadrżał gwałtownie i nie z powodu lodowatego wiatru. – Tak, wiem.

W baraku panował niezwykle spokoj i cisza. Przypuszczam, że musiał to być skutek tej ogromnej ulgi, którą odczuwamy, gdy wszystkie kłopoty się już skończyły, ale jeszcze trudno w to uwierzyć Matthewson zapewne udzielił odpowiednich wyjaśnień.

Jungbeck leżał na podłodze, prawą ręką trzymał się za lewe ramie i pojękiwał, jakby z ogromnego bólu. Spojrzałem na Conrada. Zerkną na Jungbecka, a potem wskazał na odłamki szkła zaścielające podłogę

–Zrobiłem, o co pan prosił – powiedział. – Niestety butelka pękła.

–Szkoda – odparłem. – To znaczy, szkoda whisky. – Spój rzałem na Mary kochanie, która zanosila się od płaczu, i Mary Stuart, która próbowała ją pocieszyć, lecz sama wyglądała na równie nie szczęśliwą. – Łzy, czcze łzy, moje drogie Mary – powiedziałem z naganą. – Już po wszystkim.

–Lonnie nie żyje. – Wielkie załzawione oczy patrzyły żałośnie zza wielkich okularów. – Umarł pięć minut temu.

–Bardzo mi przykro. Ale nad Lonniem nie ma co ronić łez. To jego słowa, nie moje. „Musiałby mu być wrogiem, kto by go zatrzymywał na łożu tortur tego świata”.

–On tak powiedział? – spytała z niedowierzaniem.

–Nie. Niejaki Kent.

–Lonnie kazał panu coś powtórzyć – odezwała się Mary Stuart. – Chyba miał na myśli pana. „Powtórzcie dobremu uzdrowicielowi”, powiedział, „żeby nie zapomniał zabrać kilku pensów na pierwszą kolejkę. W małym podrzędny pubie”. Nic z tego nie rozumiałam.

–Nie dodał, że w czyścucu?

–W czyścucu? Och, nie wiem. Nie miało to dla mnie żadnego sensu.

–Dla mnie ma – odparłem. – Nie zapomnę.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/